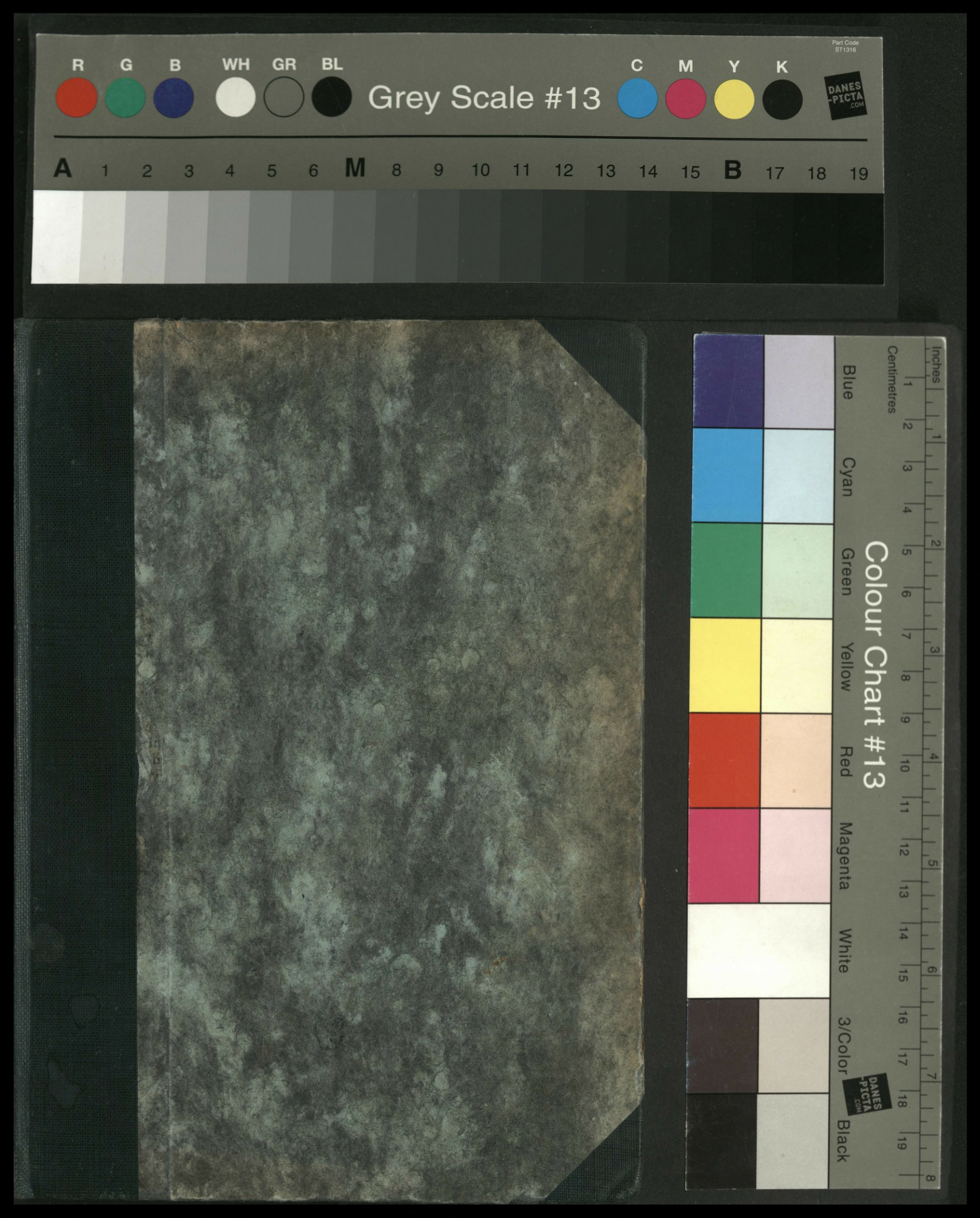

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
Part Code ST1316
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

5113



STANISŁAW LESZCZYŃSKI

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO
BIBLIOTEKA
im. Gen. Broni Świerczewskiego

JÓZEF FELDMAN

STANISŁAW LESZCZYŃSKI

8 ILUSTRACJI W TEKŚCIE

VIII, 6, 4, 2, 3.

5143.

KSIĄŻNICA-ATLAS ☆ WROCŁAW–WARSZAWA
1948

Okładkę projektowała Z. CZERWIŃSKA

BIBLIOTEKA NAUKOWA ASG
15558
Nr CW.

Nakład: 3 300 egz.
Papier: 61×86, gr. 70, kl. 5.
Data wydania: luty 1948.

2710

PAŃSTWOWE WROCŁAWSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE, OKRĘG PÓŁNOC, WROCŁAW
633 (F 17367)

I

ROD I MŁODOSC

Żaden z Polaków w pierwszej połowie XVIII wieku nie zażywał takiego w Europie rozgłosu jak Stanisław Leszczyński. Należał on do nielicznego grona postaci, których losy nie tylko sprzęgły się ściśle z przeznaczeniami ich ojczyzny, nie tylko skupiały uwagę obcych dworów i dyplomatów, ale budziły żywą sympatię i współczucie ukształconych warstw różnych krajów. Świadectwem rozbudzonej ciekawości, jaką wywoływała osobistość króla Stanisława, pozostaje imponująca liczba ogłoszonych współcześnie życiorysów. Począwszy od roku 1736, w którym dwukrotny elekt Rzpltej ostatecznie rozstał się z ojczyzną, poczęły się ukazywać za witrynami księgarskimi Frankfurtu, Norymbergi, Lipska, Paryża, Londynu, Amsterdamu, Sztokholmu pozłacane tomiki w językach: niemieckim, francuskim, angielskim, szwedzkim, poświęcone „osobliwemu życiu i losom znanego w świecie króla polskiego Stanisława", jak zatytułował swe dzieło pierwszy z plejady jego biografów, Michał Ranft. W tytule tym mieści się wytłumaczenie tej wyjątkowej popularności, jaką zdobył sobie wśród współczesnych dawny wojewoda poznański. Nie skomplikowany problem wewnętrznych jego przeżyć, nie ważna rola, jaką odegrać mu przyszło w przełomowych chwilach jego narodu, pociągały uwagę czytelników, ale niezwykłość zewnętrznych losów. Wszystko było w tym życiu niecodzienne, osobliwe, barwne, jak w jednym z fantastycznych romansów, w jakich lubował się wiek XVII i XVIII. Raptowne wyniesienie na tron królewski dzięki przypad-

kowemu zetknięciu z Karolem XII; dramatyczne zmagania z dwoma przeciwnikami tej miary, co kipiący żywiołowymi namiętnościami wojownik, polityk, biesiadnik, kochanek, alchemik August II i wyłaniający się z mroków rosyjskich tytaniczny twórca potężnego imperium Piotr Wielki; krótkotrwały i połowiczny sukces, przemazany wnet katastrofą bitwy połtawskiej — tak przedstawiał się prolog niezwykłej historii.

Przyszły zmieniające się jak w kalejdoskopie lata tułaczki: od brzegów Bałtyku po skwarne pustynie Mołdawii; osobliwa gościna u sułtana Achmeda III, próba powrotu na tron w oparciu o spisy janczarskie, pobyt w rezydencji królewskiego protektora w Dwóch Mostach, po jego śmierci wegetacja w alzackim Wissemburgu, coraz bardziej posępna, beznadziejna, przy akompaniamencie wdzierających się szarych trosk życia codziennego. Raptem, jak przed dwudziestu laty, nieoczekiwany błysk fortuny: wczorajszy banita, tułacz, klepiący biedę, w ustawicznym strachu przed sztyletami i trucizną zbirów Augusta, przedzierzga się w teścia najpotężniejszego władcy w chrześcijaństwie, naturalnego pretendenta do utraconej korony.

Następuje kulminacyjny moment życia Stanisława. Po awanturniczej, jak zwykle pełnej ryzyka przeprawie do Polski w przebraniu i za paszportem kupca Brambaka, wspaniała, na pozór jednomyślna elekcja wśród objawów szczerej radości kilkunastotysięcznych rzesz szlacheckich, spragnionych króla rodaka, dzielnego piastuna majestatu Rzplitej. Jakże świetne zadośćuczynienie za fatalny wybór sprzed trzech dziesiątków lat, w nielicznym kole, wśród głośnych protestów pod groźbą szwedzkich muszkietów, przy akompaniamencie szemrań i złorzeczeń całego kraju! Ale towarzysząca Leszczyńskiemu na wszystkich szlakach jego bogatego życia kapryśna zmienność losu, nie pozwalająca nacieszyć się odniesionym sukcesem, i tym razem rychło daje znać o sobie. Jeszcze korona królewska nie dotknęła jego skroni, a już widzi się zmuszony szukać schronienia przed nadciągającymi wojskami carskimi w warownych murach Gdańska. Po chwilach najwyższego w życiu triumfu, zbliża się moment najbardziej dramatyczny,

z widmem nieuchronnej zdaje się katastrofy. Wierny Gdańsk po bohatersku odpiera wściekłe szturmy feldmarszałka Münnicha, ale siły jego są na wyczerpaniu, wybrańcowi Rzpltej grozi wpadnięcie w ręce wroga. W tych najcięższych chwilach ryzykuje dobiegający sześćdziesiątki król jeszcze jedną, najbardziej chyba w swym życiu karkołomną próbę ratunku. Wymknąwszy się z oblężonego miasta, ciemną nocą, w chłopskim przyodziewku, z sękatym kijem w ręku, po niebezpiecznych błądzeniach przez grząskie trzęsawiska, podmokłe łąki i pola, dotarł wreszcie na terytorium pruskie. Przeprawa ta, opisana przezeń w liście do córki, w tysięcznych egzemplarzach rozeszła się po Europie, odwracając uwagę od ciekawszych może z punktu widzenia historycznego chwil, gdy Stanisław, wyrwawszy się z rąk rosyjskich, znalazł się w gościnie u drugiego z sąsiadów, króla pruskiego. Powtórzyła się sytuacja sprzed lat dwudziestu : jak wówczas sułtan turecki, tak teraz Fryderyk Wilhelm przyjmował gościnnie królewskiego tułacza, nie skąpiąc mu grzeczności ni datków pieniężnych, w przeświadczeniu, że odbierze za to sowitą nagrodę w polskiej ziemi. Jak wówczas z Benderu, tak teraz z Królewca słał Leszczyński w naród ogniste wici do walki z najazdem moskiewskim, z tą jasną świadomością, że traktowany formalnie jako gość, jest w gruncie rzeczy zakładnikiem, osobą swą poręczającym przyszły zabór terytoriów Rzpltej.

Toczące się nieuchronnym biegiem wypadki przyniosły Stanisławowi nową gorycz: przegraną walkę o niepodległość Rzpltej, szpetną zdradę ze strony Francji, która podpisawszy sojusz z zawiązaną w obronie Stanisława konfederacją dzikowską w trzy dni później w preliminarzach pokojowych z Habsburgami wyparła się swego kandydata i z lekkim sercem przekreśliła jego prawa do tronu Rzpltej. Na osłodę przyznano mu dożywotnie władanie księstwem Lotaryngii i Baru. Zmęczony niespokojnym życiem, podstarzały władca znalazł na koniec bezpieczną przystań, w której przez trzy dziesiątki lat oddawać się mógł ulubionej pracy literackiej, utrzymywać wystawny dwór, wznosić piękne budowle, zakładać ogrody, kształcić młódź szlachecką z Polski, podejmować

Monteskiusza i Woltera, z Janem Jakubem toczyć dyskusje na temat wpływu kultury na charakter i obyczaje człowieka. Nie wygasająca tęsknota za dwukrotnie utraconym tronem Rzpltej kazała mu w dalszym ciągu podtrzymywać stosunki z niezadowolonymi z rządów Augusta III „republikanami", migotającymi mu przed oczyma diademem królewskim. Blisko dziewięćdziesięcioletni starzec z rozgoryczeniem przyjął wiadomość o wyniesieniu na tron Rzpltej drugiego Stanisława, syna dawnego sługi. Nawet zgon jego wskutek nieszczęśliwego wypadku, w wyjątkowo fatalnych okolicznościach, nosił pewne cechy niecodzienności.

Cóż dziwnego, że żywot tak barwny, pełen dramatycznych przewrotów i najmniej oczekiwanych możliwości, przykuwał uwagę ludzi pióra, przez nich zaś stawał się tematem jednej z legend, jakimi żywiła swą wyobraźnię osiemnastowieczna Europa! W pozłacanych rezydencjach monarszych, w pałacach magnackich i zamczyskach rycerskich, w izbach mieszczańskich krzewiła się bujnie legenda dwukrotnego wybrańca Rzpltej, sojusznika rycerskiego Karola XII, teścia Króla Arcychrześcijańskiego, ofiary rywalizacji dwóch Augustów saskich i mściwości potężnej Rosji. Z czasem wyrosła druga legenda o światłym, ludzkim, popierającym usilnie rozwój kulturalny nowej ojczyzny „filozofie dobroczynnym". Z legendarnych mgławic przyszło historykom XIX i XX wieku wydobywać prawdziwe rysy oblicza duchowego Stanisława, zarazem zaś ująć jego postać z odmiennej perspektywy. Nie barwna awanturniczość jego przygód przykuwa dziś uwagę, ale doniosła rola, jaką odegrał w dziejach Rzpltej w ciągu kilku dziesiątków lat. Żyjąc na rubieży nie tylko dwóch stuleci, ale dwóch epok, stał się ośrodkiem krystalizowania się prądów politycznych, w których wyrażała się zarówno konieczność szukania nowej orientacji zagranicznej, jak głębsze zrozumienie potrzeby przeobrażenia przestarzałych urządzeń państwowych i stosunków społecznych. Sam Stanisław zabłysnął w plejadzie reformatorów jako gwiazda pierwszorzędnego blasku, dziełem swym dokumentując wielki zwrot, jaki dokonywał się wśród najświatlejszych umysłów społeczności szlacheckiej. Człowiek głębokiego wykształcenia

i rozległych doświadczeń życiowych, przesiąknięty do głębi duchem zachodu, posiada również swoją kartę jako krzewiciel kultury francuskiej, w której upatrywał skuteczny środek rozbudzenia zaśniedziałego w mrokach i przesądach doby saskiej narodu. Tym wielkim walorom umysłowym Leszczyńskiego odpowiadały dotkliwe braki charakteru, znieprawionego wszystkimi przywarami ówczesnej oligarchii, bez skrupułów poświęcającej dobro ojczyzny na rzecz nie tylko swym pożytków prywatnych, ale co gorsza, interesów obcych dworów. Studium jego postaci wyrasta przez to do rzędu pierwszorzędnego dokumentu epoki, w którym znalazły swe odbicie wszystkie dodatnie i ujemne jej cechy, wszystkie skazy, stanowiące spuściznę przeszłości i wszystkie wzloty, zapowiadające odrodzenie serc i umysłów, którego widownią miała się stać doba stanisławowska.

Przedstawiając postać w rodzaju Stanisława Leszczyńskiego, nie wolno nam rozpocząć opowiadania od chwili, gdy począł stawiać w życiu pierwsze samodzielniejsze kroki. Potomkowie rodów magnackich w wyższym od innych śmiertelników stopniu stanowili wytwór wiekowych tradycji politycznych i kulturalnych. Ciaśniejsza ojczyzna regionalna, gniazdo rodowe, ciągłość poczynań w zawodzie publicznym, działalności gospodarczej lub mecenacie kulturalnym, wszystko to w mniejszym czy większym stopniu wyciskało swe piętno na przedstawicielach kilkudziesięciu najbłękitniejszych rodów Rzpltej. Cóż dopiero, gdy ród ów posiadał tak wyraziście skrystalizowaną fizjonomię, jak Leszczyńscy. Stara rodzina wielkopolska, pieczętująca się herbem Wieniawa, od połowy XV wieku weszła w poczet czołowych rodów możnowładczych, które piastując najwyższe dostojeństwa, uczestniczyły wydatnie w życiu politycznym Polski, wypełniały szeregi jej dyplomatów, wzbogacały kulturę materialną i duchową. Podstawy gospodarcze potęgi Leszczyńskich nie mogły się równać rozległością z latyfundiami magnatów małopolskich lub królewiąt kresowych; jak jednak bywało w Wielkopolsce, szczuplejsze rozmiary fortun magnackich równoważyła intensywna, bardziej nowoczesna gospodarka, czerpiąca podniety z bliższego sąsiado-

wania z Zachodem. Do tej reguły powszechnej dołączał się w tym wypadku czynnik indywidualny, wyróżniający Leszczyńskich nawet w gronie skrzętnych gospodarzy wielkopolskich. Z dawien dawna słynęli oni umiejętnością zagospodarowywania swych majątków i wydobywania z nich najwyższego dochodu nie drogą rabunkowego wyzysku czy nieludzkiego eksploatowania pracy chłopa, ale racjonalnych metod europejskich. Wyborni kolonizatorzy ściągali obficie żywioł cudzoziemski, nie tylko niemiecki, ale i holenderski, przy czym szczególny nacisk kładli na wyćwiczonych rzemieślników, zdolnych zaszczepić na gruncie wielkopolskim nowe manufaktury.

Drugą cechą charakterystyczną panów na Lesznie i Rydzynie był rozległy zasięg stosunków kulturalnych. Od schyłku średniowiecza pozostawali w żywym kontakcie z całą niemal zachodnią Europą. Zaszczyceni dziedzicznym hrabiostwem św. Cesarstwa, równie pewnie jak na dworze Habsburgów czuli się we Francji, Włoszech, Anglii, Szwajcarii. Wielkie ośrodki europejskiej polityki, dyplomacji, wykwintnego obyczaju dworskiego były im równie znane i bliskie, jak ogniska ruchu różnowierczego i studiów humanistycznych. Przeszedłszy na wiarę reformowaną, stanęli Leszczyńscy w pierwszym rzędzie jej szermierzy i protektorów. Słynny w XVI w. Rafał Leszczyński, wojewoda brzeski, który ku zgorszeniu katolickiego otoczenia w czasie mszy ostentacyjnie włożył kołpak na głowę, zwalczał namiętnie hierarchię biskupią i dążył do utworzenia kościoła narodowego. Późniejsi odeń Andrzej i syn jego drugi Rafał, wodzowie słabnącego już na siłach obozu dysydenckiego, zdobyli sobie odrębną kartę w dziejach zmagań o tolerancję religijną wobec wzmagającego się naporu reakcji katolickiej. Opiece Leszczyńskich zawdzięczał ruch reformacyjny wiele, zwłaszcza na terenie rodzimej Wielkopolski. Pod ich skrzydłami rozwinęła się jedna z głównych jego twierdz, Leszno, doskonale zagospodarowane, ze skrzętną, inteligentną ludnością różnowierczą, ruchliwą drukarnią i słynną szkołą różnowierczą, uświetnioną w połowie XVII w. rektorstwem Jana Amosa Komeńskiego, który za wieloletnią gościnę odwdzięczył się Rzpltej wrogim wy-

stąpieniem w dobie najazdu Karola Gustawa. Rzecz znamienna, że ostatni z protestanckich członków rodu Leszczyńskich, Bogusław, przeszedłszy w połowie XVII w. ze względów czysto oportunistycznych na katolicyzm, okazał się daleki od nietoleranckiego fanatyzmu, jaki zazwyczaj cechował konwertytów i pozwolił w swych dobrach rozwijać się nadal różnowierstwu. Życzliwy stosunek do świata protestanckiego przetrwał również w dalszych pokoleniach Leszczyńskich, aż do ojca Stanisławowego, Rafała.

Wiążąc swe nazwisko tak ściśle z dziejami ruchu reformacyjnego, czerpali zeń Leszczyńscy nie tylko nową wiarę, ale wiele podniet kulturalnych. Z licznych wędrówek i studiów zagranicznych przywozili, obok nowinek wyznaniowych i osobistych stosunków z wybitnymi przedstawicielami reformacji, zamiłowanie do ksiąg i rękopisów, pęd do wznoszenia okazałych budowli, zakładania szkół, bibliotek, drukarń, opiekowania się ludźmi nauki i pióra. Ów mecenat kulturalny nie był u Leszczyńskich, jak u wielu rodów magnackich, kwestią zachcianki czy snobizmu, ale istotną potrzebą duchową. Świadczy o tym ciągłość poczynań, bogactwo wyników, wydatny wkład osobisty panów na Lesznie w rozwój szkolnictwa, nauki i literatury. W gronie rodzin możnowładczych należeli oni do najświatlejszych, najpoważniej pojmujących swój obowiązek popierania i krzewienia kultury zachodniej, najbardziej konsekwetnych w przekazywaniu sobie z pokolenia w pokolenie chlubnych w tej dziedzinie tradycji. Niezwykle staranne kształcenie młodych latorośli rodu, którym nie tylko dawano możność zetknięcia z najbardziej kulturalnymi środowiskami Europy, ale wdrażano usilnie do wyniesienia z nich czegoś więcej, aniżeli czysto zewnętrznego poloru, wydawało w dojrzałym wieku obfity plon zarówno w formie mecenatu, jak samodzielnych poczynań autorskich. Byli Leszczyńscy ludźmi książki i pióra, nie tylko chętnie obracającymi się w gronie mężów uczonych, których podejmowali przy stole biesiadnym i wiedli z nimi ożywione dysputy, ale próbującymi własnych sił w tym kierunku.

Kanclerz w. kor. Andrzej Leszczyński pozostawił w rękopisie zarys dziejów Polski, doprowadzony do czasów Batorego. Wo-

jewoda bełski, Rafał, jeden z najbardziej wykształconych ludzi epoki, biorąc niezmiernie czynny udział w polityce i walkach wyznaniowych, uprawiając na wielką skalę mecenat, znalazł czas nie tylko na młodociane rozprawki z dziedziny filozofii i polityki, ale w wieku dojrzałym parał się wierszoróbstwem okolicznościowym, którego nie udostępnił zresztą ogółowi; za godny druku, i to bezimiennego, uznał tylko przekład poematu „Judyta" różnowierczego autora francuskiego Du Bartasa. Skłonności poetyckie przejął po nim syn Andrzej, wojewoda derpski, którego wielkopańskie igraszki z muzą poetycką również pozostały w mrokach bibliotecznych rękopisów. Trzeci w prostej linii potomek tej gałęzi Leszczyńskich, Samuel, uderzał dla odmiany w surmy bojowe, opiewając triumfy oręża polskiego pod Cudnowem i Chocimiem oraz sławiąc wielkość Sobieskiego. Ojciec króla Stanisława poza diariuszem poselstwa do Turcji, obfitującym w ciekawe rysy obyczajowe, ogłosił „Zwycięstwo niezwyciężonego narodu polskiego nad hardym Turczynem na polach chocimskich r. 1673". Poczynania te nie zapewniły wprawdzie Leszczyńskim odrębnej karty w dziejach literatury, jaką zapisali tacy Morsztynowie, w każdym jednak razie stanowią znamienny rys do charakterystyki tego rozmiłowanego w sprawach kulturalnych rodu, jak niemniej tłumaczą w dużej mierze bujną a dla myśli polskiej XVIII stulecia doniosłą twórczość literacką ostatniego ich męskiego potomka.

Inaczej ukaże się galeria dziedziców Leszna, gdy na nią spojrzymy od strony ich działalności politycznej. Napisał St. Tarnowski, że w rodzie Leszczyńskich występują na przemian dwa typy: „mężów stanu i deklamatorów, ludzi najpoważniejszych i warchołów". Pierwszych, „ludzi najgorliwiej i najrozumniej pracujących około poprawy", reprezentowali: kanclerz koronny Jan i prymas Wacław; szereg drugich otwiera trybun różnowierczy XVI stulecia, Rafał, który dla przypodobania się szlachcie złożył godność senatorską, by móc przewodzić izbie poselskiej, zamyka ojciec Stanisława, którego słynna dewiza: „Wolę niebezpieczną wolność od spokojnej niewoli" — zdobyła światowy roz-

głos i zabłądziła nawet na karty traktatu Russa jako klasyczny wyraz wolnościowych instynktów Polaków.

Od chwili, gdy znakomity znawca literatury polskiej sformułował powyższe uogólnienie, pogłębiła się znajomość dziejów politycznych XVII wieku, na który przypada główna działalność polityczna Leszczyńskich, wzbogacił zasób źródeł krajowych i zagranicznych, rzucających światło na najwybitniejszych jego członków. W świetle tych świadectw można dziś stwierdzić, że prymas Wacław, piastujący swą wysoką godność w trudnej dobie Jana Kazimierza, pełen dobrych chęci, gotów poprzeć reformatorskie zamysły dworu, ale słaby i podatny na wpływy, nie uosabiał najbardziej istotnych rysów rodu Leszczyńskich. Typem panującym był tu polityk o wielkim rozmachu życiowym, bujnym temperamencie, dużej nieraz ambicji, skłonny zarówno do wichrzeń wśród szlachty jak konszachtów z obcymi dworami, raz trzymający z dworem, to znów gotów zwalczać go bez pardonu, nie bez znamion dwulicowości i żyłki subtelnej intrygi. Pierwszy z wielkich trybunów, Rafał, nieubłagany w atakach na duchowieństwo, prowodyr opozycji przeciw małżeństwu Zygmunta Augusta, pozostawał w nader zażyłych stosunkach z ks. Albrechtem Hohenzollernem, którego nie wahał się ku powszechnemu zgorszeniu nazwać „nasz pan miłościwy", dając przez to wyraz pragnieniu ujrzenia luterańskiego Hohenzollerna na tronie Piastów i Jagiellonów. Imiennik jego, wojewoda bełski, działalnością swą wypełniający dobę Zygmunta III i początki Władysława, pozostawał na pensji elektora brandenburskiego, któremu świadczył usługi niejednokrotnie z uszczerbkiem dla ojczyzny, solidarność zaś ze światem protestanckim posuwał aż do zamysłów osadzenia na stolcu Rzpltej nie kogo innego, jak świeżego jej zwycięzcę, głowę ewangelików w Europie, króla szwedzkiego Gustawa Adolfa. W odróżnieniu od prohabsburskiej orientacji dotychczasowych Leszczyńskich, szczególnie bliskie węzły łączyły wojewodę bełskiego z Francją. Dyplomaci Króla Arcychrześcijańskiego nie tylko zachwycali się znajomością języka i literatury

francuskiej, jaką wykazywał światły magnat, ale wmawiali weń, że jest on naturalnym wyrazicielem francuskiej racji stanu na terenie Rzpltej wobec agresywnych zakusów cesarza. W związku z tym pozostają nie dość wyjaśnione negacje pana wojewody z bratem Ludwika XIII, ks. Gastonem Orleańskim w celu zapewnienia mu następstwa tronu.

W pełnym świetle występują fizjonomie trzech wybitnych Leszczyńskich, działających w drugiej połowie XVII w. Podskarbi kor. Bogusław, regalista, dzierżący z ramienia dworu laskę na kilku sejmach, w krytycznym dla króla i Rzpltej momencie szwedzkiego najazdu dał narodowi straszny a niestety zaraźliwy przykład, wraz z nielitościwym satyrykiem, Krzysztofem Opalińskim biorąc na swoje sumienie kapitulację pod Ujściem. „Gdyby mu pokazano znaczną nagrodę — w tych słowach charakteryzuje go świetnym swym piórem Ludwik Kubala — byłby objął dowództwo, wzmocnił obronę, zaprowadził porządek, karność, a może odparł Szwedów, bo to był człowiek niesłychanej zręczności, przebiegły, śmiały i niestrudzony, gdzie widział korzyść dla siebie. Pokaż mu złoto, a każda sprawa jasna, gdzie nie widział korzyści, zaraz wczorajszego dnia szukał, ręce za pasem, skargi na nierząd i beznadziejną przyszłość... Ojczyzna, honor, obowiązek, wdzięczność, religia, przyłóż ucho do trumny... Zawołany gospodarz z wykwintną kulturą, uniżony dworak i szlachcic rogaty, w polityce z zadziwiającą szybkością z miejsca zawracał. Diabli wiedzą, skąd się taki wziął w Polsce, bo i fizjonomia jego lisia ze słodkimi ustami była jakaś niechrześcijańska".

Stryj Bogusława, Jan Leszczyński, wojewoda łęczycki, później podkanclerzy i kanclerz koronny, był jednym z nielicznych senatorów, którzy w dobie „krwawego potopu" wiernie wytrwali przy królu. Ta stałość, w połączeniu z gorliwym oddaniem się służbie publicznej, zyskała mu uznanie nie tylko Tarnowskiego, lecz również tak surowego względem Bogusława, Kubali. Z czasem jednak ów „bonus republicanus", jak nazywał go Jan Kazimierz, coraz wyraźniej pozwalał brać w swej naturze górę po-

pędom złotowolnościowym, aż w końcu stał się jednym z najszkodliwszych wichrzycieli, stającym w poprzek najbardziej dla państwa zbawiennym inicjatywom majestatu. Linia jego życia, dotąd prosta i konsekwentna, staje się dziwnie zygzakowata. W roku 1659 podpisał wraz z innymi senatorami zobowiązanie wobec dworu, iż będzie się starał pozyskać szlachtę dla myśli wyboru nowego władcy za życia Jana Kazimierza. Już w roku następnym widzimy go w liczbie tych, którzy za podszeptem posła austriackiego Lisoli udaremnili projektowaną przez dwór reformę sejmowania, podcinającą zabójcze liberum veto. Zaraz po tym nowa niespodzianka: „dobry republikanin" przyrzeka dworowi popierać na tron polski kandydaturę francuską ks. d'Enghien! Niebawem obudziło się w panu Janie sumienie miłośnika wolności. Korzystając z potężnych wpływów, jakimi rozporządzał wśród szlachty wielkopolskiej, nastraja ją nieufnie wobec planów dworskich, podsyca namiętności, pcha na fatalną drogę coraz ostrzejszej opozycji, która wyładuje się krwawo w rokoszu Lubomirskiego. Jeden z głównych, aczkolwiek działających z ukrycia, popleczników wielkiej rewolty rdzennego sarmatyzmu przeciw wpływom francuskim, po elekcji Michała Korybuta przedzierzga się w adherenta kabały możnowładczej, sterującej ku detronizacji króla w oparciu o Francję. W ostatniej wreszcie fazie urozmaiconego żywota ukazuje się pan kanclerz w zrozumiałej u niego postaci stronnika Wielkiego Elektora, w którego interesie warcholił przeciw Janowi III, starając się zwłaszcza pokrzyżować królewskie plany zdobycia Prus Wschodnich.

Podobną mieszaninę różnorodnych pierwiastków ukazuje syn Bogusława a ojciec króla Stanisława, generał wielkopolski i podskarbi w. koronny, Rafał Leszczyński, Wymowny i zabiegający o popularność trybun szlachecki, „we własnym mniemaniu najlepszy z patriotów, choć w oczach historii warchoł w wielkim stylu", jak dobitnie scharakteryzował go Wł. Konopczyński, z ustami pełnymi złotowolnościowych frazesów, na pozór repre-

zentował rasowy element staropolszczyzny; naprawdę gotów każdej chwili sprzedać się któremuś z obcych mocarstw, nie grzeszył w ciągu swej długiej kariery politycznej stałością ni konsekwencją. Na radzie senatu w r. 1680 widzimy go w roli adherenta Francji, gwałtownie wypominającego królowi rzekome jego intrygi z Austrią. Pozwoliwszy się następnie kupić rezydentowi cesarskiemu, marszałkował na pamiętnym sejmie 1683 r. przyczyniając się w wysokim stopniu do zawarcia przymierza, z którego wyjść miała wyprawa wiedeńska. Objąwszy z kolei tradycyjny w swym rodzie ster opozycji wielkopolskiej, judził szlachtę przeciw Janowi III, strasząc ją absolutystycznym zamachem stanu. Związany blisko z dyplomacją francuską, zdradził ją haniebnie w czasie bezkrólewia, zwalczając kandydaturę ks. Conti na rzecz królewiczów Sobieskich, następnie zaś Augusta Mocnego. Wierny stronnik dworu branderburskiego, pod koniec życia zabrnął w konszachty detronizatorskie z najeźdźcą szwedzkim, zyskując ironiczne epitafium:

Płacze Poznań, grzebiący Leszczyńskiego ciało,
Które w Sztokholmie raczej pogrześć należało.

Ten rys psychologii politycznej rodu Leszczyńskich rzuca niewątpliwie sporo światła na skomplikowaną organizację duchową ostatniego z ich męskich potomków, który dostąpił purpury królewskiej. Po świetnej galerii protoplastów przejął nie tylko znamienite stanowisko w gronie możnowładców Rzpltej, nie tylko tradycje kulturalne, zamiłowania do twórczości literackiej oraz tolerancyjne nastawienie względem różnowierców. Przypadły mu również w spuściźnie dużo mniej wartościowe składniki: duch opozycji względem tronu, który pchnął go, jednego z pierwszych wśród możnowładztwa Rzpltej, do rokoszu i detronizacji; brak stałości w związkach politycznych; łatwość w czepianiu się obcych protekcji, bezskrupulatność w wysługiwaniu obcym interesom. Był obciążony nie tylko fatalnością współczesnej mu doby saskiej, ale długim łańcuchem błędów

i przewin swych antenatów, którzy konspirowali przeciw swym monarchom z Brandenburczykiem i Francuzem, oddawali kraj szwedzkiemu najeźdźcy, wygrywali najgorsze instynkty mas szlacheckich. Uderza zwłaszcza ciągłość orientacji zagranicznych, które odżyć miały w królu Stanisławie. Spośród scharakteryzowanych tu pięciu wybitnych jego przodków czterech znajdujemy w szeregach stronników elektora brandenburskiego, co zresztą stanowi rys znamienny nie tylko dla dziedziców Leszna, ale ogółu możnowładztwa i szlachty wielkopolskiej, przyzwyczajonej z dawna upatrywać w Brandenburczyku bliskiego sąsiada, co więcej, pewnego rodzaju protektora przeciw wrogom zewnętrznym i wewnętrznym. Rafał Leszczyński, trybun szlachty różnowierczej w XVI wieku, jeden z pierwszych rozgłosił przed Europą okrucieństwa Iwana Groźnego. Imiennik jego z czasów Zygmunta III dzierżył wysoko sztandar partii francuskiej, Bogusław wyprzedził rodaków w uznaniu protekcji Karola Gustawa. Wszystkie trzy orientacje — antymoskiewską, francuską, i szwedzką — skupił w swej osobie ojciec króla Stanisława, przekazując je, wraz z atawistyczną słabością ku Prusom, przyszłemu elektowi Rzpltej.

Stanisław Bogusław Leszczyński ujrzał światło dzienne we Lwowie, 20 października 1677 roku. Do splendorów i włości ze strony ojcowskiej przybyły nie byle jakie koligacje po matce. Anna Jabłonowska, poślubiona Rafałowi Leszczyńskiemu, obok dostatniego wiana, wniosła pokrewieństwo z jednym z potężnych rodów małopolskich, w szczególności zaś aureolę sławy, otaczającej jej ojca Stanisława, ostatniego z rzędu „wielkich hetmanów", jakich wydał marsowy wiek XVII, druha, zarazem zaś rywala Jana III. Brat jej, Jan Stanisław, w przyszłości wojewoda ruski i uzdolniony pisarz, przez małżeństwo z Joanną Bethune, siostrzenicą królowej Marysieńki, związał ród Leszczyńskich z panującym domem Sobieskich, co miało odbić się na schyłku działalności publicznej Rafała, na długie zaś lata zaciążyć na przedkrólewskiej i królewskiej doli Stanisława. Tak tradycje, koneksje

i dostatki już od kolebki predestynowały młodocianego dziedzica Leszna i Rydzyny do najwyższych dostojeństw.

Wiadomości o pierwszych jego latach są skąpe i nie dość wiarygodne. Nie dochował się niestety diariusz podróżny zagranicznej, w jakie obfitują biografie innych młodych magnatów. Żaden akt treści urzędowej, żaden strzęp korespondencji nie rzuca światła na wychowanie i wczesną młodość przyszłego pomazańca. Szczegóły, zawarte w panegirycznych życiorysach współczesnych, aczkolwiek oparte może na żywej tradycji, nie budzą pełnego zaufania. Czytamy np. w dziele Ranfta, że młody Stanisław uczęszczał do wyższej uczelni we Frankfurcie nad Odrą, ćwicząc się zwłaszcza w rzemiośle rycerskim; tymczasem urzędowa metryka uniwersytetu nie zawiera jego nazwiska, stan zaś i charakter tej szkoły luterańsko-plebejskiej z góry wyklucza obecność jednego z najpierwszych magnatów Rzpltej. Do rzędu konwencjonalnych wymysłów, dorabianych ex post w życiorysach sławnych ludzi, należy opowiadanie o Włochu-nauczycielu, który uczniowi swemu wywróżył z ręki przyszłą dolę królewską. Bardziej wiarygodne wydają się wiadomości o pierwiastkowym nauczaniu młodego magnata; dzieliło się nim protestanckie gimnazjum w Lesznie, z którego rektorem, Hartmannem wiązała Stanisława bliska zażyłość oraz sprowadzeni do domu nauczyciele jezuiccy. W tym skombinowaniu dwóch zwalczających się światów leżą może zawiązki zarówno późniejszej dewocji Leszczyńskiego i gorącego przywiązania do Towarzystwa Jezusowego, jak jego tolerancji religijnej. Słyszymy również o metrze francuskim Le Roy, który wyuczył młodego wojewodzica języka swych ziomków i wytwornych manier, „dzięki którym nabrał pozorów urodzonego Francuza". Nie ma powodu w to wątpić, zwłaszcza że późniejsze relacje stwierdzają jednomyślnie dużą ogładę i kulturę towarzyską nowego króla, z drugiej jednak strony wypadnie stwierdzić, że lekcje francuskiego pana Le Roy nie wydały świetnych wyników. Francuszczyzna króla Stanisława, utrwalona w jego korespondencji z Karolem XII, nawet na tle ortografii i gramatyki magna-

tów polskich tej doby, jest czymś zgoła fantastycznym, a również w późniejszej dobie stałego pobytu na ziemi lotaryńskiej francuskie jego utwory musiał wygłaszać i poprawiać zaufany sekretarz, Solignac. Z wielkimi zastrzeżeniami należy też przyjąć wiadomość o biegłości, jakiej nabył Stanisław w rzemiośle rycerskim. Nie był nigdy tchórzem, zadziwiał niekiedy trafnością pomysłów strategicznych, trudno go jednak uważać za prawego potomka starych Polonusów w szyszaku i z husarskimi skrzydłami.

Na pewniejszy grunt wkraczamy z chwilą, gdy Leszczyński, ukończywszy studia pod okiem domu i rodziny, rozpoczął zwykłą karierę młodego magnata: dwór królewski, posłowanie na sejm, podróże zagraniczne. Znów trudno przyjąć bez zastrzeżeń twierdzenie panegirycznego biografa, że Jan III przygarnął z żywą sympatią syna swego niedawnego antagonisty, z którym łączyły go przez żonę węzły dalekiego powinowactwa. Nadanie starostwa odolanowskiego, pierwszej godności, jaką osiągnął przyszły król, nie wychodzi poza ramy faworów, okazywanych synom wielkich rodów. Z podróży zagranicznej, którą odbył w latach 1695—96, posiadamy dość wierne itinerarium: Wiedeń, dwory włoskie, zwłaszcza Rzym i Florencja, pobyt w Wersalu, powrót przez Holandię i Niemcy, znów z odwiedzeniem kilku rezydencji książęcych. Historiografia współczesna przystroiła wojaż Leszczyńskiego w blaski nieomal triumfalnego pochodu. W Rzymie przyjmował osiemnastoletniego młodzieńca na specjalnej audiencji papież Innocenty XII, we Florencji potomek wielkich mecenasów Odrodzenia ks. Kosma II Medyceusz, w Wersalu, do którego utorowały mu drogę listy pary królewskiej, wywarł Leszczyński wrażenie piorunujące; Ludwik XIV, oczarowany jego wytwornym obejściem i „cnotliwą konduitą", okazywał chęci zatrzymania go na stałe przy swym boku. Jest to oczywista typowe dla panegirycznych życiorysów wyolbrzymianie młodocianych sukcesów ludzi, których los naznaczył w przyszłości stygmatem niepospolitych przeznaczeń.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że dłuższy pobyt za granicą

był dla Stanisława nie tylko zewnętrznym otarciem się o monarchów i dwory. Już w domu kształcony z tradycyjną w rodzie Leszczyńskich starannością, z pewnością zużytkował zetknięcie z obcymi krajami i ich najbardziej kulturalnymi przedstawicielami dla rozszerzenia widnokręgów i pogłębiania studiów. Wracając do ojczyzny na wieść o zgonie Jana III, nie był oczywista mężem stanu, który w trzydzieści lat później zadziwiać będzie na kartach „Głosu Wolnego" znajomością ustrojów obcych państw, oczytaniem w literaturze politycznej, bogatymi doświadczeniami, zdobytymi w twardej szkole życiowej, pod niebem tylu różnych krajów. Niemniej, na swoje dziewiętnaście lat należał do najbardziej ogładzonych przedstawicieli młodocianej elity możnowładczej. Wybrany posłem na sejm konwokacyjny składał w imieniu Wielkopolan kondolencje królowej wdowie. Pierwszy jego występ publiczny zrobił dobre wrażenie. Jeden z najpoważniejszych senatorów, Andrzej Chryzostom Załuski, uczony zbieracz dokumentów i dziejopis swej epoki, którego los postawić miał w przyszłości w niejednokrotnej ze Stanisławem kolizji, z entuzjazmem wyrażał się o obiecującym młodzieńcu , który jest „rozkoszą rodu ludzkiego a ozdobą polskiego", urodzonym po to, by stać się „dumą naszego stulecia, radością całego ludu". Złożywszy znów wybujałość tych pochwał na karb rozpanoszonego w ówczesnym krasomówstwie i epistolografii polskiej barokowego panegiryzmu, przyjąć można, że odbijają one korzystną opinię, jaką potrafił za jednym zamachem zyskać u współczesnych światły, wymowny, ujmujący obejściem potomek tak kulturalnych antenatów.

Bezkrólewie, w czasie którego Stanisław zwalczał przy boku ojca kandydaturę francuską na rzecz królewicza Jakuba, następnie zaś Augusta, przyniosło mu nowe wyróżnienia. Nie zdołał wprawdzie uchwycić laski marszałkowskiej, o którą się kusił na sejmie konwokacyjnym, za to nowy władca, odwdzięczając się za poparcie, mianował go podczaszym koronnym, zaś w roku 1699 wprowadził do senatu jako wojewodę poznańskiego. Równocze-

śnie rozszerzył Stanisław podstawy materialne swej potęgi rodowej, wchodząc w dwudziestym pierwszym roku życia w związki małżeńskie z osiemnastoletnią córką drugiego najmożniejszego gniazda wielkopolskiego, Katarzyną Opalińską. Młoda małżonka, spokojna, cicha, skromna, nie przykuła do siebie trwalej pięknego młodzieńca, za to przyczyniła się się walnie do umocnienia pozycji małżonka na terenie Wielkopolski. Kilkadziesiąt miasteczek i sto kilkadziesiąt doskonale zagospodarowanych wsi — dały w połączeniu z majętnościami Leszczyńskich i cząstką matczynych dóbr Jabłonowskich jedną z najpiękniejszych fortun magnackich w ówczesnej Rzpltej. Jeżeli Radziwiłłowie, Lubomirscy czy Potoccy posiadali nierównie więcej kluczów i dusz, to majątek Stanisława, w dodatku przypadający mu jako jedynemu synowi w całości, przewyższał inne dobrym zagospodarowaniem, co zaś za tym idzie wydajnymi intratami.

Bezkrólewie po zgonie Jana III, w czasie którego Stanisław stawiał pierwsze kroki w zawodzie publicznym, otworzyło nowy okres w dziejach narodu. Instynktownie odczuto, że wraz z królem-bohaterem kończy się era, obfitująca w klęski, nieraz poniżenia, ale pełna również wzlotów i sławy. „Fatalna na Rzpltą naszą polską nastąpiła tego roku okazja przez śmierć królewską“ — zapisał anonimowy kronikarz z ziemi krakowskiej, znany pod imieniem Erazma Otwinowskiego. „A jako Rzym, bożyszcze miast i ludów sądziło swego Katona małym, tak Polska nasza, straciwszy wielkiego Scypiona, Jana III, króla polskiego, dopiero poznała, jak wielkie zaszczyty i obrony utraciła“. Na tronie polskim zasiadł król, obcy nie tylko pochodzeniem, ale co ważniejsza duchem, który ani na chwilę nie starał się zbliżyć do nowej ojczyzny, jej dobro uczynić linią przewodnią swego działania. Zapatrzony w ideał państwa absolutystyczno-merkantylnego snuł pożyteczne bez wątpienia, lecz mało realne wówczas pomysły, wzięte żywcem z najmodniejszych wówczas w Europie wzorów Colberta czy Louvois, bez zastanowienia, czy grunt polski nadaje się do ich przeszczepienia. Gorsza, że w otoczeniu królewskim

od pierwszej chwili lęgły się plany sprowokowania w Rzpltej krwawych zamieszek, by po ich stłumieniu ustanowić nową formę rządu o zakroju absolutystycznym. Najgorsza, że drogę do rozwinięcia zasobów kraju i wzmocnienia swej władzy upatrywał August Mocny nie we współdziałaniu z narodem, ale w spiskowaniu przeciw jego wolności, a nawet całości terytorialnej z państwami postronnymi.

Było to tym niebezpieczniejsze, że właśnie zarysowywał się wielki przełom w sytuacji międzynarodowej, który skierować miał dzieje Europy na nowe tory. Słabnęły tradycyjne potęgi, zajmujące dotąd pierwsze miejsce. Turcja, wyczerpana klęskami w długoletnich bojach z Ligą Św., z dotychczasowego postrachu świata chrześcijańskiego stawała się przedmiotem pożądliwości i rachub podziałowych. Bezkrólewie w Rzpltej odsłoniło przed oczyma sąsiadów słabość, przedajność, wzrost obcych wpływów w łonie bitnego niegdyś narodu, który przed kilkunastu jeszcze laty uratował Europę przed zalewem muzułmańskim. Podobny moment osłabienia zdawała się przeżywać górująca na północy potęga militarna, Szwecja, na której tronie znalazł się młodociany Karol XII. Wyłaniały się natomiast nowe, groźne mocarstwa, opancerzone w stal, o nieokiełzanej chciwości. Na tronie brandenburskim znalazł się po śmierci Wielkiego Elektora, wroga Polski i Sobieskich, kurfirst Fryderyk, próżny, słaby, bez większych talentów, ale z wielką ambicją. Na wschodzie wyrastał jeden z największych geniuszów politycznych wszystkich epok i ludów — car Piotr, na razie wprawiający Europę w zadziwienie swoimi podróżami, nieposkromioną ciekawością, manierami barbarzyńcy, ale dający już próbę swej energii i talentów zarówno bezwzględnym zgnieceniem rokoszu możnowładztwa, zwłaszcza wytępieniem swej gwardii pretoriańskiej, słynnych strzelców, jak wielkim rozmachem i sukcesami przeciw Turkom.

Przeobrażenia te miały ostrzegawczą wymowę w odniesieniu do Polski. Było rzeczą aż nadto widoczną, że raptowne spotężnienie dwóch żywiołowo jej wrogich sąsiadów pociągnie za sobą

BIBLIOTEKA NAUKOWA AŚG
Nr ewid.

fatalne następstwa. Trzeba było wytężonej czujności, szukania dróg politycznych wobec wzmagającej się drapieżności Moskwy, wobec chytrych zakusów Prus. Ale naród szlachecki coraz bardziej pogrążał się w obojętności dla wielkich zagadnień polityki międzynarodowej, magnaci prowadzili każdy na własną rękę grę, rzadko zgadzającą się z interesem państwa, zaś król cudzoziemiec okazywał wyraźną sympatię obu dworom postronnym, które użyczyły mu poparcia w zmaganiach o tron polski. W elektorze pruskim i carze moskiewskim upatrywał nie wrogów, ale naturalnych sojuszników, którzy mieli mu pomóc w zdeptaniu polskiej wolności. Panowanie swe rozpoczął od konszachtów z obu złymi sąsiadami poza plecyma Rzpltej i w zgubnych dla niej intencjach. Następstwem porozumienia między Sasem a Brandenburczykiem było zdradzieckie zajęcie przez wojska pruskie Elbląga, następnie zaś ukoronowanie się Fryderyka na „króla w Prusiech". Akt koronacji, odprawiony nie w stolicy państwa, Berlinie, lecz w dawnym lennie polskim, Królewcu, tytulaturą swą jawnie godzący w całość Polski, dzierżycielki Prus Zachodnich, wykazał dowodnie rozbieżność interesów króla z narodem. Jeszcze bardziej brzemienne w zgubne dla Polski następstwa było spotkanie Augusta z Piotrem w Rawie Ruskiej. Dwaj siłacze przypadli sobie do gustu. Z rozmów ich zrodził się plan wojny przeciw Szwecji, której zamierzali wydrzeć prowincje nadbałtyckie. Do akcji tej miała być również wciągnięta Polska, aczkolwiek naturalny interes ukazywał jej wroga nie w Szwecji, z którą zlikwidowała skomplikowany porachunek dziejowy w traktatach oliwskich, lecz w potężniejącej Moskwie.

W tym niebezpiecznym momencie, który przesądzić miał o roli Polski w przygotowującej się wojnie, przez to zaś o przyszłych jej losach we wschodniej Europie, ukazał się na horyzoncie polskiej myśli politycznej przebłysk trafnego instynktu samozachowawczego. Człowiekiem, który wśród ogarniającego Polskę zaćmienia wykrzesał ową iskrę, był Rafał Leszczyński. Odziedziczona po tylu pokoleniach tradycyjna zażyłość z dworem pruskim,

odświeżona teraz szczodrym datkiem elektora, nie pozwolila mu odczuć groźby, jaką było dla Polski rozpieranie się Hohenzollernów. W całej natomiast pełni zorientował się w zmienionej sytuacji, która nakazywała Rzpltej upatrywać we wczorajszych przeciwnikach, Szwecji i Turcji, jutrzejszych sprzymierzeńców przeciw wzbierającej fali moskiewskiej . Wszedłszy w porozumienie z posłem szwedzkim w Warszawie, starał się Leszczyński wpłynąć przezeń na rząd sztokholmski, by ten za pośrednictwem Francji zagrzał sułtana do dalszej wojny z Moskwą. Dalszy ciąg starań w tym kierunku podjął podskarbi w charakterze posła Rzpltej do Stambułu. Pyszny magnat starał się zaimponować Turkom wspaniałością licznego orszaku, pełnym splendoru wjazdem do stolicy padyszacha, zarazem jednak nadał swemu poselstwu głębszy a niezgodny z intencjami króla sens polityczny. Gdy August układał się z carem o wspólny rozbiór Szwecji, pan Rafał na przekór tym planom klecił wielki front antyrosyjski, sięgający od Sztokholmu poprzez Warszawę nad Bosfor. Turcja jak zwykle okazała krótkowzroczny pacyfizm, podpisując z carem trzydziestoletni pokój; niemniej inicjatywa Leszczyńskiego nie pozostała bezpłodna. Odrodzi się ona po latach dziewięciu pod ręką jego królewskiego syna, który zepchnięty z tronu moskiewskim orężem, główną dźwignię ratunku upatrywać będzie w sojuszu z półksiężycem.

Tymczasem wypadki rozwijały się w chyżym tempie. Młodociany król szwedzki, Karol XII, napadnięty równocześnie z trzech stron, zadziwił świat niespodziewanym geniuszem militarnym. Danię zmusił w lot do odrębnego pokoju, Moskwę poraził pod Narwą, Sasa wytrzepał nad Dźwiną, po czym wtargnął w granice Polski, głosząc, że nie szuka z nią zwady, lecz pragnie zdetronizować przeniewierczego króla, by móc następnie wspólnymi siłami wojować ze wspólnym wrogiem. Przed Rzpltą stanęła niebezpieczna alternatywa: detronizować władcę pod obcym nakazem lub wspomagając go przeciw Szwedowi opowiedzieć się przez to po stronie Moskwy. Olbrzymia większość społeczeństwa

szlacheckiego opowiedziała się za trzecim wyjściem, jakim było zachowanie neutralności. Nie chciano wiązać się ze szwedzkim najeźdźcą, który pochód swój w głąb Polski znaczył szlakiem zgliszczy i szeregiem gwałtów, ze wstrętem odpychano forsowaną przez dyplomację carską myśl przymierza z Moskwą. Wśród powszechnej niechęci do czynnego angażowania się w wojnę poczęły się wszelako tworzyć trzy ogniska polityczne, o opozycyjnym nastawieniu względem tronu, w których myśl detronizacji Sasa i związania się ze szwedzkim zwycięzcą poczęła przybierać realne kształty. Najbardziej zdecydowaną postawę zajął na Litwie potężny ród Sapiehów, który zwalczany przez króla, proskrybowany przez większość magnatów i szlachty Wielkiego Księstwa, w zwycięstwie Karola XII złożył nadzieje odzyskania utraconych wpływów. W Warszawie szerzył ducha malkontentyzmu przewrotny i nie przebierający w środkach prymas Michał Radziejowski, główny przeciwnik Augusta, który przegrawszy sprawę na elekcji, pozostawał w stanie półjawnej wojny z dworem, teraz zaś uchwycił się skwapliwie pierwszej sposobności przegnania niecierpianego Sasa, choćby w oparciu o bagnety luterańskich Szwedów. A wreszcie klasyczny teren opozycji szlacheckich przeciw dynastycznej polityce dworu, jakim była Wielkopolska. Tam wszystko wrzało i kipiało na wieść o zbliżaniu się wojsk szwedzkich. W Rafale Leszczyńskim ocknął się duch jego przodków, którzy bądź skrytą intrygą, bądź namiętnym słowem podniecali szlachtę do walki z majestatem. Niedawny poplecznik kandydatury saskiej wyrastał na wodza opozycji przeciw królowi, wodza tym groźniejszego, że szła za nim hurmem brać szlachecka ślepo wierząca w geniusz polityczny swego trybuna, w odwodzie stała moc orężna Szweda, wsławionego tyloma już zwycięstwami, na uboczu zaś czaił się chętny kandydat do tronu, pobity przez Augusta przed kilku laty, tym skłonniejszy do odwetu królewicz Jakub Sobieski. Do niego wybrał się po Nowym Roku 1703 podskarbi koronny, zapewne w celu ułożenia ostatecznego planu kampanii. W drodze, już na Śląsku, ciężko cierpiącemu na kamień

śmierć zamknęła powieki, zanim utajone plany zamienił w jawny rokosz i zdradę.

Tak Stanisław w dwudziestym szóstym roku życia, bez głębszej szkoły doświadczenia politycznego, ujrzał się w arcytrudnej sytuacji. Obarczony wielkimi tradycjami nazwiska, bezpośredni dziedzic ojca, który przez dwa dziesiątki lat był wyrocznią szlachty wielkopolskiej, mimo woli wyrastał teraz na jej przodownika, mającego szukać dróg wyjścia z coraz bardziej pogmatwanej sytuacji. Król August, mimo dowodów złej woli względem Rzpltej, nie przestawał być w oczach olbrzymiej większości narodu prawowitym piastunem majestatu Rzpltej. Dowodem tego stał się zwołany w Lublinie sejm walny, który skupił całą Polskę. Obesłała go nawet targana rokoszowymi nastrojami Wielkopolska, zdecydował się ukorzyć przed majestatem przeniewierczy Radziejowski. Atoli August i jego poplecznicy nie umieli korzystać z tej szczerej czy udanej submisji żywiołów opozycyjnych. Wyrugowanie z izby Wielkopolan, brutalne upokorzenie Radziejowskiego rozpaliło nowe nienawiści. 9 lipca 1703 zawiązała się w Środzie konfederacja, na razie wojewódzka, ale przeznaczona na ośrodek krystalizacyjny wszystkich mocy przeciwaugustowskich. Pod naciskiem Szweda a w miarę dalszych klęsk Sasa konfederacja wielkopolska rozszerzała teren działania. Przeniósłszy siedzibę do Warszawy, ogłosiła się generalną, proklamowała detronizację Augusta. Przeznaczony na jego następcę, Jakub Sobieski, wraz z bratem Konstantym, ujęty zdradziecko przez Augusta, znalazł się pod kluczem w słynnym więzieniu stanu w Koenigsteinie. Wypadało się rozejrzeć za nowym kandydatem. Stosunki między rokoszanami a szwedzkim protektorem z natury rzeczy się zacieśniały, zarazem jednak wynikał szereg zadrażnień. Konfederaci domagali się zaprzestania srogiej gospodarki żołnierskiej na okupowanych przez Szweda ziemiach i rozpoczęcia rokowań o pokój; Karol XII replikował żądaniem wyboru nowego króla. Dla zmiękczenia zwycięzcy zdecydowała się konfederacja wysłać do głównej kwatery szwedzkiej najświetniejszego

z ludzi, jakimi rozporządzała, opromienionego blaskiem wielkiego rodu, wykształcenia, ujmującego obejścia — młodego wojewodę poznańskiego.

Spotkanie przyszłego królotwórcy z przyszłym elektem w Heilsbergu w początkach kwietnia 1704 r. należy do epizodów, nastręczających niezmiernie wdzięczne pole dla dziejopisa, rozmiłowanego w śledzeniu roli, jaką w historii lubi odgrywać przypadek. Gdyby nie czysto incydentalne zetknięcie obu ludzi, nie byłoby w dziejach Polski dwukrotnej królewskości Stanisława, nie byłoby Luneville'u i całej jego późniejszej działalności reformatorskiej i oświatowej. Jak wyglądały szczegóły pierwszego ich zbliżenia? Znamy na ogół treść rozmów, poświęconych aktualnym zagadnieniom politycznym; byłoby jednak rzeczą dużo ciekawszą móc odtworzyć wzajemne promieniowanie duchowe obu ludzi, których los związać miał od tej chwili na osobliwe szlaki wspólnych przeżyć. „Nie było może dwóch mniej podobnych sobie natur — pisze Kazimierz Jarochowski — jak Karol XII i Leszczyński. Pierwszy: waleczny aż do szaleństwa, szukający niebezpieczeństw, lakoniczny, nieprzyjaciel wszelakiego zbytku i wystawy; drugi: człowiek pokoju i rady, wszystko raczej niż żołnierz, wymowny i rozmowny, lubujący się w zwykłej magnatom polskim owej epoki dworności i wygodzie. Często jednak pojawiającą się w rzeczach i sprawach ludzkich anomalią uczuły obie te natury, dzięki może owym przeciwieństwom, wzajemny pociąg do siebie. Leszczyński wyniósł z heilsberskiego spotkania podziw dla zimnego i lakonicznego bohatera szwedzkiego; Karol znalazł upodobanie w młodości, w pięknej powierzchowności, pouczającej rozmowie i światłej, rozległych wiadomościach wymownego magnata polskiego". Zdaniem znakomitego dziejopisa doby Augusta II główną rolę w zbliżeniu obu tych ludzi odegrało prawo kontrastu: człowiekowi miękkiemu zaimponował bohater, żołnierza pociągnęła kultura.

Wolno przypuścić, że sprawa nie przedstawiała się aż tak prosto. Obok czynników psychologicznych musiał tu również

zaważyć moment polityczny. Po uwięzieniu królewiczów Sobieskich, Karol XII znalazł się w kłopotliwej sytuacji królotwórcy, któremu sprzątnięto upatrzonego kandydata. Trzeci z królewiczów, Aleksander, zbyt był przezorny i wygodny, by w takich warunkach sięgnąć po koronę. Jak zwykle, nie brakowało wśród polskiego możnowładztwa pretendentów. Chętnie przyozdobiłby diademem królewskim skronie najpotężniejszy wówczas magnat w Koronie, kasztelan krakowski i hetman wielki Hieronim Augustyn Lubomirski; brano również pod uwagę wuja Leszczyńskiego, Jana Stanisława Jabłonowskiego, wojewodę kijowskiego Józefa Potockiego, przywódcę opozycji antysapieżyńskiej na Litwie, Michała Wiśniowieckiego. Wśród tylu kandydatów Leszczyński przedstawiał jedną, nieocenioną ze szwedzkiego punktu widzenia zaletę: zupełną uległość. Spośród świeckich magnatów on jeden, idąc śladem ojca, zdeklarował się po stronie najeźdźcy, obecnością swą i nazwiskiem firmując tak niepopularne akty, jak zawiązanie konfederacji wielkopolskiej, nieprawnie uzurpującej sobie miano związku generalnego, następnie zaś ogłoszenie detronizacji Augusta. Zachowały się dwa jego listy do Karola z okresu przed spotkaniem w Heilsbergu. W obu przebija już ton, który znamionować miał wzajemny ich stosunek przez cały ciąg jego trwania. W pierwszym, z 22 lutego 1704 r., pisanym pod wrażeniem zawiązania konfederacji generalnej w Warszawie, przysłał Karolowi XII powinszowania z racji „szczęśliwego wykonania tak chwalebnego planu, który W. K. Mość przedsięwziołeś dla ocalenia mojej ojczyzny". Następuje deklaracja osobistej wierności: „Wierzę, że W. K. Mość poznałeś moje przywiązanie do wspólnego interesu obu królestw; tuszę, że w dobroci swojej będziesz otaczał swą protekcją tego, który tyle przedsięwziął w imieniu chwały W. K. Mości". W drugim liście, zdając sprawę ze swych zabiegów w celu przeciągnięcia na stronę szwedzką armii koronnej, znów uderza Leszczyński w struny wspólności interesów obu państw i osobistej submisji: „Było zawsze moim zamiarem wywiązać się z wszystkiego, co dotyczy dobra mojej

ojczyzny i chwały W. K. Mości... Jeżeli przynosisz N. Panie zbawienie Królestwu, nie będzie dla Ciebie rzeczą kłopotliwą protegować tego, który odnosi się do Ciebie z całym respektem..."

Osobiste zetknięcie utrwaliło niewątpliwie w Karolu XII mniemanie, jakie wyrobił sobie o nieznanym dotąd osobiście wojewodzie poznańskim, słysząc o jego gorliwości w pełnieniu usług, czytając listy, tchnące tak bezgranicznym oddaniem. Bez trudu przejrzał człowieka, który pod jego wzrokiem będzie miękнąć „jak wosk pod rozpalonym żelazem". Jeżeli znów chodzi o Leszczyńskiego, to niesposób pominąć wśród rysów jego charakteru jednego, który był niewątpliwie dominujący: wysoko napiętej ambicji. Wystawiając na szwank swe dostojeństwo, wpływy, fortunę przez bezkompromisowe związanie się ze Szwedem, kierował się niewątpliwie nadzieją wywyższenia. Spotkanie w Heilsbergu mogło pobudzić jego oczekiwania, może nawet odsłonić pierwszy przebłysk czekającego go wywyższenia.

Dalszy bieg wydarzeń, decydujących dla Leszczyńskiego na całe jego życie, dokonał się niejako poza jego plecyma, stawiając młodego wojewodę wobec powziętych z góry decyzji. Najbardziej miarodajny w obozie rokoszan czynnik, jakim był prymas Radziejowski, naglony przez Karola XII o wysunięcie odpowiednich kandydatów do tronu, usiłował wykręcić się książętami krwi obcej. Gdy ci zostali przez Szweda wykluczeni, zaproponował kilku magnatów polskich, wysuwając na czoło bliskiego sobie Lubomirskiego, jako najpierwszego pana w Koronie, dawnego towarzysza bojów Jana III, rozporządzającego w dodatku siłą zbrojną. Lecz te właśnie względy przeważyły szalę na niekorzyść hetmana; zbyt samodzielny, w dodatku siedzący ciągle na dwóch stołkach. Despotycznej naturze Karola odpowiadał kandydat mniej ustosunkowany, bardziej potulny, dający rękojmie wierności i posłuszeństwa. Któż nadawał się lepiej do tej roli od niedawnego gościa heilsberskiego? „Zechciejcie wybrać króla jak najprędzej, miłego mi a nieprzewrotnego, wiernego, tego, a nie innego, ponieważ młody, zdolny berła i długiego życia, z którym

przymierza długo trwać mogą" — w tych słowach dyktował konfederatom warszawskim warunki przyszłej „wolnej elekcji" Karol XII.

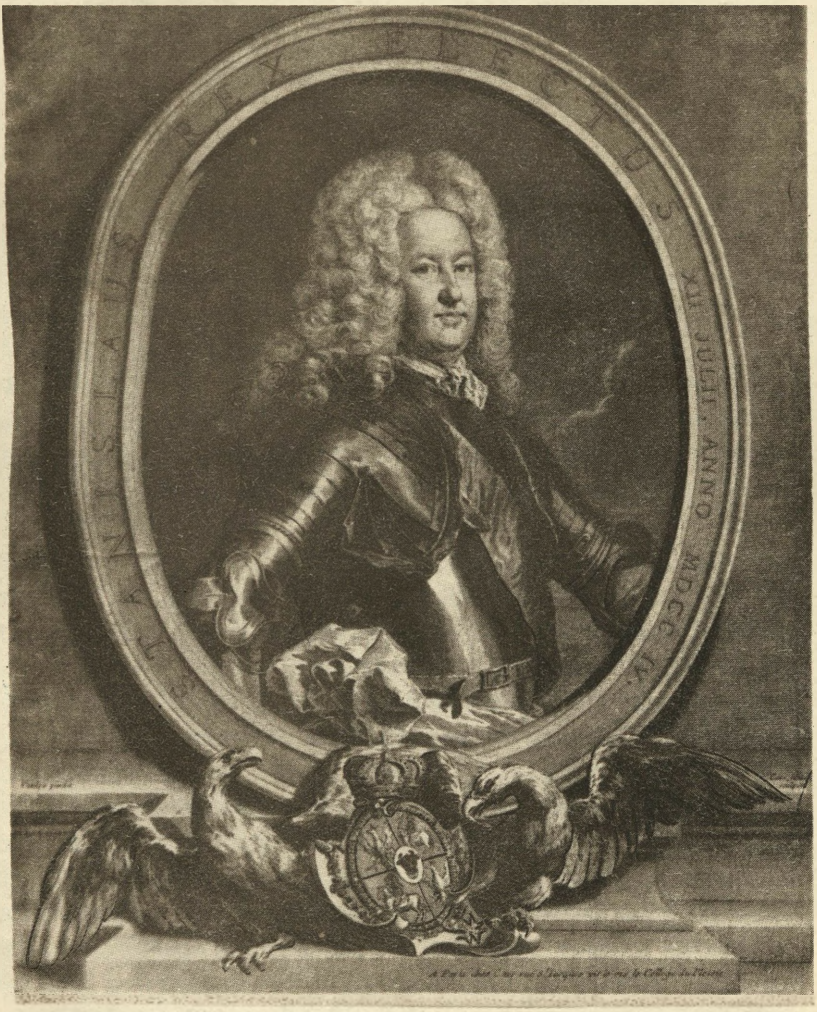
Sprawa na pozór wydawała się prosta. Narzucić despotyczną wolę nielicznej konfederacji warszawskiej, rekrutującej się przeważnie spośród wiernych domowi Leszczyńskich Wielkopolan, spragnionej przede wszystkim zaprzestania grabieży żołnierskiej i pokoju — cóż łatwiejszego dla zwycięzcy spod Narwy, Dźwiny, Kliszowa, Pułtuska, Torunia? Gdy przyszło wszakże do wykonania, wyrosły nieoczekiwane trudności. Prymas, spostrzegłszy się poniewczasie, że wynikiem jego machiawelistycznej polityki będzie zastąpienie Augusta młodziutkim, ulegającym ślepo rozkazom szwedzkim Leszczyńskim, zaciął się w uporze i nie chciał słyszeć o urządzeniu nowej elekcji. Konfederacja warszawska, z której łona wyjść miała królewskość Stanisława, wobec zbliżającej się prespektywy wyboru nowego króla pod grozą szwedzkich muszkietów, topniała z dnia na dzień, wśród tych zaś, którzy zostali na miejscu, wzrastał duch oporu. Zgoła nie łatwo przedstawiało się zadanie pułkownika Arwida Horna, na którego barki złożył Karol XII obdarowanie Rzpltej nowym pomazańcem. Ale Horn, dyplomata i żołnierz w jednej osobie, to wyszukanie uprzejmy z ustami pełnymi miodopłynnych frazesów, to brutalną obcesowością wyprzedzający Repnina, nie cofał się przed trudnościami.

Nadszedł feralny dzień 12 lipca 1704 r. naznaczony przez szwedzkiego protektora jako ostateczny termin elekcji. Tradycyjne miejsce obioru królów między Warszawą a Wolą, przedstawiało odmienny niż zazwyczaj widok. Zamiast różnobarwnych tłumów szlachty — milczący, zwarty kordon szwedzkiej piechoty i oddział dragonów. Horn od rana uwijał się po mieście, daremnie werbując nielicznych senatorów do wzięcia udziału w wyborze. Prymas zamknął się w głębi swego pałacu, hetman Lubomirski wyczekiwał nadejścia wojska koronnego, które przeważyć mogło szalę wydarzeń na korzyść swego wodza, inni, po-

mniejsi, również nie zdradzali chęci obierania króla z łaski szwedzkiego najeźdźcy. Wreszcie w godzinach popołudniowych wyruszyła na pole elekcyjne garstka szlachty pod wodzą marszałka konfederacji Piotra Bronisza a w asyście biskupa poznańskiego Święcickiego i kilku pomniejszych kasztelanów. Tu rozegrała się ostatnia scena widowiska, w którym patos mieszał się z groteską. Marszałek, lubo dowiedziony stronnik szwedzki, czuł się mocno zakłopotany swą rolą i tłumaczył potrzebę przewleczenia elekcji. Sprzeciwiał mu się Święcicki, „rzetelnie szwedzki biskup", jak nazywał go Horn; podpita szlachta domagała się natychmiastowego wyboru, a dodawał im animuszu uganiający oddział jeźdźców pod wodzą starosty nakielskiego Gębickiego, który tak zżył się ze Szwedami, że na skinienie Horna gotów był obwołać królem nie tylko Leszczyńskiego, ale jego samego. W sukurs przybiegł najzdolniejszy z możnowładców, trzymających się poły Karola XII, podskarbi Benedykt Sapieha, „pomysłowy i podstępny, złośliwy i zawzięty Machiavell litewski", całą siłą wymownej perswazji usiłując poprzeć zamierzenia szwedzkiego protektora. Cóż, kiedy prymas, którego wyłączną atrybucją było obwołanie nowego monarchy, w dalszym ciągu trwał w uporze, a również innym senatorom nie śpieszno było obecnością swą w kole sankcjonować akt u nie spotykanej dotąd w dziejach Rzpltej przemocy.

Na domiar złego zjawiła się gromadka szlachty podlaskiej, zaś na jej czele chorąży bielski Jeruzalski. Skromny szlachcic, występujący dotąd w roli jednego z oponentów wobec króla — Sasa, nieoczekiwanie wzniósł się na wyżyny obrońcy niezawisłości narodu przed gwałtem postronnym. Niby Jeremiasz, widzący przyszłe klęski przestrzegał wielkim głosem: „Nie zostawiajmy potomności przykładu wyboru króla wśród obcej siły zbrojnej, według woli obcego mocarstwa". Prorocze słowa tonęły wśród wrzawy szwedzkich adherentów. Jeden z posłów poznańskich okrzyknął Leszczyńskiego, Święcicki, przywłaszczając sobie prerogatywy prymasa, wbrew protestom Podlasian no-

minował go królem. Wśród triumfalnych salw szwedzkiej piechoty i artylerii, wśród wiwatów spędzonej gawiedzi, udał się Stanisław ulicami iluminowanego na rozkaz najeźdźcy miasta do katedry świętojańskiej, gdzie uroczystość celebrował znowu w miejsce nieobecnego prymasa biskup poznański, rolę zaś marszałka koronnego odegrał jeden z kanoników. Obserwatorzy postronni zauważyli, że oblicze nowego monarchy dalekie było od radosnego triumfu: tchnęło zeń znużenie i smutek. Czuł niewątpliwie całą potworność warunków, w jakich dokonało się jego wyniesienie na tron. Wszystko w tym dniu feralnym działo się jakoś na opak. Na każdym kroku deptano ustalony obyczaj, co gorsza — zdeptano honor i niepodległość narodu. Potomek tylu wielmożów, którzy burzyli się przeciw tronowi w obronie zagrożonej rzekomo wolności, otworzyć miał w dziejach Polski tragiczny łańcuch władców, narzuconych obcą przemocą.



mal. Valoo STANISŁAW LESZCZYŃSKI ryt. Cars

II

KRÓLESTWO BEZ KRÓLOWANIA

Aczkolwiek społeczeństwo szlacheckie w początkach wojny północnej rozdarte było bardzo sprzecznymi uczuciami i nie łatwo mu przychodziło zdobyć się na jednolitą postawę w sprawach publicznych, reakcja opinii publicznej wobec faktu elekcji Leszczyńskiego wypadła zdumiewająco jednolicie. Świadczą o tym liczne głosy, którymi przyjęto wstrząsającą wiadomość o pierwszej w dziejach Rzpltej elekcji pod grozą obcych bagnetów — „I tak *sub armis seuticis*, zdeptawszy prawa wolności, obrany Stanisław Leszczyński, którego nie prymas, choć był przytomny, lecz Święcicki, biskup poznański nominował... Nie zachowano tam przy tej elekcji żadnej zwyczajnej ceremonii ani spytano trzy razy *de non contradicente*... Pakta konwenta z Rzpltą ani czytane, ani poprzysiężone były... Zgoła wszystkie opuściwszy ceremonie, obrany Stanisław Leszczyński królem z rozkazu Szweda" — pisał Anonim Otwinowski. — „Sobota przeszła *dies decretoria et extrema liberae electionis* nastąpiła" — donoszono z Warszawy. Jeden z najpoważniejszych statystów doby Sobieskiego, podkanclerzy litewski Szczuka, wróg Moskwy a rzecznik śmiałej reformy państwa, w liście do Załuskiego rozdzierał szaty, iż wskutek nowej elekcji pogłębił się w narodzie rozłam, „spadł na ojczyznę nowy chaos nowych łez i utrapień i dolegliwość nieszczęść nie na jeden dzień". Załuski odpowiadał złowróżbną przepowiednią: „Nie dość było jednego nieszczęścia, konieczne było wprowadzenie innych, byśmy na proch starci zginęli".

Marszałek konfederacji warszawskiej, Bronisz poniewczasie rozdzierał szaty: „Czemuż ma ręka nie uschła, gdym brał tę nieszczęśliwą laskę marszałkowską na zgubę wolności". Wśród takiego nastroju ogółu tym wdzięczniejsze pole do popisu mieli szermierze sprawy Augustowej, którzy wśród powszechnego aplauzu mogli wypominać nowemu elektowi nielegalne podstawy jego królowania. Rzucano mu w twarz zarzut, że „pod muszkietami szwedzkimi, bez stanów Rzpltej *et vivente Principe legitimo*, z zdeptaniem praw i wolności i tak głośnej opozycji i protestacji wykrzykniony i przez generała Horna *hic et non alius* intymowany, na ostatnie zamieszanie i zgubę wolności". Z podobnej elekcji wysnuwano najgorsze na przyszłość przepowiednie: „Wyniosła się na ogonie orlim i ptaszyna w konkurencji z innymi na królestwo, a przecież tylko królikiem została. I ty, niebożę, tego dokażesz, i życie stracisz, i substancji twojej nie stanie, na którąś się już zapożyczył, a wolność wolnością będzie". Wpajano w szlachtę przekonanie o Leszczyńskim jako o królu „obranym *potentia armorum*, wymienionym mimo protestacje zaniesione od pijanego biskupa, mianowanym od kilkadziesiąt osób, i to, jak piszą, *de vino, non divino spiritu*". Jakże przeto uznać takiego „nakazanego Pana, za paiżem potencji szwedzkiej, i z ostatnią zgubą i dezolacją zdartej i złupionej ojczyzny swojej zostającego?"

W tych fatalnych początkach królowania Leszczyńskiego spoczywa wytłumaczenie jej dalszych, niezbyt fortunnych dziejów. Komukolwiek przyszło zetknąć się z neoelektem, wynosił wrażenie bezmiernej zależności, w jakiej pozostawał on względem szwedzkiego protektora. Lapidarnie scharakteryzował ten stosunek biskup inflancki Krzysztof Szembek, pisząc, że pseudokról odgrywa wobec Karola XII rolę „wasala, by nie rzec — niewolnika". Ten stan ciągłej zawisłości nie pozwolił mu nabrać królewskiego samopoczucia zarówno w stosunku do obcych dyplomatów, jak dygnitarzy szwedzkich, a nawet własnych stronników. Poseł cesarski Zinzendorff opisuje z ironią, jak przybywszy w r. 1707 do Stanisława, z uznaniem jego królewskości przez dwór wiedeński,

ujrzał ze zdumieniem nowego pomazańca, który oczekiwał go stojąc z obnażoną głową. Wyrażając swą radość, używał Leszczyński słów, które „bardziej wypadały człowiekowi prywatnemu, aniżeli królowi". A oto charakterystyka Stanisława, zawarta w instrukcji dla posła francuskiego, wyprawionego w tym czasie do obozu Karola XII: „Skoro król szwedzki upatrzył wojewodę poznańskiego, Leszczyńskiego, by dać go wybrać królem polskim, powziął on to postanowienie raczej dlatego, że brakowało mu osobników, których można by osadzić na tronie, oraz z racji sympatii, jakiej nabrał dla tego wojewody, który okazywał mu szczególne przywiązanie, aniżeli ze względu na jego zalety osobiste i kredyt, jakiego mógł on zażywać w swym kraju. W rzeczy samej, poważanie, jakim darzą go Polacy, okazało się mierne, zdolności zaś jego znacznie poniżej stanowiska, na jakie wyniosła go fortuna. Nie brak mu zalet, dzięki którym można go lubić. Okazuje w swym postępowaniu sporo rozsądku, zarazem jednak dużo bojaźliwości i lekkomyślności, w stosunku zaś do króla szwedzkiego tyle lękliwości, że nie waży się prosić go o najbardziej niezbędne rzeczy dla swego utrzymania. Zachowuje się on raczej jak najmłodszy oficer armii, który winien jest słuchać i wykonywać rozkazy swego zwierzchnika, aniżeli jak władca, pracujący nad zachowaniem swej korony chociażby dla chwały tego, którego słusznie uważa za sprawcę swego wyniesienia". Dyplomata francuski Bonac, który miał możność niejednokrotnie zetknąć się ze Stanisławem i wglądnąć za kulisy jego stosunków z Karolem XII, pisał w r. 1706: „Król Stanisław nie ma tu prawie żadnego autorytetu. Nie przyznaje mu się niemal nic z tego, o co prosi; w żadnej sprawie nie zasięga się jego rady. Jest on bardzo ruchliwy, ale mało solidny, niezdolny do rządzenia samym sobą i stałego kierowania się dobrymi sądami. Drży, ilekroć przyjdzie mu mówić z królem szwedzkim lub z jego ministrem o swoich interesach i zazwyczaj składa ten ciężar na barki kogo innego". Podobnie w napisanym w roku 1710 memoriale o sprawach północnych stwierdza Bonac, że „król Stanisław nie czuje jeszcze,

czym jest godność królewska, lub nie potrafi dać jej odczuć innym: mając maniery człowieka prywatnego usiłuje zyskać sobie miłość i szacunek należny królom, co mu się dotąd nie powiodło". Kto by przypuszczał, że w sądach tych tkwi chęć poniżenia Stanisława, temu otworzą do reszty oczy listy neoelekta do Karola XII, pisane w pięcioletnim okresie jego nominalnych w Polsce rządów. Już w przedkrólewskiej korespondencji wojewody poznańskiego ze szwedzkim protektorem niemile uderzał ton wiernopoddańczej uległości. Zrównawszy się nominalnie z królewskim przyjacielem podwoił Leszczyński uniżoność. Ani na chwilę nie znać, że listy te pisał król do króla, sojusznik do sojusznika. Na każdym kroku płaszczenie się przed majestatem szwedzkim, przy całkowitym unicestwieniu nie tylko królewskiego majestatu, ale zwykłej godności osobistej. Rzekłbyś, że król Stanisław nie widzi innego celu w życiu, jak być podnóżkiem wielkości i chwały szwedzkiego Aleksandra. Oto parę próbek tej jedynej chyba w dziejach korespondencji dwóch głów koronowanych. Pismo z 11 sierpnia 1705 r. rozpoczyna Stanisław następującym zwrotem: „Dopiero co otrzymałem list Twój, N. Panie, z najwyższym respektem i czułością, dziękując Ci tysiąckrotnie za wszystkie dobrodziejstwa, których nie umiałbym nigdy inaczej ocenić, jak tylko poświęcając wszystko, co jest w mojej małej mocy dla podtrzymania nieśmiertelnej chwały W. K. Mości". Gratulując Karolowi pokoju altrandsztadzkiego, zapewnia, że nie przestanie prosić Boga, „by mnie uczynił zdolnym okazania godnie W. K. Mości mojej wdzięczności, której nie umiałbym inaczej okazać, wyrazić, jak tylko, że jestem całkowicie Twoim". W następnym liście podnosi czołobitność o jeden ton. Nie wystarczy oświadczenie, że stosownie do rozkazów udał się do Miśni, „gdzie z największą przyjemnością oczekuje tego, co W. K. Mości spodoba się mi zlecić, nic bowiem nie leży mi tak na sercu, jak być mu posłusznym". Submisję swoją rozciąga Stanisław również na państwo, którego nosił koronę. Prosząc o zawarcie ugody z cesarzem i powrót do Polski, w której panoszy się Piotr, dowodzi, że „Królestwo to, poddane pod

protekcję W. K. Mości, a jęczące pod jarzmem nieprzyjaciół, nie ma możności odetchnięcia, jak tylko dzięki pomocy Twojej N. Panie, cała bowiem jego szczęśliwość polega tylko na tym, że było ono widownią Twojej nieśmiertelnej chwały". Otrzymując wiadomość od przyjaciela, maszerującego w głąb Rosji, dziękuje za nią z barokową przesadą: „Gdyby dusza wesz'a z powrotem do ciała, nie tchnęłaby w nie tyle życia, ile we mnie dwa listy, otrzymane właśnie od W. K. Mości. Rozbudziły mnie z ospałości i przygnębienia, w jakich znajdowa'em się w ciągu całych siedmiu miesięcy".

Zestawiając ustawiczne hołdy ze świadectwami osób postronnych można by istotnie dojść do przekonania, że Stanis'awowi odpowiadała rola potulnego satelity szwedzkiego majestatu, a myśli jego i aspiracje nie znały innego celu jak bezwolne wegetowanie w cieniu miecza zwycięzcy spod Narwy. Otóż wyciągając tego rodzaju wnioski na podstawie świadectw niezaprzeczenie wiarygodnych, ale nie wyczerpujących na szczęście wszystkiego, co dziś o Leszczyńskim wiemy, pope'niłoby się błąd kardynalny. Nie ulega wątpliwości, że nowemu królowi brakowa'o żelaza we krwi. Natura miękka i ustępliwa, nie był stworzony na władcę w dobie wielkiej wojny północnej, która wymagała twardej decyzji, niezłomnej woli, zdolności do całopalnego poświęcenia swej osoby i interesów na rzecz państwa. Nie jemu było stawać w szranki z takimi mocarzami, jak Karol XII i Piotr Wielki, a chociażby August Mocny, sybaryta, łatwo męczący się przeciwnościami, ale prawdziwie królewskiej dumy, chwilami zdolny do górnych porywów. Jeżeli jednak stosunek między Leszczyńskim a szwedzkim królotwórcą ułożył się w ten sposób, że jeden ustawicznie żądał i rozkazywał, drugi zaś naginał się do jego woli, to przyczyna tego leży nie tylko w kontraście charakterów. Nierównie wielką rolę odegrała tu niezmierna dysproporcja sił, jakimi rozporządzali. Czymże był mizerny elekt polski, pozbawiony stronników, pieniędzy, wojska, wobec potęgi szwedzkiego zdobywcy? Jakąż realną potęgę mógł przeciwstawić żelaznym zastępom, kie-

rowanym mocarną wolą? Garstkę szlachty wielkopolskiej, która ulegając kuszeniom i pogróżkom Horna okrzyknęła go królem? Nielicznych wielmożów, co jak Sapiehowie czy Święcicki opowiedzieli się za nim ze względu na Karola XII, lub jak Radziejowski i Lubomirski, nazajutrz po elekcji gotowi go byli odstąpić? Cóż z tego, że nominalnie zwał się Stanisław królem, kiedy faktyczna jego władza sięgała tam, gdzie rozpoczynał się zasięg szwedzkich garnizonów, które postrachem zmuszały szlachtę do uznania nowego majestatu.

Z jednego z najpierwszych magnatów Rzpltej stał się Leszczyński nagle najnędzniejszym, najbardziej ogołoconym ze znaczenia pseudo-władcą, jakiego kiedykolwiek oglądały dzieje. Brakowało mu nie tylko istotnych narzędzi królowania, ale najniezbędniejszych środków opędzenia potrzeb swoich i dworu. Liczne jego włości padły ofiarą inkwaterunków i grabieży przeciwnika, który na zamkach, miasteczkach, stodołach i intratach mścił się za wybór drugiego króla. Stanisław przyzwyczajony do porządnej zasobnej gospodarki, ujrzał się zmuszony zabiegać o pożyczki u żydowskich kapitalistów, obdłużać u swych magnackich popleczników, dusić zasobny Gdańsk. W roku 1707, gdy abdykacja Augusta i uznanie jego królewskości przez większość dworów dźwignęła jego pozycję na rynkach pieniężnych w Europie, zaciągnął u Bermana Lehmanna z Halberstadtu pożyczkę w wysokości 104,533 talarów. Usiłował Stanisław zapożyczyć się u dworu berlińskiego, nie gardził funduszami zamożnych mieszczan z Leszna. Komisarz jego do pertraktacyj z Gdańskiem, biskup chełmiński Teodor Potocki, domagając się od miasta wypłacenia należnych królowi opłat, motywował pośpiech argumentem, że służba J. K. Mości chodzi bez liberii. Ten sam magnat skarżył się później przed Augustem, że zmuszony był obciążyć swoją fortunę licznymi pożyczkami dla Stanisława. Skoro jednak takie okazje trafiały się rzadko, a bieda doskwierała na każdym kroku, wypadało kołatać ustawicznie do szkatuły szwedzkiego protektora. Pod rokiem 1705 znajdujemy w archiwum sztokholmskim wy-

mowny list: „N. Panie! Skoro poświęciłem się dla podtrzymywania chwały W. K. Mości, zmusza mnie to do powiedzenia Ci otwarcie, że brak mi środków na utrzymanie". Nie zawsze prośba o pieniądze przybierała równie upokarzającą w swej szczerości formę. Zazwyczaj prosił Stanisław o subsydium pieniężne dla wspólnych celów wojskowo-politycznych: opłacanie armii koronnej, która może przejść na stronę przeciwnika, wspomożenie marszałka konfederacji warszawskiej Bronisza, który przesiaduje w Gdańsku, rzekomo bez środków do życia, umożliwienie województwu krakowskiemu wystawienie regimentu dragonów, datek dla Radziejowskiego, który twierdzi, że pożyczał pieniądze Hornowi. Czasem okoliczności splatały się dość oryginalnie: Stanisław udaje się o protekcję do sekretarza kancelarii szwedzkiej Olafa Hermelina, by ten wyprosił u króla zwolnienie dóbr pewnego księdza od ciężarów wojskowych. Ów ksiądz jest wprawdzie osobnikiem bardzo nieszczególnym, ale w zamian za libertacje obiecał pożyczyć pseudo-królowi pieniądze.

Nagabywanie o pieniądze, to dopiero jedna z form zależności elekta od szwedzkiego majestatu. Rzekomo panując nad Rzpltą, naprawdę nie był Stanisław w mocy zapobiec spustoszeniu jednej wsi przez szwedzkiego żołnierza, uchronić jeden dwór od inkwaterunku, wystawić jeden glejt bez drżenia serca, że zostanie on unieważniony. Stąd nie kończąca się litania przeróżnych próśb i wstawiennictw. Gdy Karol XII śmiałym zamachem zajmuje Lwów, Stanisław w piśmie gratulacyjnym wplata zręcznie przypomnienie, że jest to jego miasto rodzinne, przeto wypadałoby mu okazać łagodność. Rekomendacja królewska nie uchroniła grodu kresowego od całkowitego zniszczenia obwarowań i uciążliwej kontrybucji. To znów prośba o względność dla szlachty obu województw wielkopolskich, która opowiedziała się wprawdzie za Augustem, teraz jednak gotowa naprawić błąd i uznać majestat swego dawnego wojewody. Oszczędzanie dóbr pani hetmanowej Sieniawskiej, która jakoby skłonna była układać się o akces męża do obozu neoelekta, przywrócenie do łask pod-

skarbiego Sapiehy, który nie zasłużył na ich utratę, dopuszczenie do swego boku Szczuki, godnego senatora, który nigdy nie był całym sercem przy Auguście, teraz zaś obiecuje pociągnąć za sobą innych saksończyków, libertacje dla dóbr tylu a tylu krewnych, powierników, partyzantów Stanisławowych — oto zwykłe supliki, świadczące o bezmiarze zależności, w jakiej znalazł się Leszczyński. Czy chodzić będzie o amnestię dla najgłośniejszego wojaka obozu Augustowego, słynnego Adama Smigielskiego, który zbrzydziwszy sobie służbę saską i protekcję Moskwy gotów dla odmiany zakosztować chleba szwedzko-stanisławowego, czy o prosty glejt dla podkomorzego Lubomirskiego, który pragnie swoje woły sprzedać w Gdańsku, czy o libertacje dla ImP. Ożgi, który w zamian za ustawiczne wysługiwanie się Stanisławowi nie może opędzić swych dóbr od żarłocznego żołdactwa szwedzkiego — o wszystkim decyduje wola czy kaprys protektora. Stanisławowi nie pozostaje nic innego, jak popierać korne supliki swych poddanych osobistą perswazją czy listami, z których wyziera ustawiczna obawa, że ten lub inny magnat, szlachcic lub żołnierz, nękany przez Szweda, miesiącami pozbawiony żołdu, przejdzie do obozu przeciwnego.

Upokarzające były to supliki, nad wyraz przykre przetargi z człowiekiem, który słynął w całej Europie z szorstkiego i bezwzględnego usposobienia, który wyniośle traktował przedstawiciela Ludwika XIV, z góry odnosił się do wielkiego Marlborougha, majestatycznemu kanclerzowi cesarskiemu Wratislawowi wyrwał z ust słowa zgorszenia, a jeszcze w chwilach upadku pychą i nietaktem odstręczał od siebie chanów tatarskich i wezyrów padyszacha. Nie tylko kosztowały one Leszczyńskiego sporo zdrowia i nerwów, ale zmuszały do utrzymywania najbardziej poprawnych stosunków ze szwedzkimi ministrami, których słowo niejednokrotnie więcej znaczyło, niż bezsilna prośba polskiego królika, dbać o względy szwedzkich generałów, od których humoru zależał los tysięcy poddanych Najjaśniejszego Stanisława I. Że w tych zabiegach przekraczał nieraz Leszczyń-

ski granice przyzwoitości, że zniżał się do całowania po rękach kanclerza Pipera — to były przykre wybujałości, wynikające z braku poczucia dumy, zwłaszcza zaś królewskiego majestatu; czy jednak pseudo-król, pozbawiony cienia realnej władzy, mógł naprawdę czuć się choćby w jednym calu królem? Czy współcześni nie musieli w nim widzieć niezręcznie udrapowanego w płaszcz monarszy, wiecznie zalęknionego, zahukanego, obarczonego stosem suplik dawnego wojewodę?

Wsłuchajmy się jednak głębiej w rytm myśli Stanisława; wśród stosów pożółkłej jego korespondencji z Karolem XII, przebijmy się przez litanię próśb i pochlebstw, by zagłębić się w nieliczne pisma, w których wypowiedziała się najczyściej jego myśl, przemówiła jego dusza. Ogarnie nas zgoła inny nastrój. Pokorny sługa szwedzkiego majestatu okazuje się zdolny do śmiałych porywów i samodzielnych koncepcji; dawny wojewoda poznański potrafi chwilami myśleć i czuć za powierzony mu naród; potomek tylu miłośników wolności, w zaraniu swej działalności politycznej sam naznaczony piętnem rokoszu, snuje pomysły na miarę dynasty zachodniego.

Było to świeżo po elekcji. August II, pragnąc dosięgnąć przeciwnika w jego gnieździe rodzinnym, wysłał do Wielkopolski najzdolniejszego ze swych wodzów, feldmarszałka Schulenburga, który ogniem, żelazem i kontrybucjami miał karać szlachtę za poparcie neoelekta. W łagodnym Stanisławie wzburzyło się wszystko. Wyczuł zawartą w manewrze strategicznym przeciwnika chęć poniżenia króla szwedzkiego przez dosięgnięcie tych właśnie, którzy najwcześniej schronili się pod jego skrzydła. „Gwałt, zadany przez wojska saskie w Wielkopolsce tym, którzy znajdują się pod protekcją W. K. Mości — pisał do Karola — utrata mych dóbr nie dotyka mnie tak, jak zniewaga, którą wolno im wyrządzać bezkarnie... Ufam w Bogu, że dopomoże mi w tak słusznym zamierzeniu, jeżeli W. K. Mość zechcesz użyczyć mi łaski, o którą najpokorniej proszę, bym nie musiał gnuśnieć bezczynnie, gdy moje królestwo ginie, ani też być królem od parady,

który nie myśli o zasłużonej pomście. Mam pięć tysięcy wojska polskiego; pozwól N. Panie wedrzeć się na jego czele do Saksonii. Ponieważ jednak opieram się na orężu W. K. Mości, nie chciałbym przedsięwziąć niczego, jeżeli nie zezwolisz w swej dobroci wojskom szwedzkim, by mi towarzyszyły. Pochlebiam sobie, iż dostąpię tej łaski W. K. Mości, który interesujesz się tak życzliwie czcią tego narodu, spokojnością tego królestwa i utrzymaniem mojej osoby". W słowach tych odsłonił Leszczyński dwa rysy charakteru, które, uszedłszy uwadze powierzchownych obserwatorów, rzucają nań odmienne światło. Pierwszym była ambitna chęć zaznaczenia swej idywidualności w rozgrywających się zmaganiach. Rozumiał, że wymuszony akt elekcyjny nie dał mu prawdziwej królewskości, że trzeba na nią zasłużyć dziełami politycznymi i wojennymi; stąd niecierpliwe rwanie się do samodzielnej akcji w wielkim stylu. Drugim — trafna myśl strategiczna. Gdy Karol XII z właściwym sobie uporem uganiał za przeciwnikiem na obszarze całej Rzpltej, Stanisław wyczuł, że rozstrzygnięcie wojny spoczywa nie pod Lwowem, Grodnem czy Łuckiem, gdzie kolejno zapuszczał się szwedzki protektor, ale w Saksonii. Gdyby w kwaterze szwedzkiej od razu posłuchano jego rad, kapitulacja Augusta przyszłaby o dwa lata wcześniej, Rzpltej zaoszczędzonoby klęsk i spustoszeń, zaś wojska moskiewskie nie zdołałyby się tak głęboko zapuścić w jej wnętrze, jak się to stało po pokoju altransztadzkim.

Ta sama przewaga umysłowa rzekomo miernego Stanisława nad genialnym Karolem XII przejawia się w dziedzinie planów politycznych. Koncepcja szwedzkiego najeźdźcy przedstawiała się równie prosto jak jego posunięcia wojskowe: zawrzeć z fikcyjną Rzpltą, zgrupowaną przy boku neoelekta, traktat pokoju i przymierza i dokończyć dzieła z 12 lipca przez osadzenie na skroniach przyjaciela korony królewskiej. Przed takim rozwiązaniem wzdragał się rozsądek polityczny Stanisława, buntowało wyczucie polskiej rzeczywistości. Przyśpieszona koronacja w chwili gdy Rzplta nie otrząsnęła się jeszcze z wrażenia przymuszonej elekcji,

gdy nowemu królowi nie udało się zabłysnąć czynem wojennym ani okazać poddanym troskliwej opieki, gdy szwedzkie garnizony w dalszym ciągu palą domostwa, ściągają kontrybucje, opornym wkręcają palce w kurki od muszkietów, gdy w Wielkopolsce Sasi srożą się nad szlachtą, wierną domowi Leszczyńskich? „W. K. Mość wierzy chyba — w tych głęboko przemyślanych słowach usiłował zmiękczyć upór protektora — że jako człowiek prywatny posłuchałbym jego rozkazów bez trudności i przeszkód, gdyby chodziło o dysponowanie moją osobą, której jestem panem. Skoro jednak spodobało Ci się, N. Panie, abym był zależny od zbawienia mego królestwa, pozwól, że będę miał wzgląd na nie. Cały ten naród nieszczęśliwy, po tylu cierpieniach wyczekuje ode mnie jakiejś ulgi, spodziewa się przywrócenia wygnanej spokojności i naprawy zgwałconych ustaw. Jest moim obowiązkiem zająć się tym, nie zaś myśleć o koronacji, która przyda się jedynie do wyniesienia mojej osoby, a spowodować może upadek mego królestwa. Nie szukam ja umocnienia i podpory w tej ceremonii, lecz w protekcji W. K. Mości, którą wprawiam w drżenie mych wrogów, i w miłości moich poddanych, którą pozyskam okazując im, że myślę raczej o uśmierzeniu ich nieszczęść niż pochlebieniu mojej ambicji. Koronację należy odwlec, by przez ten czas zjednoczyć całą Rzpltą, wrogów gromiąc mieczem, poddanym zaś okazując łagodność. Pragnę zużyć czas, który pozostaje z kampanii, by wyruszyć do Wielkopolski na wspomożenie tej prowincji, która tyle dla mnie zdziałała w imieniu W. K. Mości. Znam, N. Panie, Twoje szlachetne serce, które nie zniesie dłużej, bym tak gnuśniał, gdy wróg dopełnia miary nieszczęść mego kraju. Możesz być W. K. Mość przekonany, że skoro tylko dokonam z pomocą Bożą czynów, które uczynią mnie godnym jego przyjaźni, pomyślę o zaspokojeniu jego pragnień i wykonaniu życzeń". W dalszym ciągu nalega Stanisław na zawarcie traktatu pokoju między Rzpltą a Szwecją, który położy koniec dzikiej gospodarce żołnierskiej i przygotuje odpowiedni nastrój do koronacji. „Błagam W. K. Mość, aby ten mały plan,

który muszę wykonać, nie opóźnił w niczym zawarcia tak upragnionego traktatu, który doda mi dużo ochoty do koronowania się i sprawi, że Rzplta przyjmie to z radością w sercach, skoro jej okaże pokój jako skutek mego wyniesienia i owoc szczęśliwego początku mego panowania".

Nic wszelako nie rzuca tak nieoczekiwanego światła na osobistość Stanisława jak rachuby, które wiązał z owym traktatem pokoju i przymierza ze Szwecją. Od pierwszych chwil współdziałania Karola XII ze skonfederowaną Rzpltą narodziły się w głównej kwaterze szwedzkiej plany zdobyczy terytorialnych na sojuszniku. Odebrawszy Moskwie Smoleńsk i Kijów, zamierzał Karol XII zwrócić je Polsce, biorąc w zamian za to Kurlandię i resztę Inflant. Leszczyński, wtajemniczony w te zamierzenia, nie okazał zasadniczego oporu, gdy chodziło o naruszenie całości Rzpltej. Uwaga jego koncentrowała się na przyszłych losach „ziem rekuperowanych". Pogląd na tę sprawę, wyłuszczony w poufnym memorandum do Karola XII, świadczy o wysokim napięciu ambicyj potulnego królika z łaski szwedzkiej. „Ambasadorowie W. K. Mości — wywodził Stanisław — projektują w traktacie warszawskim punkt, dotyczący przyszłych przy pomocy Bożej zdobyczy na wrogu; W. K. Mość, odebrawszy mu prowincje, które należały niegdyś do Polski, zwróci je Rzpltej *salva recompensa*. Pozostawiam uznaniu W. K. Mości, czy Polska, w stanie swej obecnej ruiny, będzie mogła dostarczyć tej rekompensaty". Nasuwa się przeto inne rozwiązanie: oto Karol XII, zdobywszy Smoleńsk i Kijów, których nie będzie mógł wcielić do swego państwa, podaruje je Polsce pod warunkiem, że ustąpi je ona w dożywotnie władanie Leszczyńskiemu. „Będzie to w rzeczy samej rodzajem nagrody dla W. K. Mości, jeżeli uczynisz mnie przez posiadanie tych prowincji tak potężnym, abym, będąc groźny dla mych nieprzyjaciół, mógł stać się zarazem użyteczny dla interesów Twego Królestwa, N. Panie. Czyniąc mnie władcą tych prowincji, zechcesz K. Mość ustalić, jak mam postępować, by się tam utrzymać, ile będę mógł utrzymywać wojska, by stale

trzymać w cuglach Polaków, których król August zechce przeciw mnie zbuntować. Będę wreszcie zawsze pewny przystojnego utrzymania, którego niechybnie by mi zabrakło, gdybym liczył jedynie na dochody królewskie z Polski, niedostateczne teraz do wyżywienia prywatnego człowieka". Jeżeli projekt ten wyda się Karolowi możliwy do urzeczywistnienia, lepiej nie wspominać o nim w publicznym pakcie przymierza, chyba w bardzo ogólnych terminach. Byłoby natomiast rzeczą wskazaną sformułować to „przymierze prywatne i osobiste" w artykułach sekretnych. „Jest ono dla mnie tym bardziej konieczne, że powiększyłoby bardzo mój kredyt i stałoby się fundamentem innych korzystnych związków, nie tylko z sąsiednimi władcami, lecz również gwoli uspokojenia umysłów mieszkańców tego kraju, Mazepy i innych, którzy zdają się jeszcze wątpić o poparciu, jakie W. K. Mość raczyłeś udzielić mojej osobie".

Jak stąd widać, Stanisławowi nie uśmiechała się dola konstytucyjnego króla Rzpltej, pędzącego życie w ciągłej zależności od magnatów i szlachty, pod groźbą knowań detronizacyjnych z zagranicą, w niedostatku materialnym. Sojusz z Karolem XII miał mu dać mocną podstawę potęgi osobistej, w oparciu o którą byłby zdolny przeciwstawić Rzpltej własną armię i własny skarb, okiełzać wichrzenia możnych, nastraszyć własny naród perspektywą, że w razie odebrania mu berła utraci zarazem świeżo uzyskane ziemie kresowe. Występując z tak śmiałym planem nierozerwalnie wiązał Leszczyński swoją królewskość z interesami Szwecji; wzmocnienie swego osobistego stanowiska w Rzpltej kładł Karolowi XII na serce jako rękojmię jego wpływów w Polsce, jako rzecz jego honoru i chwały. Jeżeli August Mocny spiskował przeciw Polsce z Brandenburczykiem i Moskwicinem, z dużą słusznością można zarzucić Stanisławowi analogiczne postępowanie w stosunku do Karola XII. Wiernopoddańczość swoją posuwał aż do ofiarowania królowi szwedzkiemu swojej rodziny w roli zakładników, których obecność w Szwecji będzie rękojmią jego lojalności.

Górne plany Stanisława spotkać miało takie samo niepowodzenie jak jego inicjatywę w rzeczach podrzędnych. Karolowi XII, którego ojciec podpisał z Brandenburgią traktat, mający na celu utrzymanie Rzpltej w stanie złotej wolności, nie śpieszno było wzmacniać władzę polskiego króla, chociażby tak osobiście uległego jak przyjaciel z Heilsbergu. Zamiast pomnożenia swej sławy i wpływów przez oddanie Leszczyńskiemu Smoleńska i Kijowa, wolał realne nabytki nad Bałtykiem. Myśl inwazji do Saksonii odrzucił, spodziewając się zgnieść przeciwnika na terenie Rzpltej, o zawarciu pokoju przed koronacją nie chciał słyszeć, brutalne rządy wojskowe trwały w dalszym ciągu z nie słabnącą siłą. Czemuż bo miał liczyć się z wolą mianowanego królika, który nie tylko okazał się sprzymierzeńcem bezsilnym, bez stronników, wojska, pieniędzy, ale przedkładając mu prośby skonfederowanej Rzpltej, zapewniał zarazem, że „we wszystkim zależy od W. K. Mości?...“ Stanisławowi pozostała z konieczności mizerna rola satelity szwedzkiego oręża, narzędzia szwedzkiej polityki. Wszystko działo się mimo niego lub wbrew niemu. Sukcesy, które zbierał, były sukcesami królewskiego protektora; gdy Karolowi XII powinęła się noga, uciekał sromotnie, oglądając po drodze odstępstwa wczorajszych zwolenników. Wyruszywszy na czele armii koronnej i oddziału Szwedów na odsiecz gnębionej Wielkopolsce, w drodze został zaalarmowany wieścią, że August II z główną siłą saską maszeruje na Warszawę. W groźnym momencie nie zabrakło neoelektowi animuszu. Na radzie wojennej przemawiał za skrzyżowaniem oręża z przeciwnikiem; cóż kiedy hetman Lubomirski, który przed dwoma laty zdradził sprawę Augustową pod Kliszowem, przed kilku zaś miesiącami znęcony perspektywą korony przeszedł do obozu szwedzkiego, odmówił współdziałania. Nie pozostawało Leszczyńskiemu nic innego, jak pod eskortą szwedzką szukać schronienia w obozie generała Rehnskölda, patrząc bezsilnie, jak stolica państwa, niedawna widownia jego elekcji, wpadła w ręce Augusta. Prawda, że w kilka tygodni później musiał i Sas jak niepyszny opróżnić Warszawę,

ale był to znowu sukces oręża Karola XII, któremu Leszczyński asystował z założonymi rękoma.

Rok 1705 otworzył dla jego królewskości pomyślniejsze widoki. August II, z cechującą go nierównością usposobienia, zamiast pilnować swych spraw w Rzpltej, używał w Saksonii wszystkich uciech życia przy boku hr. Cosel. Car Piotr, sadowił się na dobre na Litwie, ujarzmiał tamtejszą magnaterię, robiąc z niej zawiązek partii moskiewskiej w Rzpltej, ale o wychyleniu się poza obręb W. Księstwa nie myślał. Cała bez mała Korona dostała się w ręce Szwedów. Stanisław, zyskawszy możność swobodnego poruszania się, krzątał się żywo około utwierdzenia swych wpływów. Podróż do Prus Królewskich nie dała wprawdzie spodziewanych świadczeń pieniężnych ze strony bogatych miast tamecznych, za to szlachta zdeklarowała się wystawić na służbę neolekta trzy kompanie pancerne. Uznała oficjalnie nowy majestat rodzima Wielkopolska, w której zebrał się w grudniu 1704 r. pierwszy na obszarze Rzpltej sejmik „za uniwersałami króla Stanisława I ". Na Rusi Czerwonej opowiedział się za nowym królem wpływowy wojewoda kijowski Józef Potocki, pociągając swym przykładem liczny zastęp szlachty. Schyliły głowę wierne dotąd Augustowi województwa krakowskie i sandomierskie. Siedzący w Gdańsku prymas Radziejowski dał się w końcu przekupić obietnicami sowitych zysków i zwołał stany Rzpltej na Sejm walny do Warszawy, którego celem miało być „poparcie" zeszłorocznej elekcji i traktat pokoju ze Szwecją. W porównaniu z kadłubową radą, która pod dyktatem Horna okrzyknęła Stanisława królem, zjazd wypadł dużo okazalej. Już nie tylko rdzennicy Wielkopolanie, ale Małopolanie, Mazowszanie, Prusacy obecnością swą zadokumentowali szerszą podstawę królewskości Stanisława. Nawet z dalekiej Żmudzi nadciągnęli posłowie sapieżyńscy. Zgodnie z wolą Karola XII przystąpiono najpierw do koronowania neolekta, przez co władza jego miała nabrać pełni legalności. Nic to, że przedstawiciele skonfedero-

wanej Rzpltej dopraszali się najpierw o zawarcie traktatu pokojowego; nic, że papież, na skutek próśb Augusta i obietnic nowych ustępstw dla katolicyzmu w Saksonii zabronił episkopatowi polskiemu brania udziału w koronacji, Radziejowski zaś, zgryziony świeżą cenzurą kościelną, zakończył życie. Uparta wola Karola XII łamała wszystkie przeszkody. Przeciw duchowieństwu rozpętano burzę, odstręczając je od popierania sprawy Augustowej, zmarłego prymasa zastąpiono arcybiskupem lwowskim Zielińskim, który zgodził się spełnić funkcje, przysługujące podług prawa wyłącznie prymasowi; zaradzono na czas brakowi insygniów koronnych, które August rozkazał wywieźć na Śląsk, dorabiając na koszt szwedzki nowe. Zżymali się wprawdzie Polacy, że miejscem koronacji nie będzie tradycyjny Wawel, atoli Karol XII przełamał i ten skrupuł, tłumacząc, że nie będzie to precedensem na przyszłość. 4 października 1705 r. odbył się w katedrze świętojańskiej uroczysty akt koronacji nowej pary królewskiej.

Nie było Stanisławowi dane cieszyć się w spokoju świeżo utwierdzoną królewskością. Jak po elekcji wyruszył na niefortunne boje z Sasami, tak po koronacji czekały go ciężkie przeprawy z sojusznikiem. Ów z dawna upragniony przez Polaków traktat przyjaźni ze Szwecją okazał się niczym innym jak poddaniem Rzpltej w zupełną od niej zależność. Karol XII przepędził z tronu polskiego Sasa i obiecywał rozgromić Moskwę, aby uczynić z Polski państwo wasalne, ugruntować w nim na czas wojny rządy militarne, protegować swych adherentów, a niszczyć przeciwników, zdobyć bezmierne przywileje gospodarcze dla szwedzkiej nawigacji i handlu. Koroną tych postanowień był artykuł, orzekający, że traktat ów, wymuszony w tak wyjątkowych okolicznościach, ma być prawem kardynalnym, potwierdzonym w każdorazowych paktach konwentach i święcie przez królów przestrzeganym, w razie naruszenia go Rzplta winna jest wystąpić przeciw swemu władcy „radą i orężem". Losy wojen sprawiły, że traktat warszawski stał się strzępkiem papieru;

gdyby jednak sprawy potoczyły się inaczej, historia musiałaby wyrzec nad Leszczyńskim wyrok potępienia, jako nad tym, który pierwszy zaprzedał Rzpltą w pokojową niewolę u postronnego mocarstwa. Trudno zresztą obarczać wyłączną za to odpowiedzialnością neoelekta, skoro spośród licznego grona polskich delegatów do rokowań nikt nie pomyślał o poważniejszym przeciwstawieniu się szwedzkim uroszczeniom. W dwóch tylko sprawach przejawiła się wśród stanów skonfederowanych nieoczekiwanie silna reakcja przeciw szwedzkim uroszczeniom. Zdecydowany sprzeciw wywołało żądanie odstąpienia Kurlandii, tak że Karol XII musiał na razie ustąpić, prawdziwa zaś burza wybuchła z powodu wytoczenia sprawy różnowierczej. Tu znalazł Stanisław jedną z nielicznych sposobności skutecznego wystąpienia przeciw planom szwedzkiego protektora.

Wielka wojna północna, wraz ze spustoszeniami materialnymi i głębokim kryzysem polityczno-moralnym wniosła w życie polskie wzmożony ferment wyznaniowy. Różnowiercy, zagrożeni potężniejącą falą reakcji katolickiej, uczepili się Karola XII jako deski ratunku, spodziewając się, że odegra on w dziejach protestantyzmu polskiego podobną rolę jak niegdyś Gustaw Adolf wobec ewangelików Rzeszy. Istotnie, w trakcie rokowań warszawskich wypłynęła ta sprawa w nieoczekiwanie ostrej formie. Jeden z komisarzy szwedzkich, Wachschlager, dawny poddany Rzpltej, syn fanatycznie luterańskiego Torunia, opracował program ustępstw dla różnowierców, który wcielony do traktatu warszawskiego, miał dzięki temu uzyskać poręczenie i możność egzekwowania go ze strony obcego mocarstwa. Obok całkowitego równouprawnienia była tam mowa o wyłączności protestanckiej prowincji pruskiej, ograniczeniu działalności jezuitów, nawet o doraźnym wprowadzeniu luteran do senatu. Deputaci polscy, ustępliwi w materiach politycznych i gospodarczych, na tym punkcie okazali moc oporu. Szwedzi zacięli się ze swojej strony, Horn groził zerwaniem negocjacyj i nową serią kontrybucyj. Polacy poczynali się chwiać i przystawali półgębkiem na

restytuowanie różnowiercom zborów poznańskich i toruńskich, odebranych im po pokoju oliwskim. Tu jednakowoż wmieszał się Stanisław. Podobnie jak dziad i ojciec daleki był od niechęci wobec różnowierstwa, które zamieszkiwało jego dziedziczne Leszno, w którego szkole odbierał początki nauk. Wśród srożącej się wojny niejednokrotnie przychodził żywiołowi ewangelickiemu z pomocą, czy to dając w swych dobrach schronienie protestantom, zbiegłym spod rządów cesarskich na Śląsku, czy pomagając lesznianom w odbudowie spalonych zborów i zatwierdzając ich przywileje, czy wręcz popierając Gdańsk w sporach majątkowych z biskupstwem włocławskim. Różnowierstwo polskie, oceniając tę rzadką wśród ówczesnych magnatów tolerancyjność, zasilało obficie kadry stronnictwa Leszczyńskiego w Wielkopolsce i na Litwie. Pełnego poparcia udzielał antykrólowi wódz duchowy polskich dysydentów, słynny Ernest Daniel Jabłoński, z pochodzenia Czech, najściślej związany z Wielkopolską, superintendent jej zborów, równocześnie kaznodzieja dworu pruskiego i jego narzędzie polityczne, którego głos wiele znaczył w obozie międzynarodowego protestantyzmu.

Tym bardziej należy zapisać na dobro Leszczyńskiemu, że zorientowawszy się w sytuacji, w lot ocenił konsekwencje polityczne, jakie pociągnęłoby spełnienie szwedzkich postulatów. Przyznanie różnowiercom ustępstw w tych granicach równało się wyzwaniu na udeptaną ziemię zwartej opinii szlacheckiej. Udawszy się nocą do obozu Karola XII wyłuszczył mu przekonywująco, że w tych warunkach trudno mu będzie utrzymać nie tylko postanowienia traktatu, ale koronę. Protektor szwedzki, który nie przejmował się nadmiernie rolą rzecznika interesów protestanckich na terenie Rzpltej, choćby dlatego, że w szeregach szlachty dysydenckiej nie było bliskich mu luteranów, dał się ubłagać i polecił swym pełnomocnikom zwinąć chorągiewkę. Ostatecznie weszły do traktatu tylko ogólne postanowienia o zatwierdzeniu praw protestantów w granicach obowiązującego ustawodawstwa, ze szczególnym uwzględnieniem przywilejów

miast pruskich. Te artykuły, na ogół dość niewinne, przyniosły jednak sprawie Stanisława szkodę bezmierną. Przeciwnicy jego potrafili wmówić bezkrytycznemu ogółowi, że antykról jest wrogiem Rzymu, a podatnym narzędziem luterańskiego Szweda, który „świątnice pańskie sprofanował". Po przegranej Karola XII pod Połtawą zwolennicy Augusta domagali się wręcz, by stronę przeciwną oddać pod sąd jako schizmatyków.

Ledwo ukończyły się rokowania warszawskie, Karol XII ruszył na nowe boje, tym razem na Litwę. W ślad za sukcesami orężnymi szło polityczne spotężnienie obozu Stanisławowego. Bezwzględnymi represjami, masowym niszczeniem włości przeciwników, zniewalał król szwedzki najwytrwalszych dotąd stronników Augusta do porzucenia jego szeregów. Pośpieszył z akcesem szereg konfederacji, zawiązanych na rdzennej Litwie; ugięły kark województwa: wołyńskie, ruskie, lubelskie; garnęli się do nowego majestatu przedstawiciele potężnych rodów kresowych. Cóż z tego, kiedy August, mimo ponoszonych klęsk, szczęśliwie wywijał się z matni. „Mijany obu królów taniec" zdawał się przeciągać w nieskończoność. Karolowi XII otworzyły się nareszcie oczy na zbawienność rad przyjaciela. Zamiast uganiać się za Sasem po całej Rzpltej — dosięgnąć go w własnym gnieździe! Gwałcąc neutralność cesarskiego Śląska, w niepowstrzymanym pochodzie wdarł się szwedzki zwycięzca na ziemię elektorską. Przeciwnik skapitulował bez prób oporu. 24 września 1706 r. podpisany został w Altransztadzie pokój, zdaniem ministra pruskiego Ilgena „nie mający sobie równego w historii". August zrzekł się korony polskiej na rzecz antykróla, obiecując nie ubiegać się o nią nawet po jego śmierci, zwalniał polskich poddanych od posłuszeństwa, kasował postanowienia, zapadłe na radach senatu i walnych radach Rzpltej od chwili wkroczenia Szweda na ziemie polskie, uwalniał więźniów, przyrzekał wspólnie z Karolem XII bronić praw ewangelików w Rzeszy i położyć tamę postępowi katolicyzmu w Saksonii, wydać w ręce zwycięzcy insygnia i archiwa koronne, głównego podżegacza do

wojny i twórcę koalicji przeciwszwedzkiej, Inflantczyka Patkula, akredytowanego przy dworze saskim w charakterze carskiego ministra, rzucić na pastwę mściwości Karola XII. Ogrom triumfu sprawy szwedzko-stanisławowskiej równoważyło chyba pohańbienie Sasa, który w oczach Polski, Niemiec, całej Europy wyszedł jako przeniewierca i bankrut, z piętnem tchórzostwa na skroni.

Zdawało się, że majestat Leszczyńskiego zajaśnieje na koniec pełnym w Rzpltej blaskiem. Depresję moralną, w jakiej znalazł się osierocony obóz augustowczyków, pogłębiały nadchodzące każdego niemal dnia wieści o sukcesach strony przeciwnej. Do niedawna ignorowany przez Europę, doczekał się teraz Stanisław uznania swej królewskości ze strony Ludwika XIV, cesarza, państw morskich, Prus i Hannoweru. W otoczeniu jego nie brakowało chyba żadnego z najpierwszych nazwisk magnackich. Wielmoże litewscy, których rody wypełniały swą działalnością dzieje W. Księstwa w różnych okresach, cisnęli się do stopni tronu na równi z oligarchami koronnymi, z których każdy fortuną i znaczeniem przerastał dawnego wojewodę poznańskiego. W chwili elekcji, poza wyklętymi ze społeczności narodowej Sapiehami, miał Stanisław przy swym boku ledwo kilku mizernych senatorów drążkowych; teraz widział się otoczony Radziwiłłami, Wiśniowieckimi, Czartoryskimi, Pacami, Lubomirskimi, Potockimi, Jabłonowskimi. Wobec splendoru tych nazwisk jaśniejących nieraz półkrólewskim majestatem, wobec powszechnego niemal uznania Europy, wobec straszliwej glorii zwycięskiego Szweda, o którego względy zabiegali najwięksi potentaci w chrześcijaństwie, jakże marnie czuli się prowodyrowie opuszczonej przez Sasa konfederacji sandomierskiej! Stojący na jej czele dwaj bracia, prymas Stanisław i podkanclerzy Jan Szembekowie, dwulicowy i chwiejny hetman koronny Sieniawski, młodszy jego kolega Rzewuski, marszałek konfederacki Denhoff, oddany niegdyś Augustowi, dziś zniechęcony doń podskarbi Przebendowski i szereg figur podrzędniejszego znaczenia, niczego bardziej

nie pragnęli, jak pojednać się z nowym majestatem na honorowych warunkach, przede wszystkim zaś uratować swoje godności i pozycję w życiu politycznym.

W tych warunkach bliższa aniżeli kiedykolwiek wydawała się godzina zjednoczenia rozdartej Rzpltej. Cóż naturalniejszego jak kupić uznanie starszyzny obozu Augustowego za tak skromną cenę, jak utrzymanie jej przy piastowanych dotąd godnościach, przez to zaś złamać ewentualny opór rzesz szlacheckich, pozbawionych naturalnych przywódców, jakimi była magnateria? Rozumiał to Stanisław, od pierwszej chwili swych nominalnych rządów zwolennik łagodności i perswazji. Po abdykacji Augusta ze zdwojoną usilnością prosił królewskiego protektora, by wolno mu było pojednać się ze stroną przeciwną w formie, ustalonej praktyką życia konstytucyjnego Rzpltej, a mianowicie przez zwołanie sejmu pacyfikacyjnego. Odpowiadało to najzupełniej intencjom augustowczyków, którzy chcieli przejść do obozu zwycięskiego nie jako gromada dezerterów i bankrutów politycznych, lecz jako równi do równych. Ale Karol XII nie byłby sobą, gdyby zgodził się na tak polityczne i ludzkie rozwiązanie konfliktu. Właściwa mu od chwili wkroczenia na ziemie Rzpltej mściwa zaciętość w stosunku do przeciwników, spotęgowała się po triumfie altransztadzkim. Na przedłożenia Stanisława odpowiadał niezmiennie, że ostatecznego uporządkowania stosunków dokona z mieczem w ręku, gdy jako zwycięzca Piotra powróci ze zdobytej Moskwy.

Tępy upór króla szwedzkiego, który za najskuteczniejszy środek zjednoczenia Rzpltej uważał po dawnemu zniszczenie przeciwników, jak głaz legł w poprzek zamiarów Stanisława. Może udałoby mu się zmiękczyć Karola, gdyby poparła go solidarnie skupiona pod jego sztandarem część Rzpltej. Atoli i z tej strony czekały go same utrapienia. Obóz Stanisławczyków, doczekawszy się triumfu nad stroną przeciwną, nie miał nic lepszego do robienia jak dzielić się łupami. Troska o zjednoczenie Rzpltej w obliczu groźby moskiewskiej i niemniej niebez-

piecznego protektoratu szwedzkiego ustąpiła na dalszy plan wobec szamotania się o buławy, laski, pieczęcie. Bez skrupułu odsądzono od kanclerstwa koronnego Załuskiego, by dać je wujowi Stanisława, Jabłonowskiemu. Oba podskarbstwa, których piastunami byli augustowczycy Przebendowski i Pociej, przysądzono dwom świeżej daty zwolennikom Leszczyńskiego, Czarnkowskiemu i Czartoryskiemu, Józef Potocki trzymał się kurczowo wielkiej buławy, choć za tę cenę można było kupić Sieniawskiego wraz z całą armią koronną. Działo się to nieraz wbrew woli Stanisława a przy poparciu szwedzkiego protektora; niemniej opinia szlachecka, zgorszona podobnymi aktami samowoli, kładła wszystko na karb nowego króla. „Tu król Stanisław — narzekał Otwinowski — położywszy wszystką nadzieję w orężu szwedzkim, którego niepewny ewent bywa, miasto placacji animuszów i allicytowania do siebie, to on jako *illegitime* tron osiadł *despotica methodo*, tak i dalej *absolute* zaczął postępować, począł rozdawać honory, urzędy, starostwa po żywych, którzy w konfederacji sandomierskiej trwali statecznie... jednym słowem tak począł poczynać król Stanisław, że już prawie żadnej formy Rzpltej nie zostawował".

Miary niepopularności Stanisława w społeczeństwie szlacheckim dopełniły gorszące zatargi ze Stolicą Apostolską. Właściwym sprawcą był znowu król szwedzki ze swą nieprzejednaną brutalnością, która nie pozwalała mu wyzyskać odpowiedniego momentu, gdy papież Klemens XI pod wrażeniem Altransztadu skłonny był uznać Stanisława jedynym władcą Rzpltej; niemniej, niepopularność za to obciążyła Stanisława, pogłębiając ujemne wrażenie, wywołane punktami na rzecz różnowierców w traktacie warszawskim.

Wszystko to potrafił zużytkować car Piotr, który po abdykacji Augusta wysunął się jako naturalny protektor konfederacji sandomierskiej. Korzystając z tego, że Karol XII, wbrew radom Stanisława cały rok obozował w Saksonii, zostawiając sprawy polskie odłogiem, zajął car swymi wojskami Rzpltą i skupiwszy

około siebie niedobitków sprawy Augustowej, zrobił z nich pierwsze w Polsce stronnictwo moskiewskie. Konfederaci sandomierscy, pragnąc utrzymać się na powierzchni życia publicznego, zanim uda się znaleźć przyzwoity kompromis z Leszczyńskim, rzucili w naród dwa hasła, które jak żadne inne zdolne były trafić do serc i umysłów. Pierwszym była obrona wiary katolickiej, drugim — wolna elekcja. Stanisław Leszczyński, przemocą wyniesiony na stolec Rzpltej, uznany następnie królem w akcie abdykacyjnym Augusta, znów bez woli stanów Rzpltej, co robić mogło wrażenie sukcesji tronu, sprzymierzeniec heretyckiego Szweda, który zabezpieczywszy los swych współwyznawców w Rzpltej, teraz zdobywał dla nich nowe przywileje na terenie Saksonii, azaliż nie mógł wydawać się gwałcicielem tych dwóch kardynalnych dóbr Polski katolickiej i republikańskiej?

Tak piętrzyły się dokoła Leszczyńskiego coraz nowe trudności, zadzierzgały węzły tragicznych konfliktów. Szczery Polonus, przykładny katolik, stał się w oczach pospólstwa szlacheckiego bardziej niemal znienawidzony od Augusta, jako dybiący rzekomo na wiarę św. i prerogatywy wolności. Opowiadano o nim, że zamierza zorganizować stałą armię 18-tysięczną pod komendą szwedzkich oficerów i w miejsce „wolnego nie pozwalam“ wprowadzić na sejmach większość głosów. Pomysły te, gdyby były autentyczne, przysporzyłyby Stanisławowi większy niemal u potomności zaszczyt aniżeli autorstwo „Głosu Wolnego“; dla współczesnych stały się one kamieniem obrazy. Anonimowy kronikarz epoki, tzw. Otwinowski, którego poglądy stanowią niezrównane odbicie przeciętności szlacheckiej, mimo całej antypatii do Augusta, uważa go przecież za dużo lepszego pana od Leszczyńskiego, który nie tylko „nie był *liberis suffragiis* obrany, tylko postrachem króla szwedzkiego“, ale gwałcił prawa ojczyste, katolicką Polskę zaprzedawał heretykom, kopał grób wolności. Przeniknięty na wskroś duchem pojednawczym, nie mógł Stanisław urzeczywistnić złożonej narodowi zapowiedzi, że „nie Augusta obyczajem chce być królem, by samowolnie pa-

nować, lecz wzorem poprzednika Jana łagodnością, roztropnością i dzielnością przewodzić współobywatelami". Brutalna ingerencja Szweda na każdym kroku udaremniała akty jego roztropności, stwarzając pozory despotycznej samowoli. Otoczony pierwszymi rodami Rzpltej, faktycznie czuł się nieszczęsny elekt samotny i bezsilny. Każdy z wielmożów, otaczających jego tron, mącił, wichrzył i intrygował na własną rękę, podkopując autorytet nowego króla, gdzie się tylko dało. Rzekomo najwierniejszy Stanisławczyk, za jakiego uchodził Józef Potocki, wysilał cały spryt na rozbijanie snutych przez króla rokowań pojednawczych z augustowcami, których sukces pozbawiłby go wielkiej buławy na rzecz Sieniawskiego. Lubomirscy, poróżniwszy się z Potockim, po raz nie wiadomo który zmienili front i przeszli ostatecznie do obozu przeciwnego. Ambitny i dwulicowy Załuski, dotknięty pozbawieniem go pieczęci, wzdychał po cichu do powrotu Augusta. Szczuka, rozżalony z powodu pominięcia go przy wakansach, całą nadzieję złożył w królewiczach Sobieskich.

Stosunki Stanisława z dawnymi protektorami ułożyły się najgorzej. Niespodziewaną swą królewskość zawdzięczał on czystemu przypadkowi, jakim było osadzenie Jakuba i Aleksandra Sobieskich za murami Koenigsteinu. Kompromitującym tego świadectwem pozostał pisemny cyrograf, w którym pan wojewoda poznański na kilkanaście dni przed swą elekcją zobowiązał się „koronę polską tylko jako powierzony mi zakład na głowie mojej nosić" aż do chwili uwolnienia królewiczów z więzów saskich. Po Altransztadzie Sobiescy upomnieli się o wykonanie obietnicy. Leszczyński zdążył zasmakować w królowaniu, a Karol XII miał dość sposobności przekonania się, że równie potulnego królika nie znajdzie na obszarze całej Rzpltej. Królewicze głęboko rozgoryczeni, przerzucili się do krańcowej ostateczności, wchodząc w konszachty ze zdetronizowanym Augustem.

Jeszcze osobliwszy obrót przybrały stosunki Stanisława z najpierwszymi filarami jego tronu, Sapiehami. Oligarchowie ci, których żądza panowania, zawziętość i pycha zatruły ostat-

nie lata panowania Janowi III, po jego zaś zgonie doprowadziły do krwawego odwetu ciemiężonej magnaterii i szlachty litewskiej, odgrywali w obozie szwedzkim nad wyraz szkodliwą rolę. Oni ściągnęli na ziemie polskie najazd Karola XII; oni, oddawszy się duszą i ciałem najeźdźcy, podsycali weń fatalną myśl detronizacji Augusta; z ich natchnienia wychodziły najbardziej brutalne prześladowania augustowców. Leszczyński czuł lęk przed stronnikami, którzy na każdym kroku dawali mu odczuć swą ambicję i mściwość, bez obsłonek wygrywając przeciw niemu mocną pozycję, zyskaną u nieufnego na ogół względem Polaków Karola XII. Po Altransztadzie dojrzał w jego umyśle plan złamania przewagi domu sapieżyńskiego przez przeciwstawienie mu drugiej najwpływowszej na Litwie dynastii magnackiej, Wiśniowieckich. Głowa jej, ks. Michał, wierny dotąd stronnik Augusta, przez cara Piotra upatrzony na ewentualnego króla, dał się skusić swemu kuzynowi, Stanisławowi, i w zamian za obietnicę wielkiej buławy litewskiej po starym Kazimierzu Sapieże przeszedł do obozu szwedzkiego. Ale wypróbowani gracze nie zasypiali sprawy. Omotany ich intrygami Karol XII uwierzył, że zasadniczym celem jego polityki w Rzpltej powinno być przywrócenie domu sapieżyńskiego do pierwotnej jego chwały. Gdy przyszło do rozdawnictwa wakansów, bez skrupułów zdeptał obietnice Leszczyńskiego, Wiśniowieckiemu kazał kontentować się buławą polną, synowcowi starego hetmana, Janowi Sapieże, wystawił przywilej na wielką i posłał go Stanisławowi do podpisania, dodając ostrzegawcze słowa: „Albo ty, królu, nie będziesz mi bratem, albo Sapieha hetmanem".

Na Leszczyńskiego nie pierwszy raz przyszła próba złożenia egzaminu z królewskości. Honor, interes polityczny, prosty instynkt samozachowawczy nakazywały uprzeć się twardo przy prawie dysponowania wakansami i udzielonym Wiśniowieckiemu słowie królewskim. Lepiej, niż ktokolwiek inny, zdawał sobie Stanisław sprawę, czym pachnie oddawanie władzy nad wojskiem, przez to zaś nad całą Litwą powszechnie znienawidzonym

oligarchom, gnębicielom szlachty, notorycznym zdrajcom. Atoli podobnej postawy trudno było oczekiwać od króla z obcej łaski, który mimo uznania przez całą bez mała Europę i większość Rzpltej po dawnemu trząsł się przed Karolem ze strachu, po dawnemu żebrał o środki na życie dla siebie i swojej gwardii przybocznej i wyrażał radość z powodu „zaszczytu uważania się za jego kreaturę". Bez oporu skapitulował Stanisław ze swej najważniejszej prerogatywy królewskiej, odepchnął potężny ród Wiśniowieckich, nie zyskując w Sapiehach nic innego jak wichrzycieli i niedawnych odstępców, zaszargał swój honor i do reszty pogrążył kredyt moralny „nie uważając konsekwencyj, że mu nikt wierzyć potem nie mógł, nie uważając, że najpierwsza cnota w królach — wiara".

Z początkiem września 1707 r. zwinął wreszcie Karol XII leża w Saksonii i na czele wzmocnionej, wypoczętej armii wkroczył z powrotem do Rzpltej, ciągnąc za sobą dwór polski z towarzyszącymi mu chorągwiami. Piotr bez prób oporu cofnął się do swych dzierżaw, przywódcy konfederacji sandomierskiej rozpierzchli się jak stado wróbli, jeden Sieniawski na czele wojska koronnego zajął obronną postawę w okolicach Lwowa. Najprostszy rozsądek nakazywał Karolowi zjednoczyć Rzeczpospolitą radą czy mieczem, by ruszając na Moskwę, mieć zabezpieczone tyły. Ale wielki ryzykant nie troszczył się o podobne drobiazgi, gotów był nawet ciągnąć za sobą Leszczyńskiego, pozostawiając Polskę na łup konfederatów sandomierskich i Augusta. Ostatecznie udało się Stanisławowi wyprosić od karkołomnej wyprawy. Pozostał na straży swego panowania w Polsce, ale ze związanymi rękoma. Nie wolno mu było zwoływać sejmu pacyfikacyjnego ani czynić przeciwnikom ustępstw; na zgniecenie ich brakowało mu sił. Próby dogadania się z Sieniawskim kończyły się bezowocnie, skoro hetman widział, że antykrólowi, mimo szczerych chęci pojednawczych, nie wolno dysponować wielką buławą. Bezowocne były usiłowania poważnych senatorów, jak biskupa chełmińskiego Teodora Potockiego, wuja królewskiego

Jabłonowskiego, Szczuki, którym istotnie leżało na sercu zjednoczenie powaśnionej Rzpltej, próżne pośrednictwo dyplomacji ojca św. i Króla Arcychrześcijańskiego. Pozostawało drugie wyjście: mieczem zmusić przeciwnika do uległości. Ale i pod tym względem mściły się fatalne skutki posunięć Karola XII. Gdy Józef Potocki rwał się do boju, by przez zgniecenie Sieniawskiego utrwalić ostatecznie swoje hetmaństwo, nowy piastun buławy litewskiej Jan Sapieha, przemocą narzucony Stanisławowi przez Szweda, od pierwszej chwili zdradzał nowy majestat. Niby to wojując z Sieniawskim, naprawdę pozostawał z nim w cichym porozumieniu i zawsze pozwalał mu na czas wynosić głowę z matni, o wystąpieniu przeciw Moskwie ani myślał, z góry ścieląc sobie drogę do odstępstwa.

Przy takich podporach tronu najzupełniej był Stanisław bezsilny. Nici negocjacyj rwały się jedne po drugich, próba rozstrzygnięcia sprawy orężem doprowadziła do kompromitującej dla stanisławczyków porażki pod Koniecpolem, w której, podług Otwinowskiego, „Polacy narobili dosyć śmiechu postronnym narodom, że się sami między sobą, nie mając Szwedów i Moskali, zabijali i ojczyznę dla jednego *omnino* z pryncypałów wniwecz obracali". Wobec beznadziejności sytuacji na terenie Rzpltej tym większą wagę przykładać musiał Stanisław do wielkiej akcji dyplomatycznej na zewnątrz, której powodzenie z gruntu zmienić mogło sytuację międzynarodową. Wielki dramat wschodniej Europy zbliżał się do momentu rozstrzygającego. Karol XII, natrafiwszy w pochodzie na Moskwę na nieoczekiwanie mocny opór, zboczył na południe, gdzie spodziewał się nawiązać kontakt z dwoma antagonistami Piotra: kozaczyzną i światem muzułmańskim. Z oboma pozostawał Stanisław od dłuższego czasu w żywych stosunkach. Historiografia szwedzka usiłuje dowieść, że Karol XII był opatrznościowym mężem wschodniej Europy, który przeczuwszy niebezpieczeństwo zagrażające jej ludom ze strony potężniejącej Moskwy, postanowił je skupić dla wspólnej obrony. Widzieliśmy, jakie formy przybrała rzekoma jego misja

na terenie Rzpltej: bezpardonowym traktowaniem przeciwników, niszczeniem ich włości i wydzieraniem urzędów nie tylko nie przyczyniał się król szwedzki do zjednoczenia Polaków na wspólnym froncie antyrosyjskim, ale wielu z nich pchał w ramiona Piotra. Nie lepiej przedstawiała się jego akcja w celu zjednania Turcji; wysiłki w tym kierunku były dorywcze, bez ciągłości i konsekwencji. Nierównie więcej zainteresowania i planowości okazał w tym względzie Leszczyński, z którego inicjatywy wyszły główne impulsy w stronę Kozaków i Turków.

Natchnienia ze strony szwedzkiej król nasz nie potrzebował. Obie orientacje: kozacka i muzułmańska, należały do świeżych tradycji polityki polskiej. Nieobce były zapewne Stanisławowi, mającemu w swym otoczeniu niejednego z doradców Jana III, przede wszystkim tak bliskiego mu Szczukę, tajne związki, jakie łączyły zwycięzcę spod Wiednia z hetmanem zaporoskim, słynnym Janem Mazepą. Nie brakło tu nawet wspomnień czysto rodzinnych, skoro w początkach rządów Augusta przystąpił do sekretnego nawiązania nici porozumiewawczych z Siczą nie kto inny, jak dziad Stanisława, hetman Jabłonowski. Jeszcze bliższe węzły łączyły Leszczyńskiego z orientacją turecką. Wszak właśnie ojciec jego w czasie poselstwa do Porty usiłował pchnąć ją przeciw wspólnemu wrogowi. Tradycje Rafała Leszczyńskiego podtrzymywali w obozie szwedzkim Hieronim Lubomirski, później Józef Potocki, obaj rozporządzający wyrobionymi stosunkami na wschodzie muzułmańskim. Dzięki takim to filiacjom wyrastał Stanisław na najwybitniejszego w zaraniu XVIII wieku wykonawcę programu politycznego, który złączyć miał wspólnym węzłem antymoskiewskim Polskę z odległą Szwecją na północy, z kozaczyzną, Krymem i Turcją na południu.

Nie miejsce tu na szczegółowe kreślenie zabiegów, którymi usiłował Leszczyński trafić do starego awanturnika Mazepy. Odrębny rozdział historii dyplomatycznej wojny północnej stanowią również usiłowania stanisławczyków w kierunku rozruszenia Porty Otomańskiej. W roku 1708, kiedy losy wojny skie-

rowały Karola XII na Ukrainę, obie dywersje, kozacka i turecka, zdawały się dojrzewać. Leszczyński miał formalnie podpisany pakt z Mazepą, w którym hetman zaporoski, w zamian za obietnicę księstwa lennego z województw witebskiego i połockiego, obiecywał przyłączyć do Rzpltej całą Ukrainę zadnieprzańską z Kijowem, Siewierzem, Czernichowem, Smoleńskiem. Dla poparcia tej akcji krzywymi szablami pohańców pchnął Stanisław na Krym kuchmistrza koronnego Tarłę, sam na czele wojsk począł przebierać się ku wschodowi, by koncentrycznym atakiem Polaków, Tatarów i Szwedów wesprzeć gotujące się na Ukrainie powstanie. Powodzenie tych planów przynieść miało Polsce olbrzymi przyrost sił na wschodzie w najszerszych historycznie granicach z doby Zółkiewskiego i Zygmunta III. 22 listopada wydał Leszczyński manifest do kozaczyzny. W poważnym, pełnym majestatu tonie apelował, „jako król polski, prawdziwy i z wieków pan Ukrainy do swoich poddanych, jako ojciec łaskawy do obłąkanych dzieci, wzywając wszystkich i każdego z osobna, abyście, złożywszy z siebie cudzego i niesprawiedliwego panowania jarzmo, do dawnych swobód, wolności i pod ojczyste i dziedziczne panowanie Królestwa Polskiego powracali i starych wieków przypomnieli sobie miodem i mlekiem płynącą Ukrainę". Niestety, w chwili, gdy Stanisław wskrzeszał wizję przeszłości, rzeczywistość zadała jej okrutny kłam. Mazepa, opuszczony przez swoich, przywiódł do obozu szwedzkiego ledwo garść straceńców.

Rozpoczynał się początek końca. Armia szwedzka, stopniawszy wśród straszliwych mrozów do trzeciej części, na próżno oczekiwała pod murami Połtawy odsieczy z Polski. Mściły się błędy polityczne, którymi Karol XII sparaliżował najbardziej zbawienne zamierzenia Stanisława. Konfederaci sandomierscy, nabrawszy ducha, nie chcieli słyszeć o układach. Od wschodu wdzierały się do Rzpltej wojska moskiewskie, od ściany zachodniej zarysowywała się groźba powrotu Augusta. W krytycznej sytuacji, zewsząd osaczony, sięgnął Stanisław po ostateczną de-

skę ratunku, jaką była pomoc bisurmanów. Wyznaczony na posła do chana krymskiego strażnik Potocki, oświadczyć miał niewiernym w imieniu swego króla, że „my z Rzpltą będąc obowiązani wieczną przyjaźnią i pokojem z Prześwietną Portą, na takowe nieszczęśliwości w ojczyźnie naszej, które do niej wszystko zło wprowadziły, chcieliśmy zażyć pomocy i sił tejże Prześwietnej Porty, nie inszym końcem, tylko że przyjaciel wieczny przyjaciela wiecznego winny ratować, bo na nic innego takowa przyjaźń nie jest ustanowiona, tylko żeby jeden drugiego ratował. Za upadkiem bowiem jednego i drugiego mogłoby się dostać nieszczęście". Zanim wszelako błagalny apel antykróla mógł odnieść skutek, gruchnęła po Polsce wieść radosna dla stronników Sasa, złowróżbna dla stanisławczyków. Niezwyciężony władca Szwedów i Wandalów, porażony na głowę pod Połtawą, straciwszy całą armię wskutek kapitulacji pod Perewołoczną, w nielicznym orszaku schronił się na terytorium tureckie. Rzplta z obydwu stron stanęła otworem przed inwazją Sasów i Moskali. Ogół szlachecki, nie orientujący się, czym jest zwycięstwo Moskwy, odetchnął z ulgą, że „Polska jarzma bezbożnych heretyków uszła".

Wszelako w tym nawet momencie najgłębszego zaćmienia świadomości moralno-patriotycznej nie brakowało ludzi, którzy myśleli o ratowaniu nawy państwowej Rzpltej. Przewalająca się przez ziemie polskie chmara Sasów, Szwedów, Moskali, Kozaków, Kałmuków, wśród gwałtów, mordów, pożogi, nie tylko niszczyła uskładany wielu latami pokojowej pracy dobytek. Poczucie całkowitej bezsilności wobec obcych znaczyło duszę polską bolesnymi śladami. Prymas Radziejowski w manifeście do szlachty rozdzierał szaty, że „między obcych wojsk tłumem ledwo już znać imię narodu naszego". Otwinowski ubolewał: „To wielkie nieszczęście było Rzpltej, że ona naówczas za szczęściem cudzym musiała się obracać". Bezimienny kronikarz litewski skarżył się, że w otoczeniu Leszczyńskiego „Polaków za nic, Szwedów za bogów miano". Przeciw temu poniewieraniu polskim imieniem, przeciw kłanianiu się obcym bogom poczynała wzbierać wśród mas szlacheckich zdrowa reakcja, która w kilka

lat później wyładuje się w konfederacji tarnogrodzkiej, w parę dziesięcioleci doprowadzi do ponownej elekcji Stanisława. Podkanclerzy Szczuka, zawsze w duszy niechętny szwedzkiemu elektowi a wierny domowi Sobieskich, krzątał się około utworzenia partii „niewinnej Rzpltej", która zjednoczywszy oba zwalczające się obozy, miała wezwać Stanisława, „aby był królem, ale bez despendencji". Połtawa wzmocniła te chęci. Nikomu nie uśmiechał się protektorat carski nad Polską. Lepiej nie czekając przybycia Piotra, wybrać wolnymi głosami króla-rodaka i opowiedzieć się za nim przeciw postronnym opiekunom!

Nastrojów tych uchwycił się kurczowo Leszczyński. Od dawna namawiany przez Szczukę do złożenia korony do dyspozycji Rzpltej, teraz pod dyktandem podkanclerzego oznajmił to narodowi w wydanym w Opatowie manifeście i zakrzątnął się około przygotowania nowej elekcji, z której spodziewał się wyjść ponownie królem, tym razem w zgodzie z prawem i wolą Rzpltej. Rozpaczliwe wysiłki zawiodły. O królewskości Stanisława nie chciał oczywista słyszeć ani wszechwładny w tym momencie Piotr, ani najpotężniejszy z jego polskich stronników, Sieniawski, ani czystej barwy Saksończycy, którzy co rychlej ściągnęli do Polski Augusta. Niepowodzenie tej akcji całkowicie złamało Leszczyńskiego. Ciosem ostatecznym stała się dlań zdrada Sapiehy, który za obietnicę utrzymania buławy ukorzył się przed Augustem. Wyszły na jaw wszystkie słabe strony człowieka. Nie próbował Stanisław stawić oporu Sasom na obronnej linii Warty, nie pokusił się o rozgromienie nieporządnie ciągnących oddziałów moskiewskich. Bez jednego wystrzału rzucił swe królestwo, udając się na długie lata tułaczki.

III

O POWRÓT NA TRON

Tragicznie ułożyły się sprawy Karola XII i jego polskich popleczników po Połtawie. Olbrzymi wzrost potęgi rosyjskiej, rzucającej cień na najodleglejsze krańce Europy, najgorętszym przyjaciołom Szwecji kazał wątpić o jej przyszłości, cóż dopiero o losach jej protegowanych! Widomym znakiem pogromu Leszczyńskiego była radykalna zmiana stosunków w Rzplitej: Król August bez oporu wracający na tron, liczni i znamienici stanisławczycy śpieszący doń z submisją. Zwołana do Warszawy walna rada bez cienia poważniejszego oporu sankcjonująca restaurację rządów wettyńskich, nade wszystko zaś ogrom wpływów rosyjskich, jaki zaciążył nad Polską. „Mizerny był natenczas stan Rzpltej" — wzdychał Otwinowski. „Więcej opiekun, car moskiewski rządził niż król, bo kogo chciał, podwyższał, a kogo chciał, poniżał... Wojska, gdzie chciał i jak wiele, lokował, panów polskich zdradą w niewolę brał, a król August przez szpary na to patrzył..." Wojska carskie, zalewając kraj niby powódź, wśród gwałtów, grabieży, pożarów, wywoziły zboże, bydło, podwody, przesiedlały ludność do sąsiednich prowincji rosyjskich, wywłaszczały obywateli z królewszczyzn i majątków prywatnych. Car obsadzał załogami rosyjskimi najważniejsze twierdze, pędząc z leż wojska polskie, położył rękę na rozdawnictwo urzędów, tępił na kresach katolicyzm i unię, krzewiąc natomiast prawosławie. Przywrócony na tron dzięki triumfowi oręża rosyjskiego, musiał August okupić koronę aktem przymierza z Piotrem, który oznaczał formalny niemal protektorat carski nad królem i Rzpltą.

W tych warunkach, gdy na domiar odżywała na północy



KAROL XII ryt. Fritzsch

wielka koalicja duńsko-sasko-moskiewska przeciw Szwecji, a Piotr kontynuował podbój jej nadbałtyckich posiadłości, trzeba było uporu i fantastyczności Karola XII, by myśleć nie tylko o ratowaniu własnej schedy, lecz odzyskaniu Polski. A jednakże król szwedzki ani na chwilę nie wyrzekał się ulubionej myśli zgniecenia Augusta i przeobrażenia Rzpltej w szwedzkie lenno z posłusznym Stanisławem na tronie. Wyniósłszy głowę z pogromu, znalazł punkt oparcia na ziemiach padyszacha, w Benderze. Przy boku jego znalazły się resztki kancelarii, dość liczny zastęp wojskowych i dyplomatów, niedobitki wojsk szwedzkich i kozackich, z czasem coraz tłumniej ściągać poczęli dawni jego stronnicy z Polski. Bender stał się ośrodkiem rozległej akcji dyplomatycznej. Podejmując wątek usiłowań Leszczyńskiego, przekonywał Karol Wysoką Portę, że interes jej wymaga wyrugowania z Rzpltej Moskwy i Sasów i przywrócenie na tron przyjaciela Turcji i Szwecji, króla Stanisława. Uderzenie Turcji na Rzpltą Augustową zachwiać miało jej fundamentami, a wówczas nastąpiłby atak szwedzki od Pomorza. Podejmując te zabiegi na gruncie stambulskim równocześnie naciskał Karol XII na senat szwedzki o przyspieszenie zbrojeń, by równocześnie z wtargnięciem zastępów turecko-tatarskich od „ściany wołoskiej", nastąpiła interwencja zbrojna od „ściany pomorskiej". Kierownictwo działań wojskowo-politycznych na gruncie tureckim spoczywało w rękach samego króla, który z właściwym sobie nieugiętym wysiłkiem woli łamał rozliczne przeszkody, jakie nastręczał zgoła specyficzny charakter skorumpowanej, tchórzliwej, rozkładającej się państwowości tureckiej. Jednym z głównych narzędzi przygotowania inwazji szwedzkiej od północy miał się stać Stanisław Leszczyński.

Władca nie tylko bez królowania, ale bez piędzi ziemi, korzystający ze szwedzkiej gościny, najpierw na Pomorzu, gdzie złączył się z przebywającą tam najbliższą rodziną, później w Szwecji, całkowicie na obcym utrzymaniu, odgrywał Stanisław w najbliższych latach popołtawskich jeszcze mizerniejszą rolę aniżeli w okresie swych niewesołych pseudorządów w Rzpltej.

Karol życzył sobie, aby przyjaciela jego i sprzymierzeńca traktowano z odpowiednimi względami. Mianował go swym pełnomocnikiem na królestwo szwedzkie, sprawującej rządy regencji sztokholmskiej nakazał wypłacać Stanisławowi i jego rodzinie sowite zaopatrzenie, w zamian za to jeszcze chciał widzieć w nim czynnik pobudzający wyczerpany, zniechęcony kraj do coraz nowych ofiar, do wzmożonego wysiłku pieniężnego i wojskowego. Trudno o bardziej niewdzięczne, zarazem zaś uciążliwsze zadanie. Nigdy nie cieszył się Stanisław poważaniem lub sympatią dygnitarzy szwedzkich, którzy mieli możność poznania z bliska nicości jego bezsilnego królowania. Teraz dołączył się do tego posmak urazy. Szwecja znajduje się u skraju przepaści, trzeba jej na gwałt pokoju, a tymczasem J. K. Mość nagli do dalszej wojny głównie w celu utrzymania purpury królewskiej na ramionach dawnego wojewody. W skarbie pustki, a listy z Benderu kategorycznie domagają się pchania pieniędzy w utrzymanie polskich intruzów, którzy przynieśli już Szwecji tyle złego. Król Stanisław czuje się bezsilny. Bez wojska, pieniędzy, ma koło siebie ledwo garść emigrantów, którzy sami nie mają co jeść, tymczasem Karol XII powierza mu tak delikatną misję, jak zagrzewanie do zbrojeń i ofiar osiwiałych w służbie korony szwedzkiej członków senatu.

Nic dziwnego, że współdziałanie Leszczyńskiego z najwyższymi czynnikami cywilnymi i wojskowymi sprzymierzonego kraju pełne jest zgrzytów. Regencja szwedzka, czyniąc aluzję do babki i siostry królewskiej, które ofiarowały na potrzeby wojny swe srebra i klejnoty, gniewnie replikuje Karolowi XII, że nie ma z czego żywić własnych królowych, cóż dopiero obcych! Jeszcze ciężej wyżyć jest z wojskowymi. Niechętnie znoszą oni wtrącenie się do ich spraw człowieka obcego, który na dobrą sprawę nigdy porządnie nie powąchał prochu. Stanisław zwierza się zaufanemu przyjacielowi Bielkemu, że wydostawszy się szczęśliwie z armii pomorskiej do Sztokholmu, nie kwapi się do niej wracać; zbyt dotkliwie odczuł zuchwalstwo wojskowych, którzy, podług eufemistycznego określenia, „ośmielali się paplać“ przeciw niemu. W takich okolicznościach nierzadko opadały biednego

emigranta zgoła niekrólewskie myśli. W liście do Karola wyznawał, iż sam czuje dobrze, jakim jest dla Szwecji ciężarem. Kiedy indziej pogrążał się w nastrój klasztorno-filozoficzny, marząc o zrzuceniu z ramion niewdzięcznego ciężaru panowania.

Były to jednakowoż przelotne nastroje, które nie przeszkadzały Stanisławowi w żywym uczestniczeniu w wielkich sprawach, dotyczących obu królestw. Twierdzi Jarochowski, że podobnie jak na tronię Rzpltej, tak na wygnaniu w Szwecji cechowała antykróla zupełna bierność. „Usuwa się Augustowi z kraju bez boju, przenosi się w taborze generała Krassaua na terytorium Pomorza Szczecińskiego; patrzy tu stąd, jak Śmigielski doświadcza szczęścia przeciw Sasom i ich sprzymierzeńcom w Wielkopolsce, jak wielki i bohaterski protektor usiłuje popchnąć Portę Otomańską na swych i jego najniebezpieczniejszych wrogów. W ciągu roku 1711 rzucają się sprzymierzeni Sasi, Duńczycy, Brandenburczycy i Rosjanie na Pomorze Szczecińskie. Obrona była trudna, zwłaszcza w kraju przedziesiątkowanym dżumą, ale cokolwiek bądź, było znów fatalnością Stanisława, że zamiast w obronie Szczecina czy Stralsundu, widzimy go wraz z rodziną uchodzącego do Szwecji". Krytycznemu sądowi o tym okresie życia Leszczyńskiego przyjdzie przeciwstawić takie same zastrzeżenia, jakie wzbudza pogląd o zupełnej nicości Stanisława w dobie jego zasiadania na stolcu Rzpltej. Bezsilność nie zawsze równoznaczna jest z bierną apatią. Widzieliśmy, że w pięcioleciu między nieszczęsną elekcją warszawską a feralnym dniem Połtawy i „manifestu opatowskiego" był Stanisław w pomysłach swych i zamierzeniach czymś więcej aniżeli biernym widzem szwedzkich triumfów i klęsk. Podobnie rzecz się przedstawia w trzechletnim okresie po Połtawie. W świetle listów do szwedzkiego senatu i Karola XII okazuje się, jak żywo uczestniczył wygnany król w najdonioślejszych zagadnieniach wojskowych i politycznych, z jakim wysiłkiem szukał dróg wyjścia z katastrofalnej sytuacji. Trafne wyczucie rzeczywistości europejskiej, duża niejednokrotnie pomysłowość, bystra orientacja w splocie zawiłych zagadnień, występują tu w pełnym świetle, raz jeszcze

zadając kłam utartym sądom o rzekomej mierności umysłowej Stanisława.

Dwa zwłaszcza momenty zasługują tu na podkreślenie. Przylgnęła do Stanisława słuszna poniekąd fama, że w ciągu swej bogatej kariery politycznej był zdeklarowanym przyjacielem Prus i protegowanym Francji. Ścisłe związki z Hohenzollernami należały do najtrwalszych tradycji jego rodu, przybierając chwilami znamiona rodzinnej niemal zażyłości. Jeden z najgroźniejszych wrogów Rzpltej, wielki elektor, który pierwszy spośród władców brandenburskich kładł podpis pod traktaty rozbiorcze, przez posłów swych szerzył w Rzpltej chaos i korupcję, krzyżował najbardziej zbawienne zamierzenia Jana III — darzył szczególnymi względami kanclerza Jana Leszczyńskiego. Ilekroć doniesiono mu, że wpływowy magnat wyprawia w swej rezydencji wielkopolskiej huczne przyjęcie, nakazywał administracji swych dóbr leśnych wysłać na jego dwór znaczniejszą ilość ubitych sarn, jeleni i dzików. Coś z tego stosunku na poły przyjaciela, na poły klienta przeniknęło do królewskiej działalności Stanisława. Nie tylko przemyśliwał on o oddaniu w zastaw dworowi berlińskiemu swych włości wielkopolskich, by osłonić je w ten sposób przed konfiskatą ze strony Augusta, ale w zachowaniu się względem sąsiada pruskiego nie zawsze przestrzegał godności władcy Rzpltej. W rozmowach z generałem pruskim Schlippenbachem wkraczał na śliski szlak dwuznacznych obietnic, które mogły być przez Prusy rozumiane jako gotowość ustępstw terytorialnych.

Tym bardziej uderza charakterystyka polityki pruskiej, jaką skreślił Stanisław w memoriale do senatu szwedzkiego z końca roku 1709: „Ścisła łączność króla pruskiego z naszymi wrogami świadczy dostatecznie, że winniśmy się bardziej go lękać, aniżeli pokładać w nim nadzieje. Nie ulega wątpliwości, że władca ten, żądny zdobyczy na wszystkie strony, jeżeli nie oświadcza się otwarcie przeciw nam, to w każdym razie wyczekuje całkowitej przewagi tych, z którymi spiskuje, by zadać nam cios i przy pierwszej sposobności, jaka się nadarzy, będzie się starał w myśl

swojej zwykłej zasady łowić ryby w mętnej wodzie. Nie byłoby mu zapewne przykro, gdyby użyto jego pośrednictwa, zwłaszcza gdyby mu się udało zagarnąć przy tej sposobności jakiś kąsek po jego myśli. Niemniej należy się zawsze lękać, by nie przychylił się on raczej na stronę naszych wrogów aniżeli naszą, aczkolwiek od niedawna zaczyna on udawać ścisłą neutralność". Trudno o prawdziwsze ujęcie krętej i dwulicowej polityki dworu berlińskiego, który rzekomo zachowując wśród wirów wojny północnej ścisłą neutralność, naprawdę każdej chwili gotów był sprzedać się tej stronie, przy której mógł się najsowiciej obłowić najmniej się narażając. Tym znamienniejsze światło rzuca na charakter Stanisława fakt, że zdobywszy się na tak trzeźwą ocenę metod i celów Berlina, mimo to nie przestawał szukać z nim kontaktu, z pełną świadomością, że wystawia przez to na szwank całość Rzpltej.

Związki z Francją mniej były zadawnione w domu Leszczyńskich, którzy wahali się ustawicznie między Habsburgami a ich dziedzicznymi wrogami spod znaku lilii burbońskich. Dwoistość tę widać dziwnym trafem również w początkowych stadiach kariery Stanisława, który w sympatiach swych i niechęciach odzwierciedlał w skróceniu orientacje szeregu swych przodków. Początki jego królewskości upłynęły pod znakiem zdeklarowanej sympatii dla cesarza i państw morskich, których gwarancja utrwalić miała triumf altransztadzki nad Augustem. Potomek tylu hrabiów św. cesarstwa rzymskiego używał swego nikłego wpływu na Karola XII, by odwieść go od wadzenia się z Habsburgami. Wkrótce potem zarysował się zwrot. Karol XII przechylił się na stronę Francji, która ze swej strony jęła popierać jego protegowanego. Znany dobrze w Polsce jako ambasador Króla Arcychrześcijańskiego, kardynał Melchior Polignac pracował w Rzymie nad uznaniem królewskości Stanisława przez Stolicę Apostolską, przebywający na terenie Rzpltej dyplomata Bonac — był niestrudzonym pośrednikiem między główną kwaterą Leszczyńskiego a konfederacją sandomierską. Po katastrofie połtawskiej Karol XII doznał w swej akcji na terenie tureckim najwalniejszej pomocy ze

strony dyplomacji francuskiej. Tym dziwniejsze się wydaje, że Stanisław w swojej orientacji odbiegł wówczas od królewskiego przyjaciela. Rzecz mało znana, a godna zapamiętania: późniejszy pensjonariusz Francji, teść jej króla, elekt Rzpltej z jej poręki, wreszcie władca lotaryński, w zwrotnym momencie zmagań między Ludwikiem XIV a „wielką koalicją" opowiedział się kategorycznie po jej stronie oczekując ratunku nie z Wersalu, lecz z Wiednia, Londynu, Hagi. Gdy z zachodu doszły do senatu sztokholmskiego wieści o jakowychś z jego strony próbach wejścia w porozumienie z dworem francuskim, zaprzeczył temu gniewnie, zapewniając o swej przyjaźni względem sprzymierzonych.

Rzekomo antyfrancuskie nastawienie Leszczyńskiego płynęło z dwóch źródeł. Zmuszony stykać się na każdym kroku z regencją sztokholmską, starał się uniknąć z nią tarć na punkcie orientacji zagranicznej, które mogłyby nasunąć podejrzenie, że chodzi mu o interes własny, nie zaś Szwecji. Stąd w listach jego pełno zaręczeń lojalności, które brakiem godności nie tylko osobistej, lecz również narodowej dorównują najbardziej opłakanym ustępom korespondencji z Karolem XII. „Możecie być pewni — pisał — że jedynym moim pragnieniem jest oglądać Szwecję w stanie doskonałej pomyślności. Polska, rzecz oczywista, może tylko uczestniczyć w tym szczęściu. Nieszczęścia mojej ojczyzny niepokoją mnie tylko przez to, iż obawiam się, by nie pomnożyła ona nieszczęść Szwecji". Kiedy indziej, pisząc o aliantach, z goryczą wypominał, że uznali oni restytucję Augusta na tron Polski, zaraz jednak pospieszył dorzucić: „Wystarczy jednak, by leżało to w interesie Szwecji, a zapewniam was, że za tę cenę uwielbiam sprzymierzonych". Ponieważ w Sztokholmie przeważał w owym momencie nastrój życzliwy dla koalicji, przeto Stanisław podporządkował mu się bez zastrzeżeń, stając przez to w sprzeczności z równoczesną polityką Karola XII.

Był jednakowoż drugi jeszcze, bardziej osobisty powód, który dyktował Leszczyńskiemu taką a nie inną postawę. Przeciwieństwo między Karolem XII a jego protegowanym na tronie

Rzpltej nie ograniczało się do olbrzymiej dysproporcji energii, woli, niezależności duchowej. Karol był typowym romantykiem, który mierzył siły na zamiary; trudności, jakie piętrzyły mu się na drodze, zamiast go zniechęcić, dodawały bodźca. Stanisław obdarzony był natomiast przez naturę sporą dozą trzeźwości i zdrowego rozsądku. Umiał patrzeć rzeczywistości w twarz i z chłodnego zbadania sytuacji wyciągnąć praktyczne wnioski. Po Karolu XII Połtawa przeszła bez śladu. Ani na chwilę nie wątpił, że uda mu się zmobilizować siły islamu, podnieść z ukrycia Polskę stanisławowską i mazepińską Ukrainę, wydobyć z wyniszczonej Szwecji potężne zastępy i zjednoczonymi siłami zgnieść wroga. Dla dopięcia tych celów trzeba mu było poparcia dyplomacji francuskiej, rozporządzającej potężnymi wpływami nad Złotym Rogiem.

Zupełnie inaczej Leszczyński. Dla niego Połtawa oznaczała klęskę nieodwracalną. Widoki orężnego podboju Polski skłonny był traktować jak mrzonki, jeżeli skąd oczekiwał ratunku, to chyba tylko z rokowań dyplomatycznych. Memoriał, złożony senatowi u schyłku pamiętnego roku 1709, tchnie w ocenie położenia Szwecji czarną niemal beznadziejnością. Zewsząd piętrzą się niebezpieczeństwa. Dania zagraża Skanii, car Rydze, Prusy niepewne. „Król August jest całkowicie panem Polski". Jedyna armia, pozostała Szwecji „raczej się rujnuje, aniżeli odzyskuje siły". Trudno marzyć o sukcesie orężnym Szwecji. Pozostaje wojna turecka, którą usiłuje wywołać Karol XII; gdy ta jednak zawiedzie, cóż pozostaje? Jedynie pomoc dyplomatyczna wielkiej koalicji. Rok Połtawy był zarazem na zachodzie rokiem morderczej bitwy pod Malplaquet, która zdawała się przypieczętować pogrom Króla-Słońca. Leszczyński, licząc się z tym stanem rzeczy, przeciwny był wiązaniu się z ginącą Francją. W interesie jej leży rozpalanie nowych konfliktów na północnym wschodzie, aby przez to odciążyć swe pozycje na zachodnim placu boju. Uda się Karolowi jakimś sposobem zagrozić ponownie Saksonii: August Mocny zmuszony będzie odwołać swój kontyngent pomocniczy znad Renu. Rozgorzeje na dobre walka o Pomorze: król

pruski nie wytrzyma, by nowy podział krajów nadbałtyckich odbył się bez jego uczestnictwa i porzuci wspólną sprawę sprzymierzonych przeciw Francji, by pilnować swych zysków na północy. Cóż dopiero, gdyby Karolowi XII udało się przy pomocy Turków poskromić cara i Augusta! Niechybnie rzuci się na cesarza, jak to miał już zamiar zrobić po pokoju altransztadzkim. Jeżeli Francji zależy tak bardzo na rozdmuchaniu wojny na wschodzie, interes aliantów wymaga wręcz przeciwnie utrzymania tam możliwego pokoju. Pacyfikacja nadbałtyckich prowincji Szwecji jest wielkim podarkiem, jaki może ona złożyć koalicji. Wyrzec się przeto wyprawy do Jutlandii, która rokuje korzyści wojskowe i polityczne, w zamian zaś uzyskać od aliantów obietnice, że po zawarciu zwycięskiego pokoju na zachodzie całą siłą poprą Szwecję przy pacyfikacji wschodniej, nie pozwalając na jej ruinę. Przyjaźń aliantów stanowi, obok perspektywy wojny tureckiej, jedyną dźwignię ratunku. „Jest rzeczą pewną, że bez tych dwóch środków ratunku Polska jest całkowicie stracona, nie chciałbym zaś, ażeby z jej zguby Szwecja nie wyniosła w jakiś sposób swego zysku i ażeby Polska została poświęcona z całkowitym dezawantażem Szwecji".

Słowa te nasuwają przypuszczenie, że chodzi tu o owe zyski terytorialne, które zawarował sobie Karol XII od pierwszej chwili swej współpracy ze „skonfederowaną Rzpltą". Początkowo miała to być zamiana Kurlandii i Inflant na Ukrainę i Smoleńsk. Po Połtawie podobna koncepcja stała się nierealną, zwłaszcza u Leszczyńskiego. Rozglądając się pilnie w stosunkach europejskich, dostrzegł słaby punkt koalicji antyszwedzkiej. Był nim stosunek między carem a Augustem. Przyjaźń obu siłaczy należała do przeszłości. Piotr nie mógł zapomnieć sprzymierzeńcowi odstępstwa altransztadzkiego i wydania na kaźń nieszczęsnego Patkula; August, przytłoczony brutalną opieką rosyjską, burzył się w głębi duszy. Obaj gotowi byli szukać innych kombinacji sojuszniczych, obaj, rzecz osobliwa, próbowali nieśmiałych kontaktów ze stroną przeciwną. Z punktu widzenia interesów polskich była to sytuacja niewątpliwie pomyślna. Pojednanie Karola XII z Augustem stwarzało

wspólny front antyrosyjski, Rzpltej zaś przynosiło zjednoczenie. Warunkiem nieodzownym była wszelako abdykacja Stanisława. O tym nie chciał Karol słyszeć, a również Leszczyński w początkach swego pobytu w Sztokholmie skłonny był szukać innego rozwiązania. Mając w ręku dowody nieporozumień między carem a Augustem, co ważniejsza, jakieś nieznane bliżej oferty rosyjskie pod swym adresem, chwytał się z całą skwapliwością myśli odrębnego pokoju z najgroźniejszym wrogiem. „Pokój z carem — wywodził — stworzyłby dla nas dobrą sposobność przeciw królowi Augustowi i królowi duńskiemu; moglibyśmy wtedy narzucić im zapłacenie kosztów rozbitego garnka". Co jednak stanie się w takim razie z ową orientacją antyrosyjską, w imię której Rzplta cierpiała wszystko złe, związane z sojuszem z Karolem XII? Skąd otrzymałaby odszkodowania terytorialne za ustępstwa na rzecz Szwecji? Na pytanie to próżno szukać odpowiedzi w sążnistych elaboratach, którymi zasypywał Leszczyński senat sztokholmski.

Mogłoby się wydawać, że Stanisław, nie będąc konsekwentnym politykiem ani władcą, dbającym o całość państwa, pożerany jest przynajmniej żądzą utrzymania się za każdą cenę na tronie. Ale i to nawet nie. Pisząc do senatu 18 kwietnia 1710 r., nastawał na konieczność przekonania Karola XII, że interes Szwecji wymaga najrychlejszego pokoju. On sam działa w tym kierunku z całą energią, obarczając zaleceniami pokojowymi wszystkich emisariuszów, jacy przebierali się z Pomorza do Benderu. „Wiedząc zaś w pierwszym rzędzie, że moje interesy leżą N. Panu mocno na sercu, prosiłem go, by zupełnie na nie nie zwracał uwagi, chyba w związku ze swoimi własnymi, i by się nie starał o ich naprawienie, chyba że mój upadek mógłby się stać niebezpieczny dla całości Szwecji. Od początku tej wojny zdecydowałem się zostać ofiarą słusznej sprawy".

Nie było Stanisławowi dane odgrywać długo roli orędownika pokoju i zrezygnowanego cierpiętnika za pomyślność królestwa szwedzkiego. Idąc po linii jego wskazań, zarazem w zgodzie z własnymi zapatrywaniami, zawarła regencja sztokholmska przy

pośrednictwie sprzymierzonych ze stroną przeciwną tzw. traktat neutralności, w którym zobowiązano się wzajemnie nie atakować prowincji duńskich i szwedzkich, należących do Rzeszy, ani nie wprowadzać stamtąd wojsk do Niemiec, ani Polski. Pośrednio mieściło się w tym ubezpieczenie tronu Augusta, skoro nie można było odtąd zaatakować Rzpltej od „ściany pomorskiej". Karol XII zakipiał gniewem i jednym uderzeniem wywrócił robotę dyplomatyczną swojej regencji i Stanisława, niby domek z kart. W czerwcu 1710 r., w miarę jak Turcja coraz bardziej przechylała się ku sugestiom szwedzkim i obiecywała przeprowadzić Karola do jego państwa środkiem Rzpltej pod zbrojną eskortą, nastąpiło odwołanie neutralizacji Pomorza. Leszczyński pod naciskiem z Benderu zmienił ton i miast zalecać senatowi szukanie pokoju, wzywał do uruchomienia floty i wzmocnienia armii na Pomorzu. Schyłek roku przyniósł walny sukces Karola XII: Turcja nie tylko wypowiedziała Moskwie wojnę, ale jako jeden z jej celów ogłosiła uwolnienie Rzpltej spod jarzma carsko-augustowskiego.

Przed Leszczyńskim otworzyły się pomyślniejsze perspektywy. W pismach jego do senatu rozbrzmiewały teraz surmy wojenne: za wszelką cenę wykonać wielki plan królewski, polegający na uderzeniu na Rzpltą Augustową od dwóch frontów, nie szczędzić starań i wysiłków na wydobycie koniecznych na to funduszów... Na tych wezwaniach wyczerpywała się właściwie jego czynna rola w nadchodzącym kryzysie międzynarodowym. Z bezpiecznej siedziby w Stralsundzie, później w Szczecinie, łowił chciwym uchem odgłosy walk, jakie dolatywały go z różnych krańców Rzpltej. Dowiadywał się, że najwytrwalszy z jego stronników Józef Potocki, wraz z następcą zmarłego Mazepy, nowym hetmanem zaporoskim Filipem Orlikiem, urządzili awanturniczą wyprawę na Ukrainę. Z drżeniem serca śledził poruszenia swego najdzielniejszego partyzanta, Adama Śmigielskiego, który wdarłszy się od Pomorza do Wielkopolski, bezkarnie przebiegał kraj, zagrażając nawet przejazdowi Augusta. Utrzymywał sekretną korespondencję z niejednym z dawnych stronników, co, jak Jabłonowski, Czarnkowski, Sapiehowie, Kryszpinowie, zbiegły z więzów moskiew-

skich Michał Wiśniowiecki — czekali sposobnej chwili, by porwać za broń przeciw rządom sasko-moskiewskim. Widok gorączkowego wrzenia, jakie ogarniało pozornie uległą i upacyfikowaną Rzpltą, mógł utwierdzić w nim przekonanie, że nie wszystko jest stracone; wystarczy poważne pośliźnięcie się cara, a gmach panowania Augustowego zawali się w gruzy. Moment taki zdawał się wybić w lipcu 1711 r., kiedy Piotr, zaufawszy lekkomyślnie obietnicom hospodarów księstw naddunajskich, niespodzianie ujrzał się nad Prutem otoczony pięćkroć silniejszą armią turecką. Na skwarnej, piaszczystej ziemi mołdawskiej decydowały się losy tronu Leszczyńskiego. Car, w przystępie desperacji, gotów był przyjąć najtwardsze warunki pokoju, wśród nich uznanie Stanisława władcą Rzpltej. Atoli sprzedajność i tchórzostwo wielkiego wezyra zepsuło jedyną sposobność odrobienia Połtawy. W zamian za nieznaczne ustępstwa, wśród nich obietnicę niemieszania się do spraw polskich i uszanowania dawnych wolności kozackich, wyniósł Piotr bezpiecznie głowę z matni. Załamało się w próżni wielkie uderzenie tureckie na Rzpltą, prysła konspiracja wewnętrzna. Wojska sprzymierzone, wyparłszy z granic Rzpltej Śmigielskiego, wdarły się na szwedzkie Pomorze. Stanisław, wypełniając do ostatniej chwili poruczony mu obowiązek zagrzewania senatu do pospiechu i energii w transportach wojska, ujrzał się zniewolony szukać schronienia w Szwecji.

Niespełna roczny pobyt Stanisława w ojczyźnie królewskiego przyjaciela nie zapisał się żadną śmielszą inicjatywą, żadnym donioślejszym posunięciem chociażby w dziedzinie myśli. Z niewdzięcznej roli egzekwowania rozkazów królewskich na senacie wywiązywał się nieszczególnie; cóż znaczyć mógł jego głos wśród poważnych statystów i wojowników, wśród których znajdował się Arwid Horn, bezpośredni sprawca wyniesienia go z nicości do majestatu! Przedkładając mu memoriał w sprawach wojskowych, rozpoczyna Leszczyński od następujących słów: *Voilà mes petits sentiments que je prie M. le comte Horn de représenter au Sénat.* Daje to dostateczną miarę, na jakiej stopie ułożył się stosunek między królotwórcą a dawnym elektem. Zresztą Stani-

sław starał się być dla senatu nie tylko ciężarem, ale pomocą. Gdy Karol XII zżymał się na opieszałość w wykonywaniu jego zleceń, przyjaciel tłumaczył mu łagodnie, że senat, ożywiony najlepszymi chęciami, pełen jest gorliwości i rozsądku, lecz ma do czynienia z olbrzymimi przeszkodami, należy go przeto sądzić wyrozumialej. Niemniej, twardy nakaz królewskości zrobił swoje. Zbiedzony kraj zdobył się na wystawienie dwudziestotysięcznej armii, której zadaniem miało być uwolnienie oblęganych twierdz pomorskich, Stralsundu, Szczecina i Wismaru. Z wyprawą tą łączył Karol XII najśmielsze oczekiwania. Wielki sukces militarny na północy miał poruszyć Turków i zaświecić znowu Augustowi w oczy pożogą podwójnej wojny. Stąd niezwykle staranne przygotowanie wojskowe ekspedycji i chęć nadania jej rozgłosu politycznego. Naczelnym wodzem mianowany został Stanisław, co obliczone było niewątpliwie na wywarcie odpowiedniego efektu na jego utajonych stronników w Polsce; faktyczna komenda spoczęła w rękach generała Magnusa Stenbocka. Obie nominacje były jakoby obliczone na udaremnienie oczekiwanych sukcesów. Stenbock odznaczył się w toku wojny północnej męstwem, bezwzględnością, niejednokrotnie srogim postępowaniem względem ludności cywilnej. Listy Leszczyńskiego do Karola tchną podziwem dla niestrudzonej energii generała, bez której wyprawa nie doszłaby do skutku. Wbrew tej chwalebnej reputacji i zasługom przeszłości, generał Magnus, podobnie jak ogromna większość szwedzkich dygnitarzy po Połtawie, przeżarty był do głębi niewiarą w zwycięstwo nad Moskwą. Na Pomorze szedł niechętnie, przytłaczająca przewaga liczebna wrogów działa nań hamująco, ratunek upatrywał w rozbiciu wrogiej koalicji przez oderwanie najmniej nieprzejednanych jej uczestników. W usposobieniu tym zgadzał się ze Stanisławem, który po przelotnej fali animuszu wojennego w okresie najlepszej koniunktury 1711 r. na całej linii nawracał do pierwotnych założeń o konieczności pokojowego wyjścia z matni.

Wyprawa Stanisława na Pomorze jesienią 1712 r. to jeden z najdziwniejszych epizodów w jego życiu. Nominalny wódz armii, w której spoczęła cała nadzieja Szwecji, król polski, wybie-

rający się na odzyskanie utraconego państwa, niemal bez walki wchodzi z wrogiem w układy, rezygnuje ze swych praw do tronu; co więcej, bierze na barki uciążliwą misję uzyskania dla tych postanowień sankcji Karola. Jarochowski szuka wyjaśnienia wyłącznie w charakterze Leszczyńskiego, zwłaszcza zaś w ówczesnym jego stanie duchowym. Trzechletnia tułaczka dała się mu srodze we znaki, ostatni rok pobytu w Szwecji przepełnił czarę goryczy. Miał Stanisław w świeżej pamięci przykre zajścia z senatem, zwłaszcza na tle spraw pieniężnych. Upokarzające wydzielanie mu królewskiej jałmużny wśród nie ukrywanych oznak pogardy, zuchwałe wystąpienia niektórych członków regencji musiały zostawić osad na dnie duszy nawet tak potulnego człowieka. A Stanisław nie był stworzony do znoszenia przeciwności na dłuższą metę. Jego wrażliwe usposobienie szybko się nużyło, trudności odbierały mu otuchę. To nie był Karol XII, który, podług napisu, wyrytego na cokole pomnika, „mógł upaść, ustąpić nie umiał". To był człowiek ustępstw, król abdykacji. Gdy w takim momencie, w obliczu czekającej go ostatecznej walki z przeważającą siłą wrogów, zjawili się kusiciele, zadanie ich okazało się nadspodziewanie łatwe. Zamiast po karkach Sasów i Moskali iść przebojem w głąb Rzplitej, Stanisław gładko wycofał się z gry.

W podobnym tłumaczeniu leży znów tylko cząstka prawdy. Miękkość, chęć kompromisów stanowiły niewątpliwie rys charakteru Stanisława, niesposób jednak zapominać, że był on jednym z najbardziej trzeźwo myślących polityków swej doby. Rzekomy marzyciel, puszczał swobodnie wodze swej fantazji, ile razy obracał się w dziedzinie fikcji literackich: w życiu codziennym był nieubłaganym obserwatorem rzeczywistości. Zmarnowanie tak świetnej sytuacji, jaką stworzyła wojna turecka 1711 roku, roczny pobyt w Szwecji, który otworzył mu oczy na zubożenie materialne i prostrację duchową kraju, wszystko to nakazało mu oceniać szanse dalszej wojny inaczej, aniżeli to czynił Karol XII, w swym schronieniu benderskim oderwany od rzeczywistości szwedzkiej, polskiej, rosyjskiej, w bezkresach swej romantycznej wyobraźni, w ogóle oderwany od spraw realnych tego świata. Jeżeli tak zuch-

wały rębajło, jak Stenbock, wybierał się na Rugię z niepokojem i zwątpieniem w duszy, cóż miał czuć w takim momencie Stanisław, mniej prostolinijny, głębiej orientujący się w całości katastrofalnego położenia! Do tych konsyderacji dołączył się moment jeszcze ogólniejszego znaczenia. Był nim całokształt ówczesnej sytuacji europejskiej, który wyjaśnia motywy postępowania Stanisława w niemniejszej mierze aniżeli dyspozycje duchowe, z jakimi wybierał się na wyprawę pomorską.

Rok 1712 był w dziejach wschodniej Europy jednym z momentów osobliwych, kiedy w różnych ośrodkach życia politycznego poczynała naraz kiełkować jedna wspólna idea, budziły się chęci uzgodnienia działań dla jednego wspólnego celu. W Turcji i na Krymie, w Wiedniu i Berlinie coraz silniej torowało sobie drogę zrozumienie niebezpieczeństwa, jakie przyniosło raptowne spotężnienie Moskwy. Nawet związany ściśle z dworem carskim August coraz niecierpliwiej znosił jarzmo tyrańskiej opieki i wzdychał po cichu do nadejścia chwili, w której będzie mógł pogodzić się na honorowych warunkach ze Szwedem i zwrócić oręż przeciw uciążliwemu sojusznikowi. Nawet wyspiarska Anglia, wobec zbliżającej się pacyfikacji na zachodzie, gotowa była wesprzeć koalicję antyrosyjską. Jedną z najwalniejszych przeszkód na drodze do jej utworzenia się była osoba Leszczyńskiego. Jak długo dźwigał on fikcyjną koronę polską, trudno było marzyć o pojednaniu dwóch śmiertelnych wrogów, Karola XII i Augusta. Abdykacja pseudokróla upraszczała niezmiernie sytuację, otwierając widoki zespolenia sił północy i południa na zgubę wyolbrzymiałej potęgi caratu. Delikatnej misji skłonienia Stanisława do dobrowolnego zamienienia ciernistego diademu na dostatnie życie człowieka prywatnego podjął się zaprzyjaźniony z nim tradycyjnie dwór berliński. Dla urzeczywistnienia swych planów w stosunku do elekta katolickiej Rzpltej posłużył się dwoma wybitnymi działaczami protestanckimi. Wspomniany już Jabłoński, który przed rozpoczęciem swej wielkiej kariery europejskiej pracował w Lesznie jako rektor szkoły i kaznodzieja i zadzierżgnął w tym czasie bliższe węzły ze Stanisławem, zwrócił się doń teraz ze wzruszającym apelem

w imię ratowania ginącej Polski: „Pomyśl o bezmiarze nieszczęść dwunastoletniej wojny, o rzekach krwi, którą przelano i która jeszcze popłynie, o ograbionych prowincjach, złupionych miastach, spustoszonych polach, wyniszczonych mieszkańcach, z gruntu wywróconych rzeczach boskich i ludzkich. Pomyśl o Polsce, pogrzebanej w polskich prochach, o ojczyźnie, która pogrążona w otchłani nieszczęść, zapadnie w nią jeszcze głębiej, jeżeli Bóg tego nie odwróci". Poselstwem ustnym obarczono burmistrza leszczyńskiego, Beniamina Arnolda, którym Stanisław posługiwał się w niejednej poufnej negocjacji.

1 sierpnia 1712 r. stanął emisariusz przed obliczem wygnanego władcy i przedłożył ofertę pruską. W zamian za wyrzeczenie się tronu zachować miał Stanisław tytuł królewski, uznany przez mocarstwa europejskie, oraz widoki na sukcesję tronu po Auguście. Rzplta, poza zwrotem dóbr dziedzicznych, zagwarantowuje mu pensję, która by umożliwiła egzystencję na stopie monarszej. Bezpośrednim następstwem abdykacji miało być zawarcie antyrosyjskiego sojuszu między Szwecją, Augustem a Prusami; trzy państwa wystawią wspólnie potężną armię i pozyskają pomoc Anglii i Danii. Przebieg rokowań opisał Arnold w szczegółowej relacji dla dworu pruskiego. Na wstępie zaznajomił Stanisława, że chodzi o sprawę polityczną niezmiernej wagi: „aby przez przywrócenie dobrego porozumienia pomiędzy N. Królem Szwedzkim a Królem Augustem można było położyć tamę coraz bardziej wzbierającej i w niebezpieczny sposób napierającej potędze moskiewskiej. Wspomniany monarcha, oceniając doskonale wagę i wysoką konieczność ostatniego punktu, okazał na wszelkie sposoby, że rzeczona propozycja jest mu szczególnie miła i że ze swej strony jest gotów i spragniony popierać ją aż do osiągnięcia końcowego celu". Gdy przyszło do szczegółowych pertraktacji, wyłonił się szereg trudności. Stanisławowi nie odpowiadała skromna rola zdetronizowanego monarchy, czekającego na łaskawym chlebie wątpliwej sukcesji. Zamiast tego zaproponował podział państwa: August zatrzyma Koronę, on

BIBLIOTEKA

Litwę z dodatkiem Kurlandii jako dziedzicznego lenna, gdyż ekonomie litewskie, zrujnowane wojną, nie dadzą mu przystojnego zaopatrzenia. Nie dość na tym, okazywał apetyt na trzy księstwa śląskie: legnickie, brzeskie i wolawskie, które August nabyć miał dla niego od cesarza. Senat i generalicja szwedzka dorzuciły ze swej strony szereg punktów: August wyrzeknie się sojuszu z Moskwą, odciągnie od niej Danię, wyprowadzi natychmiast swe wojska ze szwedzkiego Pomorza, odda kilka tysięcy ludzi pod dowództwo Karola XII.

Widzimy, że decyzja abdykacyjna Stanisława wyrosła na nierównie bardziej skomplikowanym podłożu aniżeli samo tylko zniechęcenie trudnymi warunkami życiowymi i wstręt do dalszych zmagań z losem. Cokolwiek powie się ujemnego o jego charakterze i moralności politycznej, trudno mu odmówić patriotyzmu, oczywista na modłę magnata doby saskiej, nadwątlonego despotycznym dyktatem Karola XII, niemniej szczerego w swym dążeniu do zapewnienia ojczyźnie lepszych warunków bytowania. Apel do jego sumienia królewskiego, by jak starożytny Kodrus poświęcił się za naród, nie mógł przebrzmieć bez echa, zwłaszcza gdy poświęcenie to miało być opłacone tak sowitą nagrodą. Również plan zgniecenia przewagi moskiewskiej przedstawiał się niewątpliwie pociągająco dla polityka, który biegiem wydarzeń wysunięty został na czoło obozu, głoszącego walkę z Moskwą, który planował rewindykację Kijowa i Smoleńska, podburzał przeciw carowi kozaczyznę, wiązał się z półksiężycem. Z drugiej strony zastanowić musi bezskrupulatność, z jaką traktował Leszczyński sprawy Rzpltej. Podział państwa na dwie części pod dwoma odrębnymi władcami był dlań czymś zupełnie naturalnym, gdy chodziło o zaspokojenie wygórowanych ambicji władania. Co zaś najgorsze, dalszy bieg wydarzeń okazał, że jak w tylu innych okolicznościach tak i teraz zabrakło Leszczyńskiemu wewnętrznego przeświadczenia o słuszności swych praw. Postawiwszy wygórowane żądania, bez większego oporu pozwolił się zepchnąć na skromny poziom dawnej egzystencji magnackiej, okraszonej większymi może dochodami pieniężnymi.

Lądowanie armii szwedzkiej odbyło się gładko, a powodzenie uwieńczyło pierwsze jej kroki. Stanisław odprawił triumfalny wjazd do oblężonego Stralsundu, witany z monarszymi honorami, wśród bicia dzwonów i salw artyleryjskich. Zaraz potem przyszła nieoczekiwana katastrofa. Duńczycy zniszczyli flotę, która przewiozła Stenbocka na Pomorze; pozostawało przebicie się przez łańcuch dwukrotnie liczniejszych wojsk nieprzyjacielskich lub układy. Karol XII popróbowałby pierwszego, Stanisław i Stenbock bez wahania wybrali drugie. 22 października na radzie generalicji szwedzkiej odegrana została ułożona z góry, starannie wyreżyserowana komedia. Stanisław oświadczył: „Służyłem do tego czasu za narzędzie sławy szwedzkiego oręża; nie chcę być teraz fatalną przyczyną jego zguby. Oświadczam gotowość poświęcenia mej korony i mych własnych interesów zachowaniu osoby króla, nie widząc innego ludzkiego sposobu, by go z obecnego miejsca pobytu wyciągnąć". Nastąpiły ze strony generałów zaklęcia wierności, zapewnienia, że gotowi są krew przelać dla utrzymania sprzymierzonego monarchy na tronie, a wreszcie... prośba: „abyś W. K. Mość wraz z poświęceniem, jakie czynisz ze swojej własnej osoby, raczył także u J. K. Mości Szwedzkiej bronić powziętego postanowienia".

Jeszcze osobliwszy spektakl odbył się tego samego dnia w trakcie spotkania między Stenbockiem a pierwszym ministrem Augusta, słynnym hr. Flemmingiem. Generalissimus szwedzki nie starał się ukryć przed przeciwnikiem trwogi, jaką przejmowała go liczebność Rosjan. Zgadzał się, że położenie Szwecji jest krytyczne i jedyny ratunek leży w natychmiastowym pokoju; cóż, kiedy upór Karola XII może wszystko obrócić wniwecz. Jedynym człowiekiem, zdolnym na niego wpłynąć, jest Leszczyński, należy go przeto pozyskać obietnicą wydzielenia Litwy i przyznaniem sukcesji. Flemming uderzył w ton patetyczny: rzecz jest sprzeczna z prawami fundamentalnymi Rzpltej, których król August święcie przestrzega. Gdyby skłonny był ustąpić kawałka Polski, mógł to był uczynić od dawna. „Krol jednakowoż wolał-

by zginąć, aniżeli wystąpić przeciw temu, co uroczyście zaprzysiągł. Co do mnie, wolałbym ustąpić z mego stanowiska, aniżeli krok jeden uczynić przeciw uczciwości i honorowi!". Notoryczny gwałciciel praw Rzpltej, tylokrotnie wchodzący z sąsiadami w konszachty rozbiorcze, występujący przez usta swego najzaufańszego powiernika jako obrońca jej całości i konstytucji przed zakusami Leszczyńskiego — trudno o bardziej niesamowitą maskaradę! Wobec tak stanowczego sprzeciwu Stanisław od razu spuścił z tonu. W czasie osobistego spotkania z Flemmingiem okazał uprzedzającą grzeczność, ani słowem nie reagując na pomijanie tytulatury królewskiej. O Litwie nie było już mowy; żądania antykróla ograniczały się do zwrotu posiadłości dziedzicznych, zapewnienia następstwa tronu oraz przyznania mu kilku starostw lub Kurlandii. Leszczyński powołał się wręcz na zobowiązania, zaciągnięte w sprawie cesji lenna Kettlerów na rzecz Karola XII; Flemming, nie bez racji, przypuszczał, że chodzi mu bardziej jeszcze o zyskanie dla siebie dziedzicznego księstwa pod protektoratem Szwecji. Bez trudu udało się Flemmingowi zredukować i tak już mocno ukrojone żądania. Ostateczny układ abdykacyjny, podpisany w Rybniku, 5 grudnia 1712 r., nie wspominał o tytule królewskim, udzielnym państewku ani sukcesji tronu. „Król Stanisław I" spadł na poziom dawnego wojewody poznańskiego, wyposażonego w szereg starostw, zamienionych w dobra dziedziczne rodu Leszczyńskich, obdarowanego nadto jednorazowym odszkodowaniem pieniężnym za poniesione straty i roczną pensję 150,000 talarów. Wszyscy stronnicy Stanisława otrzymać mieli zupełną amnestię. Tak przedstawiała się przyszła likwidacja majestatu.

Pozostawała rzecz najtrudniejsza — pozyskanie zgody Karola XII. Znano dobrze zacietrzewiony upór króla, jego ślepą nienawiść do Augusta, traktowanie królewskości Leszczyńskiego jako punktu, na którym nie znał kompromisu. Jednym uderzeniem pięści mógł rozedrzeć wątłą pajęczynkę świeżo zawartych układów. Liczył się z tym Stanisław, jak nikt chyba obznajomiony

z właściwościami duchowymi swego groźnego przyjaciela. List, wystosowany w trzy dni po oświadczeniu abdykacyjnym wobec generalicji i pierwszej konferencji Stenbocka z Flemmingiem, stanowił pierwszą, nieśmiałą jeszcze próbę przygotowania Karola na nie oczekiwany przezeń obrót wydarzeń. „Opuściłem Szwecję, otoczoną wrogami, tak od strony Norwegii jak Finlandii, a nawet odsłoniętą od strony Skanii, na wewnątrz ogołoconą z ludzi i pieniądza, i prawdę mówiąc doprowadzoną do krańcowej ostateczności wskutek tak długiej nieobecności W. K. Mości" — brzmiał nastrojowy początek epistoły. Następował opis wylądowania na Rugię, spalenia floty szwedzkiej wraz z ładunkami żywności i sprzętu wojennego, ciężkiej sytuacji, w jakiej wskutek tego znalazła się armia, pozbawiona prowiantu, w obliczu niemal trzechkrotnie silniejszego wroga, oszańcowanego linią obronną nie do zdobycia. Mając na względzie położenie Karola, oddalonego od swego królestwa, zależnego od kaprysów zmieniającej się polityki tureckiej, jak również ryzyko rzucenia ostatnich sił Szwecji przeciw wrogowi przeważającemu liczebnie i na doskonałych pozycjach, skłonił Stanisław Stenbocka do nawiązania rokowań. W trakcie rozmów z Flemmingiem wyszło na jaw, że strona przeciwna zamierza zabawiać przeciwnika, by tymczasem otoczyć Stralsund ze wszech stron i zmusić do kapitulacji głodowej. Niemniej, Flemming objawił chęć zawarcia odrębnego pokoju, który by zaszachował potęgę moskiewską, groźną zarówno dla Polski jak dla Rzeszy i innych państw. W tych warunkach postanowili Stanisław ze Stenbockiem spróbować przedarcia się do Meklemburgii. Niemniej, powaga sytuacji wymaga, aby król udzielił Stenbockowi pełnomocnictw do zawarcia pokoju. Jeżeli nie uda się przed wiosną pchnąć do Polski zagonów tatarskich, „liczba naszych przeciwników jest tak znaczna, że mogą nas zniszczyć, nawet nie walcząc i nie pozwalając się zbliżyć". Następował apel osobisty: „Co do mnie, zapewniam W. K. Mość, że utrata korony i wszystkiego, co mogę mieć w świecie, nie dotknie mnie tak, jak niepokój, który mnie pożera ze względu na osobę W. K. Mości.

Rozporządzaj mną, N. Panie, jak uznasz za właściwe, byle Twoja osoba i Twoje królestwo znalazły się w stanie bezpieczeństwa".

Bardziej stanowczo brzmiał drugi apel pokojowy, wystosowany w dwa tygodnie później już spod Rosztoku. Manewr dyplomatyczny wobec Flemminga odniósł pełny sukces; w trakcie rokowań udało się ściągnąć wojska z Rugii do Stralsundu, następnie wśród lekkich utarczek z Sasami przejść na terytorium meklemburskie. Położenie militarne Szwecji pozostaje mimo to fatalne. Nadchodząca zima nie pozwala na podjęcie działań, żywności brak do tego stopnia, że trzeba szukać żołędzi, nieprzyjaciel ciągle się trzyma za obronnymi szańcami. W obliczu tylu przeciwności trudno odtrącić z miejsca propozycje Flemminga, który okazał gotowość zerwania przymierza z Moskwą i skłonienia do pokoju Danii. Wszystko zależy teraz od decyzji Karola. „Zaklinam W. K. Mość, byś wziął pod rozwagę swoją uświęconą osobę, miejsce, gdzie się znajdujesz, trudność wydostania się zeń, ustawiczne zmiany, wiarołomstwo Turków, stan, do jakiego doprowadziła królestwo Szwecji długa wojna i Twoja nieobecność. Zważ trudności, na jakie napotka, jak sam byłem świadkiem, wyekwipowanie floty na rok przyszły, wskutek czego mało jest nadziei otrzymania świeżego żołnierza. W oczekiwaniu wojsk W. K. Mości, które z pewnością śmierci się nie boją, niemniej jednak są śmiertelne, zechciej rozważyć stan ogólny spraw europejskich. Czyż sprzymierzeni okazali najmniejszą chęć zagwarantowania pokoju altransztadzkiego? Czegóż nie zechcą nam narzucić po zawarciu pokoju z Francją, co rychło nastąpi? Uczucia dworu pruskiego są Ci już znane; wiesz, za jaką cenę poszukuje on Twojej przyjaźni. Po tym wszystkim, czyż mogę być, N. Panie, przedmiotem i nieszczęsnym narzędziem zguby tylu państw, takiego rozlewu krwi, i, co niech Bóg zachowa, jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, który dotknie uświęconą osobę W. K. Mości? Zresztą, skoro pomyślisz, N. Panie, o osadzeniu mnie z powrotem na tronie polskim, odkryjesz przeszkody nie do przezwyciężenia. W kraju panuje nędza, naród mój oddał się

ustawicznym knowaniom, nie będę się nigdy czuł na tyle pewny, by móc nim rządzić, chyba że będą mnie ustawicznie wspierały wojska W. K. Mości. Uczciwi stronnicy, jakich mam jeszcze w Rzpltej, zdolni są częściowo dźwignąć moje interesy, ale nie potrafią ich podtrzymać. Los mój oraz tych, co mi towarzyszą, będzie zawsze bardzo szczęśliwy, jeżeli pod protekcją W. K. Mości zdołamy przywrócić spokojność naszej ojczyźnie i nie będziemy narażeni na akty nieprzyjaźni, jakich król August nie będzie nam oszczędzał do końca swego życia. Teraz natomiast w razie jakiegoś nieszczęsnego wypadku, co niech Bóg odwróci, nie będziemy mieli gdzie się schronić z naszymi rodzinami. Jeżeli więc W. K. Mość zechcesz przysłać mi co prędzej pełnomocnictwa dla hr. Wellinga lub Stenbocka, by mogli działać w sprawach polskich podług mego uznania, przysięgam użyć ich dla zachowania Twojej chwały, spokojności mojej ojczyzny, ratunku Szwecji, a wreszcie zaspokojenia mnie i moich stronników. Widzisz, W. K. Mość, że król August skłania się do zerwania związków z Moskwą. Dzięki temu ujrzysz z zadowoleniem, jak przy pomocy Bożej wróg ten zostanie zwyciężony, zdobycze jego odebrane, Moskwa będzie musiała przyjąć prawa, które jej podyktujesz, Duńczycy wycofają się z wojny. Polska uspokojona i oderwana od Moskwy nie będzie w stanie nigdy ci szkodzić. Co więcej, Polska zostanie ukarana panowaniem króla Augusta za to, że nie umiała korzystać z Twojej protekcji, ja zaś wraz z mymi stronnikami do ostatnich dni naszego życia żywić będziemy wdzięczność za Twoje dobrodziejstwa".

Wczytując się w to błagalne wezwanie, niesposób znaleźć u jego podstaw sam tylko brak hartu moralnego, jak chce Jarochowski. Zapewne, przemawia zeń wielkie zmęczenie i troska o jutro. Trudno jednak odmówić Stanisławowi zarówno trafnego rozeznania się w położeniu politycznym i wojskowym, jak druzgocącej siły argumentacji. Nieczęsto odważał się ktoś położyć Karolowi XII przed oczy tak jaskrawy obraz wszystkich nieszczęść, jakie ściągnęła jego fantastyczna polityka na Szwecję. Stanisław, przypochlebiając się, równocześnie oskarżał. Rozpatrywane

z perspektywy historycznej, robią jego wywody wrażenie niemal proroczej wizji katastrofy potężnego państwa Karolów i Gustawów. Katastrofę tę pragnął odwrócić. Po perswazji pisemnej zamierzał osobiście zakołatać do królewskiego sumienia. Mimo posuniętej już pory zimowej, mimo czyhających po drodze niebezpieczeństw, w przebraniu, z nielicznym orszakiem swych najbliższych, ruszył król wygnaniec przez kraje pruskie, cesarskie, na koniec polskie, by w początkach lutego znaleźć się na ziemi padyszacha. Tu czekała go najprzykrzejsza niespodzianka, która wniwecz obróciła jego plany. Spodziewał się znaleźć przyjaciela w jego warownym obozie, w otoczeniu wojsk szwedzkich, polskich, kozackich — zastał bezsilnego więźnia, z nożem na gardle.

Bezmyślny upór i zaciętość Karola XII podały sobie ręce z tchórzostwem i sprzedajnością Wysokiego Dywanu, by doprowadzić do jedynej w swoim rodzaju katastrofy. Sytuacja polityczna na gruncie tureckim u schyłku 1712 roku przedstawiała się tak korzystnie dla sprawy szwedzko-stanisławowskiej, jak nigdy przedtem ani potem. Wiadomość, że Piotr, wbrew swym zobowiązaniom nad Prutem nie wycofał wojsk z Polski, wzburzyła Turków do głębi, spodziewany sukces Stenbocka podniósł ich zapał wojenny do zenitu. Poseł francuski przy Wysokiej Porcie tłumaczył przekonywająco, że August jest przyjacielem dwóch najgroźniejszych wrogów padyszacha: cesarza rzymskiego i cara moskiewskiego, natomiast Stanisław, wyniesiony na tron przy pomocy sułtana, będzie nadal wiernym jego sprzymierzeńcem. Oczekiwano tylko wiadomości o zwycięstwie Stenbocka, by wyprawić w pole czambuły tatarskie. Zamiast tego dowiedziano się o zawarciu rozejmu. Szanse Karola XII spadły do minimum. Z potężnego sprzymierzeńca zmienił się nagle w wiarołomcę, który pchając wyznawców proroka do wojny, sam paktuje z wrogiem. Wśród wzrastającego napięcia doszło 11 lutego 1713 r. do krwawej walki, w której Karol XII, pokonany przez przeważające siły tureckie, wraz z otoczeniem znalazł się w niewoli.

W takim właśnie momencie najgłębszego zaćmienia gwiazdy

Karolińskiej na horyzoncie tureckim zjawił się Leszczyński. Poznany w Jassach, uwięziony z rozkazu hospodara, znalazł się w położeniu wręcz groźnym. Rozpętany fanatyzm muzułmański nie szczędził w tej chwili nikogo, kto miał jakąkolwiek wspólność z Karolem XII. Towarzyszących mu emigrantów polskich bez litości ścigano, rozpraszano, brano w więzy; któż mógł zaręczyć, że ich król nie zostanie wydany w ręce Augusta, jeżeli nie sprzątnięty skrytobójczo ze świata? Prędko jednakowoż wziął górę praktyczny rozsądek wyznawców proroka. Karol XII, przy wszystkich kłopotach, jakie nastręczał Turkom, stał się skutecznym narzędziem wywierania presji na carze; podobny użytek w stosunku do Augusta można było zrobić z jego rywala. Niedawna wrogość jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zmieniła się w wyszukaną gościnność. Z więzienia w Jassach w triumfie sprowadzono Stanisława do Benderu. Wśród huku dział, przyjmowany z królewskimi honorami, odprawił Stanisław uroczysty wjazd do niedawnej rezydencji swego przyjaciela, niby zaprzyjaźniony monarcha, naprawdę pół-zakładnik, pół-więzień, osobą swą ułatwiający Turcji szantażowanie Rzpltej, skupiającej się przy Auguście.

Położenie Stanisława tym było kłopotliwsze, że nie z samymi Turkami miał do czynienia. Wiadomość o jego przybyciu wzburzyła do głębi Karola. Bohaterski a bezsensowny bój pod Warnicą, był dlań niczym w porównaniu z nie oczekiwaną eskapadą przyjaciela, który zamiast zagrzewać Stenbocka do walki, przybywa tu żebrać o pokój. Zmarszczenie brwi szwedzkiego królotwórcy wywołało niezawodny efekt. Stanisław pospieszył wytłumaczyć cel swego przybycia w odmiennym sensie, aniżeli to uczynił ostatnio w wielkim liście rosztockim. Przyznawał, że wchodząc w negocjacje z Flemmingiem, miał przede wszystkim na względzie Anglię i Prusy, którym zależało na pacyfikacji północnej i skierowaniu wspólnych sił przeciw Moskwie. Tłumaczył swoje stanowisko osobiste: cały świat chrześcijański i wszyscy poddani korony szwedzkiej uważają go za sprawcę przydługiego pobytu Karola XII w Benderze, było przeto jego obowiązkiem

złożyć ofiarę z ambicji osobistej dla ratowania Szwecji. Niemniej, przybywając do Turcji, zdecydowany był skorzystać z panującego tu nastroju wojennego i jeśli się uda, pociągnąć wojska sułtańskie w głąb Rzpltej, a przez to ułatwić Stenbockowi akcję od północy. Jeżeli natomiast Porta pogrążona w zwykłym letargu, nie zechce wystąpić czynnie przeciw Augustowi, wtedy odsłoni karty, oświadczając, że przybył zachęcać króla szwedzkiego do pokoju; niech zważa, że car z Augustem, pogodziwszy się ze Szwecją, tym łatwiej będą mogli wykonać swe zgubne zamierzenia przeciw ich państwu. Gdybym ich znalazł niewzruszonymi, rzuciłbym się do stóp W. K. Mości, jak dziecko do swego ojca, błagając, byś wziął pod uwagę stan Twego państwa i siły zbrojnej; czy jest rzeczą możliwą, aby bez dywersji wojennej Turków armia Twoja mogła pokonać trzy wrogie potęgi, przywieść moje sprawy w Polsce do pomyślnego stanu i umożliwić uświęconej osobie W. K. Mości powrót z bronią w ręku..." Jeżeli natomiast niezdecydowanie Turków i stanowczość króla udaremnią jego pośrednictwo pokojowe, uważać będzie misję za wypełnioną i podzieli losy swego dobroczyńcy. Po napisaniu tego wykrętnego tłumaczenia, którym przemazał Stanisław poprzednią śmiałą inicjatywę, przyszedł list od Karola z obietnicą rychłej poprawy stosunków z Portą i nakazem popierania u niej wspólnej sprawy. Nawrócenie Leszczyńskiego było już całkowite. „Wyznaję, że tkliwość (jeśli wolno mi użyć tego terminu), porywa mnie nieraz tak daleko, że chciałbym raczej obrócić się wniwecz, aniżeli narażać uświęconą osobę W. K. Mości. Skoro jednak Bóg w Swojej dobroci okazuje jej tak widoczne staranie, dokonuj, N. Panie, w dalszym ciągu swych przesławnych dzieł, a znajdziesz we mnie zawsze stanowcze i niezachwiane, aczkolwiek niegodne narzędzie Twojej chwały".

Tak zakończyła się najpoważniejsza próba samodzielnej polityki Stanisława. Odtąd służył wyłącznie dyrektywom Karola XII w kierunku pchnięcia Porty przeciw wspólnemu wrogowi. Pozornie był to dalszy ciąg polityki antyrosyjskiej; naprawdę, w ciągu półtorarocznego pobytu Stanisława na ziemi tureckiej doszło do

całkowitego zaprzepaszczenia programu, jaki przyświecał jego obozowi, on zaś sam, spychany biegiem wydarzeń po równi pochyłej, znalazł się w końcu w jaskrawej kolizji z obowiązkami nie tylko króla, ale obywatela Rzpltej. Rozwaga i trzeźwość polityczna ustąpiły miejsca awanturniczości w najgorszym gatunku, pragnienie ratowania kariery osobistej wzięło górę nad lepszymi pierwiastkami jego natury, które kazały mu myśleć o uspokojeniu znękanej wojną i dwukrólewiem Rzpltej.

Sojusz Karola XII i jego polskich adherentów z półksiężycem mieścił od pierwszej chwili tę ryzykowną dla Polski ewentualność, że Porta, obok chęci wstrzymania zalewu moskiewskiego, nie wyrzekła się dawnych planów zaborczych. Przedmiotem jej pożądliwości była polska Ukraina, dawny przedmiot sporów między trzema otaczającymi ją państwami. Jako narzędzie obrała ona nowego hetmana mazepińców, Filipa Orlika. Człowiek młody i niedoświadczony z łatwością dał się nakłonić do zawarcia z chanem krymskim sojuszu polityczno-wojskowego, którego celem miało być wywalczenie Ukrainy pod protektoratem islamu. Hetmanowi kozackiemu prędko otworzyły się oczy na wartość sojusznika, który traktował ludność ukraińską jako przyszły jasyr. Reszty dokonała interwencja Karola XII, który nie chcąc odstręczać swych polskich stronników, zabronił Orlikowi wchodzenia w konszachty z Krymem. W początkach roku 1713 był już hetman zaporoski dla Turków narzędziem zużytym. Przybycie Stanisława stało się przeto wydarzeniem ze wszech miar korzystnym. Niewielkim kosztem osiągnęli Turcy podwójny zysk: trzymając w ręku antykróla mogli szantażować Augusta i wymusić na nim żądane ustępstwa lub w zamian za pomoc przy osadzeniu Leszczyńskiego na tronie wymówić sobie odpowiednie wynagrodzenie. Wszystko zależało od odporności moralnej tytularnego władcy Rzpltej: czy odepchnie zdradliwe kuszenia niewiernych, czy w zamian za miraż korony splami się zbrodnią przeciw całości ojczyzny? Szereg świadectw dowodzi, że Stanisław obrał drugie wyjście. Jak gotów był zaspokoić pretensje szwedzkie do Kurlandii i Inflant, tak z lekkim sercem

poświęcał nie tylko szmat Ukrainy, ale okupiony krwawym trudem Jana III Kamieniec. Odpowiedzialność za ten krok niesłychany dzieliła z nim bawiąca w Turcji elita jego obozu. Ludzie ci, zagnani na obczyznę nadzieją przewrotu politycznego w Polsce, gotowi byli wszystko poświęcić, byle pod osłoną buńczuków tatarskich wrócić w triumfie do utraconych dóbr i urzędów. Piastunowie pierwszych nazwisk magnackich: Józef Potocki i Michał Wiśniowiecki, magnat litewski Kazimierz Kryszpin, obrotny Stanisław Poniatowski, śmiały partyzant Jan Grudziński — prześcigali się w obietnicach hojnego wynagrodzenia Turkom ich pomocy szmatem Ukrainy i twierdzą kamieniecką, a sekundowali im w tej niecnej robocie przywódcy sprzysiężenia stanisławczyków w samej Rzpltej, Jabłonowski i Janusz Wiśniowiecki.

Na postępowanie Stanisława rzucają pełne światło własne jego wypowiedzi w listach do Karola XII. Co w nich przede wszystkim uderza, to zupełna beztroska na punkcie najżywotniejszych interesów Rzpltej. Nie były antykrólowi tajne plany jego protektorów. Łatwo mógł sobie wystawić, jaki zamęt wprowadzi wniesienie do wnętrza kraju zarzewi nowej wojny. Co gorsza, gotowała się nowa trzecia z rzędu elekcja, kandydatem zaś na tron polski był wódz zrewoltowanych przeciw rządom habsburskim Węgrów, ks. Franciszek Rakoczy. Dla Porty była to ze wszech miar pożądana okazja wtrącenia Polski w tym rozpaczliwszy zamęt, wśród którego łatwiej mogła oderwać jej ziemie kresowe. Chan tatarski natrząsał się z Polaków, że dotąd mieli dwóch królów, z których jednego narzuciła im Szwecja, drugiego Moskwa, obecnie Turcja obdarzy ich trzecim. Nie trzeba było wielkiego męża stanu, by zadrżeć na myśl o ogromie niebezpieczeństwa, jakie zwalić się teraz miało na wycieńczoną Rzpltę. Próżno jednak szukać odgłosu tych nastrojów u Stanisława. Cała jego uwaga skoncentrowana była na jednym, zasadniczym dlań w tej chwili problemie: jak Augustowi poderwać grunt spod nóg? Przychodzi katastrofalna wiadomość, że Stenbock, wraz z całą armią kapitulował w twierdzy Tönningen, przez co znika możliwość wzięcia Rzpltej Augustowi w dwa ognie. Nic to! Stanisław wysyła do

Polski Szweda Klinkowströma z suto naładowanym mieszkiem, by próbował wzniecić nową rewolucję. Porta zawiera ostateczny pokój z Moskwą, przez co polityka szwedzko-stanisławowska traci swój zasadniczy cel i przemienia w bezideową wyprawę pretendenta po utraconą koronę, Stanisław pociesza się, że życzliwe intencje chana tatarskiego dobrze wróżą Polsce. Byle Porta zdecydowała się uznać go oficjalnie królem! „Przysięgam W. K. Mości — wywnętrza się przed Karolem — że pragnę mego dobra nie tyle przez miłość własną, co jest zresztą rzeczą naturalną, jak dla zadowolenia W. K. Mości, ponieważ w swej dobroci tak gorąco sobie życzysz poparcia moich interesów i mojego królestwa, aczkolwiek muszę wyznać, że często przeklinam w duszy moją koronę i wszystko, co naraża na najdrobniejsze ryzyko uświęconą osobę W. K. Mości". O ryzyku, na jakie narażona była w tej chwili Rzplta, ni słowa.

A było ono w owym momencie większe aniżeli kiedykolwiek. Obok groźby zaborów tureckich od południa, obok widma wskrzeszenia dwukrólewia z dodatkiem elekcji Rakoczego, zawisło nowe niebezpieczeństwo od północy. Usłużny sąsiad, Fryderyk pruski od początku wojny ofiarowywał się ze swoją pomocą to jednej, to drugiej stronie, w nadziei sowitej zapłaty kosztem Rzpltej. Karol XII odpychał dotąd pogardliwie kuszenia pruskiego pigmeja. Dopiero pod wrażeniem walących się klęsk zdecydował się teraz negocjować o poparcie Prus za cenę Warmii i Elbląga. Trzymając rzecz w sekrecie przed swymi polskimi adherentami, wtajemniczył w nią Stanisława. Wypowiedzenie się piastuna całości Rzpltej w tej materii tak jest charakterystyczne, że zasługuje na przytoczenie w całości, bez uronienia jednego odcienia myśli: „Dziękuje W. K. Mości za zaufanie, jakie mi okazałeś, ujawniając swoje rozkazy dla dworu berlińskiego. Co do mnie, pokierowałbym sprawą tak, jak na to zasługuje; obawiam się jednak, by Polska, która nigdy nie rządzi się swymi prawdziwymi interesami, nie sprzeciwiła się zamiarowi, tak zresztą zbawiennemu, dzięki któremu Rzplta znaleźć może zasłonę przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Ponieważ pretensja tego dworu

odnosi się widocznie do biskupstwa, sprawa religii może uczynić Polaków upartymi w tym punkcie. Jeżeli przytoczy im się racje, które za tym przemawiają, ja będę tym, na którego rzucą kamieniem. Będzie to zbrodnia, którą stale będzie mi się przypisywać, a W. K. Mość wiesz, że korona polska nie tylko jest źródłem przykrości, lecz że przyczyną tego jest słabość środków, jakimi królowie mogą się bronić przeciw narodowi. Wybacz mi przeto, N. Panie, szczerość, z jaką wypowiadam moje zdanie w tak drażliwej materii, prosząc Cię, abyś mi wyjaśnił, jakimi sposobami można skłonić do przyjęcia rzeczy, tak sprzecznej z usposobieniem narodu, zgromadzenia tak licznego, jak nasz sejm, bez którego król polski nie może niczego ustąpić, aczkolwiek lepiej stracić palec aniżeli głowę". Monarcha, który gładko dzielił ziemię polską między Szwedów i Turków, jedyny szkopuł w zaspokojeniu Prus upatrywał w przesądach Polaków, którzy nie chcą zrozumieć, że utrzymanie na tronie dawnego wojewody poznańskiego warte jest okrojenia granic.

W świetle tych faktów nie będzie niespodzianką scena, jaka rozegrała się 13 lipca 1713 roku między chanem tatarskim, Kaplan-Girejem, a Stanisławem i dwoma jego najznakomitszymi popleczni kami, Potockim i Wiśniowieckim. Niemniej, czytając bezimienną relację z Benderu, trudno oprzeć się wrażeniu, że ma się do czynienia z jednym z najhaniebniejszych dokumentów epoki. „Pytał się chan: Czego ze mnie pretendujecie? Odpowiedzieli: Bożej łaski i waszej Chańskiej Mości, abyś użył miłosierdzia nad nami i wziął nas w protekcję swoją pańską, jako będący mocny potentat. My zaś będziemy sposobu szukać, czym się przysłużyć Waszej Chańskiej Mości od osób naszych i od całej Rzpltej, abyś chciał interesa nasze utrzymać przez wszelkie sposoby osobą swoją. Pytamy się u Waszej Chańskiej Mości, co masz z nami czynić? Odpowiedział chan: Mam ferman taki od Cesarza Imci, abym wam dobrze służył i całej Rzpltej i prowadził was do Rzpltej i pytał się, co za przyczyna, z jakiej racji was wypędzono?... Oni na to odpowiedzieli: Dla Boga, Imci Chanie, nie prowadź na taką akcję nas, wolem tu, co chcesz, czyń nad nami,

niźli nas w tyrańskie ręce podasz na wieczną konfuzję. Chan na to odpowiedział: Czemuście mnie tego w Adrianopolu nie mówili, mógłbym wam u Porty wszystko sprawić; oni zaś, upadłszy do nóg chanowi, wszelkimi obietnicami: Dla Boga, ratuj nas i całą Rzpltą, jeżeli możesz. Chan: Chociaż będąc według obietnic, powtórnie deklaruję wam szczerym sercem służyć i utrzymać ciebie na królestwie polskim, jedno wystarajcie się o to, aby Rzplta w jedności była, i wojska sfomentować, a ja posyłam zaraz do Porty z tym, że Rzplta chce mieć króla Stanisława za króla... Teraz według fermanu ruszam się i wy ze mną idźcie. Życzę wam, bądźcie u Abdy Paszy, starajcie się o przyjaźń, żeby wam tak chciał szczerze służyć, jako i ja, i powiedzcie przed nim, co macie dla Porty uczynić. Odpowiedź brzmiała: „Jeśli ta łaska Porty i Waszej Chańskiej Mości nie minie, Kamieniec, Okopy, wszystkie Podole, Białą Cerkiew i Ukrainę obiecujemy".

Pragnęłoby się wiedzieć, jakie uczucia przenikały Stanisława, gdy tarzając się u nóg pohańca, usiłował zmiękczyć go wzruszającym obrazem swej niedoli i w zamian za przywrócenie na tron pchał w ręce obfite połacie ziemi polskiej. Korespondencja jego z Karolem, tak zwykle szczera, nie odsłania dramatycznego konfliktu, jaki powinien był w takiej chwili targać duszą królewską. Widać w niej jedno — niecierpliwą chęć najrychlejszego dorwania się purpury. Powtarzał wprawdzie Stanisław utarty frazes, że „nie tyle pociągają mnie powaby mojej cierniowej korony jak nadzieja przyczynienia się do satysfakcji W. K. Mości"; niemniej, namiętność gracza, który widzi się bliskim wygranej, ponosiła go coraz dalej poza szranki uczciwości i honoru. Widzieliśmy, z jakimi czuciami przyjął pierwszą wiadomość o ofertach Karola pod adresem Prus; osobiście daleki od dezaprobaty, krępował się względami na opinię Rzpltej. W miarę, jak zbliżała się decydująca rozprawa z Augustem, pierzchały ostatnie wahania, na pierwszy plan wybijała się żądza kupienia poparcia sąsiadów bez względu na cenę, jaką trzeba będzie zapłacić. W dwa dni po szpetnym spotkaniu z Kaplan-Girejem z radością zwiastował Karolowi XII „dobrą wiadomość z Polski": król pruski gotuje

się wkroczyć na jej terytorium „w celu faworyzowania naszych wspólnych interesów". Radość zmąciły wkrótce nowe wieści z Polski: oto hetman Sieniawski, główny, aczkolwiek mocno niepewny filar panowania Augustowego, przygotowując się do odparcia inwazji Turków, ze swojej strony skłonny jest ofiarować królowi pruskiemu jakieś nabytki terytorialne, byle utrzymać go w neutralności. W Stanisławie burzy się wszystko: tylko on jeden ma prawo dysponowania całością Rzpltej! „Skoro dochodzi już do tej ostateczności — wywnętrzał się przed Karolem — uważam, że lepiej utracić jeden członek aniżeli całe ciało i że należy zapobiec gangrenie". Niech przeto Karol podwoi swoje rozkazy ofiarowania Prusom żądanych nabytków; on ze swej strony zapewni nowego króla, Fryderyka Wilhelma I, że wraz z Rzpltą aprobują wszystko, co zaproponuje minister Jego Szwedzkiej Mości. „Może wiadomość o naszym wyruszeniu zachęci tego młodego władcę do wykonania swych zamiarów i nie pozwoli się on zachwiać zabiegami strony przeciwnej". Monarcha, który tron swój zawdzięczał szwedzkim muszkietom i brutalnej energii Arwida Horna, który świeżo frymarczył całością Polski, by ściągnąć w jej granice skośnookie zastępy tatarskie, doszedł do ostatecznej konkluzji, że zbawienie leży w pruskich pikielhaubach.

Wśród różowych zapowiedzi gotowała się wyprawa po koronę. Chan Kaplan-Girej i seraskier benderski Abdy-Pasza na czele dość licznego zastępu Turków i Tatarów powiedli ku granicy polskiej Stanisława w otoczeniu jego partyzantów, wśród których błyszczały takie nazwiska, jak Adam Smigielski, Grudziński, Urbanowicz, najpierwsze szable w ówczesnej Rzpltej. Mimo to Leszczyński nie czuł się pewny w tej asyście i zaapelował do Karola o przydzielenie mu szwadronu dragonów szwedzkich. „N. Panie — brzmiała ciekawa motywacja tego kroku — zbyt jestem przyzwyczajony, by nie rzec wychowany wśród twoich wojsk, byłoby mi przeto zbyt przykro, gdybym nie miał dokoła siebie niebieskich płaszczów". Z Polski dolatywały pocieszające wieści. Stronnicy Stanisława z Jabłonowskim na czele prowadzili usilną agitację, przygotowując szlachtę do wzniece-

nia rokoszu przeciw Sasowi. Obaj hetmani wielcy, Sieniawski i Pociej, byli pono skłonni za pojawieniem się Turków przejść na stronę przeciwną. Mogło się wydawać, że tron Augustowy runie bez poważniejszego oporu. W ostatniej niemal chwili przyszedł nieoczekiwany zwrot. Turcja nie miała zamiaru angażować się poważnie za Leszczyńskim; w planach jej leżało przyprowadzenie antykróla wraz z jego stronnikami nad granicę, po czym miało się okazać, czy obietnice jego były prawdziwe i czy istotnie kraj cały opowie się za nim. Gdy dyplomacja cesarska i państw morskich wystąpiła z energiczną interwencją za utrzymaniem pokoju, z Rzpltej zaś zaczęły nadlatywać wieści o skupiających się nad granicą wojskach polskich i saskich, którym przyjść miały z pomocą moskiewskie, wezyr przeraził się widma wojny z solidarnym światem chrześcijańskim. W mig zmieniła się sytuacja. Leszczyński, który przekroczył już Prut i pełen najlepszych myśli ciągnął na odzyskanie swego królestwa, został w brutalny sposób odstawiony do Benderu i poddany tam ścisłemu nadzorowi, partyzantom jego zabroniono występować przeciw Augustowi.

Ostatnia szansa dźwignięcia przegranej sprawy w oparciu o Turcję rozwiała się wniwecz. Leszczyński z chrześcijańską rezygnacją uznał, że „dobry Bóg wskazuje nam palcem, co należy czynić". Jeżeli łudził się jeszcze przez chwilę, że uda się nakierować politykę turecką na dawne tory, to prędko otrząsnął się z tych urojeń i przystąpił do jedynego rozwiązania, jakie w tej chwili pozostawało, mianowicie dogadania się z Augustem. Postanowienie było słuszne, wykonanie od pierwszej chwili natrafiało na przeszkody nie do przełamania. Strona szwedzko-stanisławowska nie chcąc zrozumieć, w jak katastrofalnej znajduje się sytuacji, zasypywała przeciwnika warunkami, wywołującymi uśmiech politowania. Natychmiastowe zerwanie z carem i Danią, wojna z wczorajszymi sojusznikami na spółkę ze zrujnowaną Szwecją i niepewnymi Prusami, dla Leszczyńskiego 200,000 talarów rocznej pensji, tytuł królewski i sukcesje tronu — tak przedstawiał się przyszły pokój w wyobraźni Karola XII. Stanisław, swoim

zwyczajem deklarował bezinteresowność, zapewniając, że jeżeli uda się Szwecję uratować z katastrofy, to potrafi ona lepiej zabezpieczyć jego los aniżeli wyznaczenie pensji ze strony Augusta, równocześnie jednak chwytał się pomysłów, świadczących, jak daleki jest od chęci wycofania się do życia prywatnego. Wznawiał zeszłoroczny pomysł wykrojenia mu z Rzpltej udzielnego państewka, tym razem nie na Litwie, ale na Rusi Czerwonej. Karol XII początkowo podjął skwapliwie tę myśl, niebawem jednak przekonał się, że inicjatorem jej był Potocki, który mając w tej części kraju olbrzymie latyfundia, byłby faktycznym władcą przy papierowym królu — Leszczyńskim. Przy formułowaniu warunków pokojowych dla Augusta nie zapomniał upomnieć się Stanisław o Kurlandię i Inflanty dla Szwecji, zapewne w nadziei, że przypadną mu one jako lenno. Beztroskę o całość Rzpltej posuwał aż do podniecania pożądliwości tatarskiej na polską Ukrainę, by w ten sposób zmusić Augusta do rychlejszego zawarcia pokoju.

Wszystkie zabiegi spełzły na niczym. August, doczekawszy się szczęśliwie przywrócenia pokojowego sąsiedztwa z Turcją, tym śmielej odpierać mógł wygórowane roszczenia przeciwników. Karol XII, udaremniwszy powstanie koalicji antymoskiewskiej, przerzucił się do przeciwległej krańcowości, w czerwcu 1714 r. składając ofertę pokojową pod adresem Piotra. Dalszy pobyt obu przyjaciół na ziemi tureckiej stał się bezcelowy. Pierwszy rzucił ją Leszczyński, jak zwykle incognito przekradając się w początkach roku 1714 z Mołdawii przez Siedmiogród do Kronsztadtu. Z westchnieniem ulgi żegnał „przeklęty kraj", pełen wdzięczności dla Stwórcy za oswobodzenie go od „tych przeklętych Turków". Z niemniejszym uczuciem ulgi zamyka dziś historyk ten rozdział w życiu króla Stanisława. Jeżeli stanowi ono osobliwą mieszaninę wzlotów i upadków, cnót i występków, to pobyt w państwie padyszacha aż przybija na duchu wyłącznym niemal skupieniem stron czarnych. Piastun majestatu Rzpltej, który gotów jest podpalić jej gmach z wszystkich stron, by z tego pożaru wynieść dla siebie strzęp fikcyjnej purpury królewskiej,

który jednocześnie pcha Turków w granice południowe, obiecując im Ukrainę i Podole, za Warmię z Elblągiem prowokuje najście Prusaków od północy, w momencie najgłębszej depresji marzy o wykrojeniu sobie udzielnego państewka z Rusi Czerwonej, nie zapominając o szwedzkich pretensjach do Kurlandii i Inflant — tego za wiele nawet na najciemniejszy okres doby saskiej, nawet na króla, obwołanego przez garstkę steroryzowanej lub przekupionej szlachty, wśród salw obcych muszkietów.

IV

MAJESTAT NA EMIGRACJI

Wyjazd Leszczyńskiego z Turcji zamknął kilkoletni okres jego życia, którego myślą przewodnią było odzyskanie tronu Rzpltej w walce z Augustem i Moskwą. Mimo pozorów bezczynności, wciąż znajdował się on w ośrodku wielkich przedsięwzięć, z członkami regencji sztokholmskiej roztrząsał możliwości gry dyplomatycznej, doglądał senat szwedzki w pracach nad wystawieniem nowej armii, wyprawił się z nią na Pomorze, z chanem tatarskim układał sojusze, maszerował w asyście turecko-tatarskiej na odzyskanie swego królestwa. Chwilami buntował się przeciw zgubnej, jego zdaniem, polityce Karola, na własną rękę paktował z przeciwnikiem, usiłował przekonać upartego protektora. Jakkolwiek bądź, był to okres żywej działalności antykróla, w którym znalazł więcej może sposobności okazania samodzielnej inicjatywy, aniżeli w czasie nominalnego królowania nad Rzpltą. Wszystko to skończyło się z chwilą opuszczenia Mołdawii. Karol, doszedłszy snadź do przekonania, że protegowany jego nie nadaje się do odgrywania czynnej roli, wyznaczył mu rezydencję w dziedzicznej swej posiadłości, Dwóch Mostach, w palatynacie nadreńskim. Usunięty poza nawias rozgrywających się wydarzeń, w otoczeniu sprowadzonej ze Szwecji rodziny i szczupłego dworu, strzeżony przez szwedzki garnizon, coraz bardziej oddalał się Stanisław od wielkiej polityki. Z mało wpływowego lecz bezpośredniego jej uczestnika stawał się odległym świadkiem. Coraz gorzej był informowany o pociągnięciach, od

których zawisła jego przyszłość. Chwilami usiłował wpływać listownymi radami na tok spraw, na ogół pogrążał się stopniowo w politycznym niebycie.

Pierwszą myślą Stanisława po osiedleniu się na nowej rezydencji było wyrwanie Karola XII ze szponów tureckich. „Na miłość Boga — zaklinał przyjaciela — miej, N. Panie, litość nad tymi, którzy upatrują w Tobie całe swe szczęście, miej wzgląd na Twoją chwałę, porzuć ten kraj przeklęty! Odpowiadam głową W. K. Mości, że skoro tylko wrócisz tutaj do Dwóch Mostów, będziesz mógł wyjść na czele armii, w otoczeniu przyjaciół, którzy wyciągają ramiona na Twoje przyjęcie. Inaczej królestwo Twoje stanie się pastwą wrogów, a wszyscy ci, którzy są przywiązani do Twojej osoby, doczekają się zguby jako najbardziej nieszczęśliwi na ziemi". Efekt tego listu „skąpanego łzami", jak pisał Stanisław, okazał się nadspodziewany. We wrześniu 1714 r. wyrwał się Karol XII z Turcji i przez Węgry i Niemcy przedarł na Pomorze ratować, co się jeszcze dało. Sytuacja z każdym miesiącem stawała się krytyczniejsza. Zakończenie wojny o sukcesję hiszpańską na zachodzie rozwiązało ręce państewkom niemieckim, pragnącym wziąć udział w rozdrapaniu nadbałtyckich prowincji Szwecji. Prusy z niedoszłego sprzymierzeńca przedzierżgały się w napastnika, ostrzył oręż przeciw Karolowi XII protestancki Hanower. W obliczu nowych niebezpieczeństw wysilał Leszczyński w swej samotni umysł, jakby rozedrzeć zacieśniający się pierścień przeciwników. Główna jego niechęć po dawnemu obracała się przeciw Francji. Oskarżał ją o obojętność względem nieszczęść, jakie spadają na Szwecję, o popieranie interesów Augusta z uszczerbkiem dla wiekowej sojuszniczki, wyrażał nadzieję, że „W. K. Mość nie będziesz potrzebował być temu państwu zobowiązany za przywrócenie swych spraw do dawnego stanu". Po dawnemu spodziewał się dużo po życzliwości cesarza, i nie tracił nadziei w możność porozumienia z Augustem. Poglądy jego na ten temat wahały się między dwoma krańcowościami: raz pozostawał pod wrażeniem dobrej woli Sasa, który rad oswobodzić się od uciążliwego przymierza z Moska-

lem, to znów stwierdzał z osłupieniem, że August w miarę niepowodzeń Szwecji staje się coraz twardszy i trudno się z nim dogadać. Przez cały rok 1714 adwokatował gorąco odrębnemu porozumieniu z przeciwnikiem, po raz nie wiadomo który składając osobiste swe ambicje na ołtarzu dobra Szwecji. „Proszę i zaklinam W. K. Mość, abyś rozporządzał mną stosownie do swej woli i swych interesów, w których pokładam zawsze najwyższą moją korzyść". Mylił się jednakowoż biedny Stanisław, przypuszczając, że strona przeciwna myśli szczerze o pojednaniu. Gdy on, rezygnując z purpury, marzył już tylko o spokojnym schronieniu głowy w swych dobrach wielkopolskich, ministrowie sascy rozpraszali podejrzenia cara Piotra zapewnieniami, że ofiarowana Leszczyńskiemu amnestia to prosty podstęp, by go oderwać od króla szwedzkiego; niech tylko uda się go zwabić do Polski, a król będzie już wiedział, jak go stamtąd oddalić.

W ciągu roku 1715 nastąpiło całkowite wyklarowanie sytuacji. Prusy niedwuznacznie przyłączyły się do koalicji antyszwedzkiej, August nie chciał słyszeć o odrębnym pokoju. Leszczyński, męcząc się w bezsilności, wygotował nowy plan ratunku. Za każdą cenę należy kupić pomoc Hohenzollernów. Ofiarować im Szczecin wraz z przylegającym terytorium, jako zastaw na przyszłe nabycie jakiejś prowincji polskiej, graniczącej z jego państwem, np. Kurlandii. Za tę cenę zgodzi się chyba Prusak złączyć swe siły ze Szwecją i zepchnąć z tronu Sasa. Zysk jego będzie nadto polegał na oswobodzeniu polskiej wolności spod jarzma Augustowego i poniżeniu Moskwy.

Tymczasem przyszły nowe powikłania, tak na widowni międzynarodowej jak w łonie Rzpltej. Wybuchł przeciw Augustowi rokosz mas szlacheckich, zwany konfederacją tarnogrodzką. Bezpośrednią przyczyną było niezadowolenie ogółu z łupieskich rządów wojsk saskich; u najgłębszych podstaw działały machinacje stronników szwedzkich, którzy pragnęli wyzyskać odruch tłumów dla ostatecznych rozrachunków z Augustem. Z nie lada naprężeniem śledził Stanisław ze swego nadreńskiego ustronia wstrząsające wydarzenia, w których brało udział tylu jego daw-

nych adherentów. Do marszałka związku wojskowego, Górzyńskiego, pisał czułe listy: „Nie wątp WMPan o błogosławieństwie Bożym, aby Ci nie miał dopomóc przeciwko tyrańskiemu panowaniu, nie wątp *de successu*, jeżeli mojej rady posłuchać zechcesz... A ponieważ, kochani Bracia, poczynacie widzieć, iż Wam źle z Niemcem, jakże sobie obiecywać nie mam, że sobie *per oppositum* Polaka życzycie. Ja innej cnoty nie mam, tylko żem nim jest, a zatem *sortes meas in manus vestras pono*".

Równocześnie zarysowywał się zasadniczy zwrot w orientacji zagranicznej Karola XII. Dotychczasowy antagonista caratu, w miarę walących się zewsząd klęsk, ostatecznego rozbicia rokowań z Augustem, przyłączenia do wrogiej koalicji Prus i Hanoweru, poczynał się skłaniać ku myśli pojednania z najpotężniejszym ze swych przeciwników. Zjawiła się na nieboskłonie szwedzkiej dyplomacji nowa gwiazda: niezmiernie rzutki, ruchliwy, przedsiębiorczy Holsztyńczyk, baron Görtz, który postanowił dokazać cudu: pojednać dwóch zwalczających się tytanów, Rosję zaspokoić jej nabytkami nad Bałtykiem, Szwecję pchnąć na zdobywanie Norwegii, pozyskać Prusy i wspólnymi siłami opróżnić tron polski dla Leszczyńskiego.

Sprawa antykróla przybrała wskutek tego zupełnie inną postać: dotąd nazwisko jego służyło za sztandar wszystkim, którzy w spotężnieniu Moskwy upatrywali śmiertelne niebezpieczeństwo dla Rzpltej, teraz miał wracać na stolec Rzpltej jako wspólny kandydat Karola XII i Piotra. Marszałek konfederacji tarnogrodzkiej, Stanisław Ledóchowski, uwielbiany przez szlachtę jako obrońca wolności przed despotyzmem saskim, po cichu opierał swoją politykę na porozumieniu dwóch bardziej dla Polski niebezpiecznych despotów, zwracając się cichaczem do Leszczyńskiego z prośbą o „skombinowanie" między sobą N. Króla Szwedzkiego i cara. Jak wyglądałaby Rzplta w razie udania się awanturniczych planów Görtza, nie trudno sobie wyobrazić: okrojona na rzecz Prus, które za pomoc otrzymać miały Elbląg i Warmię, zmieniłaby się w sferę wpływów dwóch żar-

łocznych imperializmów, szwedzkiego i moskiewskiego, z malowanym królem-rodakiem w Warszawie.

Mało tego. Przez cały ciemny i burzliwy okres dyplomacji görtzowskiej przewija się jak nić czerwona sprawa Stanisława w coraz dziwaczniejszych, coraz dla Polski szkodliwszych kombinacjach. Doznaje się wprost zawrotu głowy, słuchając, jakie pomysły wysmażyła dyplomacja szwedzka w związku z osobą dawnego wojewody poznańskiego. Co gorsza, autorem ich obok Görtza był Polak, Stanisław Poniatowski. W początkach wojny północnej skromny sługa domu sapieżyńskiego, później żołnierz w służbie Karola XII, przeprowadził rannego pod Połtawą króla na ziemię turecką, zabłysnął w Konstantynopolu jako pierwszorzędny dyplomata, któremu udało się czterech rusofilskich wezyrów wysadzić z siodła, sprytem i bezwzględnością zdobył podziw fachowych dyplomatów. O braku skrupułów świadczą znane nam oferty oddania Porcie ziem ukrainnych z Kamieńcem; były to jednak nieśmiałe początki w porównaniu z tym, co miało nastąpić w latach 1715—1718, kiedy pod wpływem Görtza dyplomacja zaczęła wywracać na opak kartę Europy. Najbardziej umiarkowanie przedstawia się plan samego Leszczyńskiego. Gdy w 1716 r. świeciły ostatnie przebłyski porozumienia z Augustem, Stanisław ofiarował abdykację w zamian za Kurlandię. Jak skromne były to żądania, świadczy pomysł, z jakim wyjechał następnego roku Poniatowski: ni mniej, ni więcej, jak potężne okrojenie Rzpltej od wschodu na rzecz Rosji, równocześnie zaś zapchanie paszczy Prusom, by na skrwawionej reszcie mógł spokojnie rozpostrzeć swoje władanie król Stanisław. W rok później popisał się przyszły kasztelan krakowski nowym pomysłem: Korona dla Augusta, Litwa dla Stanisława, obie połączone przymierzem w oparciu o — Habsburgów!

Oczywista, Görtz nie dał się zakasować i w kolejnych rokowaniach to z Saksonią, to z Francją, to z Moskwą — przykładał rękę do krystalizowania fantastycznych planów zaspokojenia zarówno ambicji królewskich Stanisława jak państw sąsiednich, których pomoc była w danej chwili pożądana. Nasamprzód wy-

BIBLIOTEKA NAUKOWA ASG
Nr ewid

łoniła się myśl poszukania dla antykróla sowitego odszkodowania w Rzpltej wraz z zapewnieniem mu następstwa tronu. Niebawem uznano, że Leszczyński będzie się najlepiej czuł na stolcu wykrojonego dlań państewka nadbałtyckiego, w którego skład wejść miała Kurlandia, Inflanty i Prusy Wschodnie, wydarte Hohenzollernom jako kara za ich nierzetelność. To znów zabłysnął olśniewający plan ściągnięcia na Rzpltą najazdu 80-tysięcznej armii moskiewskiej, która zmieniwszy kraj w kupę zgliszczy, osadzi przecież Stanisława na majestacie. Obok ruiny materialnej miała to Polska okupić Elblągiem z Warmią dla Prus i odszkodowaniem terytorialnym dla księcia meklemburskiego, którego dziedzictwo przypaść miało Szwecji. Nie brakowało również obietnic, że nowy król, odwdzięczając się Moskwie za pomoc, uzna wszystkie zawarte z nią traktaty za prawa kardynalne Rzpltej. Zbyteczne dodawać, że statyści szwedzcy, niezależnie od uskrzydlonych pomysłów Görtza, pilnowali skrzętnie obiecanej przez Stanisława zdobyczy kurlandzko-inflanckiej. Najwięcej zmysłu realnego okazał car Piotr, radząc Leszczyńskiemu zadowolić się zwrotem dóbr i obietnicą poparcia przy przyszłej elekcji. Na tle tych zabójczych dla Polski kombinacji rysuje się dopiero w całej wyrazistości bezmiar zła, jakim stało się dla Polski stworzone przez Karola dwukrólewie. Cóż stąd, że Rzplta była formalnie zjednoczona pod berłem Augusta, upadek zaś konfederacji tarnogrodzkiej położył kres wichrzeniom obozu szwedzko-stanisławowskiego, skoro antykról, bez rozgłosu rezydujący nad dalekim Renem, samym faktem swego istnienia dawał impuls do tak potwornych zamysłów.

Lata konfederacji tarnogrodzkiej i prób görtzowskich, przybliżając do Stanisława miraż odzyskania tronu, zaznaczyły się w jego życiu osobistym niejednym dotkliwym przejściem. W marcu 1717 roku śmierć zabrała mu dobiegającą osiemnastego roku starszą córkę, Annę. Warunki materialne pozostawiały wiele do życzenia. Rozkazem Karola XII cały dochód roczny z ks. Dwóch Mostów szedł na utrzymanie królewskiego emigranta, jego rodziny i dworu. Biorąc cyfrowo, nie było tego mało. Nie wia-

domo, ile zostawało Stanisławowi w kieszeni po opędzeniu nieodzownych kosztów, związanych z administrowaniem kraju, utrzymywaniem garnizonu i opłacaniem służby; to pewna, że człowiek o mniej sybaryckich nawykach a subtelniejszym wyczuciu ciężkiej sytuacji, w jakiej znajdowała się Szwecja, wolałby zacisnąć pasa, aniżeli nękać Karola XII prośbami o wsparcie. Podobna postawa nie odpowiadała naturze Stanisława. Układając wielkie plany polityczne, nękał równocześnie Karola XII sprawami czysto osobistymi czy familijnymi. „Pokładam tyle zaufania w szczodrość W. K. Mości — przemawiał zwykłym, uniżonym stylem — że powierzam w Jego ręce cały mój los oraz mojej biednej rodziny, będąc całkowicie przekonany, że jeżeli pierwszy plan przywrócenia mi tronu polskiego przez sojusz z królem Prus nie da się wykonać, czego życzę sobie raczej ze względu na chwałę i interes W. K. Mości aniżeli dla mojej satysfakcji, i jeżeli konieczne racje przeszkodzą W. K. Mości w dopuszczeniu do mojej abdykacji, która może zapewnić moją skromną fortunę, to w każdym razie raczysz, N. Panie, w swojej niezrównanej szczodrobliwości zatroszczyć się o jakieś zaopatrzenie dla mej biednej rodziny, którego nie będzie mógł zniweczyć żaden przypadek fatalny". Kiedy indziej, uderzył w ton płaczliwej żebraniny: „Ośmielam się zawiadomić W. K. Mość o moim stanie nad wyraz godnym politowania: jedynie skrajna nędza, w jakiej się znajduję, ośmiela mnie do tak otwartego tu stawiania sprawy". Szwecja przestała wypłacać mu subsydia, dochód z ks. Dwóch Mostów okazał się nie wystarczający, wobec czego rozpoczął za pośrednictwem Görtza starania o pożyczkę. Tymczasem uwięzienie śmiałego ministra przez Hanowerczyków, „stawia mnie w położeniu, które trudno określić; jestem bez kredytu i niemal bez środków do życia". Okazuje się jednakowoż, że Stanisław obmyślił środki ratunku. Pierwszym ma być przyznanie mu części subsydiów, jakie należą się Szwecji od sprzymierzonego dworu wersalskiego, drugim — skasowanie oddziału, pełniącego służbę w Dwóch Mostach.

Trudno czytać te propozycje bez głębokiego niesmaku. Kto



AVGVSTVS II REX POLONIÆ

BIBLIOTEKA NAUKOWA
Nr ewid.

inny w miejscu Leszczyńskiego, widząc rozpaczliwą walkę, jaką toczyła krwawiąca z wszystkich ran Szwecja z nawałem wrogów, pchnąłby ów garnizon na plac boju; on myślał, jakby zgarnąć pieniądze na jego utrzymanie do swojej szkatuły. Co więcej, w niepojętym wprost zaślepieniu wyciągał rękę po zagraniczne subsydia, mogące zapewnić państwu Karola XII dłuższy opór przeciw całemu światu nieprzyjaciół. Przy takim pojmowaniu roli nominalnego sojusznika trudno się dziwić, że ogół Szwedów, z którymi przychodziło się Leszczyńskiemu stykać, nie tylko uważał go za ciężar, ale darzył nie ukrywaną pogardą.

Gorsze od trosk pieniężnych było niebezpieczeństwo, jakie zaświeciło w tym czasie Stanisławowi w oczy ze strony rywala. Przekonawszy się, że pobity współzawodnik nie przestaje zagrażać jego tronowi, zdecydował się Wettyńczyk na użycie tak pospolitej w owej epoce broni skrytobójstwa. Od dawna otaczała Leszczyńskiego niewidzialna sieć wrogiego wywiadu. Najzaufańszy jego sekretarz, Gotlieb Biber, towarzyszący mu w dobie popołtawskiej we wszystkich wędrówkach, powiernik jego planów, prowadzący poufną korespondencję, był równocześnie na żołdzie dworu drezdeńskiego, któremu dostarczał szczegółowych informacji o każdym kroku antykróla i wydawał emisariuszów, spieszących do Szwecji czy Polski. Przy jego uczestnictwie, a z udziałem wysokich dyplomatów i generałów saskich, uknute zostało w roku 1717 sprzysiężenie, którego główne nici zbiegały się w rękach Flemminga. Zamachowcy, rekrutujący się spośród międzynarodowych awanturników, przeważnie Francuzów, porwać mieli Stanisława w czasie przejażdżki do klasztoru Graventhal, w razie zaś niemożności uwięzienia, położyć trupem. Rzecz wydała się zawczasu, dzięki czemu można było przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności. Zamiast Leszczyńskiego wyjechał w karecie królewskiej jeden z jego dworzan, w pewnej zaś odległości czaił się silny oddział jezdnych. Większość zbirów, zorientowawszy się w sytuacji, zdołała zbiec; trzech uwięzionych i skazanych na łamanie kołem, zawdzięczało ułaskawienie wspaniałomyślności Stanisława. Wypadek ten zdeprymował go

silnie, zwłaszcza że już rok przedtem otrzymał ostrzeżenie o gotującym się zamachu. Księstwo Dwóch Mostów przestało być bezpiecznym schronem. Rozpoczęło się gorączkowe szukanie nowego punktu oparcia. Po krótkim pobycie w miejscowości nadreńskiej Bergzabern przeniósł się Leszczyński do francuskiego Landau. Stamtąd wystosował pokorną suplikę do rządzącego Francją w małoletności Ludwika XV, ks. Orleańskiego o użyczenie gościny. Oczekującego decyzji z Paryża dosięgnęła wieść, że 11 grudnia 1718 r. Karol XII padł pod murami twierdzy norweskiej Friderikshall, nie wiadomo, czy od kuli Duńczyka czy Szweda, mszczącego się za ogrom cierpień, jakie sprowadził król na nieszczęsny naród.

Straszliwa wiadomość jak gromem uderzyła w Stanisława. Przyzwyczajony wierzyć ślepo w geniusz protektora, mimo coraz częstszych po Połtawie okresów zwątpienia, nie przestawał trzymać się kurczowo powtarzanych po tylekroć zapowiedzi powrotu na tron polski. Gmach rojeń walił się teraz w gruzy. Stanisław ujrzał się w Europie sam. Na kogoż miał liczyć? Na zdziesiątkowanych stronników w Rzpltej, którzy po upadku konfederacji tarnogrodzkiej musieli ostatecznie ugiąć się przed Augustem? Na dostojników szwedzkich, którzy poza paru ludźmi osobiście mu życzliwymi, przeklinali intruza polskiego jako jedną z przyczyn katastrofy? Na Turków, których gościny zażywał? Czy może na cesarza, Francję lub Prusy, którzy wszyscy śpieszyli uznać jego majestat po Altransztadzie, teraz zaś okazywali obcość, okraszoną niekiedy pogardliwym współczuciem. Raz jeszcze okazało się, jak przedziwną rolę przeznaczenia, ucieleśnionego w ludzkiej postaci, odgrywał w życiu Stanisława zgasły bohater szwedzki. Pojawieniem swym pchnął go na nowe tory, zwycięstwami wyniósł na wyżynę, klęską skazał go na tułactwo, zgonem wtrącił w nicość. Państwo, z którym związane były od lat kilkunastu losy Stanisława, pogrążyło się w chaosie. Zwątlała myśl skutecznego oporu. Jak najprędzej dogadać się z każdym z przeciwników i ratować z gmachu państwowego Szwecji, co się jeszcze uda! Zaprawdę, dość było w tej chwili w Sztokholmie po-

ważnych trosk, by wśród nich zapomnieć o losach polskiego pretendenta. Stanisław czuł to doskonale. Jak ryba wyjęta z wody, ciskał się konwulsyjnie na wszystkie strony, usiłując uczepić jakiejś deski ratunku. Nie pozwolić się pominąć przy gotującej się pacyfikacji północnej, nie dać się zepchnąć w otchłań zapomnienia, ubóstwa, poniewierki!

Główny wysiłek Leszczyńskiego po dawnemu skierował się w stronę Szwecji. Chodziło o dwie zasadnicze rzeczy: zawarowanie jego interesów w przyszłym traktacie pokojowym i zapewnienie mu środków do życia. Jak niegdyś żebraniną swą zadręczał Karola XII, tak teraz upokarzał się przed obcą mu siostrą zmarłego króla, Ulryką Eleonorą, która w ciężkich dla Szwecji dniach po Połtawie dała przykład hartu i wyrzeczenia się na ołtarzu sprawy publicznej. Apelował płaczliwie do jej „dobrego serca" i „troskliwości macierzyńskiej", wywodząc, że „jeżeli nie zasłużyłem u Szwecji na poparcie, tedy proszę o litość dla nędzy, w jakiej się znajduję nie mając z czego żyć i prześladowany przez moich wierzycieli". Gdy sejm szwedzki uznał królem małżonka Ulryki, ks. Heskokasselskiego Fryderyka, Leszczyński w pełnych patosu w słowach pośpieszył przypomnieć mu spuściznę, która spada nań wraz z koroną: „W. K. Mość znajdujesz we mnie w samych pierwocinach swego panowania władcę, wyzutego ze swego królestwa, sprzymierzeńca, uczestniczącego we wszystkich nieszczęściach Szwecji, i poświęcającego się zawsze dla jej zachowania, obywatela poza granicami swojej ojczyzny i nie mającego innych środków ratunku jak w dobroci W. K. Mości".

Trzeba przyznać, że nowa para królewska zachowała się wobec uciążliwej spuścizny moralnej po Karolu XII, jaką był jego polski sprzymierzeniec, z dużym pietyzmem. O zabezpieczenie jego losu mieli się starać: poseł szwedzki w Paryżu, Bielke, wyprawiony do Wiednia Eryk Sparre, oraz generał Trautvetter, obarczony misją zawarcia pokoju z Rzpltą. Stanisław wdzięcznym sercem przyjmował te starania, ale nie ułatwiał ich realizacji, podtrzymując nazbyt wygórowane pretensje. Co do tytulatury godził się na takie jej sformułowanie, jakie przyjął August w pokoju

altransztadzkim: będzie się zwać królem, ale bez wyszczególnienia, że polskim. W zamian za to ustępstwo zaśpiewał nie byle jakie warunki materialne: milion talarów w brzęczącej monecie, z tym, aż August nie zwali tego zobowiązania na Rzpltą, „z którą nigdy nie doszedłbym do końca", oraz zwrot zarówno dóbr dziedzicznych jak królewszczyzn, oczyszczonych z wszelkich długów. „Powierzam to wszystko osobliwej łasce W. K. Mości, prosząc ją przede wszystkim o nakazanie IM. Panu Generałowi Trautvetterowi, by nie przystępował do żadnej negocjacji, zanim artykuł ten nie zostanie przyznany z wszelkimi wymaganymi gwarancjami. Jestem głęboko przekonany, że uda się to osiągnąć, jeżeli W. K. Mość zechcesz łaskawie podtrzymać sprawę swym autorytetem; inaczej jestem stracony".

Chcąc ocenić postępowanie Leszczyńskiego w należytym świetle, wypadnie rzucić okiem na ówczesny obraz stosunków dyplomatycznych. Był to drugi po Połtawie moment, kiedy Europę przenikał dreszcz nastrojów antyrosyjskich. Podobnie jak w roku 1712 rysowała się na widnokręgu wielka koalicja przeciw caratowi, tym razem jednak oparta na dużo realniejszych podstawach. Skłócony z Piotrem na śmierć August zawarł właśnie alians z cesarzem i Anglią, w którym zapewnił sobie poparcie dwóch najpierwszych wówczas potęg w chrześcijaństwie celem uwolnienia Rzpltej spod wpływów moskiewskich. Około tej osi krystalizowały się wszystkie żywioły, spragnione odwetu na Piotrze. Od południa obiecywał dywersję nominalny hetman mazepińskich kozaków, Orlik, który podejmował się też rozruszać Turków i Tatarów; na północy stawiała na tę kombinację Szwecja. Głównym celem misji Trautvettera było właśnie rzucenie pomostu między oba zwaśnione kraje, których wspólny interes nakazywał sojusz przeciw wschodniemu zdobywcy. W takiej chwili, która zadecydować mogła o przyszłości Europy, Leszczyński nie miał nic pilniejszego do roboty jak wbijanie między oba państwa klina w postaci swych pretensji do tytulatury, włości, królewszczyzn, talarów. Z dziwnym brakiem wyczucia sytuacji rozdymał swoją mizerną sprawę do rozmiarów wielkiego

zagadnienia europejskiego, prosząc Ulrykę Eleonorę, by poparła go energicznie u dworów: wiedeńskiego, londyńskiego i wersalskiego. Co więcej, w własnym mniemaniu składał dowody najwyższego umiarkowania i złożył dostateczną ofiarę na ołtarzu dobra państwowego Szwecji, rezygnując z przywrócenia go na tron!

Lojalne ujęcie się Szwecji za pupilem swego króla nie odniosło zamierzonego skutku. Augustowi nie spieszno było czynić tak znacznych ustępstw dla unicestwionego wroga, którego tytuł królewski mógł się stać na przyszłość zarzewiem niepokojów. Próba pacyfikacji polsko-szwedzkiej załamała się. W listach do bezpośredniego sprawcy swej elekcji, potężnego teraz przywódcy obozu wolnościowego, Arwida Horna, wylewał pretendent swą żałość, utyskując, że nie pozwolono mu w ogóle zabrać głosu w tej „bolesnej materii". Mimo to nie składał broni. Z uporczywością bankruta, próbującego ratować resztki wielkopańskiej fortuny, zanudzał szwedzką parę królewską coraz nowymi pomysłami, świadczącymi, że trzeźwy do niedawna polityk stracił całkowicie poczucie rzeczywistości. Banita, żyjący na łaskawym chlebie, domagał się odnowienia traktatu przymierza, jaki zawarł z nim w zdobytej Warszawie przed szesnastu laty Karol XII. „Jest rzeczą oczywistą, że król August, widząc ten traktat, będzie mówił poważniej, a wszystkie mocarstwa, poza dobrymi usługami, zaczną działać z większą skutecznością, mając przed oczyma to nowe zobowiązanie się W. K. Mości względem mojej osoby". Drugim środkiem dźwignięcia jego sprawy będzie włączenie go do traktatu pokojowego z carem; wówczas August stanie się skorszy do pojednania. W związku z tym wypływała nieśmiertelna sprawa kurlandzka. Stanisław tak dalece przywykł uważać lenno Rzpltej za swoje przyszłe zaopatrzenie, że nie wzdragał się wywlekać tej kwestii w momencie, gdy nie mogło być mowy ani o nabytkach terytorialnych dla Szwecji, ani tym mniej o Smoleńsku i Kijowie dla Rzpltej. Rachuba jego była równie prosta jak fantastyczna. Belligeranci, zawierając pokój, nie będą mogli zapomnieć o tak znacznym uczestniku wojny północ-

nej jak dawny wojewoda poznański i obmyślą dlań godne zaopatrzenie. Ciężar ten powinien spaść na Rzpltą, że jednak od państwa w stanie anarchii i chronicznego ubóstwa trudno oczekiwać regularnego wypłacania pensji, musi się ona w inny sposób przyczynić do utrzymywania dawnego władcy. Niech król szwedzki obejmie w posiadanie Kurlandię czy inną cząstkę ziem polskich, przylegającą do jego państwa i z przypadających nań z tego tytułu dochodów wypłaca Stanisławowi należne mu sumy. Jeżeli Szwecja nie chce maczać w tym palców, Kurlandię wraz z obowiązkiem utrzymywania upadłej wielkości królewskiej weźmie car, król pruski czy jeszcze ktoś inny. Na podobne bezdroża schodziła myśl polityczna niedawnego przywódcy obozu antyrosyjskiego w Rzpltej.

Protekcja szwedzka nie wystarczyła Stanisławowi. Zamawiając sobie poparcie pary królewskiej na wypadek, gdyby rokowania pokojowe z Moskwą rozbiły się i trzeba było znów uderzyć w struny walki z caratem, równocześnie starał się wkraść w łaski potężnego wroga. Kombinacje Görtza nie zniknęły z polityki rosyjskiej bez śladu. Był moment, kiedy car, rozjątrzony na Augusta za formowanie wielkiego aliansu przeciwrosyjskiego, przez jednego ze swych dyplomatów usiłował nawiązać kontakt z którymś z pretendentów do tronu polskiego, Konstantym Sobieskim czy Leszczyńskim. Dlaczegóż Stanisław ze swojej strony nie mógłby odwołać się do wspaniałomyślności zwycięzcy spod Połtawy? W trakcie rokowań pokojowych, toczących się w miasteczku finlandzkim Nystad, Piotr otrzymał niespodziewanie czołobitne pismo, w którym Leszczyński, paląc kadzidła na cześć jego wielkoduszności, błagał o życzliwe ustosunkowanie się do jego sprawy w toku kongresu oraz o poparcie jej u króla i Rzpltej. Krok ten ze wszech miar był carowi na rękę. Oczywista, nie myślał popierać interesów szwedzkiej kreatury, za to przesłał jego list Augustowi i postarał się, by się o nim dowiedziała Rzplta. W ten sposób uzyskiwał Piotr nowy środek presji na wypadek, gdyby król i stany usiłowały strząsnąć rosyjską kuratelę. Stanisław, najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy z bezowocności, za-

razem zaś szkodliwości swego postępowania i w dalszym ciągu nagabywał cara sekretnymi poselstwami, dając mu do ręki broń przeciw własnej ojczyźnie.

Wygrywając protekcję szwedzką, starając się o moskiewską, nie zapominał Stanisław o dawnych swych stronnikach w Rzpltej. Ich także próbował wzruszyć swoją niedolą i wywrzeć za ich pośrednictwem wpływ na nieprzejednane usposobienie dworu. Jako rzecznika upatrzył sobie zaufanego niegdyś doradcę, Teodora Potockiego, posuniętego teraz na biskupstwo warmińskie. „Czy pytasz się też, mój kochany Dobrodzieju — w tych słowach apelował do jego przyjaźni — co się ze mną dzieje? Dziwowałem się, że nikt ani z krewnych, ani z przyjaciół, ani nawet z sprawiedliwych Polaków nie wspomni sobie na mnie, ale więcej mi dziwno, kiedy W. X. Mość, w którego osobie to wszystko *complectitur*, nie pytasz się, czy żyję? Minęły te czasy, co *pro crimine reputabatur* być moim przyjacielem, że jednoż to było być Szwedem; teraz niczego, tylko pokoju szukam, nazbyt to niewinna materia, żeby mi o nią nie godziło przymówić każdemu bez żadnej suspicji. Zgoła wiem, że i dwór na to pozwala, upewniam WMPana, żebyś interesa moje wziął w swoją opiekę i był mediatorem i pacyfikatorem moim, ponieważ intencja moja nie jest inna, tylko *contribuere* przez pokój mój *ad tranquillitatem regni et prosperitatem Regnantis*".

Dla dopełnienia obrazu gorączkowych zabiegów, jakie rozwijał Stanisław w przededniu zawarcia powszechnego pokoju, wspomnieć należy o osobliwej negocjacji, jaka toczyła się w związku z jego osobą między Szwecją a Francją. Dwór sztokholmski, dźwigając z honorem niewdzięczną spuściznę po Karolu XII, polecił swemu przedstawicielowi w Paryżu starać się o wypłacenie Stanisławowi sumy 50,000 talarów z należnych Szwecji zasiłków. Posłem tym był hr. Bielke, jeden z nielicznych Szwedów, z którym udało się Leszczyńskiemu wejść w bliższą zażyłość. Łatwo sobie wyobrazić, jak wyzyskiwał teraz Stanisław tę sytuację, wszelkimi sposobami usiłując pchnąć Bielkego do najenergiczniejszych wystąpień. „Popadłbym w rozpacz — wy-

wnętrzał się przed przyjacielem — gdybym mógł przypuścić, że WMPan nie myślisz o mnie. Zaklinam, wyprowadź mnie z tego mniemania i zważ, że jeżeli jesteś tym samym, co dawniej, nic naturalniejszego, jak użyć wszelkich sił, by mnie uratować od ostatecznej zguby, jaka mi zagraża każdego dnia. Wierzę, że hr. Tarło rozdarł WMPanu serce, przedstawiając mu moje opłakane położenie. Jesteś moim przyjacielem, jesteś ministrem Szwecji, a ja cierpię; zaprawdę, trudno te rzeczy pogodzić". Kiedy indziej zapewniał Bielkego, że „w nieszczęśliwości, w jakiej żyję, trudno mi oczekiwać czegoś dobrego skądinąd, jak tylko dzięki Twym łaskawym staraniom". Gdy na porządek dzienny weszła sprawa owych 50,000 talarów, Stanisław, dopominał się, by wypłacono je w dobrej monecie i podług kursu pieniądza, obowiązującego na Pomorzu, „jak leży w intencjach J. M. Mości i jak odbierałem zawsze pieniądze ze Szwecji". Niebawem jednak zaprzątnęła jego umysł bardziej wyszukana kombinacja. Pokaźna suma 50,000 talarów nie wystarczała na opłacenie długów, które rozrzutny nędzarz zdołał zaciągnąć w przeciągu dwóch lat po śmierci protektora. Czy nie dałoby się wycisnąć od dworu francuskiego czegoś więcej? Szanse wydawały się tym pomyślniejsze, że rokowania w tej sprawie prowadził hr. Bethune, zatem przez Jabłonowskich spowinowacony ze Stanisławem. Nic prostszego jak korzystając z jego życzliwości, zataić przed regentem, że subsydium dla Szwecji przeznaczone jest naprawdę na utrzymanie wygnanego antykróla i wyłudzić odeń jakąś kwotę dodatkową. Chcąc nakłonić Bielkego do tak wątpliwego zabiegu, z rutyną zawodowego żebraka rozmiękczał Stanisław jego serce obrazem swego rozpaczliwego położenia: „Trudno wyrazić, ile cierpię z powodu mego ubóstwa... Mój drogi, stary przyjacielu, osądź życzliwie, co dzieje się ze mną; żyję z własnej przemyślności, przytłoczony długami od śmierci nieboszczyka króla, i zapewniam WPana, że znajduję się u kresu mych zasobów". Przyznawał, że postępowanie jego wobec regenta nie jest całkiem w porządku, gdyby jednak ten szczodry książę znał wysokość jego długów, z pewnością dorzuciłby coś ponad obiecane subsydium. „Sam osądź, czy mogę dłu-

żej czekać. Wierzę, drogi hrabio, że biorąc pod uwagę moją skrajną nędzę, pochwalisz moje postępowanie".

Wśród tego krzątania się na wszystkie strony o pomoc dyplomatyczną, tytuł królewski, starostwa, subsydia, pożyczki, zaskoczyła Stanisława nowa hiobowa wieść. 30 sierpnia 1721 r. podpisany został w Nystadzie traktat pokojowy, sankcjonujący ostateczną ruinę Szwecji a wybicie się Moskwy na przodujące mocarstwo we wschodniej Europie. Uwiadomiony o tym oficjalnie przez Ulrykę Eleonorę, pośpieszył Leszczyński zrobić przysłowiową „dobrą minę do złej gry". Winszując zakończenia wojny z wylaniem dziękował za starania, jakie w trakcie rokowań podjęli w jego sprawie szwedzcy pełnomocnicy. Że nie zostały one uwieńczone powodzeniem, trudno się dziwić, zważywszy, że chodziło tu o losy całego królestwa; niemniej, nie wszystko jeszcze przepadło. Pozostaje pacyfikacja z Augustem, który znajduje się teraz w położeniu o tyle trudniejszym, że Szwecja nie dźwiga już na barkach brzemienia wojny z głównym przeciwnikiem.

Chwytając się ostatniej nitki ratunku, nie bardzo chyba Leszczyński wierzył, by mogło z tego wyjść coś pozytywnego. Likwidacja wojny północnej pociągała dla Szwecji ostateczne zerwanie z całą spuścizną okresu karolińskiego. Wraz z silną władzą królewską, groźnym militaryzmem, antagonizmem względem Rosji pogrzebano resztki względów dla nieszczęsnego eks-króla. Teraz naprawdę zaczęły się dla Stanisława ciężkie czasy, tym cięższe, że nie rozświetlone żadnym błyskiem nadziei. Po półtorarocznej tułaczce, w trakcie której zetknął się bliżej ze swoją przyszłą ojczyzną lotaryńską i otrzymał z prywatnej szkatuły panującego tam ks. Leopolda szczodry zasiłek 30,000 franków, w marcu 1719 osiadł wreszcie dawny król w miasteczku alzackim Wissemburgu. Osobliwszą koleją rzeczy mieszkańcy tego grodu w XV wieku niezadowoleni z reform swego władcy, tłumnie wyemigrowali do Polski. Wśród tych uchodźców znalazło się sporo wartościowego elementu, który trwale wzbogacił polską gospodarkę i kulturę. Jednym z nich był późniejszy sekretarz

i historiograf Zygmunta Starego, Just Ludwik Decjusz, który na kartach swego dzieła zapisał z wdzięcznością, że „Polska uważana była przez wissemburczyków za ojczyznę". Po półtrzecia wieku przyszło mieścinie alzackiej odpłacić się gościną elektowi kraju, który niegdyś tak życzliwie przygarnął jej dzieci.

Niewesoła to była gościna. Osiadłszy w pałacu, który ofiarowała mu patrycjuszowska rodzina Weberów, skupił Stanisław przy swym boku najbliższą rodzinę. Znalazła się sędziwa matka, wojewodzina Anna Jabłonowska, małżonka Katarzyna, do cna wyczerpana ciężkimi przejściami lat kilkunastu, coraz bardziej osowiała i zgryźliwa. Spośród licznego grona polskich stronników pozostali wierni Stanisławowi dwaj: dawny wojewoda lubelski Michał Tarło, który od kilku lat wziął na swoje ramiona niewdzięczny ciężar jeżdżenia po dworach europejskich za politycznymi i finansowymi sprawami swego pana, oraz Stanisław Meszek, który pełnił funkcję marszałka dworu. Sekretarstwo osobiste sprawował w dalszym ciągu nieoceniony Biber, nim po latach rzetelnych usług szpiegowskich nie zaciągnął się z powrotem do służby saskiej, później rosyjskiej. Dwaj duchowni, Labiszewski, kierujący wychowaniem Marii, oraz ks. Radomiński, spowiednik królowej, kilku urzędników, parę dam dworu, rekrutujących się spośród miejscowych szlachcianek — dopełniali miniaturowego dworu.

Życie płynęło jałowo i leniwie, wśród wzrastających braków materialnych i mnożących się długów. Ks. regent, poza pompatycznym oświadczeniem pod adresem posła saskiego, że „Francja zawsze była schronieniem dla nieszczęśliwych władców", i wypłaceniem Stanisławowi 20,000 liwrów w ratach, nie troszczył się o swego gościa. Dwór szwedzki od czasu do czasu kapnął jakąś kwotę pieniężną lub dał się uprosić o wstawiennictwo w Paryżu, coraz bardziej nadając tym aktom upokarzający charakter jałmużny. Stolica Apostolska, Madryt, Wiedeń, do których szturmował Stanisław, okazywały obojętność, współczucie lub dobre chęci bez realnej pomocy. Nie zapominał natomiast o wygnańcu alzackim August, w dalszym ciągu osnuwając około

niego złowrogą sieć zamachową. Kierownik ohydnej akcji, Flemming, wziął na swój żołd jednego z oficerów z najbliższego otoczenia Stanisława, niejakiego kapitana Junghansa, który obiecywał zgładzić swego chlebodawcę, dosypując mu do jedzenia trucizny. Przez cztery lata toczyła się w tej sprawie poufna korespondencja między sprzedajnym sługą a dworem drezdeńskim; w końcu niedoszły truciciel znalazł się u Flemminga pod kluczem, nie dopiąwszy swego zamiaru. W roku 1724 inny awanturnik, Brisquen, z szajką bandytów usiłował wyprawić Stanisława na drugi świat; na szczęście sprzysiężenie zostało na czas odkryte i udaremnione.

Hiobowe wieści dolatywały z Polski. Rozległe włości elekta znajdowały się w stanie ruiny. Dochód z nich z 60,000 talarów cesarskich spadł do 33,000, obdłużenie natomiast wzrosło do 300,000. Leszno trzymał pod imieniem Flemminga Żyd Lehman, Rawicz znajdował się w rękach Mielżyńskich, inni wierzyciele również pośpieszyli z ubezpieczeniem swoich pretensji. Pragnąc ratować resztki substancji, która „częścią w królewszczyznach kupionych alienowana, częścią w administrację oddana, częścią w posesji niesłusznych dłużników zostająca“, wyznaczył Leszczyński plenipotentów majątkowych w osobach obu Potockich, Teodora i Józefa, Michała Wiśniowieckiego, Jabłonowskiego oraz dawnego marszałka wrogiej konfederacji sandomierskiej, teraz zwaśnionego z dworem hetmana litewskiego Stanisława Denhoffa. Krok ten, to zaledwie drobny fragment akcji, jakiej nie przestawał Stanisław rozwijać w całej niemal Europie, wciąż przekonany o żywotności swych praw, wciąż wyczekujący skądś ratunku, a przynajmniej wsparcia. Od obnażania swej nędzy przerzucał się do pogróżek wywołania skandalu, od lamentów do strzelistych wynurzeń wdzięczności. Płaszczył się przed regentem, wysławiał biskupa strasburskiego ks. de Rohan, który gościł go nieraz w swojej rezydencji świeckiej w Sawerne, zabiegał o względy ministrów Króla Arcychrześcijańskiego i zgoła podrzędniejszych dygnitarzy, dla każdego mając miodowe słówka i ukłon stanowczo za niski jak na monarchę nawet na wygnaniu.

BIBLIOTEKA

Natomiast korespondencja ze Szwecją ujawniała nieraz przykre zgrzyty. „Zmieniłem zamiar wyjazdu do Szwecji — pisał do królowej w roku 1722 — mając na względzie tylko chęć oszczędzania W. K. Mości tysiąca kłopotów, jakie spowodowałaby obecność moja i mojej nieszczęsnej rodziny. Niemniej, wszystkie względy skłaniają mnie do tej podróży, a nędza mego losu wprost mi ją narzuca. Odważę się jeszcze znosić wszystko aż do powrotu hr. Tarły, mając zaufanie, że W. K.Mość zechcesz łaskawie zwrócić uwagę na zlecenia, które mu dałem i nie odmówisz obiecanej pomocy. Błagam na wszystkie świętości, racz mnie uchronić przed ostateczną zgubą..." Hornowi, zapowiadał bez ogródek, że przybędzie do Sztokholmu i nędzą swoją wywoła zgorszenie wśród ulicznego tłumu. To znów, dowiadując się o śmierci Piotra Wielkiego, tłumaczył dworowi sztokholmskiemu, że powinien skorzystać z tej zmiany dla uzyskania od nowego reżimu rosyjskiego odpowiednich warunków dla sprzymierzonego monarchy bez ziemi.

Wśród takich rojeń, coraz jaskrawiej kontrastujących z rzeczywistością, mijał rok po roku. Mogło się zdawać, że aktywne życie Stanisława dobiegło kresu. Nominalny władca Rzpltej, towarzysz przepraw Karola XII, z którym rokowały głowy koronowane, coraz bardziej zapadał się w niepamięć. Zostawał Stanisław Leszczyński, przez uprzejmość tytułowany królem, naprawdę człowiek prywatny na łaskawym chlebie, wygnaniec bez widoków powrotu do kraju, trapiony przez wierzycieli, sam będący utrapieniem Szwecji, Francji, wszystkich, po których mógł się spodziewać najskromniejszego chociażby datku. Nieoczekiwanie rozdarły się ołowiane chmury. Nad Wissemburgiem zabłysnął nie promień, ale cały snop światła słonecznego. Wschodziła dla królewskiego banity nowa era, w której odnaleźć miał pewny grunt pod nogami, z niebytu wzbić się na wyżyny, osobą swą wpływać czynnie na kształtowanie się losów Polski i Europy.

V

TEŚĆ KRÓLA ARCYCHRZEŚCIJAŃSKIEGO

Innym szlakiem biegnie legenda historyczna, innym — ścisłe badania naukowe. Pierwsza z upodobaniem podkreśla czynnik fantastycznej niezwykłości, który szarą prozę życia ludzkiego w baśń przemienia, druga w wydarzeniach najbardziej osobliwych doszukuje się jasno określonych motywów, wypływających z biegu spraw doczesnych i czysto ludzkich rachub czy namiętności. Kontrast obu ujęć przeszłości z wielką jaskrawością zarysowuje się w sprawie małżeństwa Marii Leszczyńskiej. Trudno chyba o przedmiot, w równej mierze pobudzający wyobraźnię i sentyment. Dziedzic najpotężniejszej korony w chrześcijaństwie, co więcej, „najpiękniejszy młodzieniaszek w swoim królestwie", zrywa zaręczyny z uroczą infantką hiszpańską, odrzuca rękę córy Piotra Wielkiego, by wprowadzić w swój dom ubogą, niepiękną, w dodatku starszą o siedem lat córkę tytularnego króla na wygnaniu! Konsekwencje niezwykłego kroku zaciążyć miały na przeznaczeniach Europy. Hiszpania, śmiertelnie urażona, zwiąże się natychmiast z domem habsburskim. Moskwa, raz jeszcze odepchnięta od Wersalu, poszuka przyjaźni Wiednia i wynikłym stąd aliansem dwucesarskim nada decydujące piętno sprawom europejskim XVIII stulecia. Ludwik XV wraz z ręką dawnej wojewodzianki poznańskiej przejął pretensje teścia do władania Rzpltą. Z alkowy poślubnej króla arcychrześcijańskiego wiedzie prosty szlak na pola bitew wojny o sukcesję polską, która Bourbonom przynieść miała Lotaryngię, Polsce — nowy zawód, upo-

korzenie, klęskę, zarazem zaródź przyszłego odrodzenia. Ileż powodów, by sprawą mariażu Leszczyńskiej, obok legendy i powieściopisarstwa, zajęła się usilnie nauka historyczna. Rezultaty jej dociekań wypadłyby analogicznie jak odnośnie do całego życia króla Stanisława. Znika nimb nadzwyczajności, romantyka ustępuje miejsca prozie, przyziemne intryganctwo małych ludzi odzyskuje w całej pełni należne mu miejsce na kartach historii.

Ze śmiercią Króla-Słońca rozpoczęło się stopniowe obsuwanie Francji z wyżyn wielkiego wieku w padół pospolitości. Wielcy królowie i ministrowie ustępują miejsca postaciom tuzinkowym, ster rządów wielkiego państwa zagarniają faworyci, intryganci, kobiety. Nominalne rządy małoletniego Ludwika XV otworzyły szeroko pole rywalizacjom książąt krwi. Zaledwie Ludwik XIV zamknął oczy, gdy wbrew jego testamentowi zagarnął wyłączną regencję ks. Filip Orleański. Ośmioletnie rządy protektora Leszczyńskiego zapisały się nie spotykanym w dziejach Francji wyuzdaniem obyczajowym, orgiami spekulacji, rozgłośnym skandalem Lawa. Po przedwczesnej śmierci wyniszczonego szalonym trybem życia regenta stanowisko pierwszego ministra zajął przedstawiciel młodszej gałęzi królewskiej, ks. Bourbon. Prawnuk w prostej linii wielkiego Kondeusza był typowym okazem dekadencji świetnej niegdyś krwi. Mężczyzna trzydziestoletni, odrażająco brzydki, jednooki, w obejściu szorstki i niemiły, łączył najzwyklejszą przeciętność umysłu i brak doświadczenia w sprawach państwowych z chęcią błyszczenia i żądzą władzy. Przy tego rodzaju ministrze, nadmiernie ambitnym a i tępym, musiała się znaleźć kobieta sprytna i bezwzględna. Stała się nią margrabina de Prie, pierwsza z rzędu faworyt, które nadadzą przedrewolucyjnej Francji jej specyficzne piętno. Córka wzbogaconego handlarza, urodą i posagiem zdobyła tytuł arystokratyczny i rangę żony ambasadora, by rzuciwszy męża, związać swe ambitne widoki z karierą ks. Bourbon. Górując nad nim nieskończenie inteligencją i obrotnością, a dorównując mu brakiem skrupułów i niepohamowanym rwaniem się do władzy, w krótkim czasie zdobyła nad kochankiem krwi królewskiej wpływ nieograniczony. Naj-

pierwszym nakazem jej polityki stało się utrzymanie tego wpływu na najdłuższy okres czasu. Książę był wdowcem. Matka pragnęła gorąco powtórnego ożenku syna ze względów zwłaszcza dynastycznych, on sam żywił również ambicję kontynuowania wielkiej linii Kondeuszów. Świetnych partii nie brakowało. Piotr. W. ofiarowywał pierwszemu ministrowi Francji rękę córki, wraz z widokami na tron polski. Takie kombinacje krzyżowały oczywista interes markizy de Prie. Sprytna intrygantka, zrozumiawszy, że ożenek kochanka stanie się z czasem koniecznością, postanowiła naraić mu żonę, która zawdzięczając jej wszystko, zniknie w jej cieniu i pozostawi jej nienaruszony wpływ na księcia, sama kontentując się tytułem i pozorami. Na tle takich rachub doszło do pierwszego nawiązania kontaktu między faworytą premiera a wygnańczym dworem w Wissemburgu.

W miarę, jak rozwiewał się majak korony królewskiej, uwaga Stanisława ogniskowała się coraz wyłączniej w jednym punkcie: wydać córkę jak najświetniej za mąż. Zadanie nie przedstawiało się łatwo. Tytularna królewna a faktyczna nędzarka, bez jednej całej koszuli, w rezydencji wissemburskiej dosłownie przymierająca głodem, bez stosunków w Europie, w dodatku obarczona rodziną z jej niewygasłymi pretensjami do tronu polskiego — gdzież znajdzie się odpowiedni dla niej konkurent? Podejmowane przez zapobiegliwego ojca próby wyswatania jedynaczki za któregoś z książąt krwi: Bourbona, zaraz po jego owdowieniu, czy ks. Badeńskiego — spotykały się z cierpką niekiedy rekuzą. Znalazł się szlachcic francuski, markiz de Courtanvaux, wnuk w prostej linii wielkiego Louvois, który zapragnął uświetnić świeży arystokratyzm swego rodu małżeństwem z tytularną królewną. Stanisław gotów był przyjąć i tego zięcia z otwartymi rękoma, byle dwór francuski uświetnił jego skromny splendor niedawnego markiza i pułkownika kawalerii tytułem diuka i para, atoli regent nie był skłonny do ofiary, której odmówił niegdyś Ludwik XIV królowej Marysieńce.

Trudność położenia Marii potęgowała okoliczność, że tak natura jak wychowanie i bieg życia odmówiły jej cech, zarówno

dodatnich jak ujemnych, które kobiety niskiego nawet pochodzenia wynoszą na świecznik. Zarówno jej wizerunki jak świadectwa współczesnych dowodzą, że brakowało jej olśniewającej urody. Ciężkie przejścia życia, najpierw burzliwego, z ciągłym wyczekiwaniem na wiadomości decydujące o losach ojca i kraju, wspomnieniami wojny i pożogi, tułaczką i nagłymi wyjazdami przypominającymi ucieczkę, potem pogrążonego w marnej wegetacji Dwóch Mostów i Wissemburga, przykra atmosfera domu, przy boku zgorzkniałej i nie kochającej jej matki, zabiły w młodej dziewczynie kokieterię i radość życia. Przyczynił się do tego niewątpliwie system wychowawczy ojca. Król Stanisław, niezmiernie do jedynaczki przywiązany, poświęcał jej sporo czasu, usiłując wszczepić w nią zalety, które uważał za najważniejsze dla przyszłej żony i matki. Podstawę edukacji stanowiła właściwa Leszczyńskiemu głęboka religijność, z położeniem silnego nacisku na praktyki; o ile jednak król Stanisław godził doskonale wiarę chrześcijanina z używaniem rozkoszy tego życia nawet poza szrankami, wykreślonymi nauką Kościoła, u córki gorąca pobożność przerodziła się niebawem w skłonność do ascetyzmu, która fatalnie zaciążyć miała nad jej pożyciem małżeńskim z Ludwikiem XV. Duży nacisk kładł Stanisław na dziedziczne w rodzie Leszczyńskich zamiłowania humanistyczne. Maria nabrała gustu do solidnej lektury, zwłaszcza dzieł francuskich; nie darmo nazwie ją ojciec „Francuzką z wychowania". Obyta towarzysko, posiadła sztukę tańca, śpiewu, gry na klawicynie, oddawała się z upodobaniem rysunkom i malarstwu, nie stroniąc równocześnie od zajęć życia codziennego, jakimi dla ówczesnej panny były gospodarstwo, kołowrotek i krosna. Rozmiłowana w uczynkach miłosierdzia, mimo więcej niż skromnych środków potrafiła robić około siebie dużo dobrego, zyskując wśród biedoty wissemburskiej sławę pani miłosiernej i wrażliwej na ludzką niedolę. W całości była to jak naówczas panna o więcej niż przeciętnej ogładzie, ujmująca wdziękiem młodości, naturalnością obejścia, dobrocią serca, ale jakże daleka od lwic salonowych Wersalu i Fontainebleau, od sawantek i precieuz, od całego świata, w którym



mal. Nattier

MARIA, KSIĘŻNICZKA POLSKA,
królowa Francji i Nawarry

ryt. Tardieu

BIBLIOTEKA NARODOWA ASG

wśród olśniewających akcesoriów najpierwsze kobiety Francji wyładowywały nieskrępowanie błyskotliwe walory intelektu i gorącość temperamentów.

Ten właśnie zespół cnót i braków pasował Leszczyńską w oczach pani de Prie na idealną małżonkę ks. Bourbon. Pomiędzy faworytą premiera a dworem wissemburskim nawiązały się pierwsze kontakty. Sprytna markiza poczynała urabiać przyszłą księżnę Bourbon na zobowiązane jej i podatne narzędzie. Łatwowierny prawnuk Kondeusza, odgrzebując w duszy zamierzenia wielkiego przodka, roił, że małżeństwo z córką dawnego elekta Rzpltej utoruje mu w przyszłości drogę do tronu polskiego. Stanisław, u szczytu marzeń, odnajdywał w osobie pani de Prie łaskawą protektorkę swych losów, jakiej brakowało mu od zgonu Karola XII. Już przybył do Wissemburga modny wówczas portrecista Piotr Gobert, by sporządzić dla ks. Bourbon konterfekt jego przyszłej, gdy wtem układana misternie przez panią de Prie intryga pałacowa przybrała nieskończenie rozleglejsze rozmiary, wyrastając do rzędu wydarzenia europejskiego.

Od trzech lat Ludwik XV zaręczony był z infantką hiszpańską, Anną Marią. Związek ten, mający scementować przyjaźń dwóch świeżo powaśnionych linii bourbońskich, obliczony był na dość odległą przyszłość, skoro infantka w chwili zaręczyn liczyła zaledwo trzy wiosny. Podobny stan rzeczy krył dla Bourbona groźne perspektywy. Pominąwszy fakt, że prawnuczka Ludwika XIV, dorósłszy, nie byłaby zapewne skłonna ulegać dyktatowi markizy de Prie, młody król, słabowitego zdrowia, mógł zemrzeć bezpotomnie, a wówczas tron francuski dostawał się nienawistnej, starszej linii Orleanów. Miła parka, nie zważając na międzynarodowe następstwa swych postępków, postanowiła zerwać projektowany mariaż hiszpański i dać młodemu królowi żonę, która byłaby zdolna jak najprędzej obdarzyć Francję delfinem. Zakrzątnięto się po cichu około ułożenia listy księżniczek, których kwalifikacje osobiste mogły predestynować na tron Francji. Ostateczna ich liczba została ustalona na siedemnaście. Nie będziemy wchodzić w szczegóły misternych kom-

binacji przy pomocy których markiza de Prie wraz z kochankiem potrafili utrącić kolejno wszystkie kandydatki, by zatrzymać się przy nie branej początkowo w rachubę Marii Leszczyńskiej. Skromna, uboga, bez wyraźnej indywidualności, bez oparcia z zewnątrz — czyż nie wymarzona królowa Francji, przy której pierwsze skrzypce grać będzie po dawnemu miłośnica ks. Bourbon? W marcu 1725 r. wybuchnął przygotowany po cichu skandal. Mała infantka, oczekująca od trzech lat w pozłacanych komnatach Wersalu przyszłych losów małżeńskich, odesłana została z powrotem na dwór madrycki. Równocześnie udało się do Wissemburga poselstwo swadziebne z prośbą o rękę Leszczyńskiej. Niespodzianka była niezmierna; oczekiwano oświadczyn ks. Bourbon, tymczasem w roli konkurenta występuje sam Król Arcychrześcijański! Stanisław wrócił właśnie z łowów, gdy doręczono mu bezcenne pismo. Pod pierwszym wrażeniem zemdlał, w karecie. Przyszedłszy do siebie, wezwał żonę i córkę i rozkazał im na klęczkach dziękować Bogu. „Ojcze — zawołała Maria — czy wezwano cię z powrotem na tron polski?“. „Nie, córko — odrzekł Stanisław — niebo sprzyja nam bardziej; jesteś królową Francji!“

Tak dzięki nierzetelnym zabiegom ograniczonego dworaka i sprytnej intrygantki Maria Leszczyńska z ubogiego pałacyku wissemburskiego jednym wzlotem znalazła się w rezydencji wersalskiej jako następczyni tylu wspaniałych księżniczek krwi, małżonka najdumniejszego potentata w chrześcijaństwie. To, co nastąpiło w przeciągu najbliższych pięciu miesięcy, od oficjalnych oświadczyn ks. Bourbon w imieniu swego władcy do chwili dopełnienia małżeństwa w Wersalu, przypomina barwnością natłoczonych wydarzeń raczej fantastyczną maskaradę aniżeli prozę rzeczywistości. Zapomniany przez Boga i ludzi dwór wissemburski stał się nagle ośrodkiem zainteresowań Europy. Po tylu ciężkich latach Stanisław znów przeżywał górne chwile. Raptowny zwrot fortuny przyszedł w sam raz. Niedostatek przyszłej rodziny Króla Arcychrześcijańskiego przechodził wszelkie wyobrażenie. Pani de Prie, wybierając się do swej przyszłej władczyni, z właści-

wą sobie gruboskórnością ofiarowała jej w prezencie większą ilość koszul. Biedna Maria, oszołomiona spływającym na nią nieoczekiwanym blaskiem, nie odczuła niestosowności tego postępku i w krótkim czasie pozwoliła sprawczyni swego wyniesienia owinąć się koło małego palca. Zmieniły się również zewnętrzne ramy egzystencji Leszczyńskich. Z ponurego wygnania wissemburskiego przenieśli się z początkiem lipca do ludnego, wspaniałego Strassburga, gdzie użyczyła im gościny rodzina hr. Andlau. W zaciszu ich pałacu spisał Stanisław pierwszy swój utwór filozoficzno-literacki, w którym były rady dla przyszłej królowej Francji. Próżno szukać w nich głębszych myśli czy oryginalniejszych poglądów. Tanie moralizatorstwo na temat rzetelnego wypełnienia obowiązków, które ją czekają, wystrzegania się pychy i próżności, które gubią nieraz wielkich tego świata, podkreślenie potrzeby łagodności, pobłażania, sympatii wobec ludzi — oto główne idee tego traktatu, będącego w gruncie rzeczy ukrytą apologią własnych, niefortunnych rządów w Polsce.

Pierwsze zetknięcie nowej królowej z Francją nie należało do najprzyjemniejszych. Opinia publiczna przyjęła jak najgorzej małżeństwo młodego i obiecującego monarchy z nieznaną i ubogą cudzoziemką. Podług relacji współczesnej „na dworze zapanował smutek, jak gdyby się dowiedziano, że król dostał ataku apopleksji". Rozpuszczano pogłoski, że Leszczyńscy nie zaliczają się do wielkich rodów polskich, lecz do zwykłej szlachty, że dziad Marii był paziem Ludwika XIII, zaś sam Stanisław w młodości służył w królewskich muszkieterach. Cóż przyjdzie Ludwikowi XV z małżeństwa „z córką króla, który już nie jest królem i który pochodzi z narodu, zupełnie obcego naszemu... Serca Francuzów nie nadają się do kochania Polaków, którzy są gaskończykami północy i gorącymi republikanami. Jakiż interes może nas łączyć z takimi ludami?". Po Paryżu krążyły złośliwe wierszyki, w których imię Stanisława rymowano z nazwiskiem osławionego spekulanta Lawa, sprawcy ruiny finansowej setek rodzin. To znowu odsłaniano niedyskretnie kulisy małżeństwa królewskiego, każąc

Marii wysłuchiwać dumnych reprymend markizy de Prie, traktującej ją z wyniosłością królotwórczyni.

Wszystkie te zgrzyty nie były w stanie zepsuć Stanisławowi różowego nastroju, w jaki wprawiła go nie oczekiwana zmiana losu. Nawet nowe zamachy skrytobójcze z podpuszczenia Augusta, przerażonego najwidoczniej związaniem się nienawistnego rywala z najpotężniejszym domem w Europie, spłynęły po nim bez większego wrażenia. Miękka, rozlewna natura Stanisława wyładowywała się w serdeczności dla całego świata. Księciu Bourbon dziękował za doprowadzenie do skutku mariażu w sposób znów odpowiedniejszy dla wojewody, którego córkę kaprys fortuny wynosi na tron, aniżeli monarchy, nawet na wygnaniu. Pobyt w Strassburgu stał się dlań niewyczerpanym źródłem radości. Po tylu dotkliwych przykrościach, jakich mu los nie skąpił w ostatnich latach, znów czuć się, jeżeli nie pomazańcem, to przynajmniej teściem królewskim! Zapominając o ciężkich przeżyciach wissemburskich, pisał później Stanisław do serdecznego przyjaciela, hr. Du Bourg, który wraz z zaprzyjaźnioną rodziną d'Andlau podejmował go w stolicy alzackiej: „Wzdycham zawsze za Alzacją, którą uczyniłeś mi tak miłą, że całe życie będę jej żałował". W tym to starożytnym grodzie odbyła się 15 sierpnia 1725 r. uroczystość zaślubin Marii Leszczyńskiej. Obok dostojników, reprezentujących dwór wersalski, ściągnęły tłumy szlachty alzackiej oraz arystokracja i książęta Rzeszy. Pannę młodą wiódł do ołtarza w zastępstwie króla syn zmarłego regenta, ks. Ludwik Orleański. Błogosławieństwa udzielał kardynał de Rohan, który w przemówieniu swym znalazł również ciepłe słowa dla Stanisława, sławiąc go jako władcę, który „wśród różnorakich wydarzeń swego burzliwego życia łączył zawsze w sobie zalety uczciwego człowieka, bohatera i chrześcijanina". W olśniewających fajerwerkach, którymi uświetniono uroczystość, ukazały się złączone herby Francji i Polski.

Nastąpiła podróż królowej do Wersalu, serdeczne przyjęcie ze strony młodocianego króla, uszczęśliwionego, że zamiast małej infantki, na którą wypadłoby mu czekać długo, dostąpił żony

w pełnym rozkwicie. Początki pożycia były pełne harmonii i obopólnego zadowolenia. W ciągu pierwszego pięciolecia swego królowania obdarzyła Maria dom królewski trzema córkami i dwoma synami, prostotą i wdziękiem zyskała sympatię na dworze, uczynkami miłosierdzia zdobyła niechętną początkowo ulicę Paryża, która z czasem obdarzyła ją wzruszającym przydomkiem „dobrej królowej". Stopniowo małżeństwo zaczynało się psuć, nie bez winy Marii, która w dążeniu do przesadnego umartwiania się pragnęła odzwyczaić króla od pożycia małżeńskiego, przyczyniając się przez to do rozbudzenia wrodzonych w jego naturze rozpustnych skłonności.

Pozostawało do rozwiązania zagadnienie, które małżeństwo Leszczyńskiej mimo woli przypomniało opinii publicznej. W najczarniejszych chwilach samotni wissemburskiej, nękany przez zawistny los, który chwile rzadkiej radości odpłacał pełną czarą goryczy, nie przestawał się Stanisław uważać za pretendenta do polskiej korony. Świetne zamążpójście córki rozbudziło w nim falę nadziei i wyczekiwań. Czyż Francja, która w ubiegłym stuleciu forsowała na tron Rzpltej Kondeuszów i Contich, której poparciu w dużej mierze zawdzięczał diadem królewski Jan Sobieski, miałaby obecnie wyrzec się sprawy teścia swego monarchy? Jakaż świetna okazja do wzięcia na Wettynach odwetu za rok 1697, kiedy pretendent francuski, mimo legalnego wyboru na stolec Rzpltej, musiał wracać z Gdańska z próżnymi rękoma wobec przewagi Augusta! Owóż pod tym względem rachuby Leszczyńskiego wystawione zostały na ciężką próbę. Małżeństwo Ludwika nie było aktem polityki, ale pospolitej intrygi. Zastępując niedogodną infantkę Marią Leszczyńską, nie myślał Bourbon wiązać tej sprawy z ewentualną kandydaturą Stanisława. Wręcz przeciwnie, w dobitny sposób dano Leszczyńskiemu do zrozumienia, że jego pretensje do polskiego tronu nie znajdą w Wersalu poparcia. W zamian za wyniesienie córki miał się wieczny pretendent wyrzec nie tylko zamiarów odzyskania swego królestwa, ale tytułu króla polskiego i herbów państwowych, kontentując się prostą tytulaturą „król" i swoją tarczą rodową. Co więcej, bru-

talny dworak zamierzał wyrugować teścia swojej królowej z granic Francji, przeznaczając mu łaskawie jako miejsce zamieszkania któryś z katolickich kantonów Szwajcarii. W zamian za to wszystko nagrodzono Stanisława łaskawą obietnicą, że Król Arcychrześcijański starać się będzie o przywrócenie mu w Polsce skonfiskowanych dóbr rodzinnych.

Zaprawiony w ciężkich przejściach życiowych król Stanisław gładko przełknął pigułkę, udając, że nie czuje jej cierpkiego smaku. Słowa jego tchnęły bezbrzeżnym zadowoleniem z powodu olśniewającej zmiany losu, bezgraniczną wdzięcznością dla jej wspaniałomyślnego sprawcy. W takiej chwili czyż może w ogóle pragnąć nowych wywyższeń lub odgrzewać zastarzałe nienawiści? Zbyt miła jest mu spokojność, by myśleć o karkołomnym powrocie na tron polski; August może być pewny, że ani mu w głowie zakłócać jego panowanie. Jedynym jego pragnieniem jest spędzić resztę swych dni w pięknej Francji. Myśli on i działa jako „dobry Francuz", podporządkowując się woli króla i jego wyśmienitego ministra.

Nie pierwszy raz w życiu okazał Stanisław, że jeżeli natura poskąpiła mu materiału na bohatera, to za to w drażliwych sytuacjach nie brakowało mu giętkości i sprytu. Dobroduszna ustępliwość i korne naginanie się do woli pyszałkowatego głupca, wyobrażającego sobie, że jest narzędziem Opatrzności — czyż nie była to w owym momencie najwłaściwsza taktyka? Rozpraszał przez to Stanisław podejrzenia, jakoby z wyniesieniem córki łączyły się w jego umyśle plany powrotu na stolec Rzpltej, czyniąc się zaś skromnym służką majestatu Króla Arcychrześcijańskiego, uchylał groźbę banicji. Osobnika tak pogodzonego z losem można wszak tolerować na terytorium Francji, trzymając go z daleka od dworu. Jak dalece było to wszystko u Stanisława zręczną gierką, obliczona na uśpienie podejrzliwości Bourbona, dowodzi drobny, ale znamienny szczegół. Oto w sposób uprzejmy, niemniej zdecydowany uchylił ofertę interweniowania w sprawie restytucji dóbr w Rzpltej, dowodząc, że obowiązek ten spoczywa na Szwecji; mieszanie się do tych spraw byłoby poniżej godności

króla francuskiego. Gdyby ks. Bourbon obdarzony był lotniejszym umysłem, zrozumiałby, że kryje się za tym chęć pozostawienia Francji swobodnej ręki w ważniejszych decyzjach.

Uległość Stanisława odniosła pożądany skutek. O wysunięciu go na tron polski nie było oczywista mowy, zarazem jednak spalił na panewce pierwotny plan, by wprowadzając Marię do Wersalu, pogrzebać równocześnie jej rodziców w nicości. Dwór królewski, aczkolwiek daleki od przyjaznych uczuć względem zdetronizowanego monarchy, oburzył się jednakowoż na myśl, że ma on być traktowany jako banita. O powrocie do Wissemburga lub relegowaniu za granicę nie mogło już być mowy. Ostatecznie zapadła decyzja pomieszczenia teścia królewskiego w Chambord. Jeden z najpiękniejszych zamków francuskich doby odrodzenia, przy którego budowie współdziałał Leonardo da Vinci, gościł nieraz królów Francji, zwłaszcza Ludwika XIV, który zaszczycał go dłuższymi pobytami. Było to idealne miejsce na honorowe odosobnienie, w którym dawny król, bez rozgłosu, ale zarazem bez poniżenia dokonać mógł reszty swych dni.

Rozpoczął się w życiu tułaczym Stanisława nowy okres, niewątpliwie pomyślniejszy od dręczących wyczekiwań Dwóch Mostów i szarej nędzy Wissemburga, lecz również nie usłany różami. Nowa rezydencja, mimo pozorów wspaniałości, nie była wygodna ani miła. Przede wszystkim dawało się we znaki niezdrowe położenie zamczyska. Pół biedy w zimie, ale latem wybuchała periodycznie epidemia złośliwej febry, która nierzadko składała większość otoczenia Stanisława na łoże boleści. Biedny ekskról daremnie prosił w Wersalu o wyznaczenie mu zdrowszego miejsca pobytu na skwarne miesiące letnie; kończyło się bezładną ucieczką z zarażonej okolicy, gdzie się dało, żebraniem gościny u sąsiadów, którzy nierzadko replikowali uprzejmą odmową. Również potrzeby materialne Stanisława nie napotykały na dworze na czulsze zrozumienie. Ludwik XV, a raczej ks. Bourbon, zdecydowawszy się na łaskawe ozdobienie Leszczyńskiego orderem Św. Ducha i tytułem pułkownika regimentu kawalerii, zamknął za to szkatułę. W rezultacie, finanse króla Stanisława,

miast się poprawić, doznały raczej pogorszenia. Skazany na pensję, którą mu wyznaczył ongiś ks. regent, musiał nią opędzać powiększony koszt okazalszej rezydencji i liczniejszych teraz odwiedzin, gdy równocześnie stanowisko teścia królewskiego zabraniało uciekania się do dawnych pożyczek i żebranin po całym świecie. Pragnąc związać koniec z końcem trzeba było głowić się nad drobnymi nieraz oszczędnościami, pozostawić pustką większość komnat, zasypać rowy warowne dla uniknięcia kosztów ich utrzymania. Życie codzienne jednostajnością i brakiem atrakcji niezbyt odbijało od rezydencji alzackiej. Od czasu do czasu zezwalano Stanisławowi ukazywać się na dworze, poza tym zabijał czas polowaniem, lekturą, praktykami nabożnymi. Odwiedziny, początkowo dość liczne, z czasem stawały się coraz rzadsze i coraz mniej interesujące.

Ale Leszczyński nie był człowiekiem, który by się zrażał podobnymi przeciwnościami. Życie, najeżone tylu walkami z losem, wyrobiło w nim odporność i umiejętność czekania. Przyczaiwszy się w swej olbrzymiej, na poły opustoszałej rezydencji, w której licznych, przeważnie niezamieszkałych komnatach kroki jego odbijały się ponurym echem, czekał osiem lat w pozornym spokoju a wewnętrznym napięciu, przeświadczony, że czas pracuje na jego korzyść.

Istotnie, pierwotne założenia polityki ks. Bourbon, w myśl których wyniesienie na tron Marii Leszczyńskiej miało być równoznaczne z pogrzebaniem królewskich ambicji jej ojca, okazały się rychło niemożliwe do utrzymania. Po prostu opinia najwyższych sfer społeczności francuskiej, zbuntowawszy się najpierw przeciw myśli osadzenia ojca królowej w jakiejś zapadłej dziurze pogranicznej lub na obczyźnie, z kolei poczęła dlań domagać się bardziej uprzywilejowanego miejsca pod słońcem. Pokoleniu, które bądź z własnych przeżyć, bądź ze świeżej tradycji pamiętało wielki wiek, kiedy Francja dyktowała prawa Europie, trudno było oswoić się z myślą, że na jej tronie zasiada prosta szlachcianka. Siłą rzeczy dokonywał się zwrot, o którym od pierwszej chwili marzyło się Stanisławowi: kandydatura jego na tron

Rzpltej poczynała wchodzić w orbitę oficjalnej polityki francuskiej. Sam pretendent w miarę możliwości współdziałał w podobnym kształtowaniu się sytuacji. Położenie jego było wyjątkowo drażliwe: dotrzymać wobec Bourbona solennych obietnic wyrzeczenia się berła, a równocześnie naprowadzić go na szlak popierania wyklętych przezeń pretensji tronowych. W tej trudnej a subtelnej grze rozbłysnął w całej pełni talent dyplomatyczny Stanisława. W sposób nie narzucający a jednakowoż przekonywający potrafił oswoić umysł pierwszego ministra z perspektywą francuskiej kandydatury na stolec Rzpltej, wykazać kruchość rządów wettyńskich i niebezpieczeństwo ich utrwalenia się w Warszawie, podnieść atuty, jakimi on sam rozporządzał wśród rodaków. Cel został osiągnięty w całej pełni. W niespełna rok po małżeństwie Marii zgodził się Bourbon na wysłanie do Warszawy ks. Livry, który jako jeden z celów swej misji miał poruczone delikatne przygotowanie gruntu pod przyszłą elekcję Stanisława. Sam fakt, że ambasadora zaopatrzono w kopię memoriału Leszczyńskiego, w którym odtwarzał on stan Rzpltej, wyliczał swych domniemanych przyjaciół i antagonistów i kreślił ścieżki polityki francuskiej w sprawie najbliższego bezkrólewia, świadczył, jak królewski wygnaniec potrafił w krótkim czasie nawiązać kontakt z oficjalną dyplomacją Wersalu i ukrytymi kanałami przesączać w nią swoje sugestie.

W trakcie pierwszych kroków dworu francuskiego w sprawie Leszczyńskiego dokonał się w pałacu królewskim przewrót, który wycisnąć miał na dalszych jej kolejach decydujące piętno. Ks. Bourbon popadłszy w niełaskę wraz ze swoją markizą zniknął z widowni życia politycznego. Stanowisko pierwszego ministra objął dawny wychowawca Ludwika XV, sędziwy kardynał Fleury, istne przeciwieństwo swego poprzednika. Skryty, a ostrożny, wyrachowany i oszczędny, wnosił na swój urząd bogate doświadczenia przeszło siedemdziesięciu lat pracowitego życia, wielką znajomość ludzi, autorytet bezinteresownego sługi państwa. Francja mogła być zadowolona z takiej zmiany — na losach Stanisława odbiła się ona najfatalniej. Kardynał widział w ojcu

i córce kreatury obalonego rywala, a uczucie to spotęgowała niezręczność Marii, która w ostatniej walce między nim a Bourbonem wzięła stronę swego dobroczyńcy. Podobnie Stanisław po upadku pierwszego ministra i jego kochanki nie szczędził im objawów życzliwości, przyczyniając się przez to mimo woli do zrobienia sobie z kardynała śmiertelnego wroga.

Na pozór stosunki między obu ludźmi ułożyły się zupełnie poprawnie. Leszczyński zasypywał Fleury'ego memoriałami, w których, wobec mnożących się wieści o pogarszającym się stanie zdrowia Augusta roztrząsał wszystkie szczegóły swego powrotu na tron. Fleury przyjmował wszystko do wiadomości, zdecydowany zapędom tym podciąć skrzydła. Nie sama zresztą niechęć względem Leszczyńskiego kierowała jego postanowieniami. Jak każdy statysta francuski, widział Fleury głównego przeciwnika w Habsburgach. Koleje tej potężnej dynastii, która niegdyś władała obu połowami świata, zbliżały się do niebezpiecznego kryzysu. Po wygaśnięciu starszej linii hiszpańskiej zbliżało się wymarcie młodszej, austriackiej. Cesarz Karol VI, ostatni z jej latorośli po mieczu, usiłował zagwarantować całość spuścizny najstarszej córce, Marii Teresie. W tym celu wydał słynną sankcję pragmatyczną, poręczającą niepodzielność dzierżaw habsburskich pod rządami swej córy i niestrudzenie zabiegał o uznanie tego aktu przez dwory europejskie. Poręczano go chętnie, z góry planując przyszłe rozdrapanie schedy habsburskiej. Do najpoważniejszych uczestników gotującego się rozbioru zaliczał się August II, jeden z najpierwszych książąt Rzeszy, którego syn ożeniony był z córką zmarłego cesarza Józefa. Najoczywistszy interes Francji wymagał oczywista pozyskania Wettyna jako potężnego w przyszłości uczestnika zgniecenia Habsburgów. W tych warunkach trudno było forsować z przekonaniem kandydaturę Stanisława. Zarówno Fleury, jak pracujący pod jego okiem nowy minister spraw zagranicznych, śmiały i ambitny Chauvelin, obrali drogę pośrednią. Kontynuować rozpoczętą w Warszawie akcję na rzecz przyszłego obioru Leszczyńskiego, równocześnie jednak wejść w porozumienie antyhabsburskie z Augustem i od dal-

szego zachowania się króla-elektora uzależnić bieg spraw polskich. Wyniesienie Stanisława na tron Rzpltej wchodziło zatem w orbitę polityki francuskiej jako przedmiot drugorzędny, któremu użyczyć można było poparcia, ale który ani na chwilę nie stanowił sprawy, godnej wytężenia wszystkich żywotnych sił Francji.

W podobnym postawieniu kandydatury Leszczyńskiego tkwiły w zawiązku przyszłe jej niepowodzenia. Wyniesiona na porządek dzienny raczej dzięki skojarzeniom przypadków aniżeli głębszej racji stanu, powierzona pieczołowitości ministrów zasadniczo jej niechętnych, reprezentowana była w Warszawie przez ludzi, którzy niezależnie od swych sympatii osobistych zmuszeni byli liczyć się z zasadniczą linią polityki Wersalu. Po pracach przygotowawczych ks. Livry i kawalera Michel de Villebois, objął ostatecznie uciążliwy posterunek nad Wisłą margrabia Monti. Dzielny żołnierz i uzdolniony dyplomata, z gorącą krwią południowca w żyłach, energiczny i zdecydowany, wniósł do swej działalności na terenie Rzpltej nierównie więcej stanowczości i zapału, aniżeli go objawiali jego mocodawcy. A jednakowoż i ten doskonały promotor kandydatury Stanisława, który potrafił w rozstrzygających chwilach wystawić się za nią na niebezpieczeństwo i pójść w więzy rosyjskie, jako dyplomata francuski uznawał w całej pełni nadrzędność antyhabsburskich interesów swego kraju nad sprawą polskiej elekcji. Jakże wymownym dokumentem jest pod tym względem jego relacja z Warszawy, niespełna rok przed zgonem Augusta! „Należy się liczyć z tym — wywodził ambasador — że w szranki wyborcze staną naprzeciw siebie dwaj główni antagoniści: Leszczyński i królewicz Fryderyk August. Korona polska jest w oczach Francji „sprawą przelotną", natomiast pozyskania domu saskiego domaga się racja stanu ze względu na przyszłe rozbicie państwa Habsburgów. Dyplomacja francuska winna przeto działać w sposób tak oględny, by w razie porażki dwór drezdeński całą winę niepowodzenia zwalić mógł na naród Polski".

Tak przedstawiało się nastawienie Francji do przyszłego

bezkrólewia: zewnętrzne pozory życzliwości podszyte w gruncie rzeczy obojętną niechęcią, gotowość zawichrzenia raz jeszcze Rzpltej i sypnięcia pieniędzmi bez zdecydowanej woli przeparcia swych zamiarów siłą, dwulicowe balansowanie między dworem saskim a opozycją stanisławowską. Jak zaś przedstawiała się druga strona: Rzplta Polska? Pytanie tym bardziej zasadniczej wagi, że wobec nakreślonych powyżej nastrojów Wersalu jedynie męska postawa przygniatającej większości narodu szlacheckiego zapewnić mogła kandydaturze Stanisława przewagę nad intrygami dworu saskiego i przemocą państw ościennych. Oplatający życie Stanisława bujny bluszcz legendy rzucił głęboki cień również na jego szczytowy moment, jakim było powtórne wyniesienie dawnego protegowanego Szwecji na tron Rzpltej. Obserwator, lubujący się w jaskrawych kontrastach, ma tu niewątpliwie nader wdzięczne pole do zestawień. Rok 1704 i 1733 — jakże odmienne z gruntu zjawiska! Tam elekcja haniebna, na opustoszałym polu, rzadko zasianym garstkami sterroryzowanej czy przekupionej szlachty, tu — jednomyślny zryw kilkunastu tysięcy serc. Wówczas zdeptany został majestat narodu; teraz nad obcą intrygą i pogróżkami górę wziął zdrowy instynkt, domagający się po królu Niemcu, konspiratorze i przestępcy stanu — króla-rodaka. Zawiązana w obronie Leszczyńskiego konfederacja dzikowska pasowana została niemal na pierwsze powstanie narodowe przeciw obcej przemocy. Fakt, że za kandydaturą Leszczyńskiego wypowiedział się piórem młody wówczas Stanisław Konarski, że publicystyka stanisławowska szermowała niejednym hasłem reformatorskim, w najbliższym zaś otoczeniu króla rodziły się gruntowne plany naprawy Rzpltej, dał asumpt do traktowania obozu stanisławczyków jako kolebki wielkiego prądu odrodzeńczego, który z czasem zmienić miał do gruntu oblicze Rzpltej. Wszystko to zawiera niewątpliwie ziarno prawdy, dalekie jest wszelako od wyczerpania jej całości. Głębsze wniknięcie w genezę elekcji Stanisława, następnie zaś w jej przebieg i katastrofę, uświadamia niewesołą prawdę, że znajdujemy się w samym środku epoki saskiej. Dziesiątki lat ciemnoty i demoralizacji,

gwałt i korupcja państw postronnych, niesumienne rządy Augusta — wszystko to wycisnęło na społeczeństwie aż nazbyt wyraźne piętno. Jakie zaś było owo społeczeństwo, tak musiał się przedstawiać jego udział w elekcji.

Przed czterema niemal dziesiątkami lat nakreślił Szymon Askenazy przepyszną, aż przytłaczającą świetnością kolorytu i plastyką kształtów galerię kilkudziesięciu możnowładców, w których rękach znajdowały się wówczas losy Rzpltej. Ukazał jak żywych owych Potockich, Tarłów, Wiśniowieckich, Sapiehów, Radziwiłłów, z ich zasklepieniem się w interesach osobistych i rodowych, pychą, sprzedajnością, pędem do intryg, gwałtów i służalstwa względem obcych, by zamknąć obraz wymownym westchnieniem: „Ciężkie to, bolesne zadanie taką pokazać i przebieżyć galerię". Że w wywodach znakomitego dziejopisa nie było przesady, dowodzą świadectwa obcych dyplomatów, którzy patrząc z bliska na ówczesną Rzplitę, na każdym niemal kroku napotykali na zjawiska ujemne. Relacje Montiego nie stanowią pod tym względem wyjątku. Ludzie, z którymi przyszło mu przygotowywać wyniesienie na tron Stanisława, w przeważającej większości należeli niegdyś do jego popleczników. Wobec ambasadora Francji deklarowali się jako gorący zwolennicy wprowadzenia na tron dawnego monarchy, jednakowoż zapewnienia ich dziwnie mało budziły zaufania.

Za czołowego przywódcę opozycji antysaskiej uchodził prymas Teodor Potocki, niegdyś sługa Stanisława, obarczany przezeń ważnymi misjami dyplomatycznymi. Do niego kierowali pierwsze kroki dyplomaci francuscy, pragnący rozpocząć w Rzpltej organizowanie stronnictwa stanisławowskiego. Potocki nie szczędził obietnic i deklaracji wiernopoddańczych względem dawnego monarchy, atoli Monti przekonał się niebawem, że na człowieku tak chwiejnym, próżnym, wpatrzonym wyłącznie w korzyści dla siebie i swego rodu nie podobna gruntować solidnej roboty politycznej. Rzekomo opozycyjny względem dworu prymas za najlżejszym promieniem łaski królewskiej mięknął natychmiast jak wosk i przestawał mówić z Montim o sprawie Leszczyńskiego,

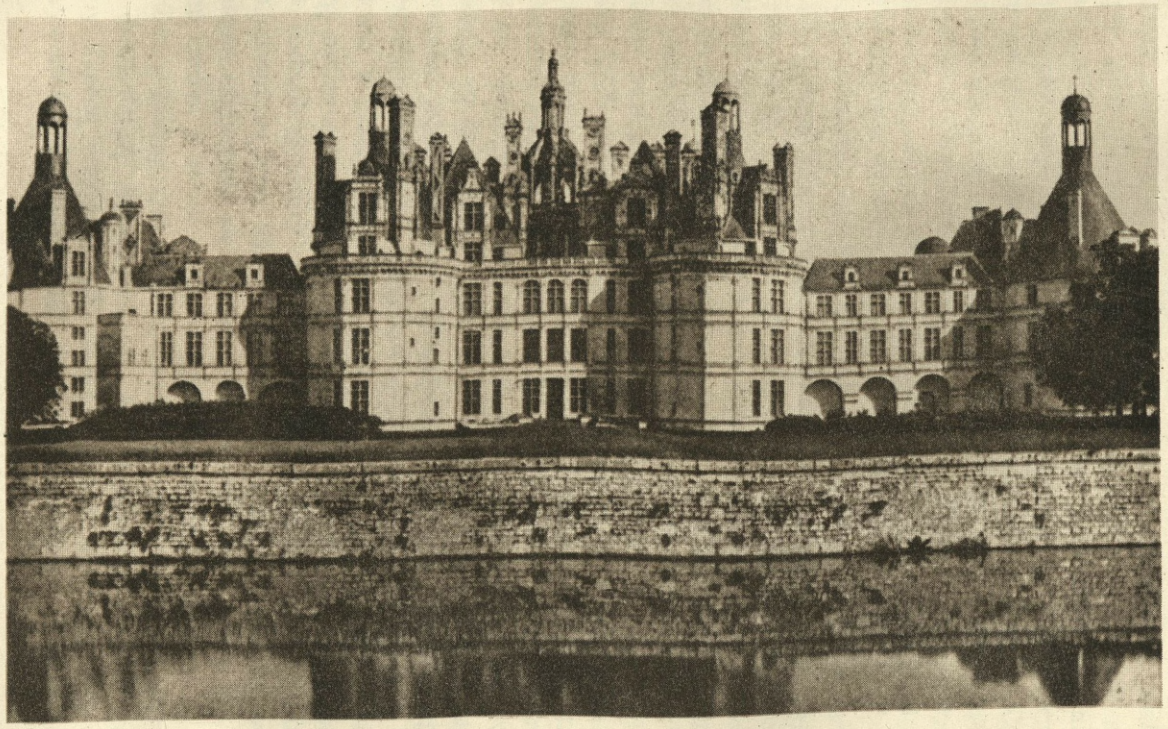
spodziewając się tymczasem coś utargować u Augusta. Drugi z naczelników potężnego klanu, Józef Potocki, miał w życiu jeden niechybny drogowskaz: wielką buławę. Dla niej zawichrzył niegdyś Rzpltą, nie dopuszczając po Altransztadzie, do pogodzenia się zwaśnionych obozów, dla niej poszedł na emigrację do Turcji, dla niej gotów był teraz poprzeć bądź dom wettyński, bądź Stanisława. Pragnąc utrzymać go w wierności musiał się Monti uciekać do bardzo przyziemnego argumentu, że August nigdy nie mianuje go hetmanem i że jedyna droga do tego wiedzie przez poparcie kandydatury Stanisława. Nielepiej przedstawiali się inni możnowładcy, z którymi przyszło Montiemu pertraktować. Wszędzie ta sama chciwość, ambicja, kierowanie się pożytkami osobistymi bez względu na dobro Rzpltej. Ten sam człowiek dziś był augustowcem, jutro przedzierżgał się w stanisławczyka, nieoczekiwanie zmieniał przekonania, przyjaciół, orientację zagraniczną, a wówczas bez skrupułów zdradzał powierzone mu wczoraj tajemnice, kompromitując obcych dyplomatów, którzy łatwowiernie zaufali gadatliwemu plemieniu sarmackiemu. Najwięcej rozsądku, charakteru i patriotyzmu znajdował Monti w wybijającej się na czoło Rzpltej „Familii" Czartoryskich, w której, obok ks. Michała i Augusta, pierwsze skrzypce grał dawny sługa Karola XII i najlepszy z jego dyplomatów na terenie stambulskim, obecnie forytowany przez Augusta II Stanisław Poniatowski. Oni jedni myśleli poważniej o grozie zbliżającego się bezkrólewia, pragnący zaś zabezpieczyć swobodną decyzję narodu przed gwałtem rosyjskim zawczasu przygotowywali pomoc Szwecji i Turcji. Ale Czartoryscy zażywali w Wersalu najgorszej opinii kreatur dworu saskiego i poseł francuski miał surowo nakazane trzymać się od nich z daleka. Z czasem dopiero przekonał się, że na ludziach tych bezpieczniej można budować aniżeli na chwiejnych i przekupnych Pilawitach.

Poza jedną „Familią", która nie zapominając o własnym wyniesieniu, równocześnie potrafiła zdobyć się na program polityki zagranicznej i naprawy wewnętrznej, cała Rzplta przedstawiała się Montiemu jako wielkie kłębowisko sprzecznych inte-

resów jednostek i rodów, niepomnych, że lada chwila król zamknąć może powieki, a wówczas wybije godzina rozstrzygnięć. „Aczkolwiek Polska pogrążona jest w głębokim pokoju — pisał — niemniej zaburzają ją interesy prywatne i animozje, panujące wśród najpierwszych rodzin. Równoczesny wakans czterech buław hetmańskich, czego nie oglądano nigdy dotąd; liczba pretendentów do tych godności; stanowisko regimentarza, znajdujące się w rękach Poniatowskiego, dzięki czemu jednoczy on władzę hetmana wielkiego i polnego; wzrost domu Czartoryskich; proces między domami Sapiehów i Radziwiłłów, przy czym ten ostatni popierany jest przez dwór wiedeński i przez regimentarza litewskiego ks. Wiśniowieckiego; nieprzyjaźń rodów Potockich i Czartoryskich; chciwość wielkiej liczby magnatów i szlachty, którzy niczego więcej nie pragną jak wybuchu zamieszek, by zdobyć pieniądze i wybrać wśród swych sąsiadów kilku kandydatów rodaków, którzy zdobędą poparcie bądź dworu wiedeńskiego, bądź Rosji; sympatia kilku biskupów dla młodego elektorowicza saskiego; wszystko to każe się słusznie obawiać, że w chwili śmierci króla państwo to stanie się znowu widownią rozłamów i zamieszek". Monti próbował otrzeźwić zapamiętałych antagonistów wskazując, że tylko zgodny wybór króla-rodaka uchylić może zamach, grożący Rzpltej ze strony trzech spotężniałych sąsiadów. „Polacy myślą tylko o swoich interesach osobistych, kiedy zaś mówi się im o niebezpieczeństwie, w jakim się znajdują, przyznają rację, równocześnie jednak odpowiadają, że Polska zawsze tak się rządziła; interes Europy wymaga, aby obecny rząd wytrwał taki, jaki jest, ażeby żaden z sąsiadów nie zdołał go opanować. Odpowiadam im na to, że dwory: wiedeński, pruski i rosyjski nie były nigdy równie potężne jak obecnie i że winni się zawsze obawiać oderwania jakichś prowincji".

Dla uzupełnienia obrazu Rzpltej w przededniu bezkrólewia, podnieść należy jeden jeszcze fakt, szczególnie ciekawy z punktu widzenia późniejszych dziejów kandydatury Stanisława. Bieg wydarzeń uczynił z niej symbol oporu narodowego przeciw Rosji. Zjawisko to wydaje się nie tylko naturalne, ale niemal ko-

nieczne, zważywszy przeszłość polityczną protegowanego Karola XII, sprzymierzeńca sułtana, czołowego przedstawiciela orientacji antymoskiewskiej w Rzpltej. Otóż w pierwotnych założeniach sprawa ta przedstawiała się zupełnie na odwrót. Monti po przybyciu do Polski zorientował się rychło, że rzekomo najwierniejsi adherenci Stanisława, za jakich uważano w Wersalu Potockich, naprawdę każdej chwili są do kupienia przez dwór. Właściwy opór przeciw planom sukcesyjnym Wettynów wychodził skądinąd. Reprezentowała go grupka polityków litewskich, na czele której znajdowali się stojący nad grobem: stary hetman Pociej oraz biskup smoleński Gosiewski. Litwa posiadała w owym czasie zgoła odrębny klimat polityczny. Obok tradycyjnych rywalizacji magnackich, które występowały w nierównie ostrzejszej formie aniżeli w Koronie, dominował strach przed Moskwą. Zarówno butny możnowładca jak zwykły szarak drżał przed potężnym sąsiadem, który każdej chwili rzucić mógł swe wojska, spustoszyć majętności, opozycjonistę zagnać na Sybir. Głównym wskazaniem politycznym stało się w tych warunkach żyć w zgodzie z Rosją. Opozycja litewska u schyłku rządów Augusta II łączyła zdeklarowany rusofilizm ze szczerą niechęcią do niemczyzny. Myśl wyniesienia na tron Stanisława padła tam na grunt podatny. Chodziło o to, ażeby dokonało się ono nie w przeciwieństwie, lecz przy poparciu Moskwy. Stąd osobliwa koncepcja, ażeby z dawnego towarzysza broni Karola XII zrobić „personam gratam" dla dworu carskiego. Głównym aranżerem tego karkołomnego planu stał się jeden z najdzielniejszych niegdyś żołnierzy sprawy szwedzko-stanisławowskiej, Krzysztof Urbanowicz, na starość nawrócony na orientację moskiewską i dźwigający szlify carskiego generała. Wiedziano w tych sferach cośkolwiek o zabiegach Leszczyńskiego około zjednania sobie łask Piotra W., o dawnych urazach cara względem Augusta, o rokowaniach Görtza, który spodziewał się przywrócić Stanisława na tron polski w oparciu o rosyjskie bagnety. Otóż Pociej, Gosiewski, Urbanowicz i tow. osnuli plan kapitalny:zdobyć dla Leszczyń-



ZAMEK CHAMBORD

skiego poparcie dworu rosyjskiego, sprzymierzyć go z Francją i wspólnym wysiłkiem zastąpić Wettyna królem-rodakiem.

Rzecz zdawała się tym łatwiejsza, że za panowania małoletniego cara Piotra II oligarchowie moskiewscy, dotąd zepchnięci w cień przez napływowy element karierowiczów niemieckich, poczynali podnosić głowę, a nawet marzyć o przeszczepieniu na grunt rodzimy wolnościowych urządzeń Rzpltej. Cóż wydawało się prostsze, jak uzgodnić ambitne plany Dołhorukich, Galicynów i Trubieckich przeciw rządom niemieckim w Rosji z knowaniami możnowładców litewskich przeciw rządom saskim w Warszawie? W kleceniu tego porozumienia okazali politycy litewscy niemało sprytu. Urbanowicz wymyślił fantastyczną historię, jakoby Leszczyński znajdował się w posiadaniu oryginalnego pisma Piotra W., w którym car-reformator zapewniał dawnego wroga o szczerych zamiarach przywrócenia mu tronu. Pismo to stanowi wystarczający argument, by skłonić Rosję do poparcia antykróla, co będzie tylko spełnieniem testamentu Piotra W. Stanisław przejmował się tymi rojeniami zupełnie na serio. Już w roku 1725 usiłował przez Urbanowicza wkraść się w łaski potężnego faworyta carowej Katarzyny I, Menszykowa, który niegdyś orężem zwalczał jego sprawę. W r. 1726 pisał: „Mam nadzieję, iż się otworzy *campus* dla ściślejszej kointeligencji Moskwy z Francją, *et inde salus*". Rok 1729 oglądał w gościnie u niego wysłannika konspiratorów litewskich, niejakiego Darewskiego, najgorszego rodzaju sprzedawczyka, który wysługując się Moskwie z czasem zupełnie wyprze się swojej ojczyzny i jako szpieg ościennego mocarstwa pracować będzie na jej szkodę. Tego rodzaju kreatury torować miały Leszczyńskiemu drogę z Chambord na tron Rzpltej. Co więcej, również dworowi wersalskiemu uśmiechała się w owym czasie myśl współpracy z państwem carów, z której miało wyjść królowanie Stanisława.

Ten pobieżny rzut oka zarówno na politykę Francji względem kandydatury Stanisława, jak polityczno-moralny stan ówczesny Rzpltej wykazuje, jak daleko odbiegła znów legenda od rzeczywistości. Dwulicowości dworu wersalskiego odpowiadał

brak wyklarowanego ideału w przodujących warstwach polskiego społeczeństwa. Wśród intryg, ambicyj, rywalizacyj osobistych i rodowych gubił się drogowskaz polityczny. W osobie Stanisława nie upatrywano wówczas symbolu niepodległości, skoro grupa najbardziej jego zdecydowanych stronników myślała o osadzeniu go na tronie w oparciu o najgroźniejszą tej niepodległości antagonistkę — Rosję. Nie łączył się on również w umysłach ogółu szlachty z myślą o przebudowie wadliwego ustroju Rzpltej. Wszystko było jeszcze grą przypadku. A sam Leszczyński? Czy z rezydencji swojej w Chambord mógł wywierać wpływ rozstrzygający na posunięcia polityki francuskiej lub usposobienie rodaków? Podobne przypuszczenie byłoby ciężkim błędem. Teść Króla Arcychrześcijańskiego, najpopularniejszy w tej chwili kandydat na tron polski, był w obu wypadkach zupełnie bezradny. Fakt ten należy mieć przed oczyma, by zdobyć się na sprawiedliwą ocenę działań Leszczyńskiego w tej ponownej próbie, którą los kazał mu odegrać na tronie królewskim. Widzieliśmy, jak fatalny splot okoliczności nie pozwolił pomazańcowi z łaski Szwecji rozwinąć ani w części zbawiennej inicjatywy, urzeczywistnić trafnych wskazań, w jakie obfitował jego umysł. Odpowiedzialnością za to obdzielić należy w równej mierze Karola XII i jego polskich zwolenników. Teraz, po trzydziestu latach, w zmienionych warunkach powtórzyła się zbliżona sytuacja. Francja Ludwika XV, Fleury'ego i Chauvelina, w swoim ciasnym egoizmie, uporze, obojętności na dobro Polski, dorównywała Szwecji Pipera, Hermelina, Rehnshölda. Mniej było brutalnej drapieżności, więcej śliskiej obłudy. Rzplta u schyłku doby Augusta II nie zmieniła się o tyle na lepsze, by móc służyć królowi rodakowi za mocny punkt oparcia, Teodor Potocki pozostał takim samym jak pierwej ciasnym oligarchą, Józef po dawnemu uważał buławę za wyłączny cel swych posunięć, Stanisław Poniatowski, wyrósłszy z małych początków na jednego z potentatów Rzpltej, przy wielkich zdolnościach i europejskim umyśle zachował duszę kondotiera. W masach szlacheckich budziły się niewątpliwie zdrowe instynkty obrony przeciw obcym rządom i tęsknota za władcą

rodakiem. Od porywów uczuciowych do świadomości, że niezawisłości kraju trzeba bronić orężem przed obcą przemocą, wiodła droga daleka. Gdy August II w nocy z 31 stycznia na 1 lutego 1733 dogorywał w Warszawie, przed Leszczyńskim otwierał się wprawdzie prosty szlak do Rzpltej, ale dalsze perspektywy jego królowania tonęły w mgłach niepewności. Mimo doświadczeń politycznych i pomysłów reformatorskich, jakimi wzbogacił swój umysł w ciągu długoletniej rozłąki z krajem, mimo nominalnej pomocy Francji, pozornej życzliwości znacznej części magnatów i szczerego uniesienia mas szlacheckich, czekało go na terenie Rzpltej to samo, co kamieniem legło przed trzydziestu laty na poprzek najlepszych jego zamierzeń: bezsilne osamotnienie.

VI

ELEKT RZECZYPOSPOLITEJ

Od kilku lat żyła Europa w oczekiwaniu polskiego bezkrólewia. Zawczasu myślano w gabinetach wielkich mocarstw, jak wpłynąć na jego przebieg, by z wolnego rzekomo wyboru wyszedł kandydat, najbardziej odpowiadający ich widokom. August Mocny, w przeczuciu zbliżającego się końca wydobywał ostatki sił, by następstwo po sobie zapewnić synowi. Francja intrygą i złotem przygotowała drogę do tronu teściowi Króla Arcychrześcijańskiego. Trzy dwory postronne w zawartym w r. 1732 słynnym „traktacie trzech czarnych orłów" zobowiązały się zwalczać zarówno Piasta jak Wetteńczyka, koronę polską rezerwując dla egzotycznego infanta portugalskiego Emanuela. A jednakowoż w chwili, gdy król August, trapiony straszliwymi katuszami cielesnymi i wyrzutami sumienia, zamykał oczy do wiecznego spoczynku, wszystko znajdowało się w stanie płynnej niepewności. Dwór drezdeński musiał na nowo rozpoczynać robotę dyplomatyczną w celu zjednania sobie mocarstw ościennych. W pomoc przyszedł mu nieoczekiwany fakt, że kandydat portugalski zrezygnował z obiecanej mu korony, wskutek czego w Wiedniu i Petersburgu poczęto się zastanawiać nad możliwością poparcia nowego elektora saskiego. Francja, zdawało się, dobrze była przygotowana na ten moment, mający uwieńczyć przedwstępną pracę jej dyplomatów na terenie Rzpltej. A jednak również w Wersalu zapanował nastrój chaosu i niepewności. Monti domagał się energicznego poparcia kandydatury Stani-

sława. Generalicja, na czele której stali dwaj znakomici marszałkowie ze szkoły Ludwika XIV, Berwick i Villars, gotowa była podjąć wojnę. Zamierzeniom tym sekundował w ministerstwie spraw zagranicznych wojowniczy Chauvelin, gdy tymczasem główny sternik polityki francuskiej Fleury, po dawnemu tonął w ostrożnym pacyfizmie i niechęci do Leszczyńskiego. Wzdragał się przed wytrząśnięciem z mieszka znaczniejszych sum, jakich wymagała akcja przedwyborcza, jeszcze większym wstrętem przejmowała go myśl wydobycia oręża z pochwy, najchętniej bez wielkich zachodów skręciłby kark nienawistnej kandydaturze Leszczyńskiego.

Inny obraz przedstawiała Rzplta. Czterdziestoletnie blisko rządy króla-Niemca dały się ogółowi szlachty potężnie we znaki. Mogli sobie magnaci wchodzić w konszachty z dworem i przyrzekać mu po kryjomu poparcie; ogół szlachty dość miał panowania złego włodarza, który przesiadywał w Dreźnie, do Polski zaglądając tylko na okres sejmów, ustawicznie knuł zamachy na ustrój i całość państwa, wchodził w zmowy z sąsiadami, ciemiężył kraj obcym wojskiem, budził zgorszenie zarówno występkami przeciw Rzpltej jak wyuzdaniem życia prywatnego. W piersiach najszerszych mas wzbierała tęsknota za królem, który by przypomniał dawne czasy pomyślności i chwały, w którym najskromniejszy szlachcic mógłby odkryć krew swojej krwi, kość swojej kości. Trafnie wyraził te uczucia najgłośniejszy pamiętnikarz epoki, Marcin Matuszewicz, pisząc: „Największa jednak część była pragnących, ażeby Piast tron polski osiadł; pamiętającym albowiem panowanie króla Jana III, dla Polaków przystępne, w nacjonalnym języku poufałe, wszystkich familii zasług w ojczyźnie i interesów Rzpltej wiadome, nikomu niegroźne ani o żadnej ujmie wolności nie myślące". Coś z tego nastroju udzieliło się na chwilę potężnym oligarchom, trzęsącym Rzpltą. Oba zwalczające się na śmierć i życie obozy możnowładcze, Potoccy i „Familia" Czartoryskich, podali sobie ręce dla wspólnego przeprowadzenia obioru Stanisława. Sejmiki konwokacyjne opowiedziały się przygniatającą większością za wyklu-

czeniem kandydatów cudzoziemskich. Analogiczna uchwała zapadła na sejmie konwokacyjnym, który starodawnym zwyczajem zgromadził się z końcem kwietnia w Warszawie. Jedność narodu zdawała się być całkowita. Nieliczni stronnicy sascy stulili uszy i z pozorną gorliwością kładli podpisy pod skrypt, wykluczający od tronu potomka Augusta Mocnego. W rzeczywistości jednak strona przeciwna nie zasypiała sprawy. Wysiłkom dyplomacji saskiej udało się zwerbować pomoc obu dworów cesarskich, które od pierwszej chwili wrogie Stanisławowi, przez posłów swych w Warszawie oświadczyły, że nie pozwolą na powrót odsądzonego od tronu banity. Coraz bardziej stawało się widoczne, że o losach polskiej elekcji zadecyduje oręż.

Gdy tak na terenie Rzpltej i państw ościennych przygotowywały się rzeczy ważne, od których przebiegu zawisnąć miał los elekcji, przyszły wybraniec narodu szlacheckiego, od wszystkiego odsunięty, w zaciszu swym w Chambord borykał się z narzuconą mu przez Fleury'ego przymusową bezczynnością. Łatwo sobie wystawić, jaki był jego stan wewnętrzny. Nadeszła od dawna wyczekiwana godzina powrotu na tron Rzpltej. Kraj pragnął króla-rodaka, głosami swych przedstawicieli odpychał znienawidzoną dynastię saską, dyplomacja saska, francuska, cesarska dwoiły się i troiły w gorączkowych zabiegach, a on musi gnuśnieć ze skrępowanymi rękoma! Raz po razu występował Leszczyński z inicjatywą, świadczącą, jak bardzo pragnął w tym momencie pokierować losami swoimi i kraju. Początkowym jego życzeniem było wrócić na tron polski jako prawowity jego dzierżyciel, bez powtórnej elekcji, na mocy jednomyślnej aklamacji opinii publicznej. Gdy ten pomysł upadł, wyobrażał sobie, że zjawi się w Rzpltej jak przystało na teścia najpotężniejszego w chrześcijaństwie monarchy, na czele licznej armii lub imponującej eskadry, zawijającej do portu gdańskiego. Generalicja francuzka, dbała o honor swego władcy i spragniona wojny, nie była od tego. Ale nie darmo nici wielkiej polityki trzymał w ręku Fleury. Uporem swym nie tylko udaremniał udzielenie Leszczyńskiemu realnej pomocy, ale wbrew powszechnemu zdaniu, że król powi-

nien najrychlej wrócić do Polski i obecnością swą zagrzać naród do zgodnego wysiłku, trzymał go w Chambord. Nigdy chyba nie odczuwał Stanisław tak boleśnie swojej bezsiły. Serce rwało się ku Warszawie — przymus nakazywał wegetować w pustym zamczysku. Ziemia paliła mu się pod nogami, a dolatujące z Rzpltej wieści wprawiały w stan gorączkowego podniecenia. W towarzystwie przysłanego przez dwór francuski wytrawnego dyplomaty Hulina przemierzał codziennie park zamkowy i okoliczne lasy, roztaczając swoje rozległe plany; to znów przy biurku pisał setki listów do swych polskich stronników, usiłując na własną rękę pokierować elekcją.

Nic nie rzuca tak znamiennego światła na stan duchowy Leszczyńskiego w tych pamiętnych dlań godzinach, jak skreślony przezeń projekt orędzia do narodu. Piętnuje w nim zgubne praktyki poprzednika, zaleca własną kandydaturę jako prawego miłośnika ojczyzny, który jej służbie poświęcił życie, przede wszystkim jednak uderza w ton, świadczący o doskonałym wyczuciu nastrojów, które nurtowały szerokie masy: „Wychodzi za sprawą Opatrzności Boskiej Rzplta z cudzoziemskiej posesji i nas z obcych do siebie pociąga krajów. Wraca się do własnej i zupełnej władzy swojej, której od nas powinna należyć obserwacja, ani miejsca odległością, ani czasu długością, ani żadnymi rewolucjami poruszona. Wracają się prawa ojczyste do swojej powagi i mocy, których *ductu* zawsze idąc, jakośmy bez nich błąkali się dotąd za granicą, tak niech wam teraz do powrotu bezpiecznym staną się przewodnikiem. Wraca się i wolność, która równo z nami exulabat, do swego gruntownego warunku...“ Gdybyśmy nie wiedzieli, że Leszczyński w tym czasie miał już w głowie śmiały program reformatorski, który niebawem rzuci na papier, samo orędzie byłoby dostatecznym świadectwem, że wybierając się z powrotem na tron ojczysty, był czymś nieskończenie więcej aniżeli teściem swego królewskiego zięcia, spólnikiem swych oligarchicznych popleczników, jak zjadliwie wytknął mu niechętny dziejopis. Instynktem swej szczeropolskiej duszy wyczuł, czego pragnie zmęczony niegodnymi rządami saskiego intruza naród,

pragnieniom tym dał wyraz w mocnych, pełnych królewskiego majestatu słowach, kandydaturę swoją z przyziemności osobistych rachub wzniósł na wyżyny wielkich spraw, czyniąc z niej symbol obrony praw i niezawisłości Rzpltej.

Po półrocznym, szarpiącym wyczekiwaniu, zapadła na koniec decyzja Fleury'ego, jakże daleka od ambitnych rojeń Stanisława! Złośliwy starzec wysilił całą wynalazczość, ażeby nie cierpianego pretendenta postawić w najbardziej dziwacznej sytuacji. Miast dumnego przybycia do granic Rzpltej w otoczeniu zbrojnych zastępów, miał Leszczyński przekraść się w przebraniu przez wrogie terytorium Rzeszy niemieckiej, każdej chwili narażając się na ujęcie przez władze cesarskie. Dla dopełnienia groteskowej maskarady postanowiono, że równocześnie, gwoli zmylenia czujności wroga, wyjedzie z Brest eskadra, na pokładzie zaś jednego ze statków będzie się znajdować niejaki hr. Thianges, wzrostem i rysami twarzy przypominający Stanisława. Wszystko razem tak dalece trąciło awanturą w stylu współczesnych romansów czy oper komicznych, że potulny zazwyczaj Leszczyński zbuntował się nie na żarty. Daremne były jednakowoż jego wymówki i argumenty. Dla uspokojenia urażonej dumy przypomniano mu, że Karol XII, opuściwszy przed dwudziestu laty Bender, również przedzierał się w przebraniu przez całe Niemcy do oblężonego Stralsundu. Nie było innej rady, jak podporządkować się despotycznej woli Fleury'ego. W ostatnich dniach sierpnia Stanisław, w przebraniu subiekta kupieckiego, puścił się w drogę w towarzystwie rzekomego pryncypała, którym był młody hr. Andlau, jako Alzatczyk władający wybornie językiem niemieckim. Szczęśliwie udało się podróżnym oszukać czujność wroga. W nocy 8 września zajechał Leszczyński do Warszawy i zatrzymał się incognito w ambasadzie francuskiej na Krakowskim Przedmieściu.

Dużo byśmy dali, gdyby zachował się w źródłach jakiś ślad, pozwalający odtworzyć uczucia, z jakimi przybywał Leszczyński do nie widzianej od ćwierć wieku stolicy. Ileż wspomnień musiało mu się cisnąć do duszy... Te same miejsca, w których przeżył najbardziej wstrząsające chwile bogatego życia. Dzień

12 lipca 1704, kiedy wola nie żyjącego dziś przyjaciela, nieoczekiwanie rzuciła na jego młode barki płaszcz królewski. Później 4 października 1705 r. kiedy wśród bicia dzwonów arcybiskup Zieliński w katedrze świętojańskiej kładł na jego skronie koronę. Jeżeli te niezatarte przeżycia zostawiły w pamięci Stanisława posmak goryczy, gdy wspominał szczupłą garstkę szlachty, która okrzyknęła go królem, lub twardy despotyzm Szweda, przymusem pędzącego posłów na zjazd koronacyjny, to stan rzeczy, jaki zastał obecnie, zdolny był napełnić go głębokim wzruszeniem.

Bezkrólewie zbliżało się do punktu kulminacyjnego, jakim był akt elekcyjny. Ze wszech stron Rzpltej ściągały nieprzejrzane tłumy braci szlacheckiej. Liczbę obecnych szacowano na blisko 20,000. Zgromadzone tłumy przenikała atmosfera wiary i tężyzny narodowej. Po tylu latach obcych rządów, w ciągu których król-cudzoziemiec usiłował przy pomocy wojsk saskich rozporządzać losami Polski, obcy zaś najeźdźca deptał jej łany i obsadzał tron, poczuto się znowu w masie, między sobą, z dala od postronnych oddziaływań. Rzplta szlachecka odnalazła się w swojej istności. Wśród zgromadzonych mas gubiły się cudzoziemskie stroje i modne peruki. Górowały staropolskie kontusze, karabele, wąsate twarze z podgolonymi czuprynami; język niemiecki i francuski milkły w rozkołysanym morzu polszczyzny. Powszechne było pragnienie króla-Piasta, a Piastem tym był dla ogromnej większości zgromadzonych Stanisław Leszczyński. Przedziwny zaiste zwrot wydarzeń dziejowych! Dawny wojewoda poznański od dziesiątków lat zerwał bezpośrednie czucie z masą szlachecką, wśród której z taką swobodą obracał się jeszcze jego ojciec, wymowny trybun wielkopolski. Wychowanie odebrał zagraniczne, na tron wyniosła go obca ręka i ona go na nim podtrzymywała wbrew sympatiom ogółu szlachty. W ciągu długoletniej tułaczki był kolejno gościem Szwecji, Turcji, Francji. Córkę wydał za obcego monarchę i nakazał jej stać się dobrą Francuzką. Zetknięcie z obcymi krajami przetworzyło do gruntu jego poglądy społeczne i polityczne. Drogę do powtórnej elekcji utorowała mu francuska dyplomacja i francuskie złoto. A jednakowoż w oczach

naiwnych prostaczków on właśnie wyrastał na najprawdziwszego przedstawiciela rdzennej polszczyzny, obrońcy wszystkich świętości narodowych. Zapomniano, że lat temu trzydzieści olbrzymia większość opinii publicznej traktowała go jako narzędzie cudzoziemskiej przemocy i pomawiała o knucie zamachów na złotą wolność. Zgromadzeni na błoniach Woli żarliwi katolicy, którzy dopiero co uchwalili surowe prawa przeciw różnowierstwu, w niepamięć puszczali tolerancyjność Leszczyńskiego w rzeczach wiary i powszechnie wiadome jego związki z międzynarodowym protestantyzmem. Dawny elekt obozu szwedzkiego ukazywał się jako prawdziwy wybraniec serc, szermierz wiary i wolności przeciw luterańskim Sasom i schizmatyckiej Moskwie.

Nieoczekiwane pojawienie się Stanisława w stolicy było wydarzeniem dla jego kandydatury ze wszech miar pomyślnym. Na zewnątrz szło dotąd wszystko gładko. Na konwokacji bez cienia oporu wykluczono od tronu Sasa, zgromadzenie elekcyjne zdawało się nie mieć innych pragnień, jak najprędzej wynieść na majestat Rzpltej dawnego wojewodę poznańskiego. Wgląd za kulisy rozgrywających się wydarzeń wykazywał natomiast obraz raczej zatrważający. Pod pozorami buńczucznego manifestowawania siły narodowej i ognistych wypowiedzi przeciw obcym tyranom kryło się sporo wyrachowania, niepewności i lęku. Rzeczywistość pozostaje znów w rażącym kontraście z legendą, w jaką spowiła potomność dzieje bezkrólewia 1733 roku. Nie ulega wątpliwości, że masy nieoświeconej, prostodusznej szlachty, z zapałem ciągnęły na bryczkach, furkach, konno, nieraz pieszo pod Warszawę, by oddać swoje wotum za królem-Piastem, z katolickiego zrodzonym stadła. Ale tłum, jak zawsze pozostawał plastycznym materiałem w rękach prowodyrów magnackich, których stosunek do elekcji nacechowany był zimnym wyrachowaniem. Monti w relacjach do dworu wersalskiego łamał ręce nad nieposkromioną chciwością Polaków, która tym była groźniejsza, że po pierwszym porywie jednomyślności zdołano się już rozdwoić. Naprzeciw głównego zgromadzenia elekcyjnego na Woli tworzył się obóz malkontentów na Pradze, w którym znajdowały

schronienie wszelkie niechętne Stanisławowi żywioły. Moment ten wyzyskiwali wyborcy, by podbić swoje usługi w cenie. „W ciągu tych dni — pisał ambasador — byłem niemało dręczony przez wszystkie województwa i sporo magnatów, którzy naciskali, abym rozdawał pieniądze. Odsyłałem ich stale do chwili wyboru marszałka, następnie zyskiwałem każdy dzień, jak się tylko dało. Zapewniano mnie ustawicznie, a było to zgodne z prawdą, że dużo ludzi przechodziło na drugą stronę Wisły, ażeby złączyć się ze stroną przeciwną, gdyż dawano tam pieniądze... Od chwili rozpoczęcia elekcji spędzam dni okropne, kłócąc się z całym światem i odpowiadając mnóstwu ludzi, którzy oblegają mnie w moim pałacu i tłoczą się aż do wnętrza mego pokoju. Oszczędzałem ich, N. Panie, jak tylko się dało; gdyby nie rozdawanie pieniędzy, cała szlachta szemrała już i groziła przejściem na przeciwną stronę".

Nie sama tylko chciwość na zagraniczne datki, które brano nieraz z kilku równocześnie poselstw, podważała jedność obozu stanisławowskiego. Nie było dla nikogo rzeczą tajną, że przeciw kandydatowi Francji opowiedziały się mocarstwa postronne. Strach przed gwałtem sąsiedzkim łączył się w pewnych, niezbyt co prawda licznych odłamach społeczeństwa z sympatiami dla dynastii saskiej. Jednomyślność, z jaką wykluczono od tronu cudzoziemców, trzeba było nieraz wymuszać gwałtem. Zachowała się w tej mierze niezmiernie pouczająca relacja jednego z najwierniejszych stronników domu saskiego, Antoniego Sebastiana Dembowskiego, który pisząc z perspektywy czasu dla pouczenia swego potomstwa, nie szczędził czarnych kolorów dla napiętnowania gwałtów, jakich dopuszczali się stanisławczycy: „Zjechałem na sejmik województwa płockiego *die 18 Martii 1733* i posłem na konwokacje zostałem. Ale bogdaj bym na nim nie postał. Przez trzy dni były *lucta* około przysięgi *cum exclusione externorum*. Starałem się z duszy uniknąć jej, bom wiedział przez rozum, na co się zanosi, że pod imieniem Piasta jedynie *factivi* króla Stanisława utrzymać chcieli, przeciwko któremu sąsiedzi okoliczni, cesarz, carowa i regnant berliński *solenniter*

się deklarowali. A tak mówię widząc oczywistą wojnę, którą *factiosi* z kandydatem swym wprowadzali do ojczyzny, uniknąć serdecznie i z innymi toż trzymającymi przysięgi chcieliśmy, ale nie było sposobu; przymuszono nas do niej gwałtem i tumultem. Przez sześć prawie godzin trwał tumult, pełen kościół był szlachty, wszyscy z dobytymi szablami, wyniesiono *venerabile* z zakrystii, z którym brat mój X. Mikołaj, kanonik krakowski, stał na ołtarzu, ale i to hamować tumultu nie mogło aż do wieczora. Szczęście, że ciżba była, dla której ściśnieni brawurnicy z kordami rozpostrzec się nie mogli. I tak przeciwko woli i rozumowi memu, przeciwko dobru ojczyzny prawdziwemu, przymuszony pod szablami przysiąc musiałem na exluzję... Nastąpiła później konwokacja, na której takoweż było o przysięgę uciążenie, od którego nikogo uwolnić nie chciano, nawet i z domów wyciągano, a z senatu schronić się nie dano; a do tego dzień taki upatrzono, któregoś się oprócz *conscios* nie spodziewano. I tak dokonali *factiosi*, czego chcieli, a na ojczyznę albo *necessitatem* zguby przy swoim Stanisławie, albo *periuriam* w postrzeżeniu się założyli.

Bardzo podobnie brzmi ustęp, jaki w pamiętnikach swych skreślił Matuszewicz: „Po sejmiku przedelekcyjnym brzeskim, śp. ojciec mój znowu mnie posłał do Siemiatycz, do wojewody podlaskiego, pana zawsze dla mnie łaskawego, abym mu asystował, i sam jadąc na elekcję do Warszawy, był u JW. Imci pana wowody w Siemiatyczach, który w dawnej i zupełnej poufałości żalił się przed ojcem moim na gwałtowne partii stanisławowskiej postępki, upewniał o nieodmiennym wkroczeniu Rosji do Litwy, przepowiadał następujące ruiny i niepewność obietnic od Francji, która łatwo może dywersję uczynić w Niemczech, ale od Rosji nie zdoła obronić“. Opinia wojewody podlaskiego, którym był Michał Sapieha, z tego zwłaszcza względu jest znamienna, że odbija ona wspólne stanowisko magnatów litewsko-ruskich, zmuszonych liczyć się w pierwszym rzędzie z sąsiedztwem caratu. Nic dziwnego, że w obozie secesjonistów na Pradze, spośród których wyjść miała w niedalekiej przyszłości elekcja Augusta, prze-

ważała litewska szlachta i kilka rodów oligarchicznych: Sapiehowie, Sanguszko, Radziwiłłowie, Wiśniowieccy. Senior tych ostatnich, ks. Michał, bliski krewny Stanisława i jeden z najgorliwszych promotorów jego kandydatury, z ciężkim sercem znalazł się po przeciwnej stronie, i jak pisze Matuszewicz, „z tym wszystkim nieraz tak się publicznie oświadczał, że widząc adherentów króla Imci Stanisława, że nie zważając na żadne konsekwencje, królem go koniecznie obrać chcieli, i oczywistą wojnę w ojczyznę wprowadzić; widząc oraz, że francuskie obietnice w utrzymanie króla Stanisława będą zawodne, a Rosji Rzplta oprzeć się nie zdoła, więc dla salwowania ojczyzny do partii przystąpił rosyjskiej, ażeby przyjaciół swoich od dezolowania nieprzyjacielskiego obronił i przeciwnej strony gubić do szczętu nie dopuścił".

Podobne nastroje występowały nie tylko wśród odstępców sprawy Leszczyńskiego. Również w gronie najbliższych jego stronników złowrogim echem odbiła się wieść o wkroczeniu wojsk rosyjskich na Litwę. Stolica równocześnie z wybuchami entuzjazmu na rzecz kandydata narodowego odczuwała dreszcze trwogi. Wielkie domy magnackie pośpiesznie pakowały meble i kosztowności, by je wysłać do Gdańska, kupcy chowali towar do klasztorów. Z różnych stron naciskano na prymasa, by wobec niepewnej sytuacji odroczył elekcję. Monti był w nie lada kłopocie, widząc, jak twardy na pozór książę Kościoła upada na duchu i wywnętrza się przed nim z obaw, że Moskale uwięzą go i popędzą na Sybir. W takim momencie zjawił się w Warszawie Stanisław. Ambasador ukrył go przezornie w głębi swego pałacu i zaprosiwszy do siebie czterech głównych przywódców obozu francuskiego, mianowicie prymasa, marszałka w. kor. Józefa Mniszcha, Poniatowskiego i wojewodę lubelskiego Tarłę, zakomunikował im, że Stanisław z flotą francuską wylądował w Gdańsku, zapewniając zarazem, że Król Arcychrześcijański pełen jest najlepszych dla Rzpltej sentymentów i że zamierza zwołać na jej obronę przeciwko Moskwie krzywe szable pohańców. Efekt tych słów okazał się wyśmienity. Myśl odroczenia elekcji prysła, sta-

nisławczycy nabrali ducha, wśród prażan nastąpiła konsternacja, wielu poczęło przemykać się z powrotem do Warszawy.

Wobec tego Monti uznał, że nie ma racji ukrywać dłużej przybycia Stanisława. 10 września rankiem wprowadził ubranego w strój narodowy sekretnym przejściem do kościoła św. Krzyża na mszę, zgromadziwszy tam pierwej elitę swego obozu. Zetknięcie przyszłego władcy z poddanymi wypadło wzruszająco. Z uniesieniem całowano go po rękach, wznosząc okrzyk: „*Vivat* król Stanisław", który podchwycił w lot gromadzące się licznie na ulicy tłumy. Dzień cały upłynął Leszczyńskiemu na przyjmowaniu wiernopoddańczych deputacji szlacheckich. Prymas, udawszy się po południu na pole elekcyjne, stwierdził wzrost nastrojów stanisławowskich. W tych warunkach można było 11 września przystąpić do uroczystego obioru. Olbrzymie pole pod Wolą pokryło się nieprzejrzanymi tłumami szlachty, ustawionej podług województw, ziem i powiatów. Prymas, odśpiewawszy *Veni Creator* w licznej asyście objeżdżał konno zastępy wyborców, zbierając wota. Opowiada Dembowski, że gdy zbliżył się do województwa płockiego i zapytał, kogo chcą za króla, „odezwał się niejaki Bromirski i z nim kilku w te słowa: „Mój Miłościwy Xiążę, Polaka sobie życzymy, ale prosim o takiego, co by wojny za sobą nie wprowadzał. Na co zaraz *reposuit* Xże Prymas: To vivat król Imć Stanisław, a tysięczna assistentia, która z nim jeździła, okrzykiem swym: Vivat Stanisław, tłumiła *aliter sentientibus* głosy. Jakoż po powiatach *stupor* jakiś opanował był wszystkich, że ledwo dwudziesty albo trzydziesty który odezwał się i wystrzelił na *vivat*". Przyjmując opowiadanie to na dobrą wiarę, musi się przyznać, że opozycja, jeżeli nawet była, to wypadła nader blado, a zgodność elektorów była uderzająca. Około trzynastu tysięcy zgromadzonej szlachty wielkim głosem domagało się nominowania Stanisława. 12 września o godzinie 4 po południu uroczysty akt dobiegł końca. W atmosferze serdecznego uniesienia odśpiewano Te Deum, po czym nastąpił uroczysty pochód do katedry świętojańskiej.

Zwycięstwo olśniewające, ale bez jutra. Jeszcze nie prze-

brzmiały salwy, którymi święcono triumf kandydata narodowego, gdy wyszła na jaw cała katastrofalność położenia Leszczyńskiego. Rzec można, że znalazł się bardziej bezsilny i zewsząd wystawiony na niebezpieczeństwa aniżeli po fatalnej elekcji 1704 roku. Wówczas osłaniała go żelazna prawica Karola XII — teraz jedynym oparciem była odległa Francja. Na Polaków nie można było liczyć. Liczne tłumy szlachty rozjechały się po domach, roznosząc niejednokrotnie alarmujące wieści o zbliżaniu się Moskali i ucieczce Stanisława ze stolicy. „Gdym przez Łęczycę przejeżdżał — pisze Dembowski — obskoczyła mnie tam szlachta, pytając, co słychać o Moskwie, i jeśli prawda, że nowoobrany król do Gdańska umyka? Powiedziałem, jako w rzeczy samej było, że Moskwa ku Warszawie zbliżała, i że elekt z panami do Gdańska się przebierał. Natenczas przysłuchiwałem się, jak szlachta przeklinała tę elekcję, jak narzekała na prymasa, że ich zawiódł, obiecując, że w pokoju zostawać będą, że im włos z głowy nie spadnie, a teraz widzą, że im króla obrał, którego duszą i gardłem utrzymać im każą, i miasto obiecanego pokoju, życie i fortuny stracić muszą". Trudno się dziwić podobnym nastrojom na zapadłej prowincji, skoro Warszawa, kolebka królewskości Stanisława, dawała najgorszy przykład małoduszności. Wczorajsi entuzjaści kandydata narodowego myśleli teraz o tym, jak unieść cało głowę. „Zbliża się burza, której należy stawić czoło — pisał Monti — Polacy mogliby ją odwrócić, gdyby była w nich miłość ojczyzny, jednak każdy z nich wraca teraz do domu. Przeważna część dam z wysokiej sfery chroni się do wnętrza królestwa, inne udają się do Gdańska..."

Wśród pozostałych przy boku Stanisława rzekomo najwierniejszych stronników wybuchły gorszące swary. Odżył w całej pełni spór między Familią a Pilawitami o komendę nad wojskiem. „Jesteśmy tu, N. Panie, bez wojska i bez żadnej pomocy — ubolewał Monti — co zaś najgorsze, współzawodnictwo między wojewodą kijowskim a Poniatowskim rozdziera całą Polskę; co jeszcze najgorszego w tym, to mieszanie się kobiet". Obaj rywale cisnęli się do Stanisława, chcąc wydrzeć upragnioną buławę;

król w obawie zrażenia sobie jednego z nich wykręcał się odpowiedzią, że zobowiązał się wobec Ludwika XV zatwierdzić decyzję powziętą w tej sprawie przez Montiego. Dobrowolne wyrzeczenie się jednej z najważniejszych prerogatyw majestatu na rzecz ambasadora Francji dawało posmak, jak wyglądałyby rządy Stanisława nad potężniejszymi odeń oligarchami. Czym pierwej był dla neoelekta z musu Karola XII, tym stawał się z dobrowolnego wyboru Ludwik XV. Poseł saski w stolicy, Wackerbarth, ze złośliwą satysfakcją informował swój dwór, że stronnicy Stanisława traktują go „jak brata i kolegę", bez zaproszenia rozwalając się w jego obecności na krzesłach i napełniając apartamenty królewskie dymem tytoniowym. Ostatecznie załatwiono spór o dowództwo nad armią na korzyść Potockiego, nie zmieniło to jednak w niczym rozpaczliwej sytuacji stanisławczyków. Król wraz z Montim i najbliższym otoczeniem schronił się do Gdańska, nieliczny zaś zastęp senatorów i parotysięczny tłum szlachty, zgromadzony na Pradze, w asyście wojsk rosyjskich ogłosił 5 października królem polskim Augusta III. Podobnie jak przed trzema dziesiątkami lat, znalazła się Rzplta w stanie dwukrólewia.

Nadeszła oczekiwana przez stanisławczyków chwila, kiedy w obronie swego kandydata wystąpić miała potęga francuska. Nadzieja pomocy ze strony Ludwika XV była jednym z głównych atutów, którym szermowali stronnicy Stanisława. W anonimowym pisemku, zalecającym jego wybór, spotykamy znamienną dla nastrojów polskich argumentację: „O pewności pożytków dla Rzpltej z obrania króla Stanisława ten by tylko wątpił, który by o potencji i dostatkach, wspaniałości króla albo geniuszu i maksymach narodu francuskiego nie był poinformowany. Potencja jego królestwa jest tak wielką, że się nieraz złączonym przeciwko sobie całej prawie Europy siłom sama oparła... Sama tedy tak ścisła Polskiego Królestwa z tak potężnym monarchą przez Króla Stanisława relacja i konneksja będzie najpierwszym dla Rzpltej pożytkiem, najskuteczniejszą interesów naszych manutencją, powściągnie niesłuszne apetyty sąsiadów naszych.. Że zaś żywo i rzeźwo Francja się za nami interesować zechce, upewniają nas



mal. Belotto

WARSZAWA. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE

w tym jednostajne maxymy tamecznego ministerium i wspaniały geniusz narodu, przez największe azardy i wojny punkta honoru swego i koligatów swoich utrzymujący". Rzeczywistość miała okazać, że racja była po stronie sceptyków, co jak Sapieha i Wiśniowiecki, przewidywali, że dwór francuski, sypnąwszy obietnicami i złotem, nie poprze swego kandydata orężem. Gwałt, zadany polskiej elekcji, stał się dla Francji pożądanym pretekstem załatwienia dawnych porachunków z Habsburgami nad Renem i we Włoszech. Bourbonowie francuscy i hiszpańscy, sprzymierzywszy się z królem Sardynii, pierwszym natarciem opanowali Lotaryngię, szturmem wzięli Phillipsburę, zajęli Neapol, Mediolan, zagrozili Tyrolowi. Głucho było natomiast o pomocy dla Stanisława. Głównej sprawczyni jego klęski, Rosji, nie wypowiedział nawet Wersal wojny. Wobec niegotowości bojowej stanisławczyków, którzy wśród rojeń o potężnym poparciu Króla Arcychrześcijańskiego i kłótni o urzędy zaniedbali przysposobienia najbardziej prymitywnych środków obrony, jedynym punktem oparcia świeżej królewskości stały się warowne mury Gdańska.

Potężna metropolia handlu bałtyckiego, skupiająca w swych rękach przeważną część zagranicznych obrotów Rzpltej, przeżywała w chwili elekcji Leszczyńskiego nawrót dawnej świetności. Handel zbożowy, zrujnowany wśród zamętu wielkiej wojny północnej, znów dźwignął się wzwyż, osiągając imponującą cyfrę powyżej 50,000 łasztów. W latach, gdy cała Polska uległa przemocy moskiewskiej, Gdańsk potrafił w własnych siłach stawić jej czoła. Potężny system fortyfikacyj, umocnionych przez obwarowania naturalne, liczna armia zaciężna, artyleria, jaką nie mogła się w owym czasie poszczycić Rzplta, opieka Anglii i Holandii, wszystko to napawało obywatelstwo gdańskie wiarą we własne siły. Był to jedyny na obszarze rozległego państwa punkt, w którym neoelekt mógł bezpiecznie schronić głowę. Wszystko zależało od tego, jakim sercem przyjmą Gdańszczanie Leszczyńskiego. Owóż to, co nastąpiło, uchodzić może za jeden z cudów historii. Prawda, że w czasie swego pierwszego królowania okazał Stanisław miastu wiele życzliwości i w zamian za pomoc

finansową obdarzył je szeregiem przywilejów i usiłował bronić przed łupiestwem szwedzkiego żołnierza. Mogli gdańszczanie liczyć, że elekt olbrzymiej większości narodu, utrzymawszy się przy władzy, hojnie im się wypłaci za pomoc w najcięższych świadczoną okolicznościach. Nęciła perspektywa przywilejów handlowych ze strony Francji. To wszystko razem nie tłumaczy jednak ani entuzjazmu, z którym przyjęło mieszczaństwo gdańskie wygnanego ze swej stolicy króla, ani bohaterskiej determinacji, z jaką w jego obronie stawiało czoła potędze Rosji. Najwidoczniej w sercach trzeźwych, praktycznych kupców gdańskich doszły do głosu pierwiastki irracjonalne: poczucie wierności wobec wybrańca Rzpltej, której Gdańsk mianował się „wiernym i nierozłącznym członem", usprawiedliwiona duma, że monarcha, porzucony przez szlachtę, dźwigający miecz, oddawał się z ufnością pod opiekę mieszczan, parających się wagą i łokciem.

Z wystraszonej, skłóconej, upadającej na duchu Warszawy dostał się Stanisław w zgoła odmienną atmosferę. Niewyszukanymi a serdecznymi słowy witał Leszczyńskiego dziejopis miejski. Gorączkowo rzucono się do naprawiania i umacniania szańców, trzykrotnie pomnożono siłę zbrojną, całą ludność męską powołano pod broń, w obszernych spichrzach nagromadzono zapasy żywności na długotrwałe oblężenie. Widząc to wszystko Stanisław, z właściwą miękkim naturom wrażliwością, z przygnębienia, w jakim opuszczał stolicę, przerzucił się w nastrój różowy. Nawet wiadomość o elekcji rywala nie zdołała rozproszyć jego złudzeń. Wyobrażał sobie, że Rzplta porwie przeciw obcym intruzom za oręż, że na ratunek jego pośpieszą hufce francuskie, że uda się poruszyć dawnych sprzymierzeńców: Szwecję, Turcję, kozaczyznę. Na czele rządu sztokholmskiego stał wówczas Arwid Horn, który przed dwudziestu laty z rozkazu Karola XII wyniósł Stanisława na stolec Rzpltej. Do wypróbowanego zdawało się przyjaciela apelował teraz w imię polsko-szwedzkiej przyjaźni: „Szczycę się zniewagami mych wrogów; im niesprawiedliwszy jest ten najazd, tym zaszczytniejsza dla mnie

jego przyczyna. Atakują mnie wyłącznie za moje przywiązanie do Szwecji. Pragnę, aby się ich podejrzenie sprawdziło i aby się mocno przekonali, że dobro naszych królestw jest nierozdzielne". W gorszej pamięci zachował Leszczyński drugiego sojusznika z doby karolińskiej — Turcję. Gdy w krytycznym momencie poelekcyjnym — radził mu Monti szukać schronienia w Kamieńcu, by następnie w przymierzu z półksiężycem oczyścić swoje królestwo z najazdu Moskwy, Stanisław, nauczony dawnymi doświadczeniami, odpowiedział: „Ani myślę drugi raz oddawać się w ręce Turków; ci nikczemnicy gotowi mnie wydać, żaden wezyr nie wytrzyma pokusy rosyjskiego mieszka". Nie zapominał natomiast o trzecim z sąsiadów, do którego, mimo tylokrotnych zawodów, żywił dziwną słabość. Wyprawiony do Berlina Stanisław Poniatowski zawiózł królowi pruskiemu propozycję oddania Kurlandii w zamian za pomoc przeciw Sasom i Moskwie.

Poza bawieniem się w dyplomację znajdował Stanisław dość czasu na osobiste doglądanie przygotowań do obrony Gdańska. Łaskawym obejściem jednał sobie serca mieszczan, magistrat zobligował zwrotem 30,000 florenów udzielonej mu niegdyś pożyczki. W ogóle w pierwszych miesiącach pobytu czas nie dłużył się Leszczyńskiemu. Przy jego boku znaleźli się najwybitniejsi koryfeusze jego obozu: prymas St. Poniatowski, pięciu Czartoryskich, podskarbi koronny Ossoliński, który jako krewny neoelekta i jeden z najbardziej oddanych mu ludzi wyrastał na znaczną osobistość w obozie stanisławczyków. Szczególnie miłe w tym gronie było dla króla towarzystwo dwóch braci Załuskich: Józefa Jędrzeja, wówczas referendarza koronnego i Andrzeja Stanisława, w przyszłości biskupa krakowskiego i kanclerza koronnego. Pierwszy z nich, był poczciwym erudytą, nieszczególnym poetą i zapalonym zbieraczem książek; drugi — światły, głęboki umysł o śmiałych pomysłach reformatorskich, nieskazitelnością charakteru i gorącym oddaniem sprawie publicznej górował nad całym pokoleniem. Do nich dołączyli się dwaj Francuzi: uczony prawnik i poliglota Tercier oraz pełen werwy kawaler

Solgnac, próbujący z powodzeniem swych sił zarówno w rymotwórstwie jak w studiach historycznych. Wśród tej czwórki intelektualistów, z równą ciekawością zajmujących się bieżącą polityką jak starymi drukami i rękopisami, czuł się Stanisław w swoim żywiole. Mimo kłębiących się nad nimi czarnych chmur, mimo niepewności jutra, znajdowali oni czas i ochotę na ożywione dyskusje, w trakcie których lektura Modrzewskiego, Przyłuskiego, Górnickiego i innych statystów złotego wieku przeplatana była refleksjami nad obecnym stanem Rzpltej i drogami ratunku na przyszłość. Z tych rozmów w murach oblężonego Gdańska wziął swój początek wiekopomny traktat króla Stanisława o naprawie Rzpltej.

Tymczasem bieg wydarzeń z każdym dniem zadawał kłam optymistycznym przewidywaniom. Wojska rosyjskie, wprowadziwszy bagnetami na tron polski Sasa, pośpieszyły uporać się z jego współzawodnikiem. Rozpoczęło się w styczniu 1734 oblężenie Gdańska: dość nieporadne, jak długo kierował nim generał Lascy, groźne, odkąd dowództwo sił oblężniczych przejął największy z ówczesnych wodzów rosyjskich, groźny Münnich. Nie ulękli się Gdańszczanie pogróżek feldmarszałka, że „wina ojców spłacona będzie na dzieciach i wnukach, a krew winnych z krwią niewinnych się pomiesza" i z heroizmem stawili czoła gwałtownemu natarciu. Szturm po szturmie załamywał się o męstwo obrońców, częste ich wypady na szańce nieprzyjacielskie dawały świadectwo brawury, z jaką przyjmowali wyzwanie wroga. Niemniej było rzeczą widoczną, że na dłuższą metę miasto nie wytrzyma bez pomocy z zewnątrz; tymczasem wszystkie czynniki, na jakie liczył Stanisław, kolejno zawodziły. Kraj nie pozostał wprawdzie głuchy na jego manifesty, w których wzywając do odporu obiecywał zarówno pomoc Boga, który jest „nie winności protektor, w krzywdach *Defensor*", jak poparcie „postronnych narodów, które się *lustius et rectius* do Nas interesują". Tu i ówdzie zawiązywały się konfederacje, tworzyły oddziały partyzanckie, ale zaimprowizowana armia okazywała się bezsilna w spotkaniach z regularnym żołnierzem rosyjskim. Po-

ważniejsza próba odsieczy Gdańska, której przywodził jeden z najgorętszych stanisławczyków, Jan Tarło, skończyła się niepowodzeniem. Gorzej jeszcze spisywały się „postronne narody". Arwid Horn z dawnego karolińczyka przedzierżgnął się w stronnika Rosji i całym ciężarem swych wpływów wstrzymywał Szwecję od udzielenia Leszczyńskiemu sukursu. Turcja znalazła się w kłopotliwej sytuacji. Z jednej strony kardynał Fleury, wzywając ją do wystąpienia, równocześnie odpychał ze wstrętem myśl o sojuszu z niewiernymi; z drugiej zagrażał posiadłościom tureckim w Azji wielki zdobywca perski, Tamas Kuli Chan. Dla zjednania sobie Berlina sięgnął Leszczyński po zwykły środek, jakim było ofiarowanie żarłocznemu sąsiadowi szmatu Pomorza, łączącego marchię brandenburską z Prusami Wschodnimi, atoli ostrożny Hohenzollern nie złakomił się na przynętę, skoro zażądano odeń równoczesnego wystąpienia zbrojnego na rzecz Gdańska.

Najgorzej spisywała się Francja. Fleury, mszcząc się za narzucenie mu wstrętnej kandydatury Stanisława, ograniczał całą działalność do zabiegów dyplomatycznych, nie wysyłając nad Wisłę ani jednego żołnierza; opinia publiczna, upojona świeżymi sukcesami nad Renem i na Nizinie Lombardzkiej, chętnie przymykała oczy na to, co działo się równocześnie w Rzpltej. Wśród milionów poddanych Króla Arcychrześcijańskiego znalazł się jeden, któremu leżał na sercu honor Francji, najpierw tak skoro szafującej obietnicami, później sromotnie opuszczającej sojuszników w nieszczęściu. Był nim ambasador francuski w Kopenhadze, hr. Plélo, który rzuciwszy samowolnie swój posterunek, z paru tysiącami straceńców przybił pod Gdańsk i w szturmie na rosyjskie pozycje padł pokłuty bagnetami. Śmierć bohaterskiego Francuza była dowodnym świadectwem, że na pomoc jego kraju liczyć nie można. Miary zgnębienia Gdańszczan dopełniło pojawienie się rosyjskiej floty, która poczęła bombardować miasto ciężkimi działami. Po przeszło pięciu miesiącach zmagań nadchodziła godzina kapitulacji.

W tym zwrotnym punkcie drugiej królewskości Leszczyńskiego, gdy widoki ratunku rozwiewały się z dymem, a w oczy

zaglądało widmo niewoli lub śmierci, jak tylokrotnie w ciągu życia króla-tułacza przyjdzie znowu skonfrontować legendę z rzeczywistością. O utrwalenie pierwszej postarał się sam Leszczyński w wydanym współcześnie, pod formą listu do córki, opisie ostatnich chwil walczącego Gdańska. Z kart jego wyziera oblicze monarchy wspaniałomyślnego a pełnego męskiej determinacji, który widząc beznadziejność sytuacji, z własnego popędu, nakazał gdańszczanom zaniechać oporu. Decyzja ta wywarła na nich tak piorunujące wrażenie, że jeden z radnych, jak gromem rażony, padł martwy. Chcąc rozprószyć ostatnie wahania wiernego mieszczaństwa, zdecydował się Stanisław opuścić oblężone miasto. Początkowo była mowa o przebiciu się na czele stu walecznych przez gęste szyki nieprzyjaciela, „ale ten zamiar, pochlebiający memu sposobowi myślenia, nie był łatwym do wykonania".

Naprawdę, sprawy przedstawiały się dużo mniej heroicznie. Zbliżająca się katastrofa Gdańska wprawiła Stanisława w stan krańcowego przerażenia. Słuchając relacji oficerów francuskich o beznadziejnym położeniu wojskowym, płakał jak dziecko. Deputację miejską, która ze łzami w oczach przedstawiała mu trudność dalszego oporu starał się odwieść od natychmiastowej kapitulacji, doradzając natomiast oddanie się pod protekcję króla pruskiego. Na dnie tej rady kryło się oczywista przeświadczenie, że dobrotliwy sąsiad brandenburski nie zapomni o przyjacielu, który okazywał nieraz gotowość zapchania mu paszczy ziemią polską i wytarguje dlań u Rosjan znośne warunki. Gdy Münnich brutalnie odrzucił mediację Prus, żądając od gdańszczan wydania w jego ręce Stanisława wraz z całym jego polskim otoczeniem, w dwukrotnym królu załamał się do reszty hart i powziął mało królewską decyzję: zamiast iść w więzy i zaznać Sybiru, na który zawędrowała już z Rzpltej niejedna ofiara carskiej przemocy — lepiej szukać ocalenia w dobrowolnym złożeniu korony do rąk zwycięzcy.

Na szczęście czuwał nad Stanisławem margrabia Monti, który z dyplomaty przedzierżgnąwszy się znów w żołnierza, był duszą obrony Gdańska, teraz zaś uratował króla przed ostatecz-

nym pohańbieniem. W mocnych wywodach tłumaczył mu, że niejeden władca na skutek nieszczęśliwych losów bitewnych poszedł w niewolę bez ujmy na honorze; natomiast dobrowolna abdykacja ze strony dwukrotnego wybrańca narodu szlacheckiego byłaby ostateczną kompromitacją dla niego, jego wiernych, Francji. Stanisław puszczał perswazje mimo uszu, trwając nadal w zamiarze ugięcia się przed wrogiem. Wówczas Monti postanowił ratować niegodnego pomazańca przed niesławą, umożliwiając mu ucieczkę z oblężonego miasta. Nie łatwo było skłonić do tego podstarzałego sybarytę, w którego piersi nie paliła się nigdy iskra przygód i hazardu. Jak dziecko wypraszał się, aby mu pozwolono spędzić w Gdańsku bodaj jedną jeszcze dobę. Mocna wola ambasadora wzięła w końcu górę nad rozhisteryzowanymi nerwami króla. Spośród wszystkich przygód, jakich zakosztował w swym urozmaiconym życiu, żadna nie była owiana urokiem tak romantycznej niezwykłości. Nocą, w największym sekrecie przed najbliższym otoczeniem, sprowadzono Stanisława w chłopskim przebraniu do czekającej nań łodzi, którą wraz z towarzyszącym mu generałem szwedzkim Stenflichtem przeprawił się na drugi brzeg Wisły. Nastąpiła wędrówka w towarzystwie przydanych mu przewodników, wśród trudów, niebezpieczeństw, ciągłego ryzyka wpadnięcia w ręce patrolujących oddziałków rosyjskich. Wrażliwa natura Stanisława po wyjściu cało z niebezpieczeństwa odczuwała żywo urok tej awanturniczej wędrówki. W napisanej pod adresem córki, ale przeznaczonej dla szerszej wiadomości relacji, opisał najdrobniejsze jej szczegóły, odsłaniając tajniki swych przeżyć z dziwną mieszaniną czułostkowości i pozy bohaterskiej, szczerości i fanfaronady. W chwili rozstania z Gdańskiem „smutny los tam pozostałych przyjaciół... taką boleścią przeszył serce moje... żem ledwo nie utracił przytomności. Nie miałem dosyć sił na utrzymanie tak okropnego ciosu... szczęściem łzy zasłoniły przede mną widok tak tkliwy". Opisuje następnie król, jak nocą „przez kilka prawie godzin szliśmy piechotą po bagniskach i błotach, grzęznąc często do kolan i jedni drugich wydobywając z grzęzi". A wreszcie szczęśliwe przybycie na bez-

pieczne terytorium pruskie i radosny wjazd do Kwidzynia na kupionym po drodze wozie, zaprzężonym w parę koni. „Lubo ten wjazd nie był wspaniały, przecież okazałość nie powiększyłaby radości wówczas doświadczonej. Towarzyszyła mi bowiem słuszność mojej sprawy, miłość poddanych, spokojność sumienia i niewątpliwy szacunek nieprzyjaciół. Wszystko to było powodem, żem zapomniał o moich niepomyślnościach".

Władcą ziem, na których znalazł Leszczyński schronienie, był Fryderyk Wilhelm I, brutalny i nieokrzesany „król-sierżant", który wśród upartych zmagań ze swymi poddanymi, kłótni z najbliższą rodziną, ciułając grosz do grosza, budował mozolnie gmach fiskalno-militarnej wielkości nowożytnych Prus. Rzplta miała niejednokrotnie możność odczuć skutki złego sąsiedztwa: czy kiedy dawny lennik zwabiał z jej terytorium osadników i gwałtem werbował żołnierzy do słynnego „pułku wielkoludów", czy gdy roztaczał natrętną opiekę nad polskim różnowierstwem, czy wreszcie gdy godził w jej całość, wchodząc w konszachty rozbiorowe z Augustem. Ta ostatnia myśl uzyskania od Polski nowych ziem bez wydobycia oręża, stanowiła ulubiony motyw polityki Fryderyka Wilhelma. Wiedziały o tym dwa dwory cesarskie. Obietnicą Kurlandii zwabili Prusaka do udziału w „traktacie trzech czarnych orłów", który zamknąć miał drogę do tronu tak elektorowiczowi saskiemu jak Leszczyńskiemu. Z niecierpliwością śledził król pruski przebieg bezkrólewia, wyczekując sposobnej chwili, kiedy jedna z walczących stron zwróci się doń z prośbą o pomoc. Łatwy triumf Sasa przejmował go wściekłością. Obietnice dworów cesarskich okazały się pospolitą pułapką, smakowity kąsek kurlandzki najwyraźniej wymykał się z rąk. W tych warunkach przybycie Leszczyńskiego było wydarzeniem ze wszech miar pomyślnym. Wiedziano w Berlinie, że nowy król nie ma zbyt drażliwego sumienia na punkcie integralności Rzpltej, w trudnej zaś sytuacji, w jakiej się znalazł, trzeba mu było na gwałt pomocy. Cóż prostszego, jak udzielić wygnańcowi gościny, umożliwiając podjęcie na nowo walki z najazdem moskiewskim, następnie zaś albo wprost wziąć odeń zapłatę, albo sprzedać go

Sasowi. Dość, że przyjęto Leszczyńskiego z honorami. Bajecznie skąpy król-sierżant nie tylko wyznaczył mu rezydencję w Królewcu, ale z własnej szkatuły wyznaczył miesięczny zasiłek, pozwolił ściągnąć do boku licznych stronników, z satysfakcją patrzył na rozpalające się w Polsce zarzewie wewnętrznych niepokojów, czekając, rychłoli przyjdzie mu odegrać upragnioną rolę sprzymierzeńca, pacyfikatora, pośrednika, w każdym zaś wypadku pomnożyciela dziedzictwa Hohenzollernów.

Po dwóch dziesiątkach lat znalazł się Leszczyński w podobnej sytuacji, jak nazajutrz po Połtawie, kiedy wyrzucony z Polski bagnetami saskimi i rosyjskimi, z obcej ziemi organizował powstanie przeciw najeźdźcy. Znów zgromadziła się około niego emigracja malkontentów, wyobrażająca sobie, że ona reprezentuje prawdziwe oblicze kraju, przyciśniętego ciężką łapą sasko-moskiewską. Znowu usiłuje się pchnąć kraj w odmęt wojny domowej, w której masy uzbrojonej szlachty przepędzą za siódmą górę saskiego intruza. Tylko, że tym razem sprawa przedstawiała się dużo poważniej. Usposobienie szerokich mas było inne aniżeli po Połtawie, kiedy po pięciu latach przemarszów obcych wojsk wśród ruin i zgliszcz, uczuciem dominującym było pragnienie pokoju. Agitacja wyborcza na rzecz kandydata narodowego rozkołysała opinię, gwałt elekcyjny zatargał najświętszymi uczuciami. Zaczynała sobie torować drogę obca pokoleniu saskiemu świadomość, że czymś zgoła innym jest wolność szlachcica w jego zagrodzie i prawo obierania sobie królów, by móc następnie wzniecać przeciw nim rokosze, czymś innym niezawisłość narodu w stosunku do aktów przemocy postronnej. Młody pijar Stanisław Konarski, broniąc piórem praw Rzpltej do rozporządzania swymi losami, pierwszy rzucił w naród, w łacińskiej zresztą formie podane, nieśmiertelne odtąd słowo: *independentia!* Rozwinięciem tej idei zajęła się szlachta tego właśnie województwa, z którego wiódł ród przyszły reformator oświaty i pogromca liberum veto. Szlachta sandomierska, zebrawszy się na sejmiku w Opatowie, uchwaliła 3 grudnia 1733 stawać przy „wolnej *in libera gente* elekcji, nie podlegającej żadnej od postronnych

narodów monarchów dependencji i impozycji albo excluzji: *circa independentiam et supremam Maiestatis Dominae iurium Suorum Reipublicae*, nie znającej nad sobą niczyjej prócz samego Pana Boga zwierzchności". Podobnym tonem rozbrzmiewał manifest, ogłoszony w początkach roku 1734 w Kolbuszowej, w którym młodziutki Adam Tarło, wyniesiony niebawem na wodza obozu stanisławczyków, wołał: „Nie chcemy cierpieć dependencji żadnej od postronnych narodów!".

Hasła te znajdowały oddźwięk zwłaszcza w młodszym pokoleniu, które nie przetrawione gorzkim pesymizmem epigonów doby Jana III, z poczucia hańby i klęski Rzpltej czerpało zapał do walki. Gdy więc Leszczyński, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia upadku Gdańska, wypuścił z ziemi pruskiej manifest do narodu, odpowiedział mu oddźwięk tysięcy serc. W początkach listopada 1734 r. zjechali się w skromnym Dzikowie w pobliżu Sandomierza koryfeusze jego obozu. Wśród powszechnego zapału uchwalono zawiązać konfederację generalną ku obronie prawowitego monarchy a przeciw saskiemu uzurpatorowi, którego wybór piętnowano niemal w tych samych terminach, co nieszczęsną elekcję Stanisława sprzed lat dwudziestu, jako dokonany „przeciw wszelkim Rzpltej prawom... pod flintami moskiewskimi, przy licznej ruskich generałów i oficerów frekwencji *in defectu electoris populi*, przy dawaniu triumfalnego ognia od samych moskiewskich wojsk..." Poselstwa do Stolicy Apostolskiej, Króla Arcychrześcijańskiego, Szwecji, Turcji, chana, zapewnić miały walczącej Polsce pomoc moralną i poparcie orężne. Ale nie na same mocarstwa liczyła konfederacja dzikowska. Zamierzono podnieść przeciw dworom cesarskim wszystkie uciskane przez nie żywioły: Kozaków mazepińskich, „narody węgierski, czeski i śląski" a nawet „stany państw moskiewskich, inflandzkich, kałmuckich", o których przypuszczano, że z niecierpliwością dźwigają jarzmo trzęsącej Rosją niemieckiej kamaryli. Coś jakoby pierwowzór późniejszego hasła powstańczego: „Za naszą i waszą wolność". Równocześnie zaś wykluwała się w najbardziej wtajemniczonych kołach konfederacji myśl przebudowy wewnętrznej —

od aukcji skarbu i wojska po reformę władzy wykonawczej, sejmu, obierania królów.

Mogło się wydawać, że nad pogwałconą i rozdartą wewnętrznie Rzpltą wschodzi jutrznia odrodzenia. W świetle tych szumnych zapowiedzi ukazuje się konfederacja dzikowska jako pierwszy wielki ruch narodu szlacheckiego w obronie niepodległości, zarazem pierwsza w dobie saskiej poważna próba dźwignięcia się z anarchii. Cóż słuszniejszego, jak walka orężna w obronie prawowitego monarchy, symbolizującego w tej chwili najdroższy skarb narodu — prawo stanowienia o swych przeznaczeniach? W tym świetle wyrasta postać Leszczyńskiego na pierwszego hetmana insurekcji narodowej, poprzednika barzan, ludzi Sejmu Wielkiego, powstania kościuszkowskiego. Znów jednak przeciwstawia się pozorom i legendzie — trzeźwa rzeczywistość. Analiza dokumentów i faktów odsłania całą przepaść, dzielącą hasła, jakimi usiłował Stanisław omamić naród, od istotnych jego rachub i zamierzeń.

W parę tygodni po wydaniu manifestu, wzywającego do zawiązania generalnej konfederacji, wystosował król do francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych, obszerny memoriał, w którym analizuje szczegółowo sytuację polityczną, powstałą na skutek upadku Gdańska. Z każdego wiersza wyziera głęboka niewiara w możność kontynuowania walki o własnych siłach. Każdego dnia cisną się doń jego stronnicy z wezwaniem, by udał się do Polski i stanął na czele walczącego narodu, on jednakowoż odpycha te sugestie, wiedząc, że armia niepłatna, nie wyćwiczona, zdemoralizowana, nie jest w stanie stawić przeciwnikowi czoła. Cała nadzieja w pomocy Francji. Jeżeli wojska Króla Arcychrześcijańskiego wkroczą w głąb Rzeszy, elektor przypomni sobie pokój altransztadzki i za przykładem ojca zrzeknie się korony. W przeciwnym razie nie masz ratunku: Polacy nie zrobią niczego bez pomocy Szwecji i Turcji, oba zaś państwa nie mają zamiaru wmieszać się w bezkrólewie. „Należy przeto zawrzeć pokój raczej wcześniej aniżeli później, zwłaszcza jak długo Polacy mają broń w ręku, by walczyć z elektorem saskim o swoje prawa.

Jeżeli będą zmuszeni ją złożyć, zabraknie nam podstawy do targowania się. Z tej racji pozostaję tutaj; będąc w sąsiedztwie Polski mogę podtrzymywać ogień, by nie zgasł inaczej jak przez generalną pacyfikację, w której król, jeżeli nie zdoła utrzymać mnie na tronie, będzie mógł obstawać przy moich słusznych prawach, by móc mi zapewnić odszkodowanie, odpowiadające interesom Francji".

Jasność tych wywodów nie pozostawia nic do życzenia. Naczelnik skonfederowanej Rzpltej, o którego święte prawa do tronu krwawiła Rzplta, którego imię stało się sztandarem walki o niepodległość, traktował całą sprawę jako pospolitą gierkę polityczną, z której pragnął wynieść jak najwięcej zysku. Karmiąc naród szumnymi hasłami obrony wolnej elekcji i prawowitego monarchy, gotów był każdej chwili zrezygnować z tronu, jeżeli tylko znajdzie się dlań odpowiednie odszkodowanie. Ani na chwilę nie wierzył w żywotne siły skonfederowanej Rzpltej; podsycanie ducha oporu miało stworzyć koniunkturę do wytargowania na przeciwniku tym obfitszych zysków. Z cyniczną niemal szczerością odsłaniał przed dworem wersalskim tajniki swej gry, mającej na celu utrzymanie swych stronników w stanie gotowości do walki i poświęceń: „Przebiegając w myśli wszystkie wydarzenia zewnętrzne, które mogą równie dobrze ułożyć się pomyślnie, jak przynieść zawód, jestem równocześnie zaprzątnięty utrzymywaniem Polaków w przyjaznych mi uczuciach, nie mogąc ani udać się do nich, ani skłonić do męstwa jakąś realną nadzieją pomocy. Żyję w ustawicznej obawie, że albo zniszczeją oni w ustawicznych pochodach, mając ustawicznie nieprzyjaciela na karku, albo zostaną pobici i rozproszeni w narzuconej im bitwie, albo w przystępie rozpaczy opowiedzą się po stronie elektora saskiego. By temu zapobiec, tłumaczę im, że zguba ich wolności jest pewna, jeżeli elektor utrzyma się na tronie. Nie łatwo przychodzi mi zapewnić sobie posłuch, gdyż wśród przywódców napotykam na znaczną opozycję. Zgodzili się ze mną, że nie zdołamy zapobiec zwycięstwu przeciwnika o własnych siłach, które są za słabe, by go pokonać i zniszczyć. Nie jesteśmy nawet w sta-

nie obronić naszego kraju; przeciwnie, rujnujemy go, żyjąc własnym kosztem. Jedynym sposobem wybicia się pozostaje dla nas pomyślna rewolucja od zewnątrz, zwłaszcza ze strony Francji, która da nam możność prowadzenia wojny z korzystnym wynikiem, w najgorszym zaś razie zabezpieczyć przy powszechnej pacyfikacji prerogatywy Rzpltej i każdego z jej obywateli. Należy przeto trzymać się mocno, zyskiwać na czasie i oczekiwać cierpliwie swego losu..." Jedynym pozytywnym nakazem, jaki usiłował Leszczyński narzucić swym stronnikom, było wtargnięcie na Śląsk, by „chwycić przeciwnika za gardło".

Gdyby Leszczyński całą nadzieję ratunku opierał na pomocy Francji, byłoby z tym pół biedy. Gorsze, że przemyśliwał równocześnie o zjednaniu sobie dwóch potęg ościennych, z których bieg dziejów uczynił najgroźniejszych wrogów Rzpltej. Wskazaliśmy uprzednio, że kandydatura Stanisława w swych pierwiastkowych założeniach nie nosiła bynajmniej piętna antyrosyjskiego. Malkontenci litewscy usiłowali wynieść na tron wygnańca z Chambord w porozumieniu z opozycją starobojarską, Leszczyński przyjmował u siebie „ruskiego Polaka" Darewskiego, dwór wersalski rozpostarł nad tą fantastyczną kombinacją błogosławiące ręce. Zmieniło się to z chwilą, gdy wojska rosyjskie wyrzuciły neoelekta z Warszawy, następnie zaś otoczyły go żelaznym pierścieniem w Gdańsku. Wśród grzmotu dział oblężniczych Münnicha Leszczyński odkrył w piersi serce dawnego karolińczyka i w imię tradycyj zmarłego króla apelował do opieki Szwecji. Na wygnaniu królewieckim powiał znów przeciwny wiatr. Przyjaciel Karola XII wystąpił pod adresem Wersalu z nową propozycją. Cała nienawiść Moskwy ku niemu wypływała z przekonania, iż pozostaje on w dalszym ciągu stronnikiem Szwecji. Obecnie przekonała się, że tak nie jest: dwór sztokholmski „pod swoim bokiem pozwolił mi zginąć w Gdańsku, nie ruszywszy nawet palcem". Ten obrót rzeczy winien przysporzyć mu zaufania w Petersburgu. Rosja w dobrze pojętym interesie własnym powinna zrozumieć, że wynosząc go na tron Rzpltej, znajdzie w nim pewniejsze oparcie aniżeli w elektorze, który za wzorem ojca go-

tów popełnić zdradę, a nawet obrócić w przyszłości oręż przeciw dotychczasowemu sojusznikowi.

Drugą dźwignią, przy której pomocy Leszczyński zamierzał podnieść swoją sprawę z upadku, były Prusy. Długoletnie jego sympatie dla dworu berlińskiego doszły obecnie do punktu szczytowego. Trudno się zresztą temu dziwić, zważywszy wyjątkowość sytuacji, w jakiej się znalazł nieszczęsny władca Rzpltej z imienia. Najpotężniejsza pomoc, na którą liczył — Francja, zawiodła na całej linii. W memoriale do dworu wersalskiego, mimo całej uniżoności tonu, stwierdził Stanisław bez ogródek, że „kredyt Francji upadł straszliwie... uważa się bezwarunkowo, że zostaliśmy przez nią opuszczeni". Dywersja Szwecji i Turcji spaliła na panewce, poparcie Rosji nie wychodziło poza sferę mglistych rojeń. Jako jedyna siła realna pozostały Prusy, rozporządzające potężną armią, wypoczęte, ambitne, żądne sławy i łupu. Tę potęgę zamierzał Stanisław wprząc w służbę swej sprawy. Tłumaczył usilnie dworowi wersalskiemu, że Szwecja, zwyrodniała pod rządami niemieckiego książątka, wyczerpana i sprzedajna, przestała być oparciem polityki francuskiej na północy; należy przeto oprzeć się na wschodzącej potędze pruskiej, która sama jedna w Europie potrafi przywrócić Francji jej dawne stanowisko na północy. Naciskał o najśpieszniejsze zawarcie traktatu sojuszniczego, który zapewni mu poparcie całej siły zbrojnej Hohenzollernów. Jako nagrodę przeznaczał dla Prus uznanie tytułu królewskiego i lenno kurlandzkie dla jednego z młodszych królewiczów. Ów przyszły następca Kettlerów poślubić miał, w myśl planów Stanisława, jedną z jego wnuczek i rezydować z nią na przemian to w Mitawie, to na zamku warszawskim przy boku dziadka, który zapewni mu w przyszłości dziedziczne panowanie nad Rzpltą, jako że Polacy, zmęczeni nieszczęściami bezkrólewi, dojrzeli do monarchii konstytucyjnej na wzór angielski.

Mogłoby się łacno wydawać, że są to rojenia nieszczęśliwego wygnańca, który borykając się z tylu przeciwnościami, chwyta się gorączkowo każdej deski ratunku. A jednakowoż było inaczej. Trzeźwa dyplomacja Króla Arcychrześcijańskiego, wychodząc

niejako planom Leszczyńskiego naprzeciw, właśnie w chwili, gdy Gdańsk oddawał klucze do swych bram zwycięskiemu Münnichowi, podjęła karkołomną próbę utwierdzenia Stanisława na tronie przy pomocy Rosji. Do Petersburga wyruszył zagadkowy wysłannik Króla Arcychrześcijańskiego z projektem traktatu, na mocy którego Rosja, w zamian za pewne korzyści kosztem Szwecji i Niemiec, ma użyć wszelkich środków dla zapewnienia tronu polskiego Stanisławowi. Nowy król, osadzony na stolcu warszawskim z łaski śmiertelnego wroga, odwdzięczy się zawarciem sojuszu odpornego przeciw dotychczasowej sojuszniczce, Porcie Otomańskiej. W paryskim ministerstwie spraw zagranicznych ułożono szczegółowy plan działania: po zawarciu układu z Rosją Stanisław uda się do Warszawy, wydawszy do narodu manifest, by wojska rosyjskie traktować jako sprzymierzeńców, z ich pomocą przepędzi Sasów, na sejmie skonfederowanym przeprowadzi ratyfikację traktatu oraz wysłanie uroczystych poselstw do Rzymu, Wersalu i Petersburga. Koroną dzieła miało być poręczenie przez carową Annę spokojnych rządów Leszczyńskiego i bronienie go przeciw wszelkim przeciwnikom; pożądane byłoby również zagwarantowanie nowego stanu Rzpltej ze strony Prus. W rezultacie z walki o niepodległość Polski wyjść miało najzupełniejsze jej podporządkowanie opiekuńczej potędze rosyjskiej, ze starganiem naturalnych węzłów przyjaźni ze Szwecją i Turcją, przy platonicznej opiece dalekiej Francji a z realną gwarancją bliskiego Berlina. Na takie bezdroża schodziła niepodległościowa i antycarska orientacja Stanisława!

Myśl sojuszu z Prusami stała się dla Leszczyńskiego najobfitszym źródłem nadziei, zarazem jednak przykrości i rozczarowań. Przede wszystkim Wersal okazał się daleki od dzielenia jego entuzjazmu. Trzeźwy Chauvelin widział jasno, że na zwodniczych obietnicach Fryderyka Wilhelma polegać nie można; za pomoc każe sobie zapłacić ustępstwami terytorialnymi, na jakie nie zgodzi się Rzplta, nie odważy się na zerwanie z Rosją, zaś myśl osadzenia królewicza pruskiego na tronie Rzpltej wzbudzi zazdrość sąsiadów. Na próżno Stanisław w listach, memoriałach,

rozmowach z przydanym mu do boku dyplomatą francuskim, księdzem Langlois, forsował myśl francusko-pruskiego przymierza. Na próżno powtarzał na wszystkie tony, że jedynie król pruski zdolny jest przywrócić mu tron. Wersal w dalszym ciągu lał zimną wodę na prusofilskie zapały swego protegowanego. Na tym tle dochodziło do przykrych scysji. Stanisław skarżył się, że dwór francuski nie docenia ważności jego zabiegów, od których zależy obrót sprawy na wschodzie Europy. „Czyż chcą oni — zapytywał — pozostawić mnie na łasce władcy, który, będąc niezadowolony z Francji, może mnie wydać i osiągnąć zamierzone korzyści kosztem mojej wolności, a nawet — życia?“

Również negocjacje z dworem berlińskim przedstawiały niejedną ciemną stronę. Na pozór stosunki ułożyły się bardzo serdecznie. Królewski wygnaniec, początkowo trzymany w ukryciu, uzyskał wkrótce zupełną swobodę ruchów. Dwór jego w Królewcu zaświecił nazwiskami pierwszych przedstawicieli skonfederowanej Rzpltej. Władze miejscowe, szlachta Prus Wschodnich, obywatelstwo królewieckie prześcigało się w okazywaniu mu względów. Gdy w noc wigilijną udał się Stanisław z licznym orszakiem do kościoła, towarzyszyła mu straż honorowa pruskich grenadierów. O rozrywki jego dbał zwłaszcza gubernator prowincji, generał-lejtnant Katt. Zgromadzeni około Stanisława liczni Polacy, z wyjątkiem niewielu wtajemniczonych, nie zdawali sobie sprawy, że właściwym przedmiotem częstych rozmów uprzejmego dygnitarza pruskiego z ich panem nie są uprzejmości towarzyskie, ale wytargowanie odeń pożądanych nabytków terytorialnych. Fryderyk Wilhelm okazał się w żądaniach swoich raczej skromny; zamiast czterech województw zachodnich, jakie zapewnił sobie niegdyś dziad jego w traktacie z Karolem Gustawem, pretendował do lenna kurlandzkiego, Elbląga i szmatu ziemi, mającego połączyć Prusy Wschodnie z marchią. Z uderzającą skromnością, zarazem głębszym wejrzeniem w przyszłość tłumaczył, że owa eksterytorialna „autostrada“ w niczym nie utrudni dostępu Polski do Bałtyku, wręcz przeciwnie, zabezpieczy na przyszłość Gdańsk, gdyż nikt prócz Polaków nie

będzie jej mógł przekraczać. W zamian sypał hojny protektor obietnicami: zrzeknie się wspaniałomyślnie Kurlandii, by Leszczyński jako król mógł ciągnąć z niej dochody, postawi na usługi Rzpltej większą liczbę wojsk auksyliarnych, aniżeli to wynika z traktatu welawsko-bydgoskiego, przez to zaś przyczyni się do ubezpieczenia wolnej elekcji i innych przywilejów narodu szlacheckiego.

Stanisław znalazł się w niezmiernie drażliwym położeniu. Nie był nigdy skrupulatem na punkcie całości Rzpltej i jak długo czuł oparcie o potęgę Karola XII, skłaniał się ku niejednemu ustępstwu. Ale teraz rzeczy układały się inaczej. Obrany głosami kilkunastu tysięcy szlachty, musiał liczyć się z jej wolą. Było rzeczą aż nadto widoczną, że sejm walny nie zatwierdzi żadnych cesji terytorialnych na rzecz Prus. Sama myśl o tym budziła zgrozę wśród najwierniejszych stronników nowego króla. Tak bezwzględnie oddany mu człowiek, jak Ossoliński, pisał: „Strzeż Boże, byłby to cios fatalny dla nas i naszego Pana; wolałby się podobno wyrzec korony, niżeli, uchowaj Boże, za panowania jego miałaby być tak szkodliwa dla kraju awulsja... *morceau en question* odebrawszy Polsce, jakby ją za gardło wzięto". Z drugiej strony odmowa mogła zepsuć stosunek z dworem berlińskim i pociągnąć za sobą nieobliczalne następstwa. Starał się więc Stanisław wbić do głowy pruskiemu przyjacielowi, że Polacy nigdy nie zrzekną się wolnego dostępu do morza, i że zagarnięcie żądanych ziem stworzyłoby między obu krajami zarzewie wiecznej niezgody. Niechże król będzie rozsądny i kontentuje się samą Kurlandią z dodatkiem wdzięczności i przyjaźni Rzpltej. Równocześnie jednak pozwalał dyplomatom swoim, a mianowicie wysłanemu do Berlina Jerzemu Ożarowskiemu i negocjującemu na miejscu z Kattem Ossolińskiemu nie tylko wchodzić w śliskie rokowania, ale nawet udzielać półgębkiem obietnic, których nie myślano dotrzymać.

Szukając sposobu wybrnięcia z tej sytuacji uczepił się Leszczyński człowieka, który pozostając na razie w ukryciu, lada chwila mógł się znaleźć na pierwszym planie sceny europejskiej.

Był nim pruski następca tronu, za niedawną próbę ucieczki z dworu ojcowskiego wtrącony do więzienia i niemal już skazany na śmierć, następnie za wstawiennictwem cesarza ułaskawiony, osadzony w prowincjonalnym miasteczku do nudnej roboty w biurze i w koszarach, od wszystkiego odsunięty, a rwący się niecierpliwie do wielkich działań. Tę niespokojną ambicję i żądzę czynu wyczuł we Fryderyku Leszczyński. „Czy sądzisz WPan — pisał do Chauvelina — że młody władca, ujrzawszy się panem pięknego wojska i dużych zasobów pieniężnych, będzie miał ochotę wytrwać w neutralności? Uważam, że wypadek ten będzie mógł całkowicie rozstrzygnąć o sprawach północy, zależnie od tego, po czyjej opowie się on stronie". Jesienią 1735 nieoczekiwanie zjawił się królewicz w siedzibie Leszczyńskiego, niby dla wizytacji dóbr państwowych, naprawdę dla nawiązania bliższych kontaktów z polską emigracją.

Odwiedziny nosiły wszystkie cechy starannie wyreżyserowanego spektaklu. Młodociany królewicz, który miał już w tym czasie w zanadrzu gotowy plan odcięcia Rzpltej od Bałtyku, emigrantów zaś królewieckich opisywał w swych relacjach jako „obdartych i wstrętnych Polaków", przywdział maskę najbardziej czołobitnej uprzejmości. Spotkawszy na ulicy Leszczyńskiego, wracającego z mszy, wyskoczył z lektyki i złożył mu głęboki ukłon, na który król odpowiedział z równą kurtuazją. W rozmowach z Polakami dawał wyraz swej antypatii do Wettynów i nienawiści do Rosji. Radził zdobyć względy ojca, dostarczając mu wielkoludów do jego ulubionego pułku, zapewniał, że w razie objęcia tronu użyje całej siły zbrojnej dla obsadzenia Stanisława na tronie. Zagrzewał panów polskich do wytrwania w wierności dla króla i ojczyzny. Wyjeżdżając szepnął na ucho ks. Langlois: „Proszę raz jeszcze zapewnić króla Stanisława o moim całkowitym szacunku i przyjaźni, opartych na jego zasłudze i cnotach". Co więcej, prosił, aby Stanisław ukazał się w oknie swej rezydencji, dając mu możność raz jeszcze oglądania swego oblicza przed rozstaniem. Nic dziwnego, że Leszczyński widział w przyszłym sprawcy rozbioru Polski najżarliwiej odda-

nego mu przyjaciela, konfederaci zaś rozpływali się w zachwytach. „My tu rozerwani prezencją królewicza Imci pruskiego — brzmiała relacja jednego z nich — i cale go ukochał nasz naród z jego ludzkości, obligujących manier i przywiązanego serca do interesów naszych, że ledwo nie na rękach go nosimy... Będzie to *successive* Pan godny i zacny". Tak wyglądało pierwsze zetknięcie Polaków z Fryderykiem Wielkim.

Łatwo dziś z perspektywy doświadczeń dziejowych szydzić z naiwności czy zaślepienia Stanisława i gorszyć się jego prusofilstwem. W ówczesnej jednak sytuacji było rzeczą niestety aż nadto zrozumiałą, że zdetronizowany król i jego zwolennicy, wśród tylu porażek i zawodów, chwytali się kurczowo wszystkiego, co mogło rokować jakąkolwiek szansę ratunku. Schyłek roku 1734 i pierwsza połowa 35 upłynęły pod znakiem ciągłych niepowodzeń. Regimentarz obozu stanisławowskiego, Józef Potocki, z licznymi zastępami przeszedł na stronę Sasa, próba wtargnięcia do Saksonii załamała się w Wielkopolsce, Szwecja i Turcja po dawnemu trwały w neutralności. Stanisław znosił to wszystko mężnym sercem i dodawał animuszu towarzyszącym mu Polakom, ale atmosfera z każdym miesiącem stawała się cięższa.

Emigracja królewiecka nie promieniowała heroizmem ducha ani surowością życia. Nic błędniejszego, jak wyobrażanie sobie tych ludzi na podobieństwo późniejszych wychodźców popowstaniowych, którzy w śmiertelnej tęsknocie za krajem, o głodzie i chłodzie łowili odgłosy, zapowiadające rychły kres obcego panowania. Było to grono magnatów i zamożnej szlachty, przyzwyczajonych do życia dostatniego a hulaszczego, którzy na obcej ziemi, wśród klęsk publicznych, nie mieli ochoty zmieniać swych nawyków. Langlois w listach do Chauvelina rozwodził się nad rozrzutnością polskich emigrantów, którzy po dawnemu trzymają przy sobie liczne zastępy służby i klientów, żyją na szerokiej stopie, zaciągają na prawo i lewo długi, następnie zaś, spłukani do ostatniego grosza, żebrzą, wpraszają się na obiady, sprzedają konie, co gorsza zaś, domagają się nadmiernych zasiłków od Francji, grożąc przejściem na stronę elektora. W czarniejszych

jeszcze kolorach odtworzył królewiecki światek uczestnik jego, Matuszewicz, pisząc: „Panowie nasi cale prawie o domach swoich i niepomyślnej swojej sytuacji zapomniawszy, bardzo hojnie aż do zbytku żyć poczęli, parady czynili, bale dawali i w inklinacje i rozkosze powdawali się, a za takim przykładem Polacy i Litwa swywolnie żyć poczynali, tak dalece, że wielu w nieprzystojne wpadli choroby". Stanowisko bezsilnego króla wobec potężnych poplecznikow, z których każdy rozporządzał obfitszymi dochodami i więcej wystawić mógł szabel, było nad wyraz uciążliwe. Musiał krzepić ich na duchu, starać się dla nich o pieniądze, łagodzić swary, sam na niejedną z ich strony wystawiony przykrość. Opowiada Matuszewicz, że „zaczęły się przy tym emulacje i scysje pomiędzy Tarłą, wojewodą lubelskim, potem sandomierskim, a Ossolińskim, podskarbim koronnym, którego, a nawet i króla samego, tak Tarło infestował, że raz król Stanisław powiedział, że dla samego wojewody lubelskiego odrzekłby się korony polskiej".

Wśród pogarszających się z każdym miesiącem warunków, w obliczu upadającej na duchu Rzpltej stanisławowskiej, przygniatającej przewagi saskiego uzupartora, którego nie zrzuciły z tronu manifesty ani szable dzikowian, obojętności Szwecji i Turcji, a dwuznacznej i łapczywej życzliwości Prus, jako jedyna kotwica ocalenia ukazywała się daleka Francja. Wyprawiony w poselstwie do Wersalu Ożarowski nakazane miał zawarcie traktatu sojuszniczego, który by zapewnił Polsce pomoc orężną, finansową i dyplomatyczną, utrzymanie na tronie Stanisława, zabezpieczenie na przyszłość niezawisłości kraju przed zamachami sąsiadów, oraz wiele innych pięknych rzeczy. Rozegrał się ostatni akt polskiego bezkrólewia. Fleury i Chauvelin poważnie pertraktowali z wysłannikiem dzikowian, ułożyli z nim formalny pakt, pełen szumnych obietnic a bez konkretnej treści, by w niespełna tydzień później podpisać preliminarze pokoju z dworem wiedeńskim. Prawa królewskie Leszczyńskiego przedarte zostały bez skrupułu na rzecz zwycięskiego Augusta. Pozostawiono mu na osłodę tytuł oraz dożywotnie władanie księstwem Lotaryngii

i Baru. Rzpltą zadowolono złudną obietnicą zagwarantowania jej praw i wolności, dzikowian — amnestią i przywróceniem dóbr.

W Królewcu nastał sądny dzień. Emigranci przeklinali oszukańczą grę dworu wersalskiego, który pchnąwszy naród do walki, teraz wydaje go w ręce Sasa. Jedni skłonni byli uznać raczej Turka, inni w bezsilnej wściekłości wyciągali ręce ku Rosji, jeszcze innym marzyła się nowa elekcja z królewiczem Fryderykiem pruskim. Martwiono się o spłatę długów, zaciągniętych w Królewcu, o pieczęcie, laski, buławy, którymi podzielą się zwycięzcy. Nawet Langlois, z natchnienia może Polaków, pisał, że trudno patrzeć „z suchymi oczyma na tylu magnatów i szlachciców, zrujnowanych doszczętnie za to, że bronili słusznej sprawy... tonącym we łzach, wraz z żonami i dziećmi, bez grosza przy duszy, wszyscy niemal z musu obdłużeni na obcej ziemi...“ Zewsząd szturmowano do Leszczyńskiego o wstawiennictwo i ratunek. A sam główny bohater nieszczęsnego bezkrólewia, symbol zaprzedanej wrogowi Rzpltej, główna ofiara zdradzieckiej polityki Francji? Wiadomość o preliminarzach była dlań niewątpliwie bolesnym rozczarowaniem, trudno jednak przypuścić, jakoby przeżył on wówczas prawdziwy wstrząs duchowy, odpowiadający ogromowi przegranej sprawy narodowej. Od chwili przybycia do Prus traktował walkę o tron polski jako grę hazardową, z której wyjść może taka czy inna wygrana — tron w Warszawie lub inne „stosowne odszkodowanie“. Hasło obrony wolnej elekcji było dla mas; przed dworem wersalskim odkrywał Stanisław oblicze najpokorniejszego sługi Króla Arcychrześcijańskiego, zapewniając, „że z całkowitą rezygnacją wobec jego woli oczekuje, co spodoba mu się zadecydować odnośnie moich spraw“. Z podobnym piastunem majestatu Rzpltej nie musiał Fleury robić dużo ceremonii. Wystarczył suchy rozkaz abdykacji, na który odpowiedział Stanisław, jak przystało na powolne narzędzie polityki Wersalu. Wyrażał gotowość przyczynienia się do „tak zbawiennego dzieła“, pragnienie zapewnienia Rzpltej upragnionego spokoju, satys-

fakcję, iż otrzyma ona „swoje zbawienie z potężnej ręki króla". Jedynymi sprawami, które leżały mu w tej chwili na sercu, był zwrot dóbr w Polsce, oraz pomoc pieniężna na spłatę długów. „Jest to ostatni wysiłek, który raz na zawsze zakończy sposobności wydatków na Polskę". W tych słowach o symbolicznym niemal sensie kwitował dwukrotny król Francję za całą jej politykę wobec polskiego bezkrólewia.

VII

W NOWEJ OJCZYŹNIE

Donosząc teściowi o podpisaniu preliminarzy pokojowych, pocieszał go Ludwik XV obietnicą, że w zamian za wyrzeczenie się władztwa nad Rzpltą otrzyma państewko lotaryńskie, „w którym będzie mógł zażywać słodyczy życia spokojniejszego i wolnego od niepokojów, które otaczałyby nieustannie jego tron w Polsce". Podobnie tłumaczył królowej Marii kardynał Fleury, że „używanie księstwa lotaryńskiego będzie niezaprzeczenie lepsze od korony polskiej". Najbliższy zdetronizowanemu królowi Ossoliński nazwał wręcz nową jego rezydencję „ziemią obiecaną". Istotnie, mogło się wydawać, że po życiu pełnym burz i niepokojów, po latach tułaczki i nędzy, znajdzie na koniec Stanisław warunki, które pozwolą mu rozwinąć w pełni właściwe mu zamiłowanie do wygody i zbytku, nauki i mecenatu. Nie miały się powtórzyć burzliwe perypetie Benderu i Gdańska, dręczące wyczekiwanie Dwóch Mostów i Królewca, ubóstwo i szarzyzna Wissemburga. Na koniec zyskał król-wygnaniec pewny grunt pod nogami, sowicie zaopatrzoną szkatułę, możność działalności kulturalnej, niekłamaną miłość poddanych. A jednakowoż trzydzieści lat rozłąki ani trochę nie osłabiło węzłów, łączących króla Stanisława z Rzpltą. Wrósłszy pozornie w glebę lotaryńską, duszą przebywał wciąż w pierwszej, o tyle dlań twardszej i mniej wdzięcznej, a przecież droższej sercu ojczyźnie. Dwór jego nosił charakter francusko-polski. Obok stałych bywalców zawadzali oń liczni przybysze z Rzpltej, pod skrzydłami opiekuńczymi Sta-

nisława zaprawiała się młodzież polska do przyszłej służby dla kraju. Co więcej, w głębi serca nigdy nie wyrzekł się Leszczyński myśli o powrocie na tron polski. Niespokojnym uchem łowił odgłosy, dolatujące znad Wisły, śledząc, rychłoli obrót spraw europejskich uwolni Rzpltą od rządów wettyńskich. Mnożąc dowody swych starań o Lotaryngię, równocześnie przez agentów swych badał nastroje szlachty, usiłował nawiązywać kontakty z dworami, słuchał chętnie emisariuszów buntującej się przeciw Sasom opozycji „republikantów". Imię jego jako domniemanego kandydata na tron polski odbijało się nieraz o ściany gabinetów ministerialnych i ambasad w Sztokholmie, Berlinie, Konstantynopolu, a nawet w Londynie, spędzało nieraz sen z powiek saskich ministrów i dyplomatów. Przez ostatnią, starczą dobę jego życia ciągnie się ten sam rys bolesnego kontrastu między marzeniem a rzeczywistością, goryczy nie zaspokojonych pragnień, a wreszcie tragedii ostatecznego już rozczarowania.

Przyznane Stanisławowi w dożywotnie władanie ks. Lotaryngii należało do najbogaciej przez naturę uposażonych, najskrzętniej pracą ludzką zagospodarowanych terytoriów. Ogólny charakter kraju był jeszcze w owym czasie rolniczy. Nad brzegami Mozy i Mozeli ciągnęły się żyzne pola i łąki, gęste lasy roiły się od dzikich pszczół. Wosk i miód stanowiły jeden z głównych produktów ówczesnej Lotaryngii, którą współcześni ze względu na obfitość i powszechne używanie słodkiego napoju porównywali z Polską i Litwą. Sielsko-ziemiański koloryt kraju zaczynał w tym czasie ulegać zmianom wskutek postępującego naprzód uprzemysłowienia. Urodzajna ziemia lotaryńska kryła w swym wnętrzu bogate złoża węgla, żelaza, soli, nawet miedzi i srebra. Ostatni poprzednicy Stanisława na tronie książęcym robili dużo dla rozwinięcia górnictwa, zakładali fabryki, ustanawiali rękodzieła. Zapalały się wielkie piece hutnicze, rozwijał przemysł zbrojeniowy, w manufakturach książęcych pracowano pilnie nad wyrobami ze szkła i wełny, udoskonalono narodowy przemysł papierniczy, brano się do garbarstwa i browarnictwa. W całości był to kraj pełen ogromnych możliwości rozwojowych,



mal. Deroy

NANCY, PLAC STANISŁAWA

lit. Becquet

wymarzony teren działania dla władcy, który studia teoretyczne i bogate obserwacje życiowe łączył z zapałem reformatorskim. Mimo tradycji szlachecko-republikańskich bardziej uśmiechała się Stanisławowi rola oświeconego despoty, który by ogrom swej władzy zużytkował raczej dla dobra swych poddanych, aniżeli jałowość pseudomajestatu w anarchicznej Rzpltej. Po tylu próbach fikcyjnego rządzenia, a faktycznej bezsilności zdawało się, że Lotaryngia istotnie stanie się dla wygnanego władcy ziemią obiecaną. Atoli dziwne przeznaczenie, ciążące nad życiem Leszczyńskiego, raz jeszcze miało się objawić w swojej nieubłaganej konsekwencji. Jak tyle razy przekonał się, że losem jego było i pozostanie kontentować się pozorami władzy, z wyrzeczeniem jej treści. W dobie swego pierwszego królowania był bezwolną lalką w ręku Karola XII i swych polskich adherentów. W czasie gościny mołdawskiej widział się zmuszony ulegać w niejednym presji tureckiej, w Królewcu zaś liczyć z wymaganiami Fryderyka Wilhelma. Teraz przytłaczający wpływ na jego życie i działanie wywarła potęga, która wziąwszy go pod swój patronat, ani na chwilę nie widziała w nim nic innego, aniżeli proste narzędzie dla urzeczywistnienia swych mocarstwowych celów.

Opływająca mlekiem i miodem, zasobna w rudy i sól ziemia lotaryńska od wieków stanowiła przedmiot walki dwóch graniczących ze sobą nad Renem narodów. Po przejściowym jej zajęciu przez Francję w dobie wojny trzydziestoletniej i za Ludwika XIV, nadeszła od dawna wyczekiwana godzina, w której potomkowie Karola Wielkiego wejść mieli w ostateczne posiadanie części dawnej ojcowizny. Przed polityką francuską otwierały się pierwszorzędnej doniosłości zadania: obwarować wojskowo ten najdalej wysunięty bastion zaczepnych aspiracji gallickich wobec Świętego Cesarstwa; przysposobić najśpieszniej ludność, pochodzenia przeważnie niemieckiego, z języka, kultury, ducha już w ogromnej mierze francuską, do ostatecznego wcielenia w ramy wielkiej ojczyzny Kapetyngów; przekształcić wreszcie bogatą ziemię lotaryńską w rezerwuar, z którego monarchia francuska będzie mogła czerpać do woli rekruta, podatki, bogactwa naturalne, ze swojej

strony przykładając się do rozwoju górnictwa, przemysłu i handlu. Dla dopięcia tych celów należało poddać najśpieszniej Lotaryngię pod bezpośredni zarząd korony francuskiej. Teść Króla Arcychrześcijańskiego nie nadawał się do roli jego namiestnika. Był za stary, za mało sprężysty, przy całej uległości nieskończenie mniej wygodny na tym stanowisku, aniżeli wyszkolony administrator ze szkoły Colberta. Rządzenie nowo nabytym krajem wymagało w dodatku twardej ręki i mało wrażliwego usposobienia, jako że chodziło o najpełniejszą jego eksploatację pod względem rekrutacyjnym, podatkowym i gospodarczym. Czyż można było wyobrazić sobie w tej roli Dobroczynnego Filozofa, zmuszonego w dodatku dbać o popularność w społeczeństwie, na którego tronie się znalazł jako człowiek obcy, istny król z przypadku?

Jak w dobie wojny o sukcesję polską, tak teraz interes Stanisława gładko został podporządkowany wymogom francuskiej racji stanu. Bez źdźbła skrupułów przystąpił Fleury do obdarcia Leszczyńskiego z najistotniejszych prerogatyw jego władzy. Dla tym łacniejszego przysposobienia zdetronizowanego króla do nowej, bolesnej operacji, rozpoczęto od głaskania jego próżności. Z ciężkiej atmosfery oblężonego Gdańska, z dręczącego wyczekiwania w Królewcu, wstrząśnięty dramatem abdykacyjnym, nagle ujrzał się Leszczyński przeniesiony w inny świat. Przed kilkunastu laty przybywał na ziemię francuską jako nędzarz, przypadkiem losu wyniesiony na nieokreślone stanowisko ojca niepopularnej królowej, przysłowiowy ubogi krewny, z którym nie bardzo wiedziano, co począć. Teraz wkraczał w glorii króla, umiłowanego przez naród, strąconego obcą przemocą, wsławionego niezwykłymi przygodami. W zamczysku w Meudon, opodal Paryża, przygotowano dlań pobyt, krańcowo różny od skąpej gościny w Chambord. Otaczał go na każdym kroku rzetelny przepych, podwoje Wersalu stały otworem. Co było we Francji najświetniejszego, cisnęło się doń z pochlebstwami. Wypytywano go ciekawie o burzliwe przeżycia ostatnich lat, wyciągano na rozmowy z dziedziny filozofii i polityki, odkrywano w zapoznanym dotąd

teściu królewskim nieoczekiwaną głąb umysłu. Oblegany w salonach, rozrywany na przyjęcia, Stanisław upajał się sukcesem. Wydawało mu się, że wraca jako bohater, wsławiony wielkimi czynami. Niecierpliwie wyczekiwał chwili objęcia rządów nad księstwami Baru i Lotaryngii, przeplatając rozrywki życia światowego układaniem rozległych planów, jak nowym poddanym stworzyć raj na ziemi.

Tymczasem Fleury i jego wspólnicy zastawiali na naiwnego króla coraz gęstsze sieci. Przypominali, ile ma do zawdzięczenia Francji, kładli przed oczy obowiązek podporządkowania widoków osobistych jej wielkim celom państwowym. Krok po kroku widział się Stanisław prowadzony delikatną a mocną ręką ku ostatecznemu celowi, jakim, było wyrzeczenie się faktycznej władzy nad przyznanym mu uroczystymi traktatami państewkiem. Po dramatycznej abdykacji królewieckiej, wśród płaczu, złorzeczeń, zgrzytania zębów licznych jego stronników, czekała króla druga bezgłośna, niemniej może dramatyczna abdykacja w Meudon. Deklaracją, podpisaną 30 września 1736 zrzekał się Stanisław na rzecz korony francuskiej wszelkich dochodów z podatków, dzierżaw, domen, salin, lasów i innych źródeł bogactwa narodowego, jak również prawa nakładania na swych poddanych nowych ciężarów. Lotaryngia miała stać otworem dla wojsk francuskich, które w dowolnej liczbie mogły zajmować wszystkie punkty kraju, z wyjątkiem rezydencji panującego. Władzę administracyjną, sądową i policyjną wykonywać miał mianowany przez Wersal intendent, podobnie jak to było w innych prowincjach królestwa. Prawo mianowania na beneficja duszpasterskie, urzędy sądowe, stopnie w armii, mógł Leszczyński wykonywać tylko za zgodą króla francuskiego. W zamian za to wszystko przyznano Stanisławowi listę cywilną w wysokości półtora miliona liwrów oraz prawo podpisywania aktów rządowych, w których redagowaniu nie brał udziału.

Dokonał się ostatni akt dramatu królewskiego Stanisława. Z władcy małego, ale zamożnego i kulturalnego kraju, w którym nadarzała się ostatnia w jego życiu sposobność okazania, że natura

obdarzyła go talentami panującego, strącony został do pozłacanej nicości: nominalny król, bez cienia władzy, karmiony dochodami skarbu lotaryńskiego, a bez wielkich możliwości wywdzięczenia się krajowi, który na starość zapewnił mu dach nad głową. Co gorsza, sytuacja jego mocno była drażliwa. Społeczeństwo lotaryńskie żywiło szczere przywiązanie do dawnej dynastii, która po całych wiekach chlubnych rządów postanowieniami traktatu wiedeńskiego przeszczepiona została pod pogodne niebo Toskanii, oddając opróżniony tron nieznanemu synowi północy. Gdy księżna matka opuszczała kraj swych przodków, zgromadzone tłumy rzuciły się pod koła karety, pragnąc zatrzymać ją bogdaj na chwilę. Zarówno szlachta jak pospólstwo patrzyły na Stanisława jako na uzurpatora i ciemiężcę. Przejście Lotaryngii pod faktyczne rządy Francji połączone było ze zwykłymi w takich razach uciążliwościami. Wielkorządca jej z ramienia Króla Arcychrześcijańskiego, którym został dotychczasowy intendent Pikardii, La Galaizière, dbał rzetelnie o rozwój bogactw powierzonego mu kraju, rozwinął szereg manufaktur, eksploatował skarby mineralne, zarazem jednak, zgodnie z nakazami Wersalu, wyciskał z niego ostatni szeląg i ostatniego rekruta. Cyfra podatków wzrosła w okresie nominalnych rządów Stanisława z 2 na 5 milionów liwrów. Lotaryńczycy mieli powód czuć się jako kraj podbity, który wyzyskiwano bez miłosierdzia dla ulżenia dawnym prowincjom Francji. Niezadowolenie musiało się skierować przeciw nowemu władcy, z którego wstąpieniem na tron łączyły się wszystkie nowe ciężary, a który nazwiskiem swym firmował drakońskie nieraz zarządzenia rekrutacyjne i fiskalne. Gdy ukazał się edykt o wyrębie lasów, przedstawiciele notablów lotaryńskich w pełnych goryczy słowach zwrócili się do Stanisława: „Wina za to spada na Twoje panowanie, N. Panie; naród przeklnie je na zawsze". A jednakowoż stało się inaczej. W najtrudniejszych warunkach, pozbawiony środków działania, jakie los składa w ręce panujących, potrafił Stanisław dokonać dzieła, jakie nie zawsze bywa udziałem władców potężnych: zyskał sympatie obcego mu krwią i przeszłością dziejową społeczeństwa, przekazał potomności

trwałe ślady swego działania, uwiecznił swe imię w tradycji ludu lotaryńskiego, który po dziś dzień wspomina go z rozrzewnieniem jako władcę „Dobroczynnego".

Skromne były jego środki, ograniczony zakres działania. Wszechwładny „kanclerz" La Galaizière nie tylko pilnował ściśle swych uprawnień, ale wykonywał nad rzekomym zwierzchnikiem rodzaj kontroli, mieszając się nierzadko do spraw, które stanowiły uprawnioną domenę Stanisława. Na jego pochwałę należy zapisać, że stanowczy w postępowaniu, był zarazem najbardziej wytworny w formach; Stanisławowi okazywał wyszukany szacunek, odstępował mu chętnie zewnętrzny blask reprezentowania i koniec końców przeżył z nim sporo lat na stopie serdecznej zażyłości. Półtoramilionowe uposażenie królewskie, podniesione później do dwóch milionów, nie pozwalało na rozmach w przedsięwzięciach kulturalnych czy szerzej zakrojonej akcji charytatywnej. Tym bardziej podziwiać trzeba przemyślność, zmysł oszczędności i talent organizatorski Stanisława, który dysponując ograniczonymi funduszami, potrafił przy ich pomocy stworzyć dzieła wzbudzające podziw współczesnych.

Ulubionym polem działania Leszczyńskiego była architektura. Stworzone lub odnowione jego staraniem zamki, z otaczającymi je ogrodami, pełnymi pawilonów, grot, sztucznych skał, kaskad, gaików, wypełniają odrębną kartę w dziejach sztuki lotaryńskiej XVIII stulecia. Można było zarzucić jego dziełom nadmierne uganianie się za blaskiem i przepychem; stiuki górowały nad prawdziwymi marmurami, a również urządzenie wewnętrzne grzeszyło przeładowaniem. Odbijał się w tym niewątpliwie wpływ epoki Ludwika XIV, której współczesnik starał się być kontynuatorem, nie zwracając należytej uwagi na nowsze prądy wiejące w sztuce francuskiej. Znamienne pozostało również dla Leszczyńskiego zamiłowanie do motywów orientalnych, wyniesione z czasów pobytu w Turcji. Nawet w tak ciężkim okresie Dwóch Mostów ozdobił rezydencję Karola XII domkiem wiejskim w stylu wschodnim, w jego zaś pałacu i ogrodach lotaryńskich pełno było meczetów, kopuł, tarasów. Niemniej współcześni nie

szczędzili jego dokonaniom najbardziej pochlebnych słów uznania. Podziw budził zwłaszcza wzniesiony sumptem Stanisława zamek w Chanteheux. Jeden z podróżników, zwiedzających Lotaryngię, napisał z emfazą, że „jest to najpiękniejszy, najbogatszy, najbardziej ozdobny salon, jaki istnieje w Europie; prawdziwy pałac czarodziejski". Inny określił go jako „rzecz najwspanialszą, zarazem zaś najosobliwszą". Ludwik XV, przybywszy do teścia w odwiedziny, zapytał zdumiony: „Jak potrafił on wybudować te wszystkie gmachy? Posiada chyba kamień filozoficzny". Największą jednak wartość posiada świadectwo Monteskiusza, który stwierdzał, że Stanisław dokonał w Lunéville'u rzeczy nadzwyczajnych, a zwłaszcza jego ogrody dorównują najpiękniejszym w Europie. Za panowania Stanisława Nancy stało się jednym z najpiękniejszych miast w Europie, a również Lunéville i Commercy zaświeciły nie spotykanym dotąd blaskiem.

Drugim przedmiotem, około którego ogniskowała się działalność Stanisława, był jego dwór w Lunéville'u. Miłośnik nauk i literatury, rozkochany w życiu miękkim a wytwornym, nie szczędził starań, aby rezydencja jego, odcinając się jaskrawo od rubasznych i prostackich dworów drobnych książąt niemieckich, przypominała niedościgniony wzór francuski, z którego szedł blask i polor na całą Europę. Cel ten został w dużej mierze osiągnięty. Rezydencja lunewilska zdobyła w życiu kulturalnym i towarzyskim XVIII wieku miejsce nieproporcjonalnie wydatne w stosunku do nicości politycznej i mizernych zasobów jego władcy. Udała się Stanisławowi rzecz, będąca udziałem nieprzeciętnych tylko jednostek. Nie tylko stworzył około siebie ognisko życia umysłowego i towarzyskiego, ale nadał mu odrębny ton i koloryt. Lunéville stał się środowiskiem, w którym w całej pełni rozbłysła osobistość Leszczyńskiego. Zarówno cnoty dwukrotnego króla, jak jego słabostki wystąpiły tu w jasnym świetle.

Polityk chwiejny i ustępliwy, charakter pozbawiony siły i konsekwencji, był za to Stanisław do gruntu dobrym człowiekiem, o sercu pełnym życzliwości dla bliźnich, wrażliwym na ich niedolę, skłonnym zawsze przyjść z pomocą. W parze z tym szła

duża zręczność ujmowania sobie ludzi. Zalety te nie przynosiły królowi sukcesu w stosunku do wielkich i pysznych tego świata, jak Karol XII, czy kardynał Fleury, pomagały natomiast niezmiernie w ugruntowaniu pozycji na wrogim początkowo terenie lotaryńskim. Nie zrażał się Leszczyński okazywanym mu chłodem, przeciwnie, z uznaniem podnosił przywiązanie lotaryńczyków do dawnej dynastii. „Podobają mi się te uczucia — mawiał — są one dowodem, że będę panował nad wdzięcznym narodem, który za wyświadczone dobro odpłaci mi miłością". Tak się stało w istocie. Przystępność, dobroć, ujmujące obejście nowego władcy, jak również widoczne jego starania około kraju, przełamały mur uprzedzeń. Mieszczaństwo przekonało się, że wystawny dwór, skupiający zamożnych notablów, roboty publiczne na wielką skalę, budowy zamków i ogrodów, uroczystości i zabawy, wywierają dodatni wpływ na życie gospodarcze; szlachcie sprzykrzyło się frondowanie w głębi swych pałaców. Zwłaszcza po roku 1745, kiedy koniec wojen śląskich i zwycięstwo oręża francuskiego pod Fontenoy odebrało lotaryńczykom nadzieję odzyskania niezawisłości, rozpoczął się tłumny napływ miejscowej arystokracji do Lunéville'u, kto zaś raz zakosztował służby przy boku łaskawego monarchy lub jego gościny, nie kwapił się z jej porzuceniem.

Świadectwa współczesnych stwierdzają zgodnie, że rezydencja stanisławowska była jednym z najbardziej uroczych miejsc w Europie. Stanisław miał jedno życzenie: oglądać dokoła siebie zadowolone twarze. Jeżeli pochlebcy porównywali Lunéville z Wersalem, to równocześnie rzucała się w oczy krańcowa odmienność atmosfery, jaka panowała na obu dworach. W otoczeniu Ludwików wszystko tchnęło sztywnością i pompą; Stanisław był natomiast wrogiem przysięgłym etykiety i uniżoności, starając się je zastąpić pogodą i serdecznością. Gospodarzem był czarującym: przybywających w wielkiej liczbie gości przyjmował z otwartymi ramionami, fetował, dogadzał, zostawiając im równocześnie dużo swobody, nie wypuszczał bez solennej obietnicy rychłego powrotu. Życie upływało wśród ustawicznych za-

baw i uroczystości. Była to nie tyle napuszona rezydencja monarsza, co pałac zamożnego ziemianina, filozofa, miłośnika sztuki, przy którego boku uczeni, poeci, architekci, malarze, muzycy, wielcy panowie, duchowni, wojskowi w malowniczym nieładzie zażywali wszelkich przyjemności tego świata. Doskonała była zwłaszcza na dworze Stanisława muzyka, niezły teatr, festyny i asamble zyskały sobie zasłużoną sławę, wieczory spędzano przeważnie przy zielonym stoliku. Dodać do tego wytworną kuchnię, do której przykładał Stanisław dużą wagę, częste polowania, rozrywki intelektualne, a otrzyma się obraz rezydencji wielkopańskiej w najlepszym guście osiemnastowiecznym.

Tryb życia Stanisława był regularny, zarazem pełen urozmaicenia. Wstawał o piątej rano i całe przedpołudnie spędzał na pracowitych naradach z architektami, rzeźbiarzami, malarzami, rzemieślnikami. Architektura stanowiła nie tylko jego namiętność, ale przedmiot poważnych wysiłków. Nie darmo powiedział o nim Monteskiusz, że jest on swoim własnym budowniczym. Skrupulatnie badał przedkładane mu plany, robił poprawki, decydował o wykonaniu, osobiście dozorował robót. Popołudnie poświęcone było życiu towarzyskiemu, rozmowom z uczonymi i literatami, wszelkiego rodzaju rozrywkom. Lubił Stanisław podróżować po swoim kraju, wglądając nieraz w szczegóły życia mieszkańców. W małym, jednokonnym kabriolecie, którym sam powoził, przemierzał drogi lotaryńskie, wdając się w poufałe rozmowy z napotkanymi wieśniakami. Pogodny i wesoły, wymyślał dla swych dworzan i gości coraz nowe sposoby uprzyjemnienia czasu. Spoza wytwornego pana, ogładzonego w najpierwszych środowiskach europejskich, wychodził niekiedy rubaszny szlachcic, rozmiłowany w trefnych figlikach. Tak np. prowadził panie na mostek, rzucony nad kaskadami ogrodowymi. Gdy damy zatrzymały się, kontemplując piękny krajobraz, za pociśnięciem guzika wytryskał z dołu strumień zimnej wody, ku szczerej uciesze króla sprawiając rozmarzonym towarzyszkom zimny prysznic.

W tej rozkosznej atmosferze rozbawionego dworu, wśród pełnych animuszu mężczyzn i światowych kobiet rozwinęły się

w całej pełni wrodzone Stanisławowi zmysłowe skłonności. Rdzeń jego natury stanowiło skojarzenie dwóch krańcowo rozbieżnych elementów: głębokiej religijności z namiętnym rozmiłowaniem w uciechach życia doczesnego. Sprzymierzeniec luterańskiej Szwecji i mahometańskiej Turcji, zabiegający o względy Berlina, ze Stolicą Apostolską w niejeden na tle politycznym popadający konflikt, był równocześnie Stanisław gorącym katolikiem. Religijność jego, pogłębiona i uszlachetniona rozległą lekturą i własną pracą duchową, wyrażała się niejednokrotnie w pięknych wskazaniach, wyrastających ponad płytką bigoterię epoki saskiej. W „Głosie Wolnym" składa Leszczyński swoje wyznanie wiary w następujących słowach: „Każdy będzie dobrym statystą, byle był dobrym chrześcijaninem... Bóg prawodawca każe być sprawiedliwym, cnotliwym, każe osobliwie zwierzchności słuchać, bliźniego kochać, podlejszemu nie czynić żadnej krzywdy". Równocześnie jednak łączyła Stanisława z szarą bracią szlachecką analogiczna żarliwość w praktykach wyznaniowych i zamiłowanie do obrzędowej cudowności katolicyzmu. Mody i nabożeństwa, czytanie ksiąg religijnych i twórczość literacka w tej dziedzinie, wypełniały mu spory szmat życia. Mimo racjonalistycznego zakroju swej umysłowości nie przestawał wierzyć w cuda, nosił przy sobie relikwie, z radością przywitał ustanowienie za staraniem córki nabożeństwa do Serca Jezusowego w szeregu diecezji francuskich. Entuzjazmem przyjęło go przejście na łono Kościoła kilku tysięcy żydów-frankistów, represje przeciw Zakonowi Jezusowemu we Francji i Portugalii stały się źródłem głębokich udręczeń. Przy jego boku zawsze poważną rolę odgrywali spowiednicy, a każdy duchowny ze szczególną czcią był witany na dworze lunewilskim.

W doskonałej harmonii z „filozofem chrześcijańskim" żył w Stanisławie człowiek ziemski, każdym fibrem zmysłów związany z uciechami tego świata, nie wahający się łamać w imię swych przyjemności najbardziej rygorystycznych nakazów Kościoła. Do późnej starości nie próżnował przy stole biesiadnym, dbając o ozdobienie go wytwornym nakryciem oraz misternie

podawanymi daniami. Nadmierne objadanie się, zwłaszcza ulubionym melonem, przyprawiało nieraz sędziwego króla o przykre dolegliwości. Zamiłowanie do fajki, której po całych dniach nie wypuszczał z ust, zdobyło mu u współczesnych przydomek „skórzanej gęby" *(bouche de cuire)*. Słynne było zwłaszcza jego posiedzenie z Fryderykiem Wilhelmem w berlińskiej „Tabagii", w czasie którego każdy z dostojnych fajczarzy wykurzył w ciągu wieczora po trzydzieści fajek. Głównym jednak źródłem uciech były w życiu Stanisława kobiety. Wizerunki jego z czasów młodocianych ukazują dorodnego mężczyznę o pociągłej twarzy, orlim nosie, bujnym wąsie, podgolonej po sarmacku czuprynie, oczach pełnych ognia i życia — osobliwa mieszanina kobiecego nieco wdzięku z jurnym temperamentem. Adonisowi w purpurze sprzykrzyła się prędko niedobrana doń zamiłowaniami i usposobieniem małżonka. Katarzyna Opalińska była panią ze wszech miar godną, o wielkim harcie ducha, rzadkiej dobroczynności, bardziej jeszcze od męża rozmiłowaną w zewnętrznych praktykach kościelnych, w poglądach i obyczajach niezmiernie surową dla siebie i drugich. Stanisław wcześnie wyłamał się z więzów wiary małżeńskiej. Jeden z jego wielkopolskich stronników, Kurnatowski, przejęty rygorystycznym duchem kalwińskim, ze zgorszeniem pisał w r. 1708, że antykról z lubością nurzał się w występkach, które sam najostrzej piętnował u Augusta. Anonimowy kronikarz litewski, bawiący w najbliższym otoczeniu Stanisława, notuje w tym samym czasie, że władca jego w chwilach wolnych od polityki „wchodził w amory z pewną damą".

Wiek i ciężkie przejścia zgasiły świetną urodę Stanisława. Wybierając się do Polski w r. 1733 był już tylko ruiną świetnego niegdyś mężczyzny. Oto jak przedstawiał go rysopis, umieszczony na cesarskich listach gończych: „Otyły, średniego wzrostu, twarz okrągła, duże brwi siwe, nos mierny orli, zęby zniszczone, sczerniałe od tytoniu, wiek od lat 50 do 60, lecz bliżej sześćdziesiątki". Mimo to w żyłach jego nie ostygła gorąca krew. Ciężkie chwile emigracji królewieckiej osładzał sobie romansem z młodszą odeń o trzydzieści blisko lat kuzynką, Katarzyną Dorotą Jabłonowską,

której mąż, podskarbi Ossoliński dwoił się wówczas i troił dla dźwignięcia sprawy stanisławowej. Stosunek ten trwał w dalszym ciągu na dworze lunewilskim pod wyrozumiałym okiem męża, którego za tyle dowodów bezgranicznego oddania obsypywał wdzięczny król zaszczytami i dostatkami. Sprzykrzywszy sobie zazdrosną Ossolińską, nawiązał Stanisław przelotny stosunek z drugą ze swych kuzynek. Potem przyszła kolej na słynne z urody i inteligencji damy lotaryńskie, aż po tylu błądzeniach odnalazł wreszcie podstarzały zalotnik wybrankę serca na resztę swych dni. Była nią młodsza odeń o ćwierć niemal wieku margrabina Boufflers, którą współcześni przezwali *Dame de Volupté*. Stosunek ten stał się cierniem w oku biednej Katarzyny, coraz bardziej schorowanej i rozgoryczonej, nierównej i wybuchowej, ustawicznie wybierającej się z niecierpianej Lotaryngii na łono dawnej ojczyzny. Śmierć nieszczęśliwej kobiety (1749), zupełnie w ostatnich latach opuszczonej przez niewiernego małżonka, usunęła ostatnią przeszkodę na drodze do królowania pani Boufflers, ozdobionej oficjalnym tytułem kochanki królewskiej. Jedynym człowiekiem, który odważał się stawiać jej czoła, był spowiednik Stanisława, o. Menoux, który zazdrosny o wpływy faworyty groźbami kar piekielnych starał się odwieść grzesznego monarchę od niedozwolonego związku. Cały dwór podzielił się na dwie partie; ostatecznie kochanka ostała się na placu mimo anatem jezuity.

Jeżeli stosunek Stanisława do żony stanowi jedną z ciemnych kart jego życia, to dziwnym urokiem tchnie głębokie uczucie, jakim otaczał córkę. Przyszła królowa Francji nie zaznała w domu rodzicielskim pieszczot matki, która kochając namiętnie zmarłą Annę, dawała Marii odczuć swe rozgoryczenie, że los właśnie ją zostawił przy życiu, zabierając starszą siostrę, piękniejszą, inteligentniejszą, żywsze wzbudzającą uczucie. Brak serca matczynego nagradzał Marii ojciec. Pozostała jedynaczka była przedmiotem jego najtkliwszej miłości, najgorętszych starań. Poświęcał jej na wygnaniu wissemburskim wiele czasu, kierując jej edukacją i wszczepiając w nią swoje zasady. Troskliwości ojca zawdzięczała Maria, wychowana w tak anormalnych warunkach,

polor zewnętrzny i kulturę duchową, które nie kazały się jej rumienić na komnatach Wersalu. Lata rozłąki, kiedy królowa była we Francji, Stanisław w Lotaryngii, spotęgowały obustronną miłość. Wzruszeniem przejmuje nas dziś korespondencja sędziwego ojca z również niemłodą córką, w której Leszczyński, spowiada się zarówno z najgłębszych tęsknot i pragnień, jak najbłahszych wydarzeń swego życia, zabarwiając tok opowiadania tkliwym, pełnym pieszczotliwości tonem. Szczerą miłością otaczał Stanisław również liczny zastęp swych wnucząt. Szczególnie serdeczny stosunek łączył go z urodzonym w roku 1729 delfinem Francji. Młody następca tronu w odróżnieniu od brutalnych i lekceważących manier Ludwika XV odnosił się do dziadka z najwyższą czcią i niejednokrotnie zwracał się doń o rady jako do najwyższego autorytetu. Zgon jego był dla dobiegającego dziewięćdziesiątki króla jednym z najcięższych przejść. W wygodnym sybarycie, nawykłym do czerpania z życia przyjemności a instynktownie unikającym cierpienia, serce łamało się z bólu. Zamknąwszy się na kilka dni w swych apartamentach gorzko wyrzekał, że dwukrotna utrata tronu nie zmiażdżyła go tak, jak strata umiłowanego wnuka.

Podobne rozdwojenie wykazuje oblicze duchowe Stanisława w odniesieniu do prądów duchowych epoki. Wrodzona pobożność i gorące przywiązanie do Kościoła nakazywały mu wstępować w szranki przeciw filozofii Wieku Oświeconego, równocześnie zaś lgnął do jej wybitnych przedstawicieli i zabiegał o utrzymywanie z nimi zażyłych stosunków. Byłoby rzeczą niesprawiedliwą doszukiwać się w tym zwykłego snobizmu lub uganiania się za rozgłosem. Po prostu Leszczyński był naturą dość złożoną, a niezwykłe koleje życia przyczyniły się do wzbogacenia jego struktury duchowej szeregiem nowych elementów. Z tradycji rodowych wyniósł zmysł tolerancji religijnej i poczucie łączności ze światem cywilizacji zachodniej. Wyrwany z rodzimej gleby wielkopolskiej, przewędrował spory szmat Europy, stykając się z różnymi krajami i środowiskami. Był sprzymierzeńcem króla szwedzkiego i teściem Króla Arcychrześcijańskiego, protegowa-

nym sułtana i władcy Prus, współpracował z senatem sztokholmskim, wchodził w układy z chanami i wezyrami, kardynałem Fleury i Fryderykiem Wielkim. W służbie jego pozostawał niemiecki mieszczanin z Leszna Arnold, spolszczony Węgier Eperiaszy, kondotier szwedzki Stenflycht, syn ostatniego hetmana wolnej Ukrainy, Piotr Grzegorz Orlik i Francuz Hulin. Patronował jego poczynaniom nadworny kaznodzieja berliński a przywódca duchowy międzynarodowego różnowierstwa, Czech Jabłoński. Poznał Stanisław urządzenia, stosunki i umysłowość różnych narodów, stopniowo czuł się coraz bardziej obywatelem świata.

Ów kosmopolityzm moralny i społeczny, stanowiący według historyka francuskiego Sagnaca jedno z charakterystycznych znamion cywilizacji XVIII wieku, wycisnął na Leszczyńskim niezaprzeczone piętno. W traktacie o ustanowieniu wieczystego pokoju znajdujemy następujące wyznanie wiary: „Wydaje się niemniej, że człowiek urodził się dla społeczeństwa; potomstwo Adama miało tworzyć jedną rodzinę... Nie wystarczając sami sobie, musimy się nawzajem podpierać, a potrzeba ta jest tak zwykła, nagląca, naturalna, iż należy się dziwić, że wszyscy ludzie nie tworzą jednego narodu, że nie zgodzili się żyć pod wspólnymi prawami, przestrzegać tych samych obyczajów, mówić tym samym językiem, wielbić Boga tym samym kultem". Wrodzona Stanisławowi ciekawość i pragnienie wiedzy sprawiły, że pochłaniał chciwie literaturę Oświecenia, zapalając się nieraz do najskrajniejszych jej teorii, które sumienie chrześcijanina nakazywało mu zwalczać piórem. Istnieją dane, pozwalające wnosić, że w ciągu długoletniego pobytu w Lotaryngii otarł się on również o tameczną lożę wolnomularską, aczkolwiek jego przynależność do bractwa fartuszkowego, tym bardziej zaś czołowa w nim rola, wydają się wykluczone. Cóż dziwnego, że dwór lunewilski stał się miejscem spotkania najróżnorodniejszych żywiołów. Głosiciele krańcowych nieraz teorii religijnych i filozoficznych na równi z nękanymi przez parlament paryski jezuitami zażywali tam pełnej swobody i wyrozumiałości.

Bogaty był krąg gości Leszczyńskiego, którzy nazwiska swe

zapisali trwałymi głoskami w dziejach literatury i filozofii XVIII wieku. Śmiały teoretyk nauki moralnej, opartej na zmysłowości i egoizmie jako właściwych bodźcach natury ludzkiej, Helvetius, w czasie licznych podróży do Lotaryngii zawadzał zawsze o dwór monarszy i spędzał z „Filozofem Chrześcijańskim" długie godziny na intymnych dysputach. Oglądał dwór lunewilski w swych progach dwóch innych radykalnych myślicieli Oświecenia: lekarza Maupertuisa oraz utopistę społecznego Morelleta. Do stałych bywalców zaliczał się ceniony w swoim czasie historyk i poeta Henault, jeden z najwierniejszych dworzan Marii Leszczyńskiej. Wszystkich przyćmiły jednakowoż dwie gwiazdy pierwszorzędnego blasku, które udało się Stanisławowi ściągnąć do Lotaryngii: Monteskiusz i Wolter. Głośny już wówczas autor „Listów perskich", który unieśmiertelni się niebawem „Duchem praw", wyniósł z pobytu w Lunéville'u w 1747 r. najmilsze wspomnienia. Jego list do Maupertuisa tchnie niekłamaną sympatią dla Stanisława, któremu przyznaje mnóstwo nieoszacowanych zalet: wybitne zdolności do architektury, znawstwo muzyki, „nieskończenie wiele inteligencji i zdrowego rozsądku", wielką prostotę i naturalność, rzadką zdolność do przyjaźnienia się z ludźmi, dobroć serca, która sprawia, że nie widzi się wokół niego smutnych twarzy, gdyż jedynym jego pragnieniem jest oglądanie ludzi zadowolonych i szczęśliwych. „Wyznaję — pisał Monteskiusz — że jestem nim zachwycony". Po powrocie do Paryża pisał, że spędził z królem Stanisławem „rozkoszne chwile". Niebawem znalazł też sposobność odwdzięczenia się Stanisławowi za tak miłą gościnę. W r. 1751 powołał władca lotaryński do życia towarzystwo literackie, szumnie przezwane Akademią. Dowiedziawszy się o tym Monteskiusz zwrócił się z prośbą o przyznanie mu jej członkostwa. Trudno było o lepszą reklamę dla świeżo założonej instytucji, jakich tysiące było w Europie. Uprzejmy gest luminarza myśli francuskiej przyjęty został z należytą rewerencją. W pierwszym tomie pamiętników Akademii stanisławowskiej ukazał się utwór Monteskiusza pt. „Lysimaque",

nadając pierwiastkowym jej poczynaniom blask europejskiego nazwiska.

Bardziej zawile ułożyły się stosunki Stanisława z drugim koryfeuszem duchowym XVIII wieku, Wolterem. Stojący u szczytu sławy, rozrywany przez cały świat kulturalny, zakosztował Wolter niejednej gościny monarszej; podobno jednak nigdzie nie czuł się tak dobrze, jak na ziemi lotaryńskiej. Stanisław, obsypując znakomitego gościa najbardziej wyszukanymi dowodami przyjaźni, równocześnie nie krępował go etykietą i nie zanudzał odczytywaniem swych utworów, jak to czynił Fryderyk II. Lata 1748 i 1749, spędzone w Lotaryngii, były dla wielkiego pisarza okresem ustawicznych rozrywek, za którymi przepadał, równocześnie zaś wytchnienia i swobodnej pracy. Do chwil tych niejednokrotnie wracał później myślą, w przyjacielskiej korespondencji ze Stanisławem odświeżał wspomnienia z lat minionych, przez chwilę pomyślał nawet o wybraniu sobie Lotaryngii jako siedziby, w której najlepiej będzie spędzić starość. A jednakowoż właśnie ta gościna u Leszczyńskiego zapisała się w życiu filozofa fernejskiego tragicznym przeżyciem. Przyjaciółka jego, słynna pani Châtélet, w czasie pobytu w Lunéville'u odnalazła w sobie pod zimnymi pozorami sawantki niezaspokojone zmysły i gorące serce. Ledwo przetrawił Wolter boleść z powodu zdrady ukochanej i udzielił błogosławieństwa jej miłości z dorodnym oficerem Saint-Lambertem, gdy spadł nań cios okrutny: ciąża, w następstwie zaś zgon wypróbowanej towarzyszki jego życia i prac. Stąd do miłych wspomnień dołączyła się nuta mimowolnej goryczy. W korespondencji z Leszczyńskim wylewał Wolter najczulsze uniesienia; za to w pamiętnikach nakreślił wizerunek swego gospodarza w dość lekceważących i groteskowych rysach: „Cirey leży na granicach Lotaryngii. Król Stanisław utrzymywał wówczas w Lunéville'u swój mały i przyjemny dwór. Mimo swego wieku i dewocji miał on kochankę; była to margr. Boufflers. Dzielił swoją duszę między nią a jezuitę, nazwiskiem Menoux; był to najbardziej intrygancki i zuchwały ksiądz, jakiego kiedy-

kolwiek znałem... Stanisław brał się niekiedy do pisania dość kiepskich krótkich dzieł".

Mylne byłoby mniemanie, że całe życie Stanisława na ziemi lotaryńskiej stanowiło nieprzerwany ciąg rozrywek w towarzystwie pięknych kobiet i wytwornych mężczyzn, głośnych filozofów i uzdolnionych artystów. Nie zapominał on o wyższych obowiązkach panującego oraz nakazach religii chrześcijańskiej. Nie tylko szczodrze udzielał wsparć petentom, ale sam wyszukiwał nieraz potrzebujących. Chorzy otrzymywali za jego staraniem leki, ubodzy, wstydzący się żebrać, jałmużny. Po większych miastach wznosił magazyny ze zbożem dla żywienia biednej ludności w razie głodu. Uczciwi kupcy, którym nie poszczęściło się w interesach, otrzymywali odeń pożyczki, magistrat miasta Nancy korzystał stale z pomocy finansowej władcy. Szczególną opieką otaczał Stanisław Kościół, fundując domy Boże, klasztory i internaty, z wyraźną intencją pogodzenia celów religijnych z użytecznością społeczną. O wynikach jego działalności najlepsze wyobrażenie daje ogłoszony w r. 1762 olbrzymi tom, pt.: „Zbiór fundacyj i zakładów, ustanowionych przez króla Polski, ks. Lotaryngii i Baru". Dowiadujemy się, że obok wspaniałych pałaców i ogrodów pozostawił po sobie Stanisław nowicjat dla misjonarzy jezuickich, fundację dla sierot, przytułek dla ubogich, zakład dla chorych, kilka domów dla szarytek, znowu nowicjat, tym razem dla „braciszków chrześcijańskich", mających obowiązek wychowania biednych, bezpłatną poradnię prawną dla biedaków, szereg szkółek — wszystko przeważnie w stolicy kraju, Nancy. Dodać do tego należy kościół św. Remigiusza w Lunéville'u, ufundowanie szeregu mszy, katedry matematyki i filozofii w kolegium jezuickim w Nancy, królewskie kolegium medyczne, bibliotekę publiczną a wreszcie wspomnianą Akademię, której pracami interesował się król żywo do ostatnich niemal chwil życia. W świetle tych faktów staje się zrozumiałe, dlaczego mieszkańcy Lotaryngii, początkowo tak niechętni obcemu przybyszowi, po trzydziestu latach rządów przyjęli wieść o jego chorobie, następnie zaś zgonie, powszechnym lamentem, imię zaś jego po dziś dzień żyje we

wdzięcznej pamięci ludu lotaryńskiego, który wspomina z rozrzewnieniem władcę „Dobroczynnego".

Rozległy krąg zainteresowań kulturalnych, prace nad upiększeniem kraju i osuszeniem łez cierpiącym, stosunki z plejadą uczonych i artystów, wreszcie rozrywki i miłostki, zdolne były wypełnić całkowicie życie starzejącemu się królowi. A jednakowoż ożywiona jego działalność w Lunéville'u, obok strony lotaryńskiej, posiada drugą — polską. Sprawiał to w pierwszym rzędzie zastęp rodaków, którzy stale czy przez dłuższy czas przebywali przy boku Stanisława, nadając przez to stolicy lotaryńskiej mniej lub więcej sarmacki charakter. Na pierwsze miejsce w otoczeniu polskim Stanisława wysuwa się rodzina Ossolińskich. Podskarbi koronny, w zamian za tyle dowodów oddania, otrzymał z rąk Stanisława prawdziwie królewską nagrodę: dwie dożywotnie pensje, z których jedną wypłacał skarb francuski, drugą lotaryński, tytuł książęcy, order św. Ducha. Wyprzedawszy swe dobra w Polsce, urządził sobie Ossoliński na ziemi lotaryńskiej wielkopańską rezydencję, prowadził dom na wielkiej stopie, ponawiązywał stosunki z najpierwszymi osobistościami w Europie. Drugim rodem magnackim, który związany węzłem pokrewieństwa z Leszczyńskim często gościł w progach lunewilskich, byli Jabłonowscy. Przez pięć lat pełnił obowiązki jałmużnika na dworze Stanisława Józef Jędrzej Załuski, dzieląc czas pomiędzy ulubioną pracę naukową, poszukiwanie rzadkich druków i gonienie za tłustymi beneficjami. Drugim prałatem wysokiego rodu, który przylgnął do Lunéville'u był mianowany jałmużnikiem królowej Jan Chryzostom Krasiński. Do stałych bywalców stolicy lotaryńskiej dodać należy najstarszego ze sług króla, towarzysza jego niedoli w Dwóch Mostach i Wissemburgu, Stanisława Meszka, który po dawnemu pełnił funkcję ochmistrza i marszałka dworu, Litwina Syrucia, którego umiejętnej gospodarce zawdzięczał król możność finansowania tylu przedsięwzięć kulturalnych, oraz dwóch spowiedników, o.o. Radomińskiego i Ubermanowicza.

Nierównie liczniejsza była rzesza rodaków, którzy przejściowo gościli w murach lunewilskich, bądź zatrzymując się w dro-

dze między Polską a Francją, bądź ściągnięci przyjaźnią, ciekawością czy interesem. Zwłaszcza dawni konfederaci dzikowscy, usłyszawszy o szczęśliwym wylądowaniu swego protektora w pięknej stolicy lotaryńskiej, garnęli się z wyliczaniem swych zasług i ofiar, domagając się pokrycia poniesionych strat lub protekcji na dworze Króla Arcychrześcijańskiego. W roku 1738 podejmował Stanisław u siebie dawnego marszałka konfederacji dzikowskiej Adama Tarłę, który formalnie pogodzony z Augustem i obdarzony przezeń województwem lubelskim, w głębi duszy nie przestawał się burzyć przeciw saskiemu panowaniu. Drugim głośnym już wówczas człowiekiem, który związawszy swe losy z osobą Leszczyńskiego w dobie bezkrólewia, zażywał następnie jego gościny w Lunéville'u, był Konarski. Pobyt jego we Francji i Lotaryngii w r. 1747 upamiętnił się dwoma wierszami łacińskimi, w których opiewał rezydencję Stanisława w Chanteheux oraz jego przybycie na dwór zięcia w Wersalu; brak natomiast świadectw, jakoby zetknięcie dwóch reformatorów, przerastających o głowę ówczesne pokolenie, wpłynąć miało zapładniająco na ich plany ratowania Rzpltej. Z innych głośniejszych osobistości, które zahaczyły o Lunéville, wymieńmy dwudziestokilkoletniego wówczas Michała Kazimierza Ogińskiego, który miał się w przyszłości wsławić jako niefortunny bojownik konfederacji barskiej na Litwie, twórca kanału swego imienia oraz protektor muzyki i teatru.

Trzecią grupę Polaków, związanych z Leszczyńskim, stanowili wychowankowie powołanej przezeń do życia akademii rycerskiej. Powstała z połączenia dwóch zakładów, ufundowanych przez poprzedników Stanisława na tronie lotaryńskim, odpowiadała ona w skromniejszym zakresie modnym wówczas w zachodniej Europie uczelniom, w których młódź szlachecka, miasto pustej gadaniny łacińskiej, zaprawiała się w rzemiośle wojskowym, naukach ścisłych, historii, językach nowożytnych, obyczaju salonowym. Akt fundacyjny głosił, że zamiarem dwukrotnego władcy Rzpltej a obecnego włodarza Lotaryngii i Baru, jest sposobienie zarówno dawnych, jak nowych poddanych do użytecz-

nego służenia ojczyźnie tak radą, jak orężem. Na 48 etatów, połowa przeznaczona była dla Lotaryńczyków, połowa dla Polaków. Szczodrobliwy protektor z własnej szkatuły pokrywał koszt utrzymania polskich wychowanków, wglądał w szczegóły ich zajęć, po ukończeniu studiów wyprawiał ich do Paryża, gdzie tytuł ukończonego lunewilczyka otwierał im na oścież salony. W pierwszych latach istnienia wywierała akademia wpływ przyciągający; garnęli się do niej zarówno synowie dawnych stronników Stanisława, jak jego aktualnych przeciwników. Później zainteresowanie osłabło, do czego w niemałej zapewne mierze przyczynił się rozkwit Colegium Nobilium Konarskiego, o szerszym programie i wyższej wartości wychowawczej. W całości zamiar Leszczyńskiego wypełnienia kadr swych wychowanków w równej mierze młodzieżą lotaryńską i polską doznał pewnego wypaczenia. Na 564 kadetów, którzy studiowali za życia Stanisława, ledwo 167 wypadło na przybyszów z Rzpltej. Przegląd nazwisk wykazuje ogromną rozpiętość społeczną. Od przedstawicieli rodów magnackich, których ojcowie zasiadali w senacie, po skromne ziemiaństwo kilkowioskowe, wszystkie odcienie Rzpltej szlacheckiej czerpały naukę w murach uczelni, stworzonej staraniem dawnego jej króla na obcej ziemi.

Nasuwa się pytanie, jakie znaczenie przedstawiała akademia lunewilska dla odrodzenia wewnętrznego Rzpltej, jaki był w szczególności jej udział w przenikaniu tam kultury francuskiej. Dawniejsi historycy skłonni byli przeceniać dzieło Leszczyńskiego, przypisując mu rolę jednego z wielkich ognisk, z którego biły do Polski nowe idee. Najświeższy badacz przedmiotu, Boyé, dochodzi do wręcz odmiennych konkluzji. W ciągu długoletniej działalności pedagogicznej wychował Stanisław szereg oficerów dla armii francuskiej, zastęp wyższych wojskowych dla siły zbrojnej Rzpltej, kilkunastu przyszłych senatorów; nie wyszedł natomiast spod jego skrzydeł ani jeden prawdziwie wybitny działacz polityczny, ani jeden znakomity uczony lub artysta. Niektórzy spośród wychowanków akademii znaleźli się w szeregach konfederacji barskiej, później zaś insurekcji kościuszkowskiej; innych

natomiast spotykamy na czarnej liście jurgieltników rosyjskich, a nawet wśród targowiczan. Prawda leży niewątpliwie w pośrodku. Akademia stanisławowska nie była przełomem w dziejach polskiego wychowania, jak Collegium Nobilium, ani pepinierą znakomitości, jak Korpus Kadecki, z drugiej jednak strony nie podobna bagatelizować jej znaczenia. Fakt, że dość liczny zastęp przyszłych wojskowych, senatorów, posłów, uczył się tam nowoczesnej sztuki rycerskiej i postępowych poglądów politycznych, nie stanowi pozycji obojętnej w ogólnym bilansie sił umysłowych i moralnych Rzpltej. Jeżeli zaś chodzi o wybitniejsze jednostki, które czerpały swoje wykształcenie i moralność patriotyczną z uczelni wygnanego króla, to godzi się wymienić Feliksa Oraczewskiego, przyszłego inicjatora Komisji Edukacyjnej, rektora akademii krakowskiej, dyplomaty w łużbie Stanisława Augusta, który domagając się w sejmie rozbiorowym ustanowienia najwyższej magistratury wychowawczej szermował cytatami z Monteskiusza, żądanie zaś poprawy bytu włościan popierał argumentami z arsenału fizjokratów. Oddziaływanie Lunéville'u wydaje się w obu razach niewątpliwe.

Praca nad wychowaniem zastępu światłych obywateli, zdolnych dźwignąć kraj z anarchii, poza stroną ideową miała równocześnie cel praktyczny, związany z osobistymi widokami Leszczyńskiego. Zamierzał on mianowicie zasilić świeżym elementem kadry dawnych stronników, przy których poparciu spodziewał się zasiąść z powrotem na stolcu Rzpltej. Pozornie zlikwidował Stanisław swoje aktywy na terenie Rzpltej. Wyprzedał dobra, by powiększyć szczupły kapitał, jakim rozporządzał w Lotaryngii. Z dworem saskim starał się nawiązać przyjazne stosunki. Gdy faworyt Augusta III, Sułkowski, wystąpił w r. 1738 z inicjatywą ożenienia najstarszego z królewiczów, Fryderyka Chrystiana z jedną z córek Ludwika XV, Stanisław poparł ją skwapliwie, wyrażając swoje ukontentowanie, że księżniczka francuska a jego wnuczka znajdzie się może kiedyś na tronie polskim. Z entuzjazmem przyjął zawarte w r. 1747 małżeństwo córki Augusta, Marii Józefy, z delfinem, które szczęśliwszego odeń rywala o polską

koronę związało z Francją. Pod tą samą datą napotykamy na ślad nieznanej bliżej negocjacji, którą usiłował nawiązać z dworem drezdeńskim, a która spotkała się z uprzejmą odmową. Wyglądało to na zewnątrz na całkowite przemazanie burzliwej przeszłości, wyrzeczenie się ambicji królewskich na przyszłość. Gdy w początkach wojny o sukcesję austriacką dwór drezdeński próbował wysondować Stanisława, czy zgodziłby się powrócić na tron polski w razie wyniesienia Augusta na władcę imperium rzymsko-niemieckiego, Dobroczynny Filozof okazał się wzorem pogodnej rezygnacji: „Widzicie, jakie tutaj prowadzę życię — zapewniał wysłanników dawnego antagonisty — upewniam słowem królewskim, słowem honoru i słowem chrześcijanina, że jestem zadowolony z mego losu. Pragnę jedynie służyć Bogu i niewiele dni, jakie mi zostają jeszcze, pędzić w pokoju... Proszę was i zobowiązuję honorem, byście, usłyszawszy coś na ten temat, zaprzeczyli temu i powiedzieli śmiało, że jest to fałsz wierutny, i że czynicie to na moją prośbę".

Rzeczywistość wyglądała inaczej. Zaprzątnięty życiem dworskim, zabawami, architekturą i muzyką, nie wypuszczał Stanisław z rąk nici różnorodnych negocjacyj, które zbiegały się wszystkie w jednym punkcie. Utrzymać resztki swych zwolenników na gruncie polskim, wzmacniając ich wychowankami Lunéville'u, nie dać sprawie swojej zatonąć w niepamięci, przygotowywać dla niej życzliwe poparcie dworów — takie zadanie postawił sobie Stanisław i w wykonanie go włożył niemniejszy wkład uporczywej energii i skrzętnych zabiegów, aniżeli w budowanie pałaców, zakładanie ogrodów lub kierowanie pracami swojej akademii. Spośród stosunków dyplomatycznych, jakie łączyły go z obcymi dworami, na pierwszym planie pozostawała po dawnemu przyjaźń z Prusami. Fatalny wynik walki o tron polski nie mącił przyjaźni z Fryderykiem Wilhelmem. Wręcz przeciwnie, król pruski, rozżarty na Sasa, oburzony na Francję, na złość obu karesował Stanisława, z ostentacyjną serdecznością podejmując go w Berlinie. Stanisław opuścił gościnne terytorium Prus z duszą pełną wdzięczności, której starał się dać wyraz na tronie lotaryńskim,

dostarczając swemu amfitrionowi wielkoludów do jego ukochanego pułku i zabiegając, lubo bezskutecznie, o wzięcie w opiekę miejscowych protestantów przed prześladowaniem rządu francuskiego.

Stosunek ten zacieśnił się po wstąpieniu na tron Fryderyka II. Pamiętamy nadzieje, jakie wiązał wygnaniec królewiecki z osobą młodocianego następcy tronu. Pierwsze jego sukcesy w wojnie śląskiej natchnęły Leszczyńskiego żywą radością. W pogromcy Habsburgów widział przyszłego restauratora swej królewskości. Fryderyk odpłacał się równą monetą. Z historycznego pola swej pierwszej zwycięskiej bitwy pod Molwińcami słał podziękowania za otrzymane z Lunéville'u gratulacje. Z wylaniem wypisywał pod adresem Stanisława dworne komplementy: „Gdyby niebiosa rozdawały bezpośrednio korony, z pewnością głowa W. K. Mości znalazłaby się nią pierwej ozdobiona, aniżeli moja". Sielankę między Lunéville'm a Poczdamem zmąciło ukazanie się „Antimachiavella", w którym znalazł Stanisław ujemny sąd o Karolu XII oraz uszczypliwe określenie własnej osoby, jako „króla polskiego, ciągle obieranego i ciągle detronizowanego". Roli pośrednika podjął się zaprzyjaźniony z obu monarchami Wolter. Pod wyraźnym dyktandem Stanisława wystosował do króla pruskiego epistołę, w której wykazując niesłuszność jego sądów, wplótł następujące zdanie:„W. K. Mość winien uznać dziś bardziej aniżeli kiedykolwiek zamiar Karola XII, by wygnać Rosjan z Inflant i Ingrii i stworzyć barierę pomiędzy nimi a Europą. Gdyby król polski był dziś na tronie, na którym powinien zasiadać, Polacy mogliby sobie wówczas przypomnieć, czym byli niegdyś i przyczynić się do odesłania niedźwiedzi moskiewskich w głąb ich lasów; wszak są to uczucia i pragnienia W. K. Mości". Fryderyk nie dał się wprawdzie złowić na wędkę antyrosyjskiej orientacji, która łączyć miała Leszczyńskiego z interesami domu brandenburskiego, niemniej, zachmurzony horyzont wypogodził się niebawem i obaj koronowani autorzy powrócili do czułej komitywy. Łączyły ich wspólne zamiłowania filozoficzne i literackie, zbliżone pojęcia o obowiązkach władcy względem poddanych, mania grafomań-

ska. Mędrzec z Sans-Souci okazywał żywe zainteresowanie dla poczynań kulturalnych Dobroczynnego Filozofa z Lunéville'u. W uprzejmych listach wyrażał swój podziw dla „najlepszego z królów i najszlachetniejszego z obywateli", jakiego miała kiedykolwiek Polska, życząc mu, by jak najdłużej uszczęśliwiał swymi dobrodziejstwami nowych poddanych lotaryńskich.

Stanisław był pod tym względem innego zdania. Przyjmując wdzięcznym sercem miodowe słówka Antymachiavella, wolał darzyć skarbami swego serca i umysłu dawnych, polskich poddanych. Po przyjaźni Fryderyka oczekiwał spełnienia tych pragnień. W sypialni swej zawieszony miał nad kominkiem portret wielkiego króla z jego lat młodocianych; takiego właśnie, jaki ukazał się pierwszy raz jego oczom w Królewcu, pocieszając zbolałego wygnańca nadzieją rychłego powrotu na tron. Rojenia te osiągnęły punkt kulminacyjny w dobie wojny siedmioletniej. Z zapartym oddechem chwytał Stanisław odgłosy zmagań osaczonego władcy Prus z nawałą wrogów, targany sprzecznymi uczuciami. Jako teść Króla Arcychrześcijańskiego brał udział w oficjalnej żałobie z powodu porażek francuskiego oręża, a cieszył się z sukcesów sprzymierzonych, Jako Polak zdawał sobie sprawę, że Fryderyk w razie zwycięstwa opanuje Gdańsk. Ponad wszystkim górowała jednak myśl, że z odmętów straszliwej wojny wyjść może upadek Wettynów i powołanie go na ich miejsce w Warszawie. Ponad przywiązanie do Francji i troskę o całość Rzpltej górowało w nim oczekiwanie zmiany losu na skutek zwycięstw Fryderyka. Pragnąc zobligować sobie przyszłego arbitra północy, w krytycznym dlań momencie 1760 roku ofiarował mu Nancy jako miejsce zwołania kongresu pokojowego. Wszystkie te rachuby i nadzieje, związane z osobą Fryderyka, stanowiły jedno z wielkich złudzeń, w jakie obfitowało życie Stanisława. Przyjaciel z Królewca i Sans-Souci ani na chwilę nie myślał poważnie o oparciu roszczeń tronowych Dobroczynnego Filozofa. Całkiem niedwuznacznie wypowiedział to w instrukcji do swego posła w Paryżu; niech Stanisław dowie się przy sposobności, że dla Prus jest rzeczą obojętną, czy w razie opróżnienia się tronu

Rzpltej zasiądzie na nim książę Parmy czy elektor saski, czy któryś z Piastów.

Nasuwa się inne zagadnienie: czy mianowicie Fryderyk posługiwał się imieniem Leszczyńskiego w celu zawichrzenia spraw europejskich lub podsycania opozycji republikańskiej przeciw Wettynom. Brak o tym wiadomości z bezpośredniego źródła; to, co wiemy z relacji dyplomatów saskich czy rosyjskich, nie zasługuje na pełne zaufanie, gdyż ludzie ci z tradycyjnego nawyku skłonni byli dostrzegać wszędzie zatrważający cień dawnego władcy Rzpltej, symbolizujący ducha opozycji przeciw spadkobiercom Augusta Mocnego i Piotra W. W roku 1743 pierwszy minister Augusta III, Brühl, alarmował Dembowskiego wiadomością, że Fryderyk obiecuje Leszczyńskiemu osadzenie go z powrotem na tronie. Poseł saski z Londynu donosił, że pomiędzy Poczdamem a Wersalem toczą się układy na temat przywrócenia Stanisławowi władania nad Rzpltą, w zamian za co nowy król odwzajemni się pruskiemu protektorowi odstąpieniem Pomorza oraz zapewnieniem po sobie następstwa jednemu z młodszych Hohenzollernów. W czasie sejmu grodzieńskiego 1744 roku posłowie pruscy w Warszawie kusić mieli jednego z wodzów stronnictwa republikańskiego, Jana Tarłę, mirażem korony polskiej, gdyby zaś nie zdecydował się na to — oddaniem jej elektowi z 1733 roku. Niebezpieczeństwem powrotu Stanisława na tron polski w oparciu o koalicję prusko-francuską straszyli swój dwór posłowie rosyjscy w Warszawie, Bestużew i Keyserling. W tych fantastycznych pogłoskach mogło tkwić ziarno prawdy. Fryderyk, dążąc w czasie zmagań o Śląsk do obezwładnienia Augusta III i Polski, nie cofał się przed intrygą ani prowokacją. Imię Stanisława mogło być skutecznym środkiem zagrzania republikanów lub nastraszenia dworów cesarskich. Gdy jednakowoż Francja zaproponowała mu w r. 1745 wydźwignięcie Augusta III na cesarza Rzeszy i zastąpienia go na tronie polskim Stanisławem, król określił ten projekt jako ryzykowny.

Jeżeli tak wyglądało prawdziwe oblicze monarchy, w którym Stanisław pokładał największe nadzieje i który miał istotne

powody do niezadowolenia z rządów wettyńskich w Warszawie, cóż dopiero mówić o innych ewentualnych sprzymierzeńcach. Dawna protektorka, Turcja zainteresowała się żywiej osobą Stanisława w czasie wojny z Rosją, następnie z Austrią w latach 1736 — 39, kiedy zdobywca Gdańska, Münnich, tratując ziemie Rzpltej, brał odwet za porażki Piotra W. nad Prutem. Głośno było wówczas w Konstantynopolu o sprzymierzeniu się z partią niezadowolonych z Wettyńczyka republikanów i zastąpieniu pupila Rosji na tronie polskim jej dawnym antagonistą — Leszczyńskim. Te dobre chęci, nie poparte z należytą siłą przez polską opozycję, zbagatelizowane przez dwory europejskie, rozpłynęły się w nicości. Stanisław przestał być dla świata muzułmańskiego realnym czynnikiem politycznym. W roku 1746 chan tatarski informował się u przedstawiciela Francji, czy dawny protegowany Porty jest jeszcze przy życiu, czy też zszedł z tego świata. Szwecja nie zdobyła się nawet na taki objaw sympatii dla sprzymierzeńca Karola XII. Najbardziej odpychającą postawę przybrała Francja. Fleury puszczał mimo uszu memoriały Stanisława, który usiłował go zainteresować planami konfederackimi republikanów. Gdy osobiście życzliwy dawnemu królowi wezyr Mustafa zwrócił się do Wersalu z propozycją przywrócenia go na tron, dwór francuski z miejsca stłumił tę inicjatywę, jako nie odpowiadającą obecnej sytuacji politycznej. Ambasador Króla Arcychrześcijańskiego nad Złotym Rogiem, znakomity margr. Villeneuve używał swych wpływów dla ostatecznego pognębienia sprawy republikańsko-stanisławowskiej. Gdy w r. 1741 wybuchła wojna o sukcesję austriacką, August III, podobnie jak niegdyś jego ojciec, stał się dla dworu wersalskiego tak pożądanym sprzymierzeńcem przeciw Habsburgom, że o wysuwaniu przeciw niemu Leszczyńskiego nie mogło być mowy.

Pomoc państw europejskich, na którą liczył Stanisław z każdym rokiem okazywała się bardziej zawodna. Pozostały siły opozycyjne, drzemiące w społeczeństwie polskim. Czy pogodzi się ono ostatecznie z narzuconym mu władcą, który podobnie jak ojciec nie nauczył się nigdy języka swych poddanych i całe życie

spędzał w Dreźnie, pozwalając rządzić niesumiennym faworytom, czy raz jeszcze popróbuje wprowadzić na tron dawnego wybrańca, imieniem swym symbolizującego walkę o niepodległość? Nie ulega wątpliwości, że po kapitulacji dzikowian i oficjalnym uznaniu Augusta III jedynym władcą Rzpltej, pozostało w narodzie sporo fermentów niezadowolenia, z którego czerpały siłę żywioły stanisławowskie. Jeszcze w kilkanaście lat po abdykacji królewieckiej donosili dyplomaci francuscy o dużych sympatiach, jakimi cieszy się król Stanisław, zwłaszcza wśród drobnej szlachty. Znaczna część magnatów spod znaku konfederacji dzikowskiej, jak Potoccy, Tarłowie, Jabłonowscy, Świdzińscy, pozornie uznawszy Sasa i wziąwszy z jego rąk urzędy i godności, nie przestawała przy nadarzającej się sposobności spiskować w obronie praw dawnego monarchy. Sędziwy prymas Teodor Potocki zwrócił się w roku 1737 do dyplomaty francuskiego Tourville'a, przedstawiając mu, że ogromna większość narodu czeka tylko na pogrążenie się Rosji w wojnie tureckiej, by zawiązać konfederację na rzecz Stanisława. Wojewoda kijowski, lubo obdarzony przez Augusta upragnioną buławą, był w czasie wojny wschodniej główną sprężyną gotującej się ruchawki przeciw Sasom i Moskwie. Z jego ramienia agent dyplomatyczny Gurowski negocjował w Stambule sojusz, którego celem miało być, jak w dniach po Połtawie, zapewnienie Stanisławowi oręża wyznawców Proroka. Trzeci z Potockich, wojewoda bełski Antoni wyruszył wówczas do Lunéville'u, by zachęcić wiecznego kandydata do podniesienia swych praw do tronu. Rozbicie się tych planów nie ostudziło skrajniejszych epigonów Dzikowa, którzy na wieść o wybuchu nowej wojny szwedzko-rosyjskiej zakrzątnęli się około zorganizowania konfederacji pod wezwaniem swego pretendenta. Znów górne plany rozbiły się o brak pomocy z zewnątrz i inercję szerokich mas, które bocząc się na dwór i sarkając na Rosję nie potrafiły przekuć kapitału cichych sympatii dla dawnego elekta spod Woli w oręż walki powstańczej.

Zakończenie dwóch pierwszych wojen śląskich (1745), usuwając z sąsiedztwa Rzpltej zarzewie konfliktów, zniweczyło za-

razem możliwość dźwignięcia sprawy Stanisława. Powoli zaczynało być o niej głucho, tak w gabinetach dyplomatycznych, jak na wewnętrznym forum Rzpltej. Dotychczasowi jego zwolennicy po największej części przeszli do obozu francuskiego, wyzbywając się myśli ujrzenia dawnego wybrańca w majestacie glorii królewskiej. Dla tłumów szlacheckich, które niegdyś z entuzjazmem oddawały nań wota, później szczerbiły oręż w niefortunnych bojach konfederacji dzikowskiej, stawał się król Stanisław mitem. Z każdym rokiem rozluźniały się jego stosunki z krajem. Coraz rzadziej wymawiano szeptem jego imię w rezydencjach magnackich i dworkach szlacheckich. Do wyjątków należeli już Polacy, którzy przebywając stale w granicach Rzpltej, nosili markę wiernych stanisławczyków. Ze sfery czynnej polityki przechodził Leszczyński niepostrzeżenie w dziedzinę pamiątek historycznych.

Stanisław nie chciał pogodzić się z tym stanem rzeczy. Doszedłszy siedemdziesiątki, czuł się wciąż pełen sił, pożerany niesłabnącą ambicją królowania, zdolny w własnym przekonaniu zapewnić narodowi lepszą dolę, aniżeli bezmyślny August i nierzetelny Brühl. W głębi duszy nie przestawał się czuć jedynym prawowitym monarchą, przemocą wyzutym z panowania, z tęsknotą wyczekiwanym przez większość narodu. Ilekroć nowy ambasador Króla Arcychrześcijańskiego, dążąc do Warszawy czy Drezna zatrzymywał się w gościnnym Lunéville'u, król podejmował go z otwartymi rękoma, udzielał szczegółowych informacyj, dotyczących spraw Rzpltej, polecał jego uwadze magnatów, zasługujących na zaufanie, rozwodził nad ustrojem państwa polskiego i charakterem jego mieszkańców. Typowy obraz pretendenta na wygnaniu, który choćby z daleka, choćby pośrednimi kanałami za każdą cenę pragnie utrzymać kontakt z gorąco umiłowaną ojczyzną i wpływać w jakiś sposób na jej losy. Polityka Stanisława, tylekroć fantastyczna, tym razem przechodziła w krainę czystej utopii. Dwór francuski, na którym król-wygnaniec propagował wytrwale sprzymierzenie się z Turcją, jedną z dźwigni jego sprawy, znalazł sobie tymczasem innego kandydata na tron polski w osobie ks. Conti, co nie pozostało oczy-

wista bez wpływu na usposobienie stanisławczyków. Jeżeli ktoś odważył się robić dyplomacji francuskiej wyrzuty z powodu zaniedbywania dawnego protegowanego, to był nim wierny do ostatka Leszczyńskiemu syn ostatniego hetmana niezawisłej Ukrainy, Piotr Grzegorz Orlik.

Tymczasem wybiła tragiczna godzina ostatniego polskiego bezkrólewia. W chwili zgonu Augusta III dawny jego rywal liczył osiemdziesiąt sześć lat. Myśl powołania na tron Rzpltej starca, stojącego nad grobem, była oczywistym szaleństwem. A jednak Stanisław uchwycił się kurczowo, z namiętnością ciężko przez los doświadczonego człowieka, przed którym na samym schyłku ziemskiej wędrówki otwiera się perspektywa spełnienia snów całego życia. Z młodzieńczym ogniem porwał się do swojej ostatniej kampanii wyborczej. Rozpisywał listy do różnych osobistości w Rzpltej, ustanowił w Warszawie agenta, który poza plecyma ambasady francuskiej kierować miał akcją na jego korzyść. Niepokoiło go uporczywe milczenie Wersalu, który nie objawiał chęci naprawienia przewinień z czasów poprzedniego bezkrólewia. Chcąc je w końcu przełamać, zwrócił się do zięcia z oświadczeniem, że mnóstwo osób z Rzpltej zwraca się doń z gotowością poparcia jego kandydatury. Polsce trzeba króla narodowego, a nie kreatury moskiewskiej. Jeżeli Katarzyna trwa w zamiarze narzucenia swego wybrańca, Francja winna odwołać się do interwencji Porty. Odpowiedź Ludwika XV nie mogła być dla wtajemniczonych niespodzianką. Pragnienie Polaków ujrzenia Stanisława na tronie tłumaczył po prostu jako „hołd złożony jego cnotom", dodając, że zamiarem Francji jest utrzymanie wolnej elekcji i całości terytorialnej Rzpltej. Równało się to odmowie czynnego zaangażowania się nad Wisłą. Stanisław nie dał za wygraną. Z jego natchnienia pojawił się zredagowany przez Solignaca rzekomy „List z Warszawy z 3 grudnia 1763 roku", w którym raz jeszcze ujrzała Europa wszystkie walory dawnego króla, wraz z zaleceniem jego kandydatury jako utwierdzenia niezawisłości narodu przeciw obcym potencjom. W innym piśmie rzekomy senator polski błagał Stanisława, by nie zapominał

o prawach, przysługujących mu do tronu, ani o głębokiej miłości, jaka żyje ku niemu w sercach narodu. Dworowi wersalskiemu było tego za wiele. W suchych, kategorycznych słowach otrzeźwił Ludwik XV rozgorączkowanego teścia, zakazując mu myśleć o powrocie na utracone królestwo. Nie inaczej zachowała się Rzplta, w której wygasły ostatnie iskry żywych dawniej uczuć dla dwukrotnego monarchy. Poczciwy prymas Łubieński, kierujący osieroconą nawą państwa, zapisał w swym dzienniku: „Rozmowy dziś różne o królu Stanisławie, ale bezskuteczne, bo i stary i północne potencje przeciwne". Opuszczony przez wszystkich, po których spodziewał się pomocy, doczekał się Leszczyński wyniesienia na tron polski syna dawnego sługi, który „po dwakroć bronił króla i opuścił go".

Ostatni cios był chyba najboleśniejszy. W bezsilnej rozpaczy wyrzekał stary król na Francję, która znów opuściła go w potrzebie, na niewdzięczność rodaków; nie obce pozostało jego duszy uczucie patriotycznego bólu, w jakie wprawił go nowy triumf Rosji. Usposobienie jego uległo wyraźnej zmianie. Już dawniej, w pomyślniejszych czasach, przechodził chwile głębokiej depresji. W jednym z listów do córki skarży się, że „boleść, moja smutna towarzyszka, jest przy mnie na każdym kroku". Gorycz ostatniego bezkrólewia uczyniła go nierównym i skłonnym do wybuchów. W roku 1766 spadło nań nowe cierpienie w postaci śmierci ukochanego wnuka. A jednakowoż potężne siły niezwykle żywotnego organizmu triumfowały nad starością i katastrofami. Dobijając dziewięćdziesiątki, mimo osłabionego wzroku i głuchoty prowadził normalny tryb życia: odbywał przejażdżki po Lotaryngii, odwiedzał córkę w Wersalu, brał udział w uroczystościach dworskich, przyjmował licznych gości, z zamiłowaniem oddawał się sprawom swojej akademii. Kres jego życiu położył dopiero tragiczny wypadek. 5 lutego 1766 r., jak zwykle, wstał Stanisław wczesnym rankiem i ubrany w szlafrok zbliżył się do kominka. Pogrążony w rozmyślaniach nie zauważył, że od iskier zajęło się odzienie. Otoczony płomieniem począł krzyczeć; nikt nie nadbiegł z pomocą. Gdy wreszcie zjawili się do-

mownicy, ciało Stanisława pokryte było szeregiem oparzeń. Początkowo stan jego zdrowia nie budził obaw, zwłaszcza że chory znosił dotkliwe cierpienia z humorem, starając się podnieść otoczenie na duchu. Stopniowo poczęły występować objawy niepokojące. Biuletyny nadwornego lekarza podtrzymywały nastrój optymizmu; wiadomości poufne zwiastowały początek końca. 23 lutego po długiej i bolesnej agonii zamknął oczy do snu wiecznego dwukrotny król polski i książę Lotaryngii.

VIII

FILOZOF DOBROCZYNNY

W ciągu długiego życia, do ostatnich niemal chwil wypełnionego ambicjami politycznymi i dążeniem do władzy, nie zrywał Stanisław nigdy łączności z królestwem muz. W dziedzinie myśli filozoficznej i literackiej szukał nie tylko oderwania się od dręczącej często rzeczywistości i zaspokojenia potrzeb bogatego życia wewnętrznego. Nominalny władca Polski i Lotaryngii, który zasiadając na tronie nie miał możności realizowania swych zamierzeń, czuł potrzebę wyżycia się w krainie ułudy. Koncepcje życia zbiorowego, poczęte w jego umyśle, plany uszczęśliwienia ludzkości, których nie było mu dane wprowadzić w czyn, znajdowały swobodne ujście w samotnych godzinach, spędzonych przy biurku. Roztrząsał wówczas król-filozof zagadnienia roli religii w życiu ludzkości i wychowania młodego pokolenia, snuł refleksje na temat moralności, nauki i kultury, przetwarzał ustrój społeczny i polityczny, formułował postulaty reform gospodarczych i obyczajowych, przemyśliwał, jak oprzeć na mocnych fundamentach wieczysty pokój między narodami. Odziedziczone po przodkach zainteresowania umysłowe wzbogacił własną nauką i doświadczeniami i rozszerzył na całokształt życia jednostki i społeczeństwa. Nie wszystkie twory jego pióra przedstawiają trwalszą wartość. Są tam rzeczy ślepo kopiowane z cudzych wzorów, naszpikowane banalnymi frazesami, z przytłaczającą przewagą retoryki i komunałów. Gdzie indziej natomiast uderza

trafna obserwacja, zmysł krytyczny, dążność do samodzielnego traktowania zagadnień.

Najmniej własnych myśli miał Stanisław do wypowiedzenia w dziedzinie, która stanowiła podstawę i rdzeń jego życia duchowego: w religii. Gruntowna znajomość literatury Wieku Oświeconego, stosunki ze środowiskami protestanckimi i wolnomyślnymi nie zachwiały w nim żarliwej wiary w Opatrzność Bożą. Rzecz jasna, że król Stanisław, mimo przykładnego wypełniania praktyk kościelnych, przechodzących niemal w dewocję, nie utożsamiał ich z istotą religii, jak również nieskończenie był daleki od fanatyzmu wyznaniowego i posługiwania się imieniem Bożym w rozgrywkach politycznych. Z drugiej strony nie tajonym oburzeniem przejmowały go próby podważenia zasadniczych kanonów wiary przy pomocy dowodzeń rozumowych i zastąpienia religii objawionej światopoglądem deistycznym. W przestrogach, udzielonych córce w chwili wstąpienia na tron francuski, znajduje się następujący ustęp: „Winna jesteś przede wszystkim respektować religię, nie starając się jej zgłębić. Nie zwracaj uwagi na dysputy, które wszczyna w tej materii próżna spekulacja i rozwięzła ciekawość. Nie przechylaj się ku żadnej ze stron, która nie pragnąc tego, jednakowoż zniekształca religię lub ją unicestwia. Zaliż powinno istnieć dla ciebie, dla tłumów chrześcijan, dla największych nawet geniuszów coś innego, jak katechizm i wiara?“.

Rozwinięciem tych linii wytycznych jest rozprawa pt. „Niedowiarstwo zwalczone zdrowym rozsądkiem“. Przeciwstawia w niej Leszczyński pojęcie Boga chrześcijańskiego, rządcy świata, stróża sumień, przedmiotu kultu i miłości wiernych — zimnemu i bezosobistemu bóstwu deistów, które stworzywszy wszechświat, pozostawia go następnie własnym losom, nie stawiając tam zdrożnym namiętnościom rodu ludzkiego. „Gdyby moralność deistów rozkrzewiła się w świecie, ujrzelibyśmy w nim zamęt, wyzwolenie się z wszelkich więzów, całkowitą pogardę praw, obmierzłe tolerowanie najśmieszniejszych religii“. Szkic króla-filozofa nie pozostał bez wpływu na rozwój polskiej myśli Wieku Oświecenia;

tok jego idei odnajdujemy w wywodach dwóch najwybitniejszych jego przedstawicieli, St. Konarskiego i Ignacego Krasickiego. Dowodem szczerej pobożności Stanisława pozostaną dwa przekłady, jakich dokonał z francuskiego na język polski: sporządzona z myślą o córce, która w ciągu tyloletniej rozłąki z ojczyzną nie przestała nigdy modlić się z polskich książek, „Rozmowa duszy z P. Bogiem, wybrana ze słów św. Augustyna“ oraz poemat ks. Clement: „Historia Nowego i Starego Testamentu“ — imponujący dowód pracowitości tłumacza, który u schyłku życia zdobył się na napisanie przeszło 25.000 wierszy!

Jeżeli w sferze religii zajmował Stanisław stanowisko raczej konserwatywne, to za to w innych dziedzinach przyjmował śmiało najbardziej postępowe teorie. Autorytetem jego w sprawach wychowania był John Locke, którego nazywa „najrozsądniejszym z tych, którzy pisali o wychowaniu“. Wpływ wielkiego myśliciela ujawnia się w położeniu nacisku na wychowanie cielesne dziecka, zaprawianie go do ćwiczeń fizycznych, lekkich szat, umiarkowanego pokarmu. Tam natomiast, gdzie Stanisław przemawiał z własnego natchnienia, wysuwały się na pierwszy plan wartości kultury duchowej. W dwóch zwłaszcza utworach zamiłowania światłego króla doszły do głosu z wielką jasnością i siłą. Mowa, wygłoszona na otwarcie akademii nauk w Nancy, znalazła oddźwięk poza granicami państewka lotaryńskiego. Przełożona na język włoski została odczytana na posiedzeniu publicznym Akademii Arkadyjskiej w Rzymie, której członkowie uchwalili pod świeżym wrażeniem umieścić w sali posiedzeń portret króla-filozofa, z laurem na głowie i różdżką oliwną w ręku. Europejskiego rozgłosu nabrała polemika Stanisława z Russem na temat znaczenia nauki i sztuki dla rozwoju ludzkości. Paradoksalnym wywodom filozofa genewskiego przeciwstawił Leszczyński gorące przywiązania spadkobiercy tylu wysiłków i osiągnięć kulturalnych swego rodu do potężnych motorów postępu dziejowego, jakimi są intelekt i nauka. „Czyliż obyczaje mniej będą czyste, kiedy się rozum oświeceńszy stanie? i czyli w miarę, im pochodnia, która ma nam przyświecać, większego nabierze blasku, tym trudniej

będzie wynaleźć prawą drogę i postępować na niej?... Gdyby rozum nas nie oświecał i nie kierował nami, wówczas, pomieszani z zwierzętami, rządząc się instynktem, wkrótce zapewne równie byśmy się do nich moralnie zbliżyli, jak już fizycznie dość zbliżeni jesteśmy. Wszakże jedynie za pomocą rozwagi i nauki zdołamy urządzić i poprawić błędy naszych zmysłów, ciało poddać pod władzę umysłu i prowadzić duszę, tę nadzmysłową i nieśmiertelną istotę, do poznania obowiązków i swego szczytnego przeznaczenia". W dalszym ciągu wykazuje Stanisław, jak dobroczynny wpływ wywarł rozwój nauk na poszczególne gałęzie ludzkiej wytwórczości, od rolnictwa i rzemiosł, po najwyższe funkcje rządzenia państwem i uszczęśliwiania społeczności.

Pominiemy mało na ogół oryginalne, szablonem nacechowane rozważania z różnych dziedzin filozofii moralnej, by zatrzymać się dłużej przy przedmiocie, w którym autor najwięcej miał do powiedzenia. Zajmując się przez całe życie polityką, z natury rzeczy musiał Stanisław dojść do pewnych poglądów na zadania panującego, jego stosunek do poddanych, najlepsze metody zawiadywania powierzonymi mu zasobami martwymi i czynną energią kraju i społeczeństwa. Nie ma u Leszczyńskiego wyraźnego rozgraniczenia między moralnością a sztuką rządzenia państwem. Wzorem pisarzy średniowiecznych oraz ich epigonów w dobie nowożytnej skłonny jest nieraz utożsamiać dwie dziedziny. Wizerunek króla, który kreśli przy różnych sposobnościach, tak obficie jest podlany sosem taniego moralizatorstwa, wyposażony w tyle rysów konwencjonalnego idealizmu, że przypomina raczej owe doskonałe wzory z różnych „Zwierciadeł panującego", aniżeli spostrzeżenia praktycznego męża stanu, który zna te sprawy z bezpośredniego zetknięcia życiowego. Niemniej, przy uważniejszej lekturze, wygrzebać można spod wyświechtanych frazesów, w których prawdę życiową sam autor zapewne niezbyt wierzył, spory zasób trafnych obserwacji, samorodnych poglądów i krytycznych ocen, dotyczących nie idealnego władcy i wzorowego państwa, ale konkretnej rzeczywistości europejskiej.

Ideał panującego, jaki przebija w różnych wypowiedziach

Stanisława, mało ma wspólnego z konstytucyjnym władcą Rzpltej Polskiej. Wyposaża go autor w szereg najszacowniejszych przymiotów moralnych, niemniej, jest to ów wypieszczony przez literaturę XVIII wieku światły absolutysta, który powierzony mu ogrom władzy zużytkowuje dla dobra swych poddanych, przez nikogo nie krępowany, odpowiedzialny przed Bogiem i własnym sumieniem. Monarchia przedstawia się synowi republikańskiej Polski jako najdoskonalsza forma rządzenia. „Rząd monarchiczny — twierdzi — jest najzdolniejszy uhamować nieugiętą próżność ludzi i umiarkować ich niestałość i płochość. W takim tylko państwie można spokojnie i bezpiecznie używać tej szacownej wolności, która w Rzpltych jest tylko źródłem nieszczęśliwych rewolucyj; wolność ta nade wszystko daje się czuć pod rządami króla, który jest przeświadczony, że chwała jego i szczęście zależą jedynie od jego cnót i miłości narodu". Rzecz jasna, że zachwalając monarchię absolutną, potępia Stanisław jej skrajności w postaci brutalnego despotyzmu i panoszenia się nieodpowiedzialnych faworytów. Władza królewska, zdaniem jego, „podobna jest do dobrego konia; używając go roztropnie, można z nim wszystkiego dokazać, chcąc go zaś nadto pędzić, można zupełnie osłabić i zniszczyć". Najsympatyczniej przedstawia się Stanisławowi typ koronowanego patriarchy o zabarwieniu demokratycznym. W spisanych dla własnego użytku maksymach, którymi zamierzał się kierować przy rządzeniu Lotaryngią, znajduje się następujące wskazanie: „Nie zapomnę tego nigdy, że ponieważ Bóg mię wybrał za ojca mego ludu, winienem całego siebie poświęcić moim poddanym, a więcej jeszcze ubogim, niż możnym. Nie zasmucę nikogo odmówieniem posłuchania, którego żądać każdy ma prawo, a jeżeli mi się zbytnio uprzykrzać będą, wspomnę sobie, że nigdy berło od przykrości i trudów nie jest wolne". Ideałem jego jest Henryk IV, prosty w obejściu i przystępny dla maluczkich.

Obraz idealnego króla i wymarzonego państwa, jaki wytworzył w swej wyobraźni Leszczyński, pozostawał w jaskrawej nieraz sprzeczności z tym, co ukazywała mu współczesna Europa, zwłaszcza Francja, z którą pozostawał w długoletnim kontakcie.

W skreślonym dla użytku wnuka obrazie polityki i administracji francuskiej uderza szereg uwag krytycznych o wielkiej nieraz trafności i zacięciu. Nie podoba się Stanisławowi stopniowe ogniskowanie się całego życia francuskiego w Paryżu. „Powiększanie się tego ogromnego miasta przynosi uszczerbek całemu narodowi. Ileż bogactw, których prowincje są źródłem, zamiast przyzwoitego w nich obiegu, trwonione są w Paryżu na przepych i rozpustę. Nade wszystko zaś, dlaczego w stolicy przebywa mnóstwo ludzi, mających po prowincjach beneficja i urzędy, które znają tylko z dochodu, jaki im przynoszą?“. Niezwykle ostra, a w całej pełni uzasadniona jest krytyka francuskiego sądownictwa, któremu zarzuca formalistyczną przewlekłość, sprzeczność i rozciągłość ustaw i zwyczajów, przez to zaś otwarcie szerokiego pola wybiegom i wykrętom prawnym. „Kto by potrafił ściąć głowę tej hydrze, większą by Francji wyświadczył przysługę, aniżeli marszałek hr. Saski w bitwie pod Fontenoy“. Ostro uderza na wadliwości procedury karnej, zarzucając, że „sędziowie przez przewlekanie niepotrzebnych formalności i procedury więcej krzywdy czynią krajowi, aniżeli winowajca kradzieżą wyrządził szkody osobom prywatnym“. Zgodnie z zasadniczym swym poglądem na istotę bogactwa narodowego opowiada się przeciw faworyzowaniu imprez kolonialnych ze szkodą dla rolnictwa. „Zostawmy innym narodom kopalnie Peru, roztropny Francuz znajdzie w swym pługu większe źródło korzyści. Naród, będąc właścicielem urodzajnej ziemi, od wszystkich postronnych ludów pobierać może daniny“. Krytyką swą obejmuje Stanisław również pewne strony życia dworskiego i obyczajowego, jak nadmierny przepych bez gustu, rządy faworytów, wyuzdanie kobiet. „Wszyscy się zgadzają na to, że kobieta zalotna jest godna pogardy, lecz nie wiem, kogo bardziej potępiać należy: czy żonę zalotną, czy męża, który patrzy na to obojętnym okiem? Wiek temu kobiety we Francji nosiły zawsze zasłonę i nie pokazywały się bez niej u dworu; dziś już bez zasłony widać ich tam wiele, a za sto lat znowu, jeżeli się temu nie zapobieży, gotowe półnago się pokazywać“.

Pozytywny ideał państwa nakreślił Stanisław w utworze pt.: „Rozmowa Europejczyka z wyspiarzem z królestwa Dumocala". Należy on do rodzaju modnych w ówczesnej literaturze utopii politycznych, których pierwowzorem jest traktat Tomasza Morusa. Zewnętrzna sceneria utworu utrzymana jest zupełnie w tonie ówczesnego szablonu: mieszkaniec Europy wskutek katastrofy okrętu dostaje się na nieznaną wyspę, gdzie poznaje doskonałe urządzenia państwowe i społeczne oraz ród ludzi szczęśliwych, bo wolnych od nędzy, wojen, niskich namiętności. W rozmowach z uczonym kapłanem dowiaduje się przybysz, na jakich zasadach opiera się życie mieszkańców Dumocali i czym górują oni nad Europą. Tu kończy się fantastyczna baśń a rozpoczyna nicowanie współczesnych autorowi stosunków politycznych i społecznych zachodniej Europy. Zostawimy na boku zasadniczy punkt: potępienie agresywnej dyplomacji i wojen zaborczych, który stanowić będzie przedmiot odrębnego traktatu króla-filozofa, by przejść do zagadnień, związanych z wewnętrznymi stosunkami państwa. W dziedzinie życia gospodarczego okazuje się Stanisław przeciwnikiem merkantylizmu z jego dążeniem do zdobyczy kolonialnych i gromadzenia wielkich bogactw. Ekonomista podaje sobie rękę z moralistą dla wysławiania korzyści, płynących ze skrzętnego uprawiania gleby ojczystej. Ulubionym jego pomysłem, do którego wracał w osobnym traktacie, było stworzenie „spichrza obfitości", w którym nagromadzone zapasy zboża ułatwiłyby uboższej ludności przetrwanie kryzysów głodowych. W dziedzinie finansów opowiada się za umiarkowanym rozkładem podatków, tak ażeby nie niszczyły one podstaw życia gospodarczego ani zamożności społeczeństwa, jak niemniej za oględnym ich ściąganiem, bez przerostu aparatu administracyjnego i związanych z tym jaskrawych nadużyć. Wielki nacisk spoczął na utrzymaniu równowagi budżetowej: panującemu wolno zużyć na potrzeby osobiste i dworu tylko to, co zostało po pokryciu wydatków państwowych. Wypowiada się następnie Leszczyński za poruczeniem wymiaru sprawiedliwości sędziom wykwalifikowanym w prawie a bezpłatnym, potępiając stanowczo zwyczaj sprzedawania

urzędów. Administrację lokalną pragnie powierzyć ciałom kolegialnym, złożonym z czterech radców, z których każdy zawiaduje jednym z wydziałów: wojska, skarbu, administracji czy policji. Analogiczna rada, złożona z czterech ministrów, przy boku króla, zawiaduje sprawami całego państwa.

Pobieżny rzut oka na zawartość dzieła Leszczyńskiego wskazuje, że pod obsłonką filozoficznego romansu mieści się tu krytyka współczesnych urządzeń francuskich, zarazem program najbardziej niezbędnych reform. Jednostronne forsowanie polityki przemysłowo-kolonialnej z upośledzeniem rolnictwa, co stanowiło cechę epigonów Colberta, częste klęski głodowe, jakim podlegał jeden z najżyźniejszych krajów w Europie, przeciążenie ludności podatkami, zdzierstwa ze strony ich dzierżawców i poborców, przerost wydatków na dwór, zły wymiar sprawiedliwości, wystawianie urzędów na sprzedaż — wszystkie te bolączki żywcem są zaczerpnięte z Francji Ludwika XV. W projekcie utworzenia kolegialnych rad rządzących przebija wyraźny wpływ znanego traktatu ks. St. Pierre, który absolutyzm ministrów zastąpić pragnął „polisynodią". Cóż dopiero powiedzieć o druzgocącej krytyce państw europejskich, jaką wkłada autor w usta mędrca z Dumocali: „Dlaczego w ustanowieniu podatków wyrywacie drzewo niejako razem z korzeniem, a przez to przywodzicie do ostatecznej nędzy ludy, w których macie zawsze znaleźć zasiłki na potrzeby państwa? Dlaczego wystawiacie waszych poddanych na utratę całego mienia, odwlekając przez długie postępowanie wyroki rozsądzające sprawę tego, który słuszności na swoją stronę domaga się... Dlaczego ustawy policji waszej nie są jednakowe dla wszystkich stopni i stanów; dlaczego spadają tylko na gołębia a oszczędzają jastrzębia? Dlaczegóż wreszcie okrywacie politykę waszą tylu nieprzejrzanymi zasłonami?".

Jedna zwłaszcza idea pochłaniała uwagę Leszczyńskiego. Wyrósłszy wśród szczęku oręża, świadek straszliwych spustoszeń, jakie spowodowała wojna północna, ofiara drapieżnej zaborczości caratu, nabrał król-wygnaniec zdecydowanego wstrętu do wojen i podbojów. Na drogę ideologii pacyfistycznej pchała go również

głęboka wiara chrześcijanina, ideały humanistyczne, którym hołdował całe życie, wreszcie brak osobistego zamiłowania do rzemiosła marsowego, przy równoczesnym kulcie nauki, sztuki, pokojowego doskonalenia rodu ludzkiego. W swym traktacie utopijnym wkłada w usta mędrca z Dumocali następujące słowa: „Najlepszą polityką, jakiej się trzymać możemy w rządzie państw i całym naszym postępowaniu, jest to prawidło, żeby żadnej nie mieć polityki i postępować jedynie według prawideł roztropności i rozumu. Monarcha, który potrafi zjednać poszanowanie sąsiednich narodów więcej przez swą rzetelność, jak przez potęgę, który przez dobroć i sprawiedliwość pozyskał miłość narodu, monarcha taki łatwo dokona wszystkich przedsięwzięć, nie używając żadnych mniej przydatnych tajemnic". Praktyczne wcielenie w życie tych zasad filozoficznych stanowi przedmiot nie ogłoszonego drukiem za życia Leszczyńskiego, świeżo wydobytego z rękopisu traktatu „O utwierdzeniu pokoju powszechnego".

Poruszając ten temat na gruncie francuskim, liczył Stanisław niejednego znamienitego prekursora. Do ugruntowania republiki chrześcijańskiej zmierzać miał w swoim „wielkim planie" król Henryk IV; niedawno poruszył tę kwestię szlachetny idealista, ks. St. Pierre. Koncepcja ta odpowiadała najgłębszym skłonnościom Stanisława, który wierzył głęboko w pokrewieństwo całego rodu ludzkiego i solidarność jego interesów. Niemniej, obserwacja realnych stosunków doprowadziła go do smutnej konkluzji, że wspólnota poszczególnych państw i narodów ustępuje na drugi plan wobec rozdzierających je wewnętrznych waśni i antagonizmów międzynarodowych. „Nie możemy sobie pochlebiać, byśmy ujrzeli kiedykolwiek ugruntowany w świecie pokój solidny i trwały. Owa republika chrześcijańska, która pragnie uczynić ze wszystkich sprzecznych interesów różnych narodów jedną wspólną sprawę i każdy z nich zamknąć w słusznych granicach, jest czystą chimerą". Zamiast układania utopijnych planów jedności politycznej świata, ugruntowanej na przesłankach moralnych a bez możliwości zapuszczenia korzeni w Europie, obrał Leszczyński drogę trudniejszą: obmyślić taką organizację porządku

międzynarodowego, ażeby pokój wieczysty opierał się na realnych czynnikach, bezpośrednio zainteresowanych w zapewnieniu jego trwania.

Czynnikiem takim była w oczach Stanisława Francja. Właśnie zakończył Ludwik XV wojnę sukcesyjną austriacką pokojem w Akwizgranie, w którym, mimo odniesionych zwycięstw, nie zagarnął żadnych zdobyczy. Fakt ten dał Stanisławowi pochop do unoszenia się nad wielkodusznością króla francuskiego, który dał światu nie spotykamy dotąd przykład bezinteresowności. Taki monarcha powołany jest do odegrania roli pacyfikatora Europy. Nie pragnie on podbojów, osiągnąwszy dla swego państwa „granice naturalne", jakie posiadała starożytna Galia. Pod jego opiekuńcze skrzydła winni się garnąć wszyscy, którym utrzymanie pokoju leży na sercu. „Odkąd Francja znajduje się w stanie pokoju, jej rzeczą jest utrzymanie go w reszcie Europy... Niechaj uczyni ona swym obowiązkiem utrzymanie praw koron, utwierdzenie spokojności narodów; niechaj stanie się podporą słusznych pretensji a nieprzyjaciółką wszelkich uzurpacji. W ten sposób zagwarantuje ona pokój powszechny, a wyrzekając się chęci panowania, bardziej będzie panować, aniżeli to było dotąd". Około królestwa francuskiego winna się utworzyć liga państw, pragnących utrzymania istniejącego stanu rzeczy. Jako uczestników tej „ligi pokoju" wymienia Stanisław w pierwszym rzędzie republiki, które z natury rzeczy nie są skłonne do szukania chwały w zdobyczach orężnych. Do państw republikańskich zalicza, obok Holandii, Szwajcarii, miast włoskich, również monarchie o rządzie umiarkowanym, jak Anglia, Polska, Szwecja. Państwa te winny zawrzeć wzajemny pakt wieczystego przymierza w celu utrzymania swych posiadłości i zażywania przysługujących im przywilejów. Jeżeli jednak wybuchną w Europie zarzewia waśni, rzeczą ligi pokoju będzie najpierw ofiarować zwaśnionym stronom mediację i dobre usługi, gdy zaś to nie odniesie skutku, pośpieszyć z pomocą stronie napadniętej a niezdolnej do stawienia skutecznego oporu.

Memoriał Leszczyńskiego o utwierdzeniu wieczystego po-

koju najlepiej odzwierciadla zasadnicze cechy umysłowości politycznej autora. Dominującym jej rysem — szczęśliwa równowaga pomiędzy teorią a praktyką, marzycielstwem a zmysłem rzeczywistości. Wrodzona Stanisławowi żywa wyobraźnia i bogata uczuciowość w połączeniu z zamiłowaniem do filozofii i literatury, predysponowały go na utopistę politycznego w dużym stylu. Nie darmo jednak tułacz królewski od wczesnej młodości znajdował się w ośrodkach czynnej polityki, w bolesnych nieraz doświadczeniach poznawał na wylot prawdziwe motywy ludzkiego działania i istotne czynniki, kierujące biegiem wypadków. Praktyczny polityk kładł tamę nazbyt śmiałym zapędom myśliciela, sprowadzając jego rojenia na twardą epokę rzeczywistości. Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że „Rozmowa Europejczyka z wyspiarzem z królestwa Dumocali", mimo zewnętrznych akcesoriów, nie jest właściwie utopijnym obrazem doskonałego państwa, a konkretnym programem zreformowania współczesnej Francji w duchu sfer umiarkowanych. Znając śmiały polot Leszczyńskiego w kwestii poddaństwa chłopów, możemy przypuszczać, że życzył sobie w duszy radykalniejszych reform, aniżeli opieka nad rolnictwem, „spichrze obfitości", prawidłowszy rozkład i bardziej oględne ściąganie podatków, równowaga budżetu, reforma sądownictwa i administracji. Oględność praktycznego męża stanu kazała mu świadomie ograniczyć się do najbardziej prymitywnych postulatów, których wykonanie usunąć mogło niektóre przynajmniej zastarzałe bolączki i powstrzymać monarchię Ludwików na drodze do wstrząsu rewolucyjnego. Podobnie rzecz się miała z projektem ustanowienia wieczystego pokoju. Nic nie odpowiadało bardziej upodobaniom Stanisława, jak owa republika chrześcijańska, w której on, obywatel świata, z tylu związany krajami, czułby się jak w domu. Znów jednak zmysł rzeczywistości podsunął mu rozwiązanie mniej olśniewające, bardziej za to dostosowane do istniejących warunków: obronną ligę państw, zainteresowanych w utrzymaniu pokoju, pod przewodem Francji, która w tej roli znaleźć miała zaspokojenie swej ambicji mocarstwowej. Jeżeli ks. St. Pierre ze swoim pomysłem republiki chrze-

ścijańskiej wyprzedził Paneuropę, to w Leszczyńskim słusznie dopatrywać się można jednego z ojców duchowych Ligi Narodów.

To harmonijne zespolenie głębokich koncepcji społeczno-politycznych z odczuwaniem realnych warunków współczesności, zmysł do teoretycznego rozstrzygania najdonioślejszych zagadnień w połączeniu z bogatym doświadczeniem, które uderzają w traktowaniu zagadnień współczesnej Francji oraz pokoju wieczystego, w wyższym jeszcze stopniu odnajdziemy na kartach traktatu, dzięki któremu zdobył Stanisław niezatarte nazwisko w dziejach dążeń odrodzeńczych jego polskiej ojczyzny.

IX

REFORMATOR

Główne dzieło życia Leszczyńskiego, „Głos wolny wolność ubezpieczający", w które włożył on dojrzały owoc swych rozmyślań nad sposobami ratowania Rzpltej, przechodziło osobliwsze koleje losu. Układał je królewski autor w najbardziej może burzliwej dobie swego urozmaiconego życia, kiedy pod murami Gdańska grzmiały rosyjskie działa, kiedy na wygnaniu królewieckim starał się kierować losami Rzpltej, kiedy wreszcie z krwawiącym sercem dokonywał likwidacji swojej wtórnej królewskości. Główny zrąb traktatu przywiózł do Francji, ostateczną redakcję nadał mu w początkach pobytu w Lunéville'u, by następnie na lat kilkanaście ukryć go przed oczyma współczesnych. Pierwsza edycja „Głosu", nosząca na karcie tytułowej rok 1733, datę powtórnej elekcji Stanisława na tron polski, naprawdę ukazała się spod prasy dopiero w szesnaście lat później. Jakie motywy skłaniały autora do tak długiego zwlekania z udostępnieniem rodakom rezultatów swych rozmyślań? Może licząc się z rychłym powrotem na tron nie chciał narażać sobie opinii konserwatywnych mas szlacheckich śmiałym polotem swej myśli reformatorskiej? Równie niezbadane są motywy, które skłoniły Stanisława do wydostania na światło dzienne swego dziecięcia duchowego właśnie w roku 1749. Tretiak przypuszcza, że wpłynęło na to ukazanie się dzieła Monteskiusza „O duchu praw", które jaskrawym obrazem polskiej anarchii wstrząsnęło sumieniem Leszczyńskiego i kazało mu co rychlej uderzyć na trwogę. Domysł zasłużonego

badacza literatury można uzupełnić momentami, związanymi z ówczesną sytuacją polityczną. Rok 1748 ujrzał nie tylko ukazanie się słynnego traktatu myśliciela francuskiego, lecz również zawarcie pokoju akwizgrańskiego, który przynosząc Europie powszechną pacyfikację, rozwiał widoki restytucji Stanisława na tron Rzpltej.

Równocześnie ulegał w ostatnich latach wyraźnemu przeobrażeniu stanu umysłów i serc narodu szlacheckiego. W okresie bezkrólewia był on na ogół pogrążony w kwietyzmie umysłowym, niechętnie słuchając krytyki istniejących stosunków i wezwań do ich przeobrażenia. Na wstępie swego dzieła zastrzega się Leszczyński wobec niebezpieczeństw, czyhających na autora, ośmielającego się krytykować ustrój Rzpltej. „Wiem, że księga *correctionis status* jest *inter libros prohibitos*; nie godzi się w tej materii mówić, jak z Turczynem o Alkoranie". Od tego czasu zarysował się stanowczy zwrot na lepsze. Klęski publiczne rozbudziły najświatlejsze w narodzie umysły z odrętwienia. Coraz częściej odzywały się głosy, domagające się naprawy. Brat wielkiego reformatora, Michał Konarski, wytykał na sejmie 1738 r. słabość Rzpltej wobec potencji ościennych, bezbronność jej granic, bezkarne zrywanie sejmów i sejmików. Stanisław Poniatowski, ukrywszy się pod maską prostego ziemianina, w wydanym przed sejmem 1744 roku „Liście do pewnego przyjaciela z innego województwa", roztoczył szeroko zakrojony obraz reform wojska, skarbu, sejmowania, stosunków kościelnych i miejskich. Śmiałością pomysłów zakasował go główny umysł reformatorski obozu przeciwnego, Antoni Potocki, który wyprzedził sejm czteroletni żądaniem udziału mieszczan w sejmie i rządzie. Z gruntownie przemyślanym programem reform ekonomicznych wystąpił światły Andrzej Stanisław Załuski. Wtórował mu domaganiem się aukcji wojska zacny biskup przemyski, Wacław Sierakowski. Żądania te znajdowały posłuch w szerszych warstwach społeczeństwa, któremu widok bezsilności i poniżenia Rzpltej otworzył na koniec oczy na potrzebę pewnych reform. Posłowie pruscy, Wallenrodt i Hoffmann, w trakcie sejmu 1744 r. z rozpaczą donosili swemu

pryncypałowi, że wśród zgromadzonych posłów „panuje wciąż ten sam zapał i skłonność do powiększenia armii... i nie widzimy sposobu przeciwstawienia się temu powszechnemu pragnieniu narodu". Odgłosy tych wystąpień i nastrojów przenikały niewątpliwie do Lunéville'u. Stanisław wyczuwał, że naród budzi się z długoletniego letargu i raźniejszym sercem stawał przed nim z programem przebudowy Rzpltej.

Aczkolwiek w chwili ukazania się „Głosu wolnego" istniało już sporo wypowiedzi w sprawie naprawy Rzpltej, lata zaś następne miały dorzucić do ich liczby tak szacowne nabytki, jak głos wojewody płockiego Mikołaja Podoskiego na sejmie 1752 roku, gruntowny traktat wojewody poznańskiego Stefana Garczyńskiego o „Anatomii Rzpltej", pierwsze zarysy reformatorskie Konarskiego, na razie do użytku jego wychowanków w Collegium Nobilium, dzieło króla Stanisława robi na tle epoki wrażenie zjawiska niemal olśniewającego. Wypływa to nie tylko z wszechstronności programu, gruntowności przemyśleń, bogatego zasobu obserwacji autora. Co przede wszystkim uderza u Leszczyńskiego, to skojarzenie wnikliwej inteligencji badawczej z gorącym porywem uczucia patriotycznego. Pisał je nie tylko doświadczony statysta, znawca urządzeń europejskich, ale miłośnik ojczyzny, który sprawy jej przeżywał gorącym sercem, intuicją szczerego Polaka starał się przeniknąć do najgłębszych pokładów duszy narodowej, wyrwać z głębin życia zbiorowego istotę zła, drążącego organizm Rzpltej. Jak Modrzewski, Skarga, Konarski, Staszic, jest Leszczyński reformatorem nie tylko ustroju, ale umysłów i charakterów. Z kart jego traktatu przemawia uczucie niepokoju, w jakie wprawiał najmędrszych w ówczesnym pokoleniu widok bezsiły potężnego niegdyś mocarstwa na tysięczne wystawionego teraz niebezpieczeństwa, namiętne pragnienie przeobrażenia struktury duchowej szlachcica doby saskiej, by spojrzał on na świat innymi oczyma, przeobraził do gruntu swój stosunek do państwa. W przejmujących słowach malował katastrofalny stan, w jakim znalazła się ojczyzna: „Każdy *in particulari* przyznaje, że ta wyśmienita Rzeczy Pospolitej naszej fabryka *mole propria ruit*...

że ratunku potrzebuje, owszem, że bez cudu długo *subsistere* nie może... Pytam się, co za bezpieczeństwo ścian naszych? Wrota zewsząd otwarte, nieprzyjaciel wchodzi po wnętrznościach ojczyzny, grasuje, po kraju się rozpościera, kontrybucje nakłada, pali, w niewolę zabiera... Jako może królestwo *subsistere* bez sprawiedliwości w sądach; bez zgody w radach; *sine disciplina militari* w wojskach; bez pieniędzy w skarbie i bez żadnego porządku *in politie*". Ponurej rzeczywistości przeciwstawia autor obraz sił i zasobów, jakimi rozporządza jego ojczyzna, a jakie mogłyby jej zapewnić poczesne stanowisko w gronie innych państw. „Mamy państwo obszerne, żyzność obfitą krajów, przykłady przodków naszych, prawa domowe, zwyczaje obcych narodów... nade wszystko zaś wolność, przy której, jako możemy, co chcemy, tak chciejmy tylko, co nam najpożyteczniejszego". Trzeba przeto sięgnąć do głębi charakteru narodowego, wyplenić zeń szkodliwe naleciałości, zastąpić obłęd pojęć zdrowymi zasadami patriotycznymi, a odrodzony naród szlachecki z łatwością udźwignie na swych barkach zaszczytne brzemię bronienia ojczyzny na zewnątrz a zapewnienia jej siły, pomyślności i dobrobytu na wewnątrz.

Dla zrozumienia wskazań Leszczyńskiego należy w największym chociaż skrócie uprzytomnić sobie, jak przedstawiała się umysłowość przeciętnego obywatela doby saskiej. Cechowała ją w pierwszym rzędzie gruntowna ignorancja. Upadek szkolnictwa i oświaty, przerwanie związków kulturalnych z zagranicą, poczyniły w świetnej niegdyś umysłowości polskiej doby Jagiellonów i Wazów przerażające spustoszenia. Z zepsutą łaciną, bezużytecznym balastem pseudoerudycji klasycznej, zaprawą do barokowej wymowy i napuszonej epistolografii opuszczał młody szlachcic szkołę jezuicką, by od razu sięgać po odpowiedzialne stanowiska w służbie publicznej. Na podłożu nieznajomości zarówno własnego kraju, jak zagranicy, krzewiły się pojęcia polityczno-społeczne, które zwłaszcza na tle ówczesnych państw europejskich, oświeconych, uzbrojonych, uprawiających skrzętną gospodarkę na wewnątrz a czynną politykę na zewnątrz, stanowiły

ponury anachronizm. Na sejmie niemym 1717 roku, który zakończył walkę między Augustem Mocnym a konfederacją tarnogrodzką, zapadła zabójcza uchwała o zredukowaniu sił zbrojnych do marnej cyfry 24,000 żołnierzy. Wśród układających fatalne postanowienie znaleźli się śmiałkowie, którzy uważali, że wielkiemu państwu, zewsząd otoczonemu niebezpieczeństwami, godziłaby się mocniejsza obrona. Biskup kujawski, Szaniawski, uważany za najmędrszego statystę swego pokolenia, rozproszył te wątpliwości wywodząc, „że są niektóre potencje, które prawie żadnego wojska prócz garnizonów nie mają, które by w pole wyprowadzić mogli, i siedzą tylko cicho, w kraju swym porządek robią, *commerciis* one bogacą, a *ex belligerantibus* śmieją się, i gdy *tandem belligerantes*, natraciwszy ludzi, kraj zrujnowawszy, *fessi bello* przychodzą do traktatu, bywa często, że owi *pacifisti* stawają się *superarbitri differetiarum* tamtych, z wielkim swoim pożytkiem; dlatego i nam, gdy koniunktury pozwolą, *expedit* wziąć ten model dla wytchnienia". Gdy dwór królewski wysunął rozsądne żądanie, ażeby wyznaczyć stałą płacę dla wojska, zamiast dorywczych dochodów, którymi rozporządzały sejmiki po województwach, zelanci złotej wolności replikowali, że „wojsko regularne, mając *certitudinem* płacy, nie będzie dbało o wolność i będzie bardziej *contra libertatem*, niż *pro*".

Podobny chaos pojęć panował w dziedzinie polityki zagranicznej. Potężny wpływ na umysłowość szlachecką doby saskiej wywarł statysta siedemnastowieczny, Andrzej Maksymilian Fredro, który razem ze wstrętem do stałej armii i fortec zalecał zachowanie neutralności wśród szalejących dokoła wojen i odrzucał zarówno system przymierzy, jak stałego przedstawicielstwa dyplomatycznego przy obcych dworach, jako nie odpowiadających godności wolnego narodu. Wśród zmieniającej się ustawicznie karty Europy, gdy waliły się tradycyjne potęgi, w ich zaś miejsce powstawały nowe, groźne dla całości i niepodległości Rzpltej, szlachcic polski miał jedno niezmienne pragnienie: wytrwać w neutralności, w przeświadczeniu, że ojczyźnie jego nie grozi niebezpieczeństwo, bo wzajemna rywalizacja sąsiadów nie do-

puści do jej okrojenia. Podobna bierność i odsuwanie na bok najbardziej palących zagadnień publicznych, stały się rysem dominującym psychiki szlacheckiej w wewnętrznym życiu państwa Zwłaszcza epoka drugiego Sasa wśród niezamąconego pokoju i względnego dobrobytu wyhodowała zabójczy kwietyzm, w którym marniały resztki energii duchowej pokolenia. „Dobre czasy, pokój ciągły, obfitość wszystkiego, całą myśl obywatela rozrywkami i uciechami zajmowały; ile gdy zrywane raz wraz sejmy nikogo nie wabiły do zatrudnienia się około dobra publicznego"— z niezrównaną dobrodusznością, w całkowitej niewiedzy złowrogiego sensu własnych słów stwierdzał głośny pisarz epoki, Jędrzej Kitowicz. Owo zrywanie ustawiczne sejmów, dalekie od wstrząśnięcia sumieniem ogółu, uchodziło za dowód niesłabnącej trwałości ustroju wolnościowego. Pisarzem XVII wieku, który obok Fredry najsilniejszy wywarł wpływ na kształtowanie się pojęć epoki saskiej, był jezuita Walerian Pęski. Ze słynnego traktatu jego pióra „*Domina Paiatii Regina Libertas*", współcześni przeoczyli ustępy, nacechowane szczerą troską o losy Rzpltej, upajali się, natomiast apologią złotej wolności, kulminującej w prawie wolnej elekcji i zrywania zgromadzeń publicznych. Nie tail autor, że liberum veto staje się niekiedy przyczyną wielu uciążliwości, tak że pewien cudzoziemiec nazwał je czyśćcem Polski. „Atoli już to próżno, wolimy, lubo przykry nam bardzo i szkodliwy po części, ten czyściec swobody ponosić, aniżeli z drugimi do piekła despotycznej niewoli dostać się". Jeżeli czyjeś sumienie zadrgało na widok klęsk, wynikających z obracania wniwecz zgromadzeń sejmowych, śpieszył szukać pokrzepienia na kartach uczonego traktatu jezuickiego, którego autor wywodził: „I tać to prowidencja opieki Boskiej sprawuje, że ustawicznie się walemy, a przecie jaśniejemy, ustawicznie giniemy, a przecie żyjemy... Tym nierządem naszym tak dobrze stoimy, jak drudzy najsubtelniejszymi około rządów dystylacjami".

Podobna zaśniedziałość pojęć panoszyła się w dziedzinie społeczno-gospodarczej. Jeden ze stronników Stanisława, Jerzy Dzieduszycki, który próbował reformować polskie bezkrólewia,

GŁOS WOLNY
WOLNOŚĆ
UBESPIECZAIĄCY.



ROKU PANSKIEGO
M. DCC. XXXIII.

Val Stroynowski

KARTA TYTUŁOWA TRAKTATU LESZCZYŃSKIEGO

w dziełku, poświęconym hodowli stadniny, wypisał następującą sentencję: „Z chłopem polskim łaskawością nic nie wskórasz... kij u niego — podarunek, postronek — kompliment, kajdany — ceremonia, więzienie — konfidencja". Najczęściej powtarzającym się punktem w instrukcjach poselskich jest skarga na zbiegostwo chłopów i żądanie zaostrzenia w tej sprawie norm prawnych. Miasta i stan trzeci stanowiły przede wszystkim przedmiot pogardy, zarazem zawiści. Zazdrośnie przestrzegano, ażeby „miejscy synkowie" nie sięgali po zawarowane dobrze urodzonym stanowiska w służbie wojskowej czy po urzędach. Dziwnie pomału torowała sobie drogę świadomość, że dobrobyt kraju wymaga ustanowienia rzemiosł, opieki nad handlem, reformy stosunków miejskich. Na sejmie 1749 znalazł się poseł bracławski Przyłuski, który całkiem poważnie sprzeciwiał się otworzeniu kopalń olkuskich i biciu monety, gdyż Polska i tak ma opinię kraju, płynącego mlekiem i miodem, „więc, gdy otworzymy kruszce i bić będziemy monetę, tedy... mógłby nas kto *in absolutum* pod siebie podbić *dominium*".

Wśród takiej gąszczy niewiedzy, przesądów, wypaczonych pojęć, znalazł się światły, nawskroś przeniknięty zachodem król-wygnaniec. Znał do głębi psychikę swego narodu, przywiązanego ślepo do republikańskich urządzeń, które uważał za najdoskonalsze w świecie, zazdrosnego o wolność, w równej mierze wrażliwego na pochlebstwa, jak nie znoszącego krytyki. Przykładanie siekiery do samego korzenia zła groziło wywołaniem najgwałtowniejszej reakcji przeciw zamierzonym innowacjom. Nie pozostawało Stanisławowi nic innego, jak chwycić się drogi pośredniej; paląc zdawkowe kadzidło na ołtarzu panujących poglądów, równocześnie nicować najbardziej niebezpieczne przerosty, wśród rzekomych pochlebstw plenić chwasty, bujnie zarastające niwę życia publicznego. Stąd traktat Leszczyńskiego przedstawia dwoisty charakter. Powierzchowny czytelnik osądzi, że autor jego jest chwalcą staroszlacheckiego romantyzmu; uważny obserwator wyczuje na każdej niemal stronie ostrze niemiłosiernej krytyki. Posłuchajmy głębokich jego uwag na temat

charakteru narodowego warstwy, która sama jedna reprezentując Rzplitą, dźwigała wyłączną odpowiedzialność za jej losy: „W stanie naszym rycerskim wszystka sława narodu, królestwa potencja i gruntowna Rzeczy Pospolitej *consistit* konserwacja; gdyby w nim była taka aplikacja *ad exercenda talenta*, jaka jest do najlepszych talentów dyspozycja, nie miałby w świecie naród nasz sobie równego. Gdyż nie widziałem, żeby w którym pospoliciej, jako w naszym polskim były te cnoty przyrodzone: zelus wiary, pobożność, męstwo, *candor*, *generositas*, rozum, i do wszystkiego *dexteritas*“. Wyśpiewawszy pochwałę na cześć wrodzonych zalet sarmackiego plemienia, występuje z kolei autor z miażdżącą krytyką nieuctwa i indolencji szlachty, która niczego nie robi, by zdolności swe rozwinąć i wykształcić się na pożytecznych pracowników dla państwa. „I tak wyszedłszy ze szkół, rozumiemy zaraz, że to jednoż być dobrym statystą, co i retorem, jako świadczą zwyczajnie nasze mowy na zjazdach publicznych; które nic inszego nie są, tylko oracje szkolne i puerilia, więcej w nich słów, niżeli sensu... A przy tym presumpcja zbyteczna jako nas uwodzi. Wielu takich, co pierwszy raz będąc na sejmiku, a na sejmie nigdy, zostają posłami? nie bywszy na żadnym trybunale i żadnej nawet nie mając *notitiam iuris*, zostają deputatami; nie bywszy na żadnej kampanii, mają chorągwie i regimenty... Zgoła, jakoby dosyć na tym urodzić się szlachcicem, ażeby mieć bez żadnych zasług, a często *sine ulla capacitate* do nich i bez żadnej experiencji *infusam scientiam aspirandi* do wszelkich Rzeczy Pospolitej godności“.

Podobnie ma się rzecz z poglądami autora na złotą wolność. Na pozór deklaruje się Stanisław jako gorący jej miłośnik, przywiązany do elekcyjności tronu, „wolnego nie pozwalam“ i przywilejów szlacheckich. Dało to Al. Rembowskiemu pochop do stwierdzenia, że autor „Głosu wolnego“ „mimo tylokrotnego przebywania na zachodzie Europy pozostał starorepublikańskim romantykiem, który nic nie zapomniał, a niewiele się nauczył“. Innymi słowy, Rembowski chciałby, aby Stanisław oświadczył się bez ogródek za dziedzicznością tronu, zniesieniem liberum veto i ogra-

niczeniem prerogatyw stanu szlacheckiego — słowem za programem, do którego przyjęcia w całości szlachta nie dojrzała jeszcze w dobie sejmu czteroletniego. Jakiż byłby jednak w takim wypadku praktyczny sukces traktatu Leszczyńskiego? Chyba odstraszenie szlachty od wszelkich zapędów reformatorskich i pogrążenie jej w tym głębszym konserwatyzmie. Podziwiać należy właśnie zręczność, z jaką Leszczyński, pozornie pochlebiając bożyszczom złotej wolności, naprawdę bezlitośnie je smaga i nadwątla wiarę w doskonałość urządzeń republikańskich. Oto w jakich słowach maluje on zabójcze oddziaływanie przerostu złotej wolności na całokształt polskich stosunków: „Mam głos wolny, ale jeżeli go dobywać będę na zatłumienie i zagłuszenie *melius sententium*, przyjdzie do tego, że sam w nim zamilknę. Mam *immunitatem* substancji, a przy tym wszelkie bezpieczeństwo w domu; jeżeli *hanc immunitatem* całej Rzeczy Pospolitej nie obwaruje, jeżeli ją tamować będę, nie pozwalając niepomiarkowaną wolnością radzić o niej, sam się na własnych śmieciach nie osiedzę. Jestem sobie panem udzielnym nad moim poddanym, sam się tym poddanym stanę, jeżeli zwierzchności prawa nie będę posłuszny. Zgoła jako najlepsze lekarstwo *supradosim* wzięte obraca się w truciznę, tak wolność *excessiva* w niewolę". Cóż znaczą zdawkowe pochwały liberum veto, owego „zaszczytu imienia szlacheckiego", wobec wstrząsającego obrazu polskiego sejmowania, jaki wyszedł spod pióra rzekomego wielbiciela przesądów republikańskich: „Zgoła nasze rady, że tak rzekę, piekłu się równają, skąd ojczyźnie *nulla salus nec redemptio*, i gdzie tylko wieczny nierząd *et stridor dentium*. Bo sejmować u nas jest to ostrzyć sobie zęby jeden na drugiego, wszystkie bowiem zjazdy zaczynają się na wexach, na insultach, na prywatnych zawziętościach, a kończą pospolicie *tragice* na tumultach". Czyż można w bardziej dotkliwy sposób wychłostać bałwochwalczą wiarę szlachty w cudowną moc „wolnego nie pozwalam", aniżeli to czyni koronowany statysta pisząc, iż szlachcic każdy wyobraża sobie, „że straci wolność z straconą mocą rwania obrad publicznych", nie zastanawiając się, „że owszem, przez rwanie sejmów i sejmików

nikt nie jest wolnym, tylko ten, co przy tej licencji ma sobie za wolność *imperium exercere* nad drugimi". Liberum veto kryje w sobie największą tyranię, gdyż „jeden partykularny szlachcic sobie *impune* władzy *usurpat* w wolnym państwie, niż najudzielniejszy monarcha w wielowładnym państwie".

Z większą jeszcze swobodą zbija Leszczyński absurdalne teorie, wypływające z ducha Fredry, jakoby bezpieczeństwo Rzpltej opierało się na braku twierdz warownych, stałej armii oraz sojuszów z postronnymi państwami. Wytrawny mąż stanu, który w zetknięciu z takimi potęgami, jak Szwecja i Francja poznał naocznie doniosłość wojska i dyplomacji, z całą siłą uderza w naiwność dowodzeń domorosłych statystów: „Słyszałem często i gorszyłem się z tego, że w Polszcze nic po fortecach, że Polak od pola ma swoją definicję, że mu się nie trzeba między wałami zamykać. Racja tego, że nieprzyjaciel dobywszy fortecy, tak się w niej osadzi, że go potem trudno z niej rugować. Nie znają tej nieuważnej polityki obce narody, które przez fortece *provident* bezpieczeństwu granic swoich. Trzeba mieć fortece, ale przy tym trzeba mieć oraz czym ich obsadzić i czym im *succurrere*, kiedy są w oblężeniu. Słyszałem i tę nierozsądną maximę, że nie trzeba bić Polakom wstępnym bojem, tylko urywczą infestować nieprzyjaciela... Ten modum wojowania zostawmy Tatarom, Wołochom, Kozakom, a naśladujmy godniejsze w przykładach narody, fundując się *in apparatus bellicos*, tak abyśmy mogli jako oni mogli *aperto Marte* wojować... Należy i to do reperacji ścian naszych, to jest ugruntowania *securitatis exterae*, żeby mieć koligacje z postronnymi *pro tempore et opportunitate* dla uczynienia dywersji nieprzyjacielowi... Na to trzeba mieć posłów, a przynajmniej ustawicznych rezydentów u dworów cudzoziemskich, aby zawsze wiedzieć dokumentalnie, nie przez gazety, co się dzieje? co za negocjacje między postronnymi? co za koniunktury? co za kombinacja interesów? aby nie być, jak dotychczas jesteśmy, obcych narodów igrzyskiem, które często o nas bez nas, a prawie zawsze nami rządzą".

Najchlubniejszym świadectwem odwagi cywilnej Leszczyń-

skiego pozostanie ustęp, poświęcony sprawie włościańskiej. Dotyka w nim autor niewymownie tragicznej strony bytu ówczesnej Polski szlacheckiej. Do kardynalnych prerogatyw ziemianina należała pełnia władzy nad osiadłym w jego dobrach chłopem. Podług określenia Fredry szlachcic polski czuł się u siebie udzielnym władcą, dysponując w stosunku do poddanych dwoma zasadniczymi uprawnieniami: pozbawieniem ich możności opuszczenia wsi oraz jurysdykcją patrymonialną, aż do prawa miecza. Przeciw obu nadużyciom obraca się ostrze krytyki Leszczyńskiego. Dowodzi wymownie, że zarówno religia chrześcijańska, wyrażająca się w najwyższym nakazie miłości bliźniego, jak ustrój Rzpltej, nie pozwalają na to, ażeby poddany wyjęty był spod praw państwowych i uczyniony prostą własnością dziedzica. „Mało na tym, że chłopem robię, jak wolem, ale że mi go wolno przedać jako szkapę albo psa, ale co największa, bo przeciwko wyraźnemu prawu boskiemu bylem dał sto grzywien, mogę go *impune* zabić, jakoby życie ludzkie nie było *ejusdem pretii* przed P. Bogiem i równie *homicidium* tak najwyższego, jako najliższego człowieka... Czy godzi się w królestwie chrześcijańskim, tak jako w pogańskich tylko *practicatur*, chrześcijan mieć za niewolników?... Bóg przy stworzeniu człowieka dał mu wszelką wolność nad sobą. Jakimże sumieniem mogę mu ją odjąć?“.

Krytyka zasadniczych zrębów, na jakich gruntowała się Rzplta szlachecka, to jeden zasadniczy element „Głosu Wolnego“; drugim jest wypływający z niej pozytywny program naprawy. Włożył weń Stanisław gruntowną znajomość ustroju Polski i psychiki swych rodaków, bogatą tradycję kulturalną, łączącą go duchowo z najmędrszymi szermierzami naprawy Rzpltej, równocześnie zaś sumę mądrości i doświadczenia, na jaką w zakresie organizacji państwowej i społeczno-gospodarczej zdobyła się współczesna mu Europa. W namiętnych wywodach przeciw barbarzyństwu jurysdykcji patrymonialnej nie trudno dosłuchać się ech Frycza Modrzewskiego. Od bezimiennego autora wydanej w r. 1641 broszury „Rozmowa plebana z ziemianinem“, której

autorem był Łukasz Opaliński, zaczerpnął sposób naprawienia sejmów. Spośród pisarzy współczesnych niejedno ma Leszczyński do zawdzięczenia trybunowi sandomierskiemu, Stanisławowi Dunin-Karwickiemu, którego traktat „De ordinanda republica", powstały w latach 1705 — 07, nie został wprawdzie ogłoszony drukiem, ale krążył wśród szlachty w licznych odpisach. Szereg pomysłów zasadniczego nieraz znaczenia, jak przeniesienie punktu ciężkości aktu elekcyjnego spod Warszawy do poszczególnych województw, obrady sejmu w kilku izbach ministerialnych, oddanie królewszczyzn na skarb, wykluczenie pewnych kategorii szlachty od udziału w sejmowaniu — wszystko to zdradza niewątpliwy wpływ Karwickiego. Od anonimowego autora traktatu „Wolność polska rozmową Polaka z Francuzem roztrząśniona" (1732), której autorem był prawdopodobnie biskup krakowski, Jan Lipski, zapożyczył Stanisław argument, że liberum veto jest w gruncie rzeczy nie ochroną wolności, ale najcięższą niewolą, skoro jeden poseł jest w stanie zamknąć usta całej Rzpltej.

Spośród pisarzy obcych niezaprzeczony wpływ wywarł na Stanisława mądry i szlachetny wojownik i statysta doby Ludwika XIV, marszałek Vauban, który wsławiwszy się szeregiem wielkich czynów marsowych, pod koniec rządów Króla-Słońca, wystąpił z krytyką panujących stosunków i projektami reform. Z traktatu jego *Projet d'une dime royale* przejął Stanisław nie tylko myśl ustanowienia podatku dziesiętnego. Cały ustęp, uzasadniający produktywne znaczenie warstwy włościańskiej, świadczy o przejęciu się duchem Vaubana. Widać również, jak żywo interesował się myśliciel polski głośnym wówczas we Francji sporem pomiędzy „starożytnikami" a „nowożytnymi", skoro zaczerpnięte zeń wywody posłużyły mu jako broń przeciw wrogim wszelkiej myśli o reformie, ślepym chwalcom przeszłości. „Jest to rzecz dziwna — dowodzi — co za starych zwyczajów u nas ta *religiose* obserwacja, bo jeżeli brzydzimy się *novitatibus* dlatego, że *in tanta veneratione* mamy *antiquitates*, toć świat teraźniejszy bardziej konsiderować należy, bo im dalej, tym star-

szy i tym daleko większej we wszystkim experiencji nabywa, niż tę, którą miał przy młodszych i dawniejszych wiekach".

W wyższym jeszcze stopniu, aniżeli piśmiennictwo zachodu, oddziałała na umysłowość Leszczyńskiego obserwacja panujących za granicą stosunków. Sam Stanisław cytuje niejednokrotnie kraje, z których zaczerpnął wzory do naśladowania. Szwecja, Anglia, Holandia i Szwajcaria są dlań przykładem krajów, w których plebejusze nie tylko nie są otaczani pogardą, ale uczestniczą w ciałach prawodawczych. Stosunki, panujące na Śląsku i w Prusiech nauczyły go, jak zbawienny wpływ wywiera lepsze położenie prawne chłopa na intensywność gospodarki. Silne wrażenie wywarła na poglądy Leszczyńskiego Francja. Jeżeli w liście do delfina i w traktacie utopijnym podkreślił przede wszystkim ciemne strony monarchii Ludwików, to w „Głosie wolnym" zaleca rodakom dodatnie urządzenia, z którymi zetknął się na ziemi francuskiej: obsadzanie trybunałów sędziami dożywotnimi i biegłymi w prawie, regulowanie importu i eksportu przy pomocy polityki celnej, udzielanie kredytu miastom, wprowadzenie monopolu celnego, wznoszenie twierdz, zakładanie szkół oficerskich i artyleryjskich oraz szpitali wojskowych. Pomysł wprowadzenia izb ministerialnych wywodzi się zapewne z departamentów pruskich oraz urządzeń francuskich, jakie zalecał ks. St. Pierre, a usiłował wprowadzić w życie ks. Filip Orleański.

Program reformatorski Leszczyńskiego uderza szerokością widnokręgów i uwzględnieniem wszystkich zasadniczych elementów, z których składała się ówczesna Rzplta. Omawia autor władzę królewską i sposób obsadzania tronu, sejmowanie oraz władzę wykonawczą, sądownictwo, dyplomację, skarb i wojsko, politykę zagraniczną, stosunki gospodarcze, opiekę nad miastami i handlem, reformę duchowieństwa oraz naprawę stosunków włościańskich. Najwięcej ustępstw na rzecz zakorzenionych w społeczności szlacheckiej przesądów zawiera niewątpliwie rozdział, poświęcony władzy królewskiej. Chwilami trudno w nim odnaleźć Dobroczynnego Filozofa, który w swych pismach francuskich zalecał ustrój monarchiczny jako najdoskonalszą formę rządzenia.

Staje tu Leszczyński na gruncie obowiązującej wśród szlachty teorii, że pomiędzy wolnością a majestatem toczy się naturalna walka, w której interes Rzpltej wymaga skrępowania królowi rąk, ażeby nie stał się tyranem. „Takiego tedy nam trzeba, żebyśmy go w ręku i mocy naszej zawsze mieli. ...Niechaj będzie panem wolnego narodu, ale tą niezbitą kondicją, żeby się oraz stał ojcem nie tyranem swych poddanych". W celu ograniczenia niebezpiecznej dla narodu władzy monarszej proponuje Stanisław szereg innowacji. Królowi odejmie się najważniejszą z jego prerogatyw, jaką jest rozdawnictwo urzędów i królewszczyzn i przeleje się ją na reprezentację szlachecką: senatorów obierać będą województwa, ministrów sejm. Co więcej, ekonomię królewskie przejdą pod zarząd skarbu, panującemu zaś wyznaczy się listę cywilną. Królowi nie będzie wolno o niczym stanowić samodzielnie, ale w otoczeniu rad ministerialnych, złożonych z przedstawicieli senatu i izby poselskiej. Że zaś w myśl planów Stanisława, sejm ma się zbierać nie na okres sześciotygodniowy w odstępach dwuletnich, ale na kadencję sześciomiesięczną, tedy kontrola parlamentarna zostanie niesłychanie wzmocniona.

Może się słusznie wydawać, że przy takim systemie władza królewska zostanie istotnie sprowadzona do stanu nicości. A jednakowoż głębsza analiza traktatu Leszczyńskiego wykazuje, że wśród zdradliwych ograniczeń praw majestatu potrafił on zręcznie przemycić niejedną cenną ich atrybucję. Przede wszystkim odbiera królowi rozdawnictwo jedynie godności senatorskich: zarówno urzędy duchowne jak wojskowe pozostają nadal w jego ręku. Następnie rezerwuje dla króla znaczny wpływ na obsadzanie stanowisk senatorskich: do niego należeć będzie przedstawianie województwom po czterech kandydatów, spośród których obierają one senatorów, przy wyborze zaś ministrów w sejmie królowi przysługuje dziesięć kresek. Wreszcie w dziedzinie władzy wykonawczej pozostaje królowi wyłączne kierownictwo polityką zagraniczną, jak również głos decydujący w rozstrzyganiu spraw bieżących, gdy przydanym mu do boku radom ministerialnym przysługuje tylko głos doradczy. Należy wreszcie dodać, że

sympatie autora dla oświeconej monarchii znajdują odbicie również na kartach „Głosu Wolnego". Wśród tylu szablonowych uniesień nad złotą wolnością jak dziwnie brzmi następujący zwrot: „Rzecze jeszcze kto, że szabla polska rozprzestrzeniała granice. Prawda, ale to w ten czas było, kiedy monarchowie nasi wielowładnie panowali, nim się wyzuli ze wszystkiej mocy. Ale jak wolność złączona z nierządem poczęła iść w górę, tak potencja królestwa naszego na dół". W tym szczerym stwierdzeniu ujemnego wpływu osłabienia władzy królewskiej na losy Rzpltej zawarła się niewątpliwie prawdziwa intencja autora.

Podobnym tańcem wśród mieczy są wypowiedzi Stanisława na temat elekcji królów oraz „wolnego nie pozwalam". Zwolennik dziedzicznej i konstytucyjnej monarchii, który marzył o przekazaniu tronu swej wnuczce, poślubionej królewiczowi pruskiemu, najchętniej zaleciłby rodakom taki właśnie sposób unormowania sprawy następstwa tronu, podobnie, jak druzgocące jego wywody na temat szkodliwości zrywania sejmów świadczą dostatecznie, jak bardzo bolał Stanisław nad absurdem jednomyślności. Konieczność szukania kompromisu z opinią publiczną podyktowała w obu razach rozwiązanie połowiczne. Zasadniczo utrzymuje Leszczyński elekcyjność tronu, atoli główną rolę przyznaje tu sejmikom, które ustalają kandydatów i wysyłają w podwójnej liczbie posłów na sejm elekcyjny, ten zaś dokonuje wyboru spośród czterech, którzy otrzymali po województwach największa liczbę głosów. Elektem może być tylko rodak; cudzoziemcom raz na zawsze zamyka się drogę do tronu, przez to zaś odbiera możność korupcji, wichrzeń i gwałtów w Rzpltej. „Jeżeli ją kiedy fatalny koniec czeka — przepowiada Leszczyński — to *a modo impracticabili* obierania królów swoich, przez który podaje się w oczywiste niebezpieczeństwo, otwierając wrota i ścieląc drogę przeciwko wszelkiej rozsądnej polityce, *ad omnis generis stratagemata*, tak że *tandem* przez nie wolność i ojczyzna nie będą mogły ujść pewnego szwanku".

Jeszcze pomysłowiej radzi sobie autor z liberum veto. Niby pozostaje ono nadal w skarbnicy szlacheckich przywilejów, na-

prawdę jego moc zabójcza ulega całkowitemu niemal spętaniu, skoro na sejmikach decydować się ma większością głosów, na sejmie zaś wolnym sprzeciw poselski może usunąć z porządku dziennego daną materię, nie doprowadzając jednak ani do unieważnienia już powziętych uchwał, ani do tamowania obrad, ani tym mniej do obrócenia wniwecz całego zgromadzenia stanów. Przeciw takiemu nadużywaniu wolnego głosu, powstaje Leszczyński z całą stanowczością, „Pytam się, co może *dari* za *casus pretext*, albo jakakolwiek *species* dobra pospolitego, w zerwaniu sejmu?“ Chyba nieprawdopodobne przypuszczenie, że cała Rzplta sprzysięgła się na własną zgubę, a jeden patriotyczny poseł chce ją ocalić. Czyż jednak codzienne doświadczenie nie uczy, że zachodzi raczej przeciwna ewentualność, „że gdy cała Rzecz Pospolita *concurrit* do ratunku swego, jeden *malevolus* prędzej się znaleźć może, który jej wszelką broń odejmuje“. W rezultacie liberum veto wychodzi z dzieła Leszczyńskiego nie tylko okrojone w praktyce, ale, co niemniej ważne, unicestwione moralnie w opinii myślących obywateli.

W innych materiach wypowiada się Stanisław z dużo większą swobodą, nie musząc liczyć się tak dalece z drażliwością opinii publicznej. Za kardynalne braki ustroju państwowego Rzpltej uważa krótki okres obradowania sejmu, który w sześciu niedzielach nie jest w stanie uporać się z nawałem spraw, oraz wadliwą organizację władzy wykonawczej. Pierwszemu złu pragnie zaradzić, ustalając kadencję parlamentarną na pół roku, od października do marca, w ciągu którego to czasu obrady toczyć się muszą bez przerwy, niezależnie od ewentualnych protestacji. Reforma administracji państwowej, jaką zamierzał Stanisław przeprowadzić, odznacza się gruntownym przemyśleniem zarówno ogólnego zarysu, jak poszczególnych zagadnień. Z własnych doświadczeń wiedział dwukrotny król, jakim nieszczęściem są dla Rzpltej wszechwładni ministrowie, mianowani dożywotnio, przez nikogo nie krępowani, potęgą swą wyrastający niejednokrotnie ponad majestat. Proponuje przeto obierać ich na sejmie na okres lat sześciu i skrępować ich arbitralność dodaniem wspomnianych

rad ministerialnych, w skład których wejdą senatorowie i posłowie. Nie kontrolowani dotąd przez nikogo kanclerze, marszałkowie, podskarbiowie i hetmani staną się przewodniczącymi czterech kolegiów: sprawiedliwości, policji, skarbu i wojska, które obradując w permanencji, stanowić będą rząd centralny. Równocześnie senator każdego województwa w otoczeniu jego posłów, wróciwszy po sejmie do domowych pieleszy, zamiast oczekiwać bezczynnie zwołania następnej sesji, ukonstytuują się jako rada wojewódzka, której obowiązkiem jest dopilnowanie wykonania uchwał, powziętych na sejmie. W ten sposób rozwiązany zostanie problem zorganizowania administracji lokalnej i nadania zarządowi państwem ciągłości i egzekutywy. Nie zapomina również Leszczyński o naprawie trzeciej dziedziny życia państwowego, jaką jest sądownictwo. Bystry jego wzrok przeniknął kardynalne wady polskiej judykatury: najwyższe sądy, czyli trybunały, obsadzane były sędziami z corocznego wyboru szlachty, bez kwalifikacji zawodowej, niejednokrotnie ludźmi, oderwanymi wprost od pługa lub szabli. Proponuje więc reformator, by sędziowie trybunalscy byli dożywotni, należycie ćwiczeni w prawie, dla zapewnienia im całkowitej niezależności szczodrze uposażeni. Ostateczne zatwierdzenie wyroków pragnie przyznać izbie pieczętarskiej, obradującej pod przewodnictwem kanclerza.

Ze szczerą satysfakcją czyta się karty dzieła, poświęcone reformie wojskowej. Bardziej może niż ktokolwiek zdawał sobie sprawę z fatalnych następstw bezbronności Rzpltej dwukrotny wygnaniec królewski, którego tron, nie podparty zbrojnym ramieniem, znajdował się ustawicznie na łasce obcej przemocy. „Pytam się naprzód, co za obrona być może podczas wojny z tak miernego wojska naszego komputu, i co za proporcja *inter insufficientiam* sił naszych a rozciągłością tak wielką królestwa... Nie masz bowiem tak mizernego mieszkańca, żeby swojej chaty nie ogrodził, nie masz nawet takiego stworzenia, żeby mu natura czego nie dała do obrony. Nasza tylko tak jest nieszczęśliwa ojczyzna, że lubo jest *continua meta ad sagittam*, nie ma ani fortec na granicach, ani wojska dostatecznego w polu“. Nie brak

takich, co twierdzą, że niepotrzebna jest armia, bo sąsiedzi gotowi pośpieszyć z pomocą. Co tymczasem okazała wojna północna? „Tyleśmy mieli opiekunów, ile było wojujących między sobą narodów; żaden się nie deklarował nieprzyjacielem ojczyzny. Dlaczego ją każdy przyszedł bronić, jeżeli nie dlatego, że sama przez się żadnemu z nich obronić się nie mogła". Inni, ufając męstwu wrodzonemu narodu, nie uważają za konieczne zawczasu przygotować obrony przed najazdem przeciwnika. „I tak według naszego zwyczaju dopiero wojska zaciągamy, kiedyśmy prawie zawojowani, a dopiero na nowe zaciągi podatki składamy, kiedy je nieprzyjaciel miasto poborcy wybiera". Jedynym ratunkiem dla Polski może być tylko wyćwiczona armia, zaopatrzona we wszystkie urządzenia, którym napatrzył się Stanisław we Francji. Siła jej winna wynosić sto tysięcy żołnierza, z czego połowa w czasie pokoju może być na urlopie, druga połowa stale pod bronią. „Nasza maxyma powinna być nie pragnąć cudzego, ale bronić dobrze tego, czegośmy jeszcze przez nasz nierząd nie stracili".

Z aukcją wojska łączyła się sprawa wynalezienia nowych źródeł podatkowych na jego utrzymanie. Pod piórem Leszczyńskiego rozrasta się ona, podobnie jak u wielu naszych statystów XVIII wieku, w ogólny problem gospodarki narodowej. Nie wystarczy nałożyć podatki — trzeba również otworzyć nowe źródła bogactw. System ekonomiczny Leszczyńskiego nie przedstawia jednolitego obrazu. Wycisnęły na nim piętna wszystkie niemal kierunki życia i myśli gospodarczej, z jakimi zetknął się za granicą. Zapytując o przyczynę bogactwa różnych krajów, wyjaśnia, że pochodzą one „nie z obszerności kraju, nie z licznego narodu, ale z dobrej administracji i skarbu publicznego, stąd, że *commercia et industria* obywatelów *producit* cyrkulacją pieniędzy, tak potrzebną *ad prosperitatem cuiuslibet status*, jako krwi cyrkulacja w ciele do życia ludzkiego". Bez trudu rozpoznać można w tych słowach wpływ merkantylizmu z jego podkreśleniem znaczenia planowej gospodarki, przemysłu i handlu dla pomnożenia ilości pieniądza. Z ducha Colberta wypłynął niewątpliwie szeroko zakrojony program dźwignięcia z upadku miast przez udzie-

lanie im obfitych pożyczek ze skarbu Rzpltej, jak również położenie nacisku na handel i kupiectwo. Za jeden z głównych braków ustroju Rzpltej uważa autor fakt, że „*commerciorum nullus usus* ani *notitia*, i stąd *egestas* uniwersalna i kraju desolacja, na którego większą osiadłość, a z niej większą obfitość i dostatek arcypotrzebna maxyma, aby handle rozmaite wprowadzić a handlującym skuteczną obwarować protekcję". Nie obce były również Stanisławowi teorie niemieckich kameralistów, w myśl których głównym czynnikiem potęgi państwa była gęsta ludność, co zaś za tym idzie — obfite podatki i liczne wojsko. Na pierwszym wszelako planie stoi u autora rolnictwo, jako najgłówniejsze źródło bogactwa narodowego w ogóle, pomyślności zaś gospodarczej Polski w szczególności.

Byłoby rzeczą próżną dociekać, jaka była geneza poglądów Leszczyńskiego na dominujące znaczenie uprawy ziemi jako źródła wszelkiego bogactwa. Czy wpłynął na to atawizm syna kraju wybitnie rolniczego, w którym ziemia od dawien dawna uważana była za główną żywicielkę, czy też uległ wpływowi współczesnych mu ekonomistów, Vaubana i Boisguilleberta, którzy podkreślając produktywny charakter rolnictwa, domagając się opieki nad ludem oraz wprowadzenia jednolitego podatku dziesiętnego, torowali drogę późniejszym doktrynom fizjokratycznym. Za tym drugim przypuszczeniem zdaje się przemawiać zarówno niewątpliwy wpływ obu autorów francuskich na kształtowanie się poglądów Leszczyńskiego, jak fakt, że zaleca on uprzywilejowanie rolnictwa nad imprezami zamorskimi nie tylko swemu krajowi rodzinnemu, lecz również uprzemysłowionej i kolonialnej Francji. Z ducha tego swoistego fizjokratyzmu *avant la lettre* wypłynął najpiękniejszy ustęp dzieła, poświęcony pogardzanej i krzywdzonej warstwie włościańskiej. „Ten stan, lubo pośledni... powinien u nas być w większej konsyderacji, jako ten, który jest wszystkich państw podporą, w naszym zaś lubo jest najpodlejszy, nie trzeba go lekceważyć... Skąd bowiem obfitość krajów, skąd podatki w skarbie, skąd rekruty w wojsku, jeżeli nie *a plebeis*, tak dalece, że gdyby ich nie było, musiałby się

szlachcic w chłopa obrócić, sam pracując na wyżywienie swoje, ani by się mógł zwać panem, gdyby nie miał poddanego".

Domagając się wzięcia chłopa pod opiekę prawa i obdarzenia go wolnością osobistą, obok argumentów religijno-moralnych i prawno-ustrojowych szermuje również Stanisław motywami ekonomicznymi. Ucisk włościanina zabija w nim inteligencję, obniża zdolność do pracy, pozbawia obfitszych zysków zarówno państwo, jak i dziedzica. „Lud nasz pospolity staje się nikczemny, bo nie robiąc tylko z przymusu, nie może mieć żadnej ochoty do zarobku... Dlatego też nie widziemy w Polszcze naszej, jako w inszych państwach, ani tego dozoru w ekonomii, ani tego pożytku z gospodarstwa, ani tej przebiegłości w handlach, ani tej na ostatek industrii w różnych rzemiesłach". Stąd wreszcie nieśmiała sugestia, by dziedzic, obdarzając poddanego możnością przenoszenia się z miejsca na miejsce, zamiast robocizny pobierał odeń inne „powinności i czynsze", jak się to dzieje w nielicznych osadach wolnych kolonistów na pograniczu Rzpltej. Gdyby wolność osobista chłopa z wyjątku zmieniła się w regułę, „widzielibyśmy cały kraj tymże sposobem i w osiadłościach *et in agricultura* obfity z pożytkiem daleko większym tak Rzeczy Pospolitej, jako i partykularnego dziedzica Rzeczy Pospolitej, bo przy wolności dobrze pomiarkowanej ludu pospolitego może się spodziewać z tego kapitału swego przy większych osiadłościach, że tyle pustek w Polszcze nie będzie, które są przyczyną tak podłych i mizernych sił naszych, gdyż to rzecz niepojęta, że kraj tak żyzny i we wszystkie urodzaje obfity, a cale nie ludny, ledwo nie czwarta część odłogów i lasów; może się spodziewać i większych podatków i z większą snadnością płaconych; może się na ostatek spodziewać przy większych handlach więcej pieniędzy..." Dla dopełnienia obrazu oddziaływań pisarzy francuskich na systemat Leszczyńskiego dodać należy, że obmyślając plan dochodów, które napełnią skarb i umożliwią przekształcenie anachronistycznej republiki szlacheckiej w rządne i obronne państwo nowożytne, obok cła generalnego, monopolu solnego, rozciągnięcia opłat od trunków ze wsi na miasta, proponuje autor powszechny podatek

dochodowy dziesiątego grosza. Wrodzony Stanisławowi zmysł kompromisu i lęk przed podrażnieniem opinii szlacheckiej nakazał mu niestety, z wielką dla książki jego szkodą, otworzyć szlachcie możność przerzucenia tego ciężaru na poddanych.

Zarys głównych poglądów Stanisława na sprawy Rzpltej byłby niepełny, gdybyśmy opuścili ustęp, odnoszący się do duchowieństwa. Gorący chrześcijanin, uważający religię za fundament społeczeństwa, odpycha pokusę mieszania się do spraw czysto kościelnych; równocześnie jednak w mocnych słowach piętnuje zmaterializowanie współczesnego mu duchowieństwa polskiego. „Dziś wokacja na stan duchowny nadzieja dobrego bytu, dostąpienia prelatury, zebrania skarbów, wyniesienia familii. Czy możeż się to dziać bez ambicji, bez chciwości, bez przywiązania do świata, i czy mogąż takie przykłady pobudzać świeckich do pobożności, do cnoty? W inszym stanie jeżeli się jakie znajdują *scandala*, to przynajmniej skryte, w duchownym zaś *ex abusu* dóbr doczesnych tak są jawne, że je każdy ma przed oczyma. Sami tylko tego duchowni nie widzą... I tak nie jest że,to *perpetuum scandalum* widzieć na wielu miejscach rezydencje duchownych wspanialsze, niż kościoły; skarbce pełniejsze, niż zakrystie; asystencji siła na dworach, a ubogich daleko więcej po gnojach“. Rozwiązanie drażliwego zagadnienia, jakie proponuje Stanisław, jest z jednej strony bardzo radykalne, z drugiej zaś — oględne. Należy uregulować dochody duchownych tak, ażeby każdy otrzymywał stosownie do swego stanowiska i potrzeb, z całej zaś reszty stworzyć wspólną masę pod zarządem kościelnym, który wydzielać będzie odpowiednie sumy na utrzymanie siły zbrojnej Rzpltej, na wznoszenie i naprawę kościołów, na seminaria, szpitale, misje, wykupywanie niewolników i inne cele religijne i charytatywne.

Całokształt dzieła reformatorskiego Leszczyńskiego nie został należycie oceniony ani przez współczesnych, ani przez późniejszą krytykę historyczno-literacką. W oczach potomności przesłonił go Konarski jako pogromca „wolnego nie pozwalam“, który jakoby dotknięciem różdżki czarodziejskiej przeobrazić miał umysłowość szlachty i położyć kres zrywaniu sejmów. Za-

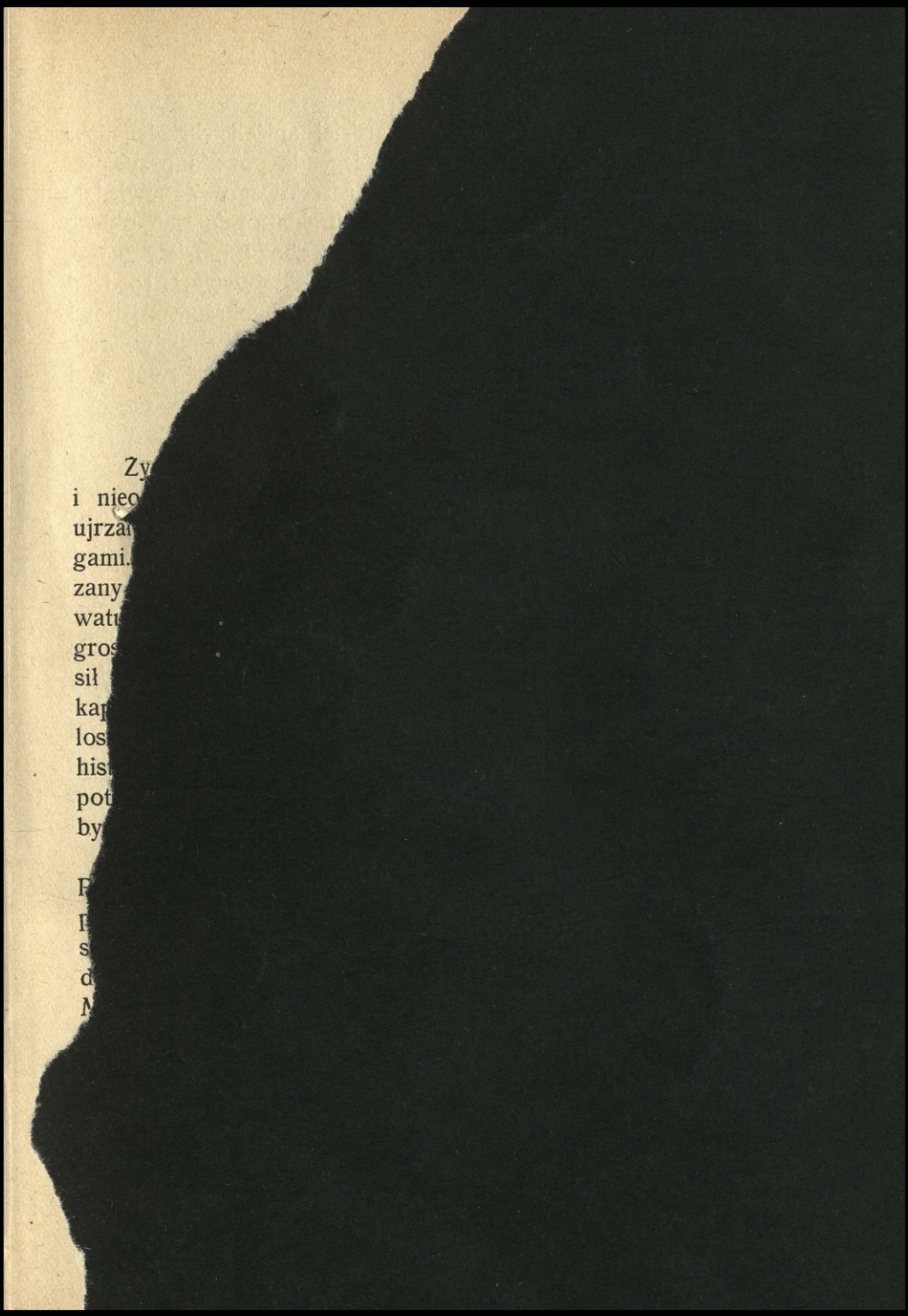
pomina się wszelako, że znakomity pijar zdecydował się na opublikowanie swego dzieła pod sam koniec epoki saskiej, kiedy kilkanaście zerwanych sejmów za Augusta III, ogrom wyrządzonych tym strat, głębokie poniżenie, jakie przeżyła bezbronna Polska w dobie wojny siedmioletniej, bardziej otworzyły oczy myślącej opinii na katastrofalność liberum veto, aniżeli by to potrafił najmędrszy traktat reformatorski. Leszczyński natomiast, układając swe dzieło u progów doby Augusta III, kiedy cudotwórcza moc zasady jednomyślności świeciła jeszcze pełnym blaskiem, z konieczności musiał się ograniczyć do wszechstronnego skrępowania „wolnego nie pozwalam", nie mogąc nań zadekretować wyroku śmierci. Jeżeli zresztą społeczeństwo szlacheckie ujrzało się w pewnej mierze przygotowane do przyjęcia owocu myśli Konarskiego, to niemała w tym była zasługa szeregu pisarzy z Leszczyńskim na czele, którzy stopniowo podkopali wiarę w zbawienność zrywania sejmów, aż Konarskiemu przyszło postawić ostatnią kropkę. Wywyższać autora „O skutecznym rad sposobie" nad koronowanego statystę nie godzi się chociażby dlatego, że Konarski, zaprzątnięty naprawą władzy ustawodawczej i wykonawczej, nie wyznaczył w swym programie naprawy Rzpltej odpowiedniego miejsca tak kapitalnemu zagadnieniu, jak reforma stosunków włościańskich. Krótki ustęp, poświęcony tej kwestii w „Mowie o uszczęśliwieniu własnej ojczyzny", nosi tak wyraźne piętno oddziaływania Leszczyńskiego, że słusznie uważać go można za dziecko duchowe „Głosu Wolnego".

Rola Leszczyńskiego jako prekursora występuje dobitnie w innych jeszcze dziedzinach. W obradach sejmowych i publicystyce doby Augusta III głośno było o naprawie stosunków gospodarczych, rozwoju rzemiosł i handlu, dźwignięciu miast, cłach i monopolach. Pierwszym jednakowoż, który sformułował całokształt tych postulatów, był Stanisław. Zarzuca mu się niekonsekwencje i połowiczność w rozwiązywaniu takich zagadnień, jak obiór królów i reforma sejmowania; dla przeciwwagi należałoby zaznaczyć, że program jego w kwestii włościańskiej był tak śmiały, że nie doczekał się częściowej choćby realizacji w dobie sejmu

wielkiego. Nie wynika stąd, jakoby wartość „Głosu Wolnego“ należało zredukować do rozdziału o plebejuszach, jak to czyni surowy a nie zawsze dobrze poinformowany krytyk dzieła, A. Rembowski. Co najbardziej należy cenić u Stanisława, to szeroki widnokrąg jego poglądów politycznych, który ogarnia nie fragment, ale całość bolączek i potrzeb Rzpltej. Postulat stutysięcznej, nowocześnie wyposażonej armii, postępowego podatku i zrównoważonego budżetu, zdolnego pokryć całość potrzeb państwa; czynna polityka zagraniczna, system przymierzy i stała reprezentacja przy obcych dworach; ustanowienie centralnych magistratur wykonawczych oraz administracji prowincjonalnej; reforma sądownictwa w duchu bezstronności i fachowości sędziów; ograniczenie ujemnych następstw wolnej elekcji, jednomyślności w sejmach oraz przerostu wielkich urzędów; sejm niemal stały; rozciągnięcie działalności państwa w sferę spraw gospodarczych, popieranie przemysłu i handlu, opieka nad miastami; reforma duchowieństwa a wreszcie stanowiący nie jedyny wprawdzie walor, ale ukoronowanie dzieła, rozdział o plebejuszach: — to wielkie, nie przemijające wartości myśli Leszczyńskiego nadające jego dziełu w literaturze współczesnej stanowisko wyjątkowe. Na tak rozległy, obejmujący wszystkie dziedziny życia program naprawy nie zdobył się ani teoretyk zagadnień konstytucyjnych a pozbawiony zupełnie zmysłu dla spraw społeczno-gospodarczych, jakim był Karwicki, ani zatopiony na odwrót w samej tylko „Anatomii Rzpltej“ Stefan Garczyński, ani głęboki Załuski, ani wypolerowany w szkole myślenia zachodniego Poniatowski, ani śmiały w pomysłach Antoni Potocki, Konarski zaś tylko wówczas, gdy połączymy w jedną całość oba jego traktaty: „O uszczęśliwieniu własnej ojczyzny“ oraz „O skutecznym rad sposobie“.

Słowo jeszcze o Leszczyńskim jako pisarzu. Dzisiejszego czytelnika męczy ustawiczne przeplatanie polskiego tekstu wyrażeniami łacińskimi — spuścizna nieszczęsnej epoki stylu makaronicznego. Pominąwszy ten rys, wspólny całej epoce aż po Konarskiego — wyjątek stanowi tu Potocki — należy stwierdzić,

że niewiele jest dzieł w publicystyce polskiej, które by przewyższały traktat Stanisława udatnym połączeniem siły dowodzenia z żarem uczucia. Rozumuje Leszczyński jasno, przekonywająco, niejednokrotnie z druzgocącą siłą, nie szczędząc rozmyślnie mocnych określeń, którymi chce przygnieść przeciwnika do ziemi. Równocześnie każda karta jego traktatu, nawet poświęcona suchym materiom skarbowym czy sądowniczym, przepojona jest głębokim umiłowaniem ojczyzny, które wywodom jego nadaje zgoła odrębny urok. Czyta się je po dwustu latach tak, jak zostały napisane — skupioną myślą, zarazem zaś czującym sercem. Ulega się nie tylko walorom rozległego i światłego umysłu, ale urokowi romantycznej postaci autora, który pozbawiony praktycznych możliwości dźwignięcia i uszczęśliwienia swego narodu, wetował to sobie przynajmniej w dziedzinie myśli. Jeżeli w zetknięciu z rzeczywistością nazbyt często zbaczał Stanisław z drogi swych monarszych zadań i obowiązków, to w sferze ducha ukazuje się prawdziwym piastunem majestatu Rzpltej, zdolnym myśleć i kochać za miliony.



ardziej aniżeli chrześcijańską
legenda poczęła przybierać
narodowego. Zapowiedzią
traktatu reformatorskiego
obozu patriotycznego,
i wywarł rozdział
okratycznej pow-
stników walk
swój ród
przema-
krotnego
wyższe
a kró-
ować
a..."
sow-
ych
ru-
lzi-
les
n-
ie-
y-
e-

riografii i dziejów literatury. Podług Józefa Szujskiego Stanisław był to „król rozumny, wolny od namiętności, znany z cnót... którego jakoby po raz ostatni w tej właśnie postaci, z tymi łagodnymi, anielskimi przymiotami dawało niebo, aby Polaków skupić około władzy i prawa". Stanisław Tarnowski widzi w autorze „Głosu wolnego" „wielki przykład publicznej i prywatnej cnoty"; jeżeli czego niedostawało Stanisławowi, to chyba tego, że jak na czynnego polityka „był może zbyt skrupulatny, zbyt nieskalany".

Po najwyższych pochwałach przyszła kolej na reakcję krytyczną. Zapoczątkował ją zasłużony wydawca średniowiecznych źródeł polskich a przygodny badacz epoki saskiej, August Bielowski. „Kto zna dzieła i czyny Stanisława Leszczyńskiego i Stanisława Augusta — brzmi mało dla Filozofa Dobroczynnego pochlebne zestawienie — nie odmówi im podobnych usposobień i działań". Drugi przypadkiem w XVIII wiek zbłąkany mediewista Tadeusz Wojciechowski, badając dzieje elekcji 1733 r. doszedł do przekonania, że „przy bliższym poznaniu czasów saskich August II zyskuje, zaś Leszczyński traci". Najznakomitszy znawca epoki Augusta II, Jarochowski, szukając w odmęcie wojny północnej „polskiej myśli i polskiego męża", nie znalazł ich w Leszczyńskim. Przyznawał mu szacowne zalety umysłu i serca, równocześnie jednak odkrył w jego charakterze tyle słabości, niezdecydowania, braku zmysłu politycznego, że w rezultacie wychodzi on jako postać jeżeli nie ujemna, to w każdym razie niedorosła do swoich zadań. Podobne nastroje nurtowały historiografię francuską, pełną sentymentalnych względem Stanisława wylewów. Uczony lotaryński, Druon, zagłębiając się w źródła do dziejów akademii stanisławowskiej w Nancy, ze zdziwieniem odkrył w nich odbicie aż nazbyt ludzkich rysów idealizowanego dotąd bezkrytycznie monarchy. „Ma on bez wątpienia szczególne prawa do naszego szacunku; czyż jednak prawda nie posiada również jakichś praw? Jeżeli zaś przypadkowo nasze protokóły, nawet w ich dyskretnej i powściągliwej redakcji, ukazują nam Stanisława, który ma swoje słabostki,

upory, miłość własną, nierówność usposobienia, kaprysy, pyszałkowate wymagania, czyż nie wolno nam zapisać tych wad?".

Pogląd ujemny na osobistość Leszczyńskiego ugruntował w nauce francuskiej inny lotaryńczyk, Piotr Boyé. Niezmiernie pracowity erudyta, wydobył z archiwów bezmiar materiału, odnoszącego się do osoby Stanisława, w dziesiątku prac rozświetlił różne strony jego działalności, wszystko to zaś uczynił z zaciekłą pasją obniżenia jego wartości poniżej przeciętnego poziomu polityka i człowieka. Stanisław ukazuje się w ujęciu Boyé'go jako zupełna nicość umysłowa i moralna; mierny pod każdym względem, nietaktowny, chorobliwie próżny i ambitny, bez prawdziwej miłości ojczyzny, przywłaszczył sobie na domiar autorstwo „Głosu wolnego", który stanowił owoc wspólnej pracy obu Załuskich oraz Terciera i Solignaca. To najzupełniej gołosłowne przypisywanie traktatu reformatorskiego Leszczyńskiego dwu powierzchownym Francuzom, którzy nie znali głębiej przeszłości ani teraźniejszości Polski, oraz dwu Polakom, którzy znajdowali się dopiero u progu kariery politycznej, doświadczeniem zaś nie dorównywali ani w części bogatej skali przeżyć dwukrotnego monarchy, wystawia najlepsze świadectwo metodzie pracy uczonego dziejopisa lotaryńskiego. Pogląd Boyé'go przejął i spopularyzował w Polsce swym świetnym piórem Askenazy, który nawiązując do paraleli Bielowskiego osądził, że Stanisław „z dobrego w gruncie serca, a miękkiej jak wosk woli, ze szlachetnych lecz migotliwych porywów, a zakorzenionej żyłki sybaryckiej, z dużej łatwości słowa i pióra, a zupełnej niezdolności do trwałego czynu — był uderzająco podobny, zanadto podobny, do ostatniego i najopłakańszego ze swoich następców". Rembowski rewindykował wprawdzie dla Stanisława autorstwo „Głosu wolnego", jak jednak widzieliśmy, umniejszył niezmiernie ten zaszczyt, charakteryzując Stanisława jako chwalcę przeszłości sarmackiej, który jedynie w rozdziale o chłopach zdołał się dźwignąć ponad poziom ówczesnej przeciętności. Rewizja poglądów na Leszczyńskiego osiągnęła z tą chwilą swój punkt kulminacyjny: ze świetlanego wizerunku, jaki od współczesnych zapożyczyli

Sokolnicki i Raczyński, Szujski i Tarnowski, doszliśmy niemal do całkowitego unicestwienia Stanisława jako polityka, myśliciela i człowieka.

Krańcowa rozbieżność zapatrywań na postać Leszczyńskiego wskazuje, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem złożonym, którego nie podobna określić prostą formułą dodatnią czy ujemną. Błędy dotychczasowych historyków polegały właśnie na tym, że raz wynosili Stanisława pod niebiosa, to znowu nie mieli dlań dość ostrych potępień. Jak zwykle w takich razach, prawda leży w pośrodku. Król Stanisław nie był ani anielską postacią, ani bezdusznym figurantem. Odsądzanie go od wszelkich wartości umysłowych i politycznych pozostaje w sprzeczności z wszystkim, co zachowały o nim świadectwa źródłowe. Tak krytycznie nastrojony względem Stanisława dyplomata francuski Bonac przyznawał, że „zna on swój naród doskonale i wie może lepiej aniżeli jakikolwiek inny Polak, jakich użyć należy środków, by go poruszyć. Umysł jego jest żywy, miły i ujmujący...“ Inteligencji króla wystawili najlepszą opinię Monteskiusz i Henault. Ujawnienie istotnych danych jego działań politycznych wskazuje, że trafnością pomysłów, bystrym orientowaniem się w sytuacji, znajomością kraju i zagranicy nie tylko górował nad współczesnym mu pokoleniem, ale nadawał się wyśmienicie na doradcę Karola XII i Fleury'ego. Gdyby słuchali oni skwapliwiej jego wskazań, wojna północna nie skończyłaby się zapewne katastrofą Szwecji ani przedostatnie bezkrólewie upokorzeniem Francji. W stosunkach z ludźmi okazywał Stanisław niemało zręczności dyplomatycznej, ujmując ich sobie równocześnie zaletami umysłu i serca. Rozumu, wykształcenia, szerokości horyzontów, szczerej dobroci i życzliwości dla świata, wdzięczności dla przyjaciół a miłosierdzia dla biednych i cierpiących nie odmówi mu najzaciętszy przeciwnik. Jako nominalny władca Lotaryngii dokonał rzeczy w stosunku do swych ograniczonych środków wprost niezwykłych, dając Europie piękny przykład symbiozy renesansowego mecenatu z prawdziwie chrześcijańskim stosunkiem do podlegających jego berłu poddanych. Jego spuścizna literacka zadzi-

wia bogactwem zainteresowań, niekiedy zaś trafnością koncepcji. Jako autor „Głosu wolnego“ zajmuje jedno z najbardziej zaszczytnych miejsc w dziejach polskiej myśli politycznej.

Gdyby Leszczyński był tylko wysoce uzdolnionym politykiem i znakomitym pisarzem, już przez to samo należałoby mu się poczesne miejsce w dziejach jego epoki, nie obfitującej w jednostki wybitne talentem i polotem myśli. Znaczenie jego sięgało wszelako głębiej. Nie tylko może z racji siły swej indywidualności, która nie była wielkiej miary, co odegranej w ówczesnych wypadkach roli, stał się on wyrazicielem, ośrodkiem, najwybitniejszym wreszcie współtwórcą dwóch wielkich prądów, przenikających ówczesną społeczność polską: dążenie do niepodległości i reformy wewnętrznej. On utrwalił klasyczną odtąd orientację przeciwną Rosji carskiej z jej systemem haseł wewnętrznych i sojuszów zagranicznych, którą przejmą w spadku republikanci, barzanie, działacze Sejmu W., wreszcie całe pokolenia bojowników o wolność w dobie porozbiorowej. On zapoczątkował przymierze antyrosyjskie z Szwecją. W związku z jego osobą pierwszy raz wydobyła oręż w obronie niepodległości Polski Turcja. W jego obronie pierwszy raz polała się na ziemi polskiej krew francuska w walce z caratem. On podburzał przeciw caratowi kozaczyznę, jego szlakiem ciągnęła po Europie emigracja mazepińców. On wreszcie, zapoczątkowując długi łańcuch złudnych rachub i tragicznych pomyłek, przeświadczony był do głębi o możności zjednania przeciw caratowi pomocy Prus i nie szczędził w tym kierunku zabiegów ni ofiar. Około jego postaci skupiło się pierwsze w naszych dziejach wychodztwo polskie, które wynosząc głowę z ujarzmionego przez Moskwę kraju, na wszystkich szlakach późniejszych emigracyj polskich: w Mołdawii, w Konstantynopolu, w Sztokholmie, w Prusach i Francji, kołatać będzie o pomoc dyplomatyczną, formować hufce, rzucać w kraj wezwania do walki z obcym najazdem. Cóż dopiero mówić o przedostatnim bezkrólewiu, w czasie którego pierwszy raz ponad opar majaczeń złotowolnościowych wystrzeliło pragnienie narodu zachowania swej niepodległości wobec zakusów obcych czynników!

Jeżeli chodzi o stanowisko Stanisława w obozie reformatorskim, to stwierdzić tu można zjawisko uderzające. Z wyjątkiem Szczuki, który związany zewnętrznie z Leszczyńskim, sercem lgnął zawsze do Sobieskich, oraz autora „Wolności polskiej", który był stronnikiem Sasów, wszyscy bez wyjątku szermierze naprawy Rzpltej w pierwszej połowie XVIII wieku złączeni byli mniej lub więcej ścisłymi węzłami z osobą króla-reformatora. Z myślą o jego rządach układał swój plan przebudowy Rzpltej Karwicki. W szeregach jego stronników znajdował się nierównie mniejszej miary pisarz polityczny doby pierwszego Sasa, Jerzy Dzieduszycki. Autor „Skrupułu bez skrupułu", Jan St. Jabłonowski, związany z Leszczyńskim węzłem bliskiego pokrewieństwa, przypłacił działalność dla jego sprawy więzieniem w Koenigstein. Wiemy, jak wybitną rolę odegrali w przygotowaniu elekcji 1733 r. i jak angażowali się w niej, Czartoryscy. Stanisław Poniatowski był jednym z najczynniejszych jego agentów. Gorliwie służył jego sprawie od zarania swej działalności aż po siwy włos autor „Kwestyj politycznych obojętnych", Fr. Radzewski. Bliskie stosunki łączyły Stanisława z obu Załuskimi i Konarskim. W jego interesie spiskował za Augusta III najśmielszy umysł reformatorski doby saskiej, jeden z najwytrwalszych zwolenników kandydata narodowego w czasie przedostatniego bezkrólewia, Ant. Potocki, jego sprawie obiecywał poparcie w r. 1742 Stefan Garczyński. W służbie dyplomatycznej Stanisława zaprawiał się najtęższy później umysł reformatorski konfederacji barskiej, Adam Krasiński, pod jego okiem kształcił się w akademii rycerskiej w Lunéville przyszły inicjator Komisji Edukacyjnej, Feliks Oraczewski. Podobnego zastępu nie zdołał chyba związać z swą osobą żaden z reformatorów dawnej Rzpltej. W tym sensie można przyjąć sąd Szujskiego, że „wszystko, co było dobre w narodzie" znalazło się obok postaci Leszczyńskiego.

Tym niepoślednim walorom Stanisława przeciwstawiał się szereg dotkliwych braków, które w wysokim stopniu obniżają jego wartość jako działacza publicznego i człowieka. Pominiemy tu rzeczy o czysto osobistym, rzec można, prywatnym znaczeniu,

jak nieopanowana karbami moralności i religii rozwięzła zmysłowość, próżność, sabarytyzm, niezdolność do mężnego znoszenia niedostatku, upokarzająca żebranina o pieniądze. Ważniejsze są usterki męża stanu i monarchy. Głównym ich źródłem była wygórowana ambicja i żądza panowania. Dorwawszy się w młodym wieku purpury, do końca życia nie potrafił Stanisław wyzbyć się myśli o tronie. Żaden środek nie był dlań drastyczny, gdy chodziło o utrzymanie się przy władzy. Dla chimery królowania poświęcał wszystko: godność osobistą, program polityczny, wreszcie, co najważniejsze, interes i całość Rzpltej. Stąd potulne znoszenie despotycznych zachcianek Karola XII oraz grubiaństw jego ministrów i generałów. Stąd płaszczenie się przed obcymi dyplomatami, całowanie po rękach kanclerza Pipera, tarzanie się w prochu przed chanem tatarskim, niesmaczne poniżanie przed majestatem królewskiego zięcia. Stąd rażące niekonsekwencje polityczne, jak niejednokrotne ubieganie się o pomoc caratu, co równało się przekreśleniu orientacji politycznej całego życia Stanisława. Stąd ciemne konszachty z Berlinem i pochopne angażowanie w ryzykanckie imprezy republikantów, mimo niebezpieczeństw, jakie mogły stąd spaść na Rzpltą. Stąd wreszcie najhaniebniejsza w działalności Leszczyńskiego karta, jaką jest ustawiczna gotowość dzielenia się ziemią polską z wszystkimi niemal sąsiadami, którzy gotowi byli zapłacić mu za to panowaniem bodaj na skrawku Rzpltej. Że zaś natura, obdarzając Leszczyńskiego dużymi zaletami umysłu i serca, poskąpiła mu odporności charakteru, nic dziwnego, że człowiek ambitny a słaby, pozbawiony na domiar oparcia we własnym społeczeństwie, stawał się najczęściej narzędziem cudzych interesów.

Podkreślając z naciskiem przywary, niejednokrotnie zaś występki, jakimi splamił się król Stanisław przeciw najświętszym obowiązkom już nie monarchy, ale obywatela Rzpltej, należy wystrzegać się z drugiej strony nazbyt pośpiesznego potępienia. Sprawiedliwa ocena jego działalności i charakteru wypaść może jedynie na tle współczesnej mu epoki. Czasy saskie przez długi czas uchodziły w naszej historiografii za obraz ciemnoty i zgni-

lizny. Widziano w nich same tylko odstraszające przejawy demoralizacji, sprzedajności i prywaty, upadku oświaty i literatury, zaniku zdrowych pojęć państwowych. Kilkadziesiąt lat rządów wettyńskich w Polsce wydawało się jednym grząskim bagnem, zasnutym nieprzeniknioną ciemnością. Nowsze badania zmodyfikowały ten jednostronnie pesymistyczny osąd. Wiemy dziś, że w dobie saskiej zaczęły się rozpalać pierwsze ogniska oświaty i kultury, z których wyjść miało świetne odrodzenie czasów stanisławowskich; że myśl społeczno-polityczna zdobyła się wówczas na śmiałe wzloty reformatorskie; że na sejmach doby Augusta III toczyła się walka o naprawę Rzpltej, wśród działaczy zaś publicznych wyrastali ludzie pierwszorzędnej miary, jak Andrzej St. Załuski, Mikołaj Podoski, obaj Czartoryscy, Stanisław Konarski, Andrzej Zamojski. Z tym wszystkim nie ulega wątpliwości, że epoka saska była w całości zwyrodniała i zła. Zło leżało w pierwszym rzędzie nie w jaskrawych zjawiskach o znaczeniu raczej zewnętrznym, jak ciemnota, pijaństwo, korupcja sejmowa i trybunalska, ale w wypaczeniu zasadniczych pojęć życia publicznego. Stosunek jednostek i rodów do państwa wykazywał objawy wprost potworne, które w świetle dzisiejszych pojęć trudno wprost zrozumieć. Polityk doby saskiej czuł się w swym sumieniu zwolniony od nakazów prymitywnej cnoty obywatelskiej, na każdym kroku łamał linię ideową, jeżeli ją w ogóle posiadał, naginając się do każdorazowej koniunktury, najpewniejszą zaś drogę ratowania sprawy publicznej upatrywał w wyniesieniu swej osoby, rodu czy stronnictwa. Im potężniejszy był ród, im wybitniejsza jednostka, tym więcej wkładały one w działalność publiczną egoizmu, ambicji i pychy.

Pobieżny przegląd galerii współczesnych Leszczyńskiemu możnowładców wykazuje, jak bardzo jego poczynania w dziedzinie polityki wiązały się z ogólnym charakterem epoki. Gdy wielka wojna północna wtargnęła w granice Rzpltej, panowie litewscy z Wiśniowieckim, Ogińskim, Wołłowiczem na czele w imieniu jakiejś „Rzpltej Litewskiej“ zawarli na własną rękę z Piotrem W. trzy kolejno traktaty sojusznicze. Hetman litewski

Ludwik Pociej wraz z swymi adherentami ofiarował carowi w kilkanaście lat później oddanie Litwy pod protektorat moskiewski. Prymas Potocki, wchodząc w porozumienie z Francją dla przeprowadzenia wyboru Leszczyńskiego, równocześnie zamawiał sobie zbrojne poparcie Austrii i Rosji przeciw ewentualnemu zamachowi Augusta II. Tak niepospolici ludzie, jak Czartoryscy, przygotowywali zamach stanu w oparciu o rosyjskie bagnety. Darmo szukać wśród ówczesnych polityków konsekwentnej linii programowej. Spośród emigrantów benderskich, którzy stanowili w Polsce zawiązek późniejszego obozu antyrosyjskiego, Grudziński już w kilka lat później będzie się wysługiwał ambasadorowi carskiemu Dołhorukiemu, Sapieha i Urbanowicz skończą swą karierę jako carscy generałowie. Nielepiej przedstawiała się sprawa z poszanowaniem całości ojczyzny. Wojewoda chełmiński Działyński pertraktował w roku 1706 z agentem dworu berlińskiego o oderwanie od Rzpltej Prus królewskich i oddanie ich pod protekcję Brandenburczyka. W układach Stanisława z chanem tatarskim o odstąpienie Ukrainy i Kamieńca brali udział koryfeusze jego obozu. Najzdolniejszy z nich Stanisław Poniatowski, którego tak dawniejsza jak najnowsza historiografia usiłuje wydźwignąć ponad poziom pokolenia saskiego, maczał ręce w najbardziej zabójczych machinacjach rozbiorowych. Jeszcze w r. 1744 znalazł się jeden z Jabłonowskich, który w zamian za pomoc przeciw dworowi częstował Fryderyka W. polskimi Prusami.

Na takim dopiero tle rysuje się postać króla Stanisława w właściwych rysach. Nie będziemy się oczywista kusić o usprawiedliwienie niegodnych jego postępków argumentem, że inni postępowali tak samo; zarazem jednak trudno go piętnować jako jednostkę wyjątkowo marną czy szkodliwą. Był po prostu typowym przedstawicielem swojej epoki: wystrzelając nad nią licznymi zaletami, dzielił szereg właściwości ujemnych przeciętnego możnowładcy doby saskiej. Jednym z najbardziej znamiennych jej cech było głębokie przeciwieństwo walorów umysłowych oraz braków moralnych. Tak pierwszorzędni statyści, jak Czartoryscy, Poniatowski, Adam Krasiński, nierównie bardziej imponują nam

rozumem, aniżeli pociągają nieskazitelnością charakteru. Tacy wychowankowie czasów saskich, jak Młodziejowski, Poniński, Sułkowski, wykształceniem i talentem w każdej społeczności europejskiej zajęliby poczesne miejsce, pod względem natomiast moralnym kwalifikują się do ostatniego kręgu piekła dantejskiego. Podobna nierównomierność wartości intelektualnych i etycznych występuje u Leszczyńskiego. Jesteśmy dlań pełni uznania, czytając jego mądre wskazania polityczne dla Karola XII lub głębokie wywody na temat reformy Rzpltej. Podziwem przejmuje całokształt jego działalności w Lotaryngii. Ilekroć natomiast wypadnie się odeń odwrócić z niechęcią lub wręcz potępieniem! Historykowi, pragnącemu dotrzeć do najgłębszej istoty Stanisława, nie wolno pokrywać milczeniem szpetnych nieraz jego postępków, podobnie jak nie powinien on lekceważyć nie przemijających wartości, jakie wniósł dwukrotny król do skarbca naszych doświadczeń i kultury politycznej. Właśnie dobitne podkreślenie dysproporcji pomiędzy polotem myśli Leszczyńskiego a częstymi załamaniami hartu moralnego nadaje mu piętno epoki i rys prawdy historycznej, do której powinniśmy zawsze dążyć.

1695

BIBLIOTEKA NAUKOWA AŚG
Nr ewid.
im. gen. broni K. Świerczew

WSKAZÓWKI BIBLIOGRAFICZNE.

Sipayłłówna, *Działalność kulturalna rodu Leszczyńskich.* (Spr. Pozn. Tow. Przyj. Nauki 1936). Jarochowski, *Dzieje panowania Augusta II* (1874), *St. Leszczyński po Połtawie* (Opow. i stud. hist. 1884), *Zamachy Augusta II na Leszczyńskiego* (Nowe opow. i stud. hist. 1882). Askenazy, *Przedostatnie bezkrólewie* (Dwa stulecia t. I, 1908). Rembowski, *Głos wolny króla St. Leszczyńskiego* (1903). Konopczyński, *Polska a Szwecja 1660, 1795* (1924). Feldman, *Polska w dobie wielkiej wojny północnej* (1925), *Polska a sprawa wschodnia 1709—1714* (Rozpr. hist. fil. Ak. Um. 1926). Wodziński, *Gdańsk za czasów St. Leszczyńskiego* (1929). Raynal, *Le mariage d'un roi* (1887). Druon, *Stanislas et la société royale des sciences et belles lettres.* (Mem. de l'Acad. de Stan. 1892 CXLIII). Nolhac, *Le mariage de Marie Leszczyńska* (Rev. d. deux Mondes 1900, CLVIII). Boyé, *La cour de Lunéville en 1748 et 1749 ou Voltaire chez le roi Stanislas* (1891), *Les dernières moments du roi Stanislas* (1898), *St. L. et le troisième traité de Vienne* (1898), *Les chateaux du roi Stanislas en Lorraine* (1910), *Le roi Stanislas grand-père* (1922), *La cour polonaise de Lunéville* (1926), *St. L. et la cour d'Espagné* (1938). Korespondencja L. z córką, Fryd. Wil. I, Fryderykiem II, Hulinem (wyd. Boyé w Mém. de l'Acad. de St. CL, CLVI, CLXX). Zdzitowiecka, *Projets du rétablissement du roi Stanislas en Pologne* (1915). Maugras, *La cour de Lunéville au XVIII-e siècle (1904), Dernieres années de la cour de Lunéville* (1906), Herlitz, *Fran Thorn till Altranstädt* (1916). Bonnesen, *Studier över August d. Starkes utrikespolitik* (1928). Jägesköld, *Sverige och Europa 1716—1718* (1937).

Powyższy zarys biograficzny, obok źródeł drukowanych, rozproszonych po różnych wydawnictwach, opiera się w dużej mierze na nieznanym materiale archiwalnym. Nie mogąc obciążać książki szczegółowymi przypisami, zaznaczam pokrótce, z jakich rękopisów czerpałem poszczególne wiadomości.

1) Główną podstawę źródłową do okresu wielkiej wojny północnej stanowiły listy i memoriały Leszczyńskiego do Karola XII, senatu szwedzkiego, Ulryki Eleonory i Bielkiego, znajdujące się w Archiwum Państwowym w Sztokholmie. Stamtąd wzięto w szczególności nowe fakty i cytaty na str. 36—8, 41—6, 66, 68, 70, 75, 84—5, 91—2, 111—28.

2) Geneza powtórnej elekcji L. oraz przebieg bezkrólewia, skreśliłem przede wszystkim na podstawie odpisów z Archiwum Minist. Spr. Zagr. w Paryżu. Dotyczy to zwłaszcza ustępów na str. 163—5.

3) Pismo L. do Piotra W. z 13. VII. 1721, do T. Potockiego z 7. V. 1720, pełnom. z 29. IX. 1724 (str. 110—115) z Arch. Państw. w Dreźnie, loc. 3671.

4) Wiadomość o późniejszych zabiegach L. o protekcję Piotra W. (str. 136—7) na podstawie relacji austr. z Warszawy 25. II. 1722 z Arch. Domu, Dworu i Państwa w Wiedniu.

5) Szczegóły dotyczące bezkrólewia (str. 151) z pamiętnika A. S. Dembowskiego w RP. Bibl. Krasińskich 3967.

SPIS ILUSTRACJI

Stanisław Leszczyński, król Polski
malował Valoo, rytował Cars (Zb. Bibl. Jag.)

Karol XII, król Szwecji
rytował C. Fritzsch (Zb. Bibl. Jag.)

August II, król Polski
rytował M. Bernigeroth (Zb. Bibl. Jag.)

Maria, księżniczka Polski, królowa Francji i Nawarry
malował J. M. Nattier, rytował J. Tardieu (Zb. Bibl. Jag.)

Zamek Chambord
Michel, Historia sztuki t. IV, fig. 353

Warszawa, Krakowskie Przedmieście
malował Belloto

Nancy, Plac Stanisława
malował Deroy, rytował Becquet wydawnictwo E. Morier, Francja w miniaturze (Zb. Bibl. Jag.)

Głos wolny wolność ubespieczający
Rok 1733, Dedykacja: Najukochańszey Ojczyźnie
(Zb. Dzikowskich, obecnie Zb. Bibl. Jag.)

SPIS ROZDZIAŁÓW

I Ród i młodość 5
II Królestwo bez królowania 33
III O powrót na tron 64
IV Majestat na emigracji 98
V Teść Króla Arcychrześcijańskiego . 117
VI Elekt Rzeczypospolitej 140
VII W nowej ojczyźnie 175
VIII Filozof Dobroczynny 207
IX Reformator 219
X Legenda a prawda dziejowa 243

1695

TEGOŻ AUTORA:

Sprawa dysydencka za Augusta II. Kraków 1924.
Polska w dobie wielkiej wojny północnej 1704—1709. Kraków 1925.
Polska a sprawa wschodnia 1709—1714. Kraków 1926.
Geneza konfederacji tarnogrodzkiej. (Kwart. Hist.). Lwów 1928.
Czasy saskie. (Bibl. Nar.). Kraków 1928.
J. I. Kraszewskiego, Brühl. (Bibl. Nar.). Kraków 1928.
Bismarck a Komisja Osadnicza. Kraków 1928.
Mocarstwa wobec powstania styczniowego. Kraków 1929.
Dziesięciolecie badań historycznych w Polsce Odrodzonej, Kraków 1929.
Traktat wersalski jako etap zmagań polsko-niemieckich. Poznań 1926.
Bismarck a Kościół katolicki. Kraków 1932.
U podstaw stosunków polsko-angielskich 1788—1863. Warszawa 1933.
Sprawa polska w roku 1848. Kraków 1933.
Negocjacja Aleksandra Kłobukowskiego w Berlinie. Lwów 1933.
W. Feldman, Dzieje polskiej myśli politycznej 1864—1914. Wyd. II, przejrzał i uzupełnił J. Feldman. Kraków 1933.
Rewolucja francuska a Europa 1789—1795. (Wiel. hist. powsz.). Warszawa 1934.
Kraków i ziemia krakowska (wraz z R. Grodeckim i K. Lepszym). Lwów 1934.
Antagonizm polsko-niemiecki w dziejach. Toruń 1934.
Uwagi o kronice Anonima-Otwinowskiego. Lwów 1934.
Bismark et la question polonaise, Paris 1934.
Rozwój nowszych badań nad Wielką Rewolucją. Kraków 1935.
Na przełomie stosunków polsko-francuskich 1774—1787. Vergennes wobec Polski. Kraków 1935.
Polska i Polacy w sądach polityków pruskich w epoce porozbiorowej. Katowice 1935.
Pokój zbrojny i imperializm kolonialny 1871—1914. (Wiel. hist. powsz.). Warszawa 1936.
Dwa wizerunki cesarskich Niemiec (Niepodległość t. XV). Warszawa 1937.
Udział Polski w badaniach nad historią nowożytną. Lwów 1937.
Bismarck a Polska. Katowice 1938.
Projekty handlu polsko-francuskiego w XVIII wieku. (Stud. hist. ku czci St. Kutrzeby). Kraków 1938.
Stanowisko Wacława Tokarza w historiografii polskiej. (Przegl. Współcz.) Warszawa 1938.

BIBLIOTEKA

BIBLIOTEKA
ASG
NAUKOWA
15558